

MARIUSZ
URBANEK

MAKUSZYŃSKI

O JEDNYM TAKIM,
KTÓREMU
UKRADZONO
SŁOŃCE



SERIA BIOGRAFIE

Już w księgarniach:

Beata Chomątowska *Lachert i Szanajca. Architekci awangardy*

Aleksander Kaczorowski *Havel. Zemsta bezsilnych*

Małgorzata Czyńska *Kobro. Skok w przestrzeń*

Angelika Kuźniak *Stryjeńska. Diabli nadali*

Aleksander Kaczorowski *Hrabal. Słodka apokalipsa*

Stanisław Bereś *Gajcy. W pierścieniu śmierci*

Olga Szmidt *Kownacka. Ta od Plastusia*

MARIUSZ URBANEK

MAKUSZYŃSKI

**O jednym takim,
któremu ukradziono słońce**

wydawnictwo  zarne



**Muzeum
Tatrzańskie**

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO

Wołowiec 2017



Nieważny wypadek w Bierucji

„Wiadomość o śmierci Kornela dwadzieścia lat temu byłby to wstrząs dla Warszawy, dzisiaj – jest to pewno nieważny wypadek w Bierucji” – napisał 2 sierpnia 1953 roku w swoim *Dzienniku* przebywający od kilkunastu lat na emigracji w USA poeta Jan Lechoń.

Chowano Makuszyńskiego w poniedziałek, 3 sierpnia. Zakopane tego dnia nie pracowało. Na Krupówkach pozamykano stragany i sklepy, opustoszały kawiarnie i biura, w kondukcje za trumną szło kilka tysięcy ludzi. Górale towarzyszyli swojemu pisarzowi w ostatniej drodze. Nie było tylko oficjalnych delegacji ministerstwa kultury i związku literatów. Władze rządzonej przez Bolesława Bieruta ludowej Polski nie chciały o Kornelu Makuszyńskim pamiętać. Zakopiański magistrat musiał się podporządkować.

– To nie nasz człowiek. Mamy na głowie ważniejsze sprawy, stonkę ziemniaczaną... – miała usłyszeć góralska działaczka, która dzień po śmierci Makuszyńskiego przybiegła do urzędu zapytać, kto zajmie się pogrzebem honorowego obywatela Zakopanego.

Po prostu obywatelstwo nadała pisarzowi przed wojną zupełnie inna władza.

Przez ostatnich sześć lat żył w zapomnieniu. W prasie literackiej nie pisano o nim w ogóle, w podręcznikach niechętnie i raczej źle. Po raz ostatni wznowiono jego książki w roku 1947, potem wycofywano z bibliotek nawet te, które już tam były. Nie pasował do nowych czasów. Druga Rzeczpospolita opisywana w jego powieściach była szczęśliwym krajem dobrych ludzi, a propaganda komunistycznej Polski malowała obraz rzeczywistości przed 1939 rokiem wyłącznie w czarnych kolorach. Zarzucano Makuszyńskiemu, że nie dostrzegał społecznych kontrastów i walki klas, toczonych na śmierć i życie przez pozbawiony praw proletariat i krwiożerczy kapitał. Przestał być potrzebny, choć jeszcze parę lat wcześniej jego książki były rozchwytywane: ukazywały się w wielotysięcznych nakładach, po kilka razy wznawiane i kochane przez dzieci.

W nowej Polsce nie było miejsca dla *Uśmiechu Lwowa* i *Pieśni o Ojczyźnie*, bo Lwów nie był już polski, a pieśni śpiewano innej ojczyźnie. Zabrakło miejsca także dla *Awantury o Basię* i *Szatana z siódmej klasy*, a nawet dla *Koziołka Matołka* i małpki Fiki-Miki. Makuszyński został zamilczany na śmierć.

O Makuszyńskim mówiono często – i przed wojną, i po niej – „pisarz ze słońcem w herbie”, odwołując się do tytułu jednej z jego powieści. Powtarzano to określenie w tytułach książek, artykułów, audycji, wystaw i konferencji popularnonaukowych jemu poświęconych. Bo tak było najprościej. I pasowało to do charakteru powieści Makuszyńskiego: radosnych, dowcipnych, niosących wiarę w tryumf dobra. Ale po II wojnie światowej przestało to już do pisarza pasować.

On chciał dalej dzielić się z czytelnikami swoim przekonaniem o szlachetności ludzi, ktoś jednak postanowił, że to już niepotrzebne. Słońce z jego herbu skradziono.

Pogrzeb miał góralski. Poprosili o to żonę pisarza sami górale. Z willi Opolanka przy ulicy Tetmajera 15 w Zakopanem, gdzie spędził ostatnie lata życia, trumnę z ciałem honorowego zakopiańczyka wynieśli górale w odświętnych cuchach. Umieszczono ją na zaprzężonym w konie wozie wysłanym gałęziami świeżej jedliny i kosówki. Kondukt szedł przy dźwiękach *Sabałowej nuty* granej przez kapelę Obrochtów. Po mszy w kościele parafialnym na Krupówkach poniesiono Makuszyńskiego na małej cmentarz na Pęksowym Brzyzku, gdzie pochowani są ludzie najbardziej dla Zakopanego zasłużeni: piewca zakopiańskiej przyrody, lekarz i taternik Tytus Chałubiński, legendarny góralski przewodnik i bajarz Jan Krzeptowski-Sabała, malarz i architekt Stanisław Witkiewicz, poeta i powieściopisarz Kazimierz Przerwa-Tetmajer, dramaturg i prozaik Władysław Orkan.



Kornel Makuszyński w Zakopanem, lata czterdzieste. Znajomym żalił się, że z powojennej Polski nie ma gdzie uciec. Ani przed pogodą, ani przed biedą.

Do trumny włożono białą różę, którą dzień wcześniej przyniósł do Opolanki mały chłopiec. W imieniu pisarzy przemówił mieszkający w Zakopanem Roman Brandstaetter: „Był dobrym człowiekiem. Był jednym z tych, którzy dobroć utożsamiali z mądrością, a talent z charakterem”. Bo wiedział, że nie można być wielkim pisarzem, będąc złym człowiekiem, dodał. Jako drugi żegnał Honornego Gazdę i Mistrza wnuk Jana Sabały poeta Adam Pach: „Godnie se zasłużył na tym świecie. Swojom gwarom i swoim piórem umiłował ludziom życie...”.

„Są ludzie, którzy nie powinni umierać, którzy nie pasują do śmierci, o których trudno myśleć jak o zmarłych – napisał Kazimierz Wierzyński. – Do takich należał Kornel Makuszyński”.

Krótko po pogrzebie do domu przy Tetmajera 15 zapukali urzędnicy z zakopiańskiego magistratu. Przyszli poinformować wdowę, że mieszkanie, do którego rok wcześniej dokwaterowano już chorego na gruźlicę sublokatora z żoną i synem, uznając je za zbyt obszerne dla Makuszyńskich, dla jednej osoby (plus gosposia) stało się jeszcze bardziej za duże. Jakiś czas potem przymusowy sąsiad przyniósł przydział na kolejny pokój. Planowano wyburzenie jednej ze ścian i nowy podział lokalu.

Janina Gluzińska-Makuszyńska zwróciła się o pomoc do ministra kultury Włodzimierza Sokorskiego i prezesa Związku Literatów Polskich Leona Kruczkowskiego. Związek poparł „wdowę po zasłużonym pisarzu”, który nie mógł już niczego niebezpiecznego napisać i nikomu zaszkodzić. Minister interweniował w zakopiańskim magistracie, poprosił o wstrzymanie wszelkich decyzji w sprawie mieszkania Makuszyńskich. Pomogło, ale to nie był jeszcze koniec walki. Któregoś dnia sąsiad w asyście milicji zaczął rozbijać dzielącą pokoje ścianę. Dopiero demonstracyjny telefon wdowy do premiera Józefa Cyrankiewicza wstrzymał eksmisję. Dziękowała potem „głęboko wdzięczna i wzruszona” premierowi, wicepremierowi i ministrowi kultury, że „zechcieli poświęcić swój cenny czas i uwagę tak drobnej sprawie”. Sama, by uniknąć oskarżeń, że zajmuje zbyt duże mieszkanie, zgodziła się prowadzić w domu lekcje dla dzieci ze szkoły muzycznej w Zakopanem. Przyjęła też sublokatorkę – zaprzyjaźniona z nią Stefania Jefer mieszkała przez dziewięć lat w pokoju bez drzwi na końcu amfiladowego mieszkania. A Janina Makuszyńska do końca życia bała się zostawić mieszkanie bez opieki. Gdy wychodziła, gosposi nie wolno było nikogo wpuszczać. Nie zmieniło się to nawet po wyłączeniu mieszkania w Opolance spod władzy kwaterunku.

W połowie lat sześćdziesiątych Janina Gluzińska-Makuszyńska zapisała całe wyposażenie mieszkania „społeczeństwu polskiemu”, z przeznaczeniem na

przyszłe muzeum Kornela Makuszyńskiego. Rękopisy, księgozbiór, bogatą korespondencję, meble, zegary, rzeźby i osiemdziesiąt sześć obrazów, w tym prace Witkacego, Stanisława Wyspiańskiego, Leona Wyczółkowskiego, Juliana Fałata, Kazimierza Sichulskiego, Władysława Skoczylasa i Jana Styki. Kolekcję wyceniono na ponad trzy miliony złotych (wartość złotówki była wtedy porównywalna z dzisiejszą). W testamencie zastrzegła jedynie, że darowizna obejmuje wszystkie pokoje mieszkania, także ten, który wcześniej pisarzowi odebrano. Mogą być najwyżej przeznaczone na miejsce pracy dla osób chcących studiować twórczość autora *Panny z mokrą głową*. Dopiero wtedy, po dłuższej korespondencji z ministerstwem kultury, magistrat zgodził się wyłączyć spod kwaterek mieszkanie przy ulicy Tetmajera 15 i wydzierżawić je Muzeum Tatrzańskiemu na potrzeby „Punktu muzealnego pamiątek po Kornelu Makuszyńskim”. Janina Makuszyńska zobowiązała się do utrzymywania punktu i opieki nad zbiorami. W zamian pozwolono jej nadal mieszkać w jednym pokoju z kuchnią i zatrudniono na pół etatu jako dozorczynię i sprzątaczkę punktu muzealnego. Do końca życia Pani Janina oprowadzała zwiedzających po swoim dawnym mieszkaniu.

„Staram się pracować dobrze” – powiedziała dziennikarzowi Leszkowi Mazanowi w połowie 1972 roku, trzy miesiące przed śmiercią. Nie chciała wspominać najtrudniejszego okresu po śmierci męża. Nie chciała napisać pamiętników. To byłaby najsmutniejsza książka podpisana nazwiskiem Makuszyński, tłumaczyła Mazanowi.

W 1955 roku zaczęła się w Polsce polityczna odwilż. Dwa lata po śmierci pisarza zaczęto znów wydawać jego książki. Domagali się tego starsi czytelnicy, bo w gazetach pisano już wtedy o nieznanym młodemu pokoleniu, zapomnianym pisarzu z Zakopanego.

Kilka lat później – po sukcesach wznawianych książek i filmów na podstawie *Awantury o Basię*, *Szatana z siódmej klasy* czy *O dwóch takich, co ukradli księżyc* oraz idących w miliony nakładach książeczek o Koziółku Matołku – rozpoczął się powrót Makuszyńskiego do świadomości czytelników.

I

Ze Stryja do Lwowa (przez Przemyśl)

Kornel był siódmym dzieckiem Edwarda Makuszyńskiego, niegdyś pułkownika c.k. armii Austro-Węgier, a później urzędnika w kancelarii gminy w Brzozowej koło Krosna, i Julii z Ogonowskich.

Miał sześć siostr (pięć starszych), jedyny brat zmarł kilka miesięcy po urodzeniu.

Ojciec pewnie się ucieszył, gdy wreszcie przyszedł na świat dziedzic nazwiska (drugie imię – Edward, otrzymał po ojcu), ale na jakieś szczególne związane z tym przywileje Kornel liczyć nie mógł. Radość z narodzonego 8 stycznia 1884 roku męskiego potomka była pomniejszona o kłopot wiążący się z wykarmieniem kolejnego dziecka.

Makuszyńscy nigdy nie byli zbyt bogaci, a gdy zabrakło Edwarda, ich sytuacja jeszcze się pogorszyła. Kornel miał zaledwie dwanaście lat, gdy umarł mu ojciec i Julia Makuszyńska musiała korzystać z pomocy krewnych i przyjaciół, by utrzymać liczną rodzinę. „Syn źle sytuowanej wdowy po urzędniku wojskowym” – wspominał gimnazjalnego kolegę Stanisław Wasylewski.

Siostrzenica Makuszyńskiego Jadwiga Tarnawska wspominała po latach rodzinne opowieści o niesfornym wuju, który uciekał z domu na błonia nad rzeką Stryj bawić się z kolegami w Indian. Bywały dni, kiedy matka chowała synowi buty, żeby siedział w domu i – co było równie istotne – nie niszczył drogich trzewików. On jednak „potrafił tak długo myszkować po mieszkaniu, aż te buty znalazł” – opowiadała siostrzenica.

Dlatego nie dziwią pojawiające się we wspomnieniach Kornela Makuszyńskiego, zwłaszcza w *Bezgrzesznych latach*, obrazy ubogiego dzieciństwa. Zapamiętał jeden jedyny prezent, jaki dostał na Gwiazdkę, a było to... „przrzeczenie, że dostanie skarpetki”. W dodatku obietnica ta nigdy nie została dotrzymana.

W utrzymaniu gromadki dzieci pomagał wdowie Leonard Tarnawski (zbieżność nazwisk jego i siostrzenicy przypadkowa), adwokat, radny miejski w Przemyślu, a później także poseł do sejmu galicyjskiego. Był ojcem jednego ze szkolnych kolegów Kornela, w przyszłości tłumacza Szekspira i profesora na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie Władysława Tarnawskiego. Makuszyński często wspominał dobroczyńcę rodziny, opisywał też spektakle amatorskiego teatru, w których brał udział w mieszkaniu rodziców Władka. Któregoś razu wystawili *Zemstę* Fredry. Z ogromnym sukcesem, choć sława trwała bardzo krótko. Zespół przestał istnieć, bo młodzi aktorzy pokłócili się o dziewczynę, która w przedstawieniu grała Klarę. „Wszystkim nam zawróciła

w głowie” – przyznał po latach Makuszyński.

Gdyby przejrzeć spisy urzędowe gimnazjów w Stryju, potem w Przemyślu, wreszcie IV gimnazjum im. Jana Długosza we Lwowie (w tym samym czasie co Makuszyński chodzili tam: Kazimierz Wierzyński, przyszły słynny poeta, Stanisław Wasylewski, później dziennikarz, eseista i autor opowiadań, oraz Juliusz Kleiner, wybitny historyk literatury, a chwilę później Wilam Horzyca, reżyser i zastępca dyrektora Teatru Narodowego), łatwo można by prześledzić, jak z dobrego ucznia, czasem nawet celującego, robi się powoli matoła, wspominał Kornel Makuszyński. Odpowiadając na ankietę: *Jak się uczyli współcześni wybitni pisarze polscy?*, napisał, że trzeba było go przepychać z klasy do klasy szczególnie z przedmiotów ścisłych, bo drugiego gimnazjalisty tak tępego w matematyce, chemii i fizyce jak on nikt wcześniej nie widział. Nie potrafił dostrzec żadnego pożytku z nauki trygonometrii, pożerał za to książki, przede wszystkim kolejne tomy Szekspira, dzieła Żeromskiego, *Trylogię* Sienkiewicza i *Wesele* Wyspiańskiego. Dzięki opiece, którą otoczyli go nauczyciele literatury, łaciny i greki, udało mu się dobrać do matury, choć inni pedagodzy nie wróżyli mu dobrej przyszłości, a matematyk wręcz odsyłał go na naukę zawodu do szewca. „Słusznie...” – kokieteryjnie stwierdził po latach Makuszyński, kiedy już nie tylko pisał, ale także publikował wiersze.

Rozpoczął szkolną edukację w 1894 roku w Stryju. Właśnie tam poznał go Wasylewski. Wspominał nawet jakieś wspólne z Kornelem wagiary na stryjskich Łanach, kąpiele w rzece i czas spędzany na grze w kiczkę (czyli na odbijaniu pałkami przez dwie drużyny kawałka drewna tak długo, aż jednej spadł na ziemię), ale się nie zaprzyjaźnili. Po pierwsze Makuszyński był rok starszy, a to w ich wieku stanowiło przepaść trudną do pokonania, a po drugie należeli do różnych klas społecznych, co miało wówczas duże znaczenie. Kornel był synem zubożałej wdowy, ojciec Wasylewskiego, inżynier w warsztatach Austriackich Kolei Państwowych, należał do elity miasteczka.

Stanisław zapamiętał starszego kolegę jako szkolnego wesołka, wiecznie wymyślającego jakieś dowcipy. Na przerwach dokarmiał go nawet kęsami bułki z masłem, w którą zaopatrywała go co rano matka. Nie lubił go jednak ani wtedy, ani w dorosłym życiu, kiedy ich zawodowe drogi dość często się krzyżowały. W mało przychylnych Makuszyńskiemu wspomnieniach pisał o nim „Kornelek”, „Kornelcio”, a nawet „Makusrajko”, choć jednocześnie przyznawał, że „żał było, gdy się wesołek nie jawił na przerwie”. Starszy kolega raczej nie żywił do Staszka niechęci, bo po latach napisał: „Wasylewski, dzisiaj pisarz rozkoszny, buszował razem ze mną i razem wydostawaliśmy spod ziemi książki”.

Makuszyński zadebiutował jako składacz rymów wcześniej, mając zaledwie jedenaście lat, w pierwszej klasie gimnazjum w Stryju. Dokładna data się nie zachowała, ale musiała to być zima. I to mroźna zima, bo staw nieopodał szkoły

zamarzył i zmienił się w ślizgawkę, na której uczniowie spędzali każdą wolną chwilę. Do dnia, kiedy gimnazjalny katecheta, który miłość do Boga wbijał młodzieży ciężką ręką uzbrojoną w linijkę, zakazał zabaw na lodzie. Wzburzeni gimnazjaliści szukali uzasadnienia zakazu w katechizmie, a nawet w samym Piśmie Świętym, ale nic tam o ślizgawkach nie znaleźli. Mojżesz w żadnym miejscu nie zakazywał Żydom zabaw na lodzie. Ale katecheta był nieubłagany. Wtedy Makuszyński postanowił, że ułoży wiersz. A raczej nie wiersz, lecz satyrę, taką, jakiej jeszcze świat ani miasto Stryj nie widziały. Miała to być „satyra krwawa jak trzydziestoletnia wojna, jak rzeźnia miejska, satyra pełna żółci, octu, jadu, trucizn i klątwy” – wspominał. Nie zważając na konsekwencje, napisał:

Na próżno jędza

w ubraniu księdza

z lodu nas spędza!

W pierwszej b klasie

w zimowym czasie

nikt mu nie da się!!!

Druga zwrotka była ponoć jeszcze bardziej dla katechety okrutna, ale autor jej nie zapamiętał. Został oczywiście szkolnym bohaterem, uczniowie z podziwem i rozkoszą przekazywali sobie z ust do ust strofy wymierzone w tyrana w koloratce. Wkrótce jednak okazało się, że sława ma dwie strony, bo jakiś zdrajca doniósł księdzu, kto napisał poemat, i katecheta wymierzył autorowi sprawiedliwość, najmocniej, jak potrafił. „Rozmyślałem potem, że nie powinni pozwolić, aby ksiądz był tak mocny w ręku” – wspominał Makuszyński. Miał tylko tę satysfakcję, że kiedy wreszcie wydało się, kto zdradził, do samego końca roku szkolnego nikt wiarołomcy nie podpowiedział ani nie dał odpisać zadania podczas klasówki. Za to męczennikowi pomagali wszyscy. Rosła także legenda klasowego wieszca. Katecheta jednak nie odpuścił, uczeń szargający autorytet sutanny musiał szkołę opuścić. Po pierwszej klasie Makuszyński przeniósł się do gimnazjum w Przemyślu i zamieszkał u rodziny.

Pisał coraz więcej, zwłaszcza długie wiersze na tematy historyczne, które opatrywał dostojnymi tytułami po łacinie. Rymował nawet zadania domowe z języka polskiego. „Było to raczej zawiązywanie rymom końskich ogonów, lecz mi się zdawało, że »potężnym« jestem poetą” – wspominał tamte czasy w liście do nauczyciela przemyskiego gimnazjum. Jeden z wierszy mówił o tym, jak król

Jan III Sobieski podstępem zmusił cesarza Leopolda I, żeby uklonił mu się pierwszy. Podniósł dłoń, ale udał tylko, że zamierza zdjąć nakrycie głowy. Leopold dał się nabrać i uchylił swojego. Dopiero wtedy zrozumiał, że został oszukany.

Cesarz się bardzo po niemiecku dąsa,

Że Sobieski nie do czapki, lecz sięgnął do wąsa.

Więc na przyszłość, cesarzu, popamiętaj o tem,

Że najpierw się masz kłaniać, a król polski potem!

W trzeciej klasie zaczął tworzyć także wiersze miłosne. Układał je na zamówienie kolegów, starannym, kaligraficznym pismem i czerwonym jak krew atramentem. Pierwszy wiersz powstał na konkurs ogłoszony przez zakochanego ucznia ze starszej klasy – jego wybranka oświadczyła, że może poślubić wyłącznie poetę. Ponieważ adorator sam rymować nie umiał, postanowił kupić poemat u kogoś biegłego w składaniu słów. Nagroda dla zwycięzcy konkursu była kusząca: dwie kiełbaski i bułka fundowane przez przyszłego beneficjenta względów dziewczęcia.

Kornel Makuszyński postanowił wziąć udział w konkursie, tym bardziej że obiecana zapłata musiała budzić pożądanie wiecznie głodnego nastolatka. Obejrzał bohaterkę wiersza i naciągając nieco rzeczywistość (dziewczyna była zezowata i miała piegi, co dyskretnie pominął), stworzył, jak wspominał, poemat „tak cudownej piękności, tak rzewny i pełen miłości tak wielkiej, iż jej zezowate oczy zasły łzami”. Dwa rymy ściągnął od Słowackiego, ale uczciwie podał w przypisie, że to z wieszczka, więc wszystko było w porządku, a nawet wzbudziło jeszcze większy podziw dla poetyckich kompetencji autora. Musiał wygrać. I wygrał.

Jednak ostatecznie z przemyskiego gimnazjum też wyleciał. Za pojedynek. I to o kobietę. No, o dziewczynę. „Złotowłosą i szarooką” córkę radcy sądowego Kazię, tak prześliczną, że „wszyscy patrzyli na nią ze zdumieniem, nie wierząc, aby kobieta mogła być tak piękna”. Ale był problem. W Kazię zakochał się także kolega Zygmunt, rozstrzygnąć miał więc pojedynek.

Zdobyte jakimś cudem zardzewiałe rewolwery zostały nabite gwoździami, tłuczonym szkłem, gazetami i prochem. Wypalili, Kornel upadł, bardziej ze strachu niż odniesionych ran, a w rewolwerze Zygmunta ładunek rozsadził lufę, niegroźnie go kalecząc. Wieść o tym zajściu szybko się po Przemyślu rozeszła i awanturnicy właściwie nie mieli po co wracać do gimnazjum. Na dobitkę wkrótce okazało się, że Kazia na uczucia smarkaczy z drugiej klasy w ogóle nie ma zamiaru zwracać uwagi, bo kocha się w czwartoklasiście.

Lekcja była bolesna, więc gdy kolejny raz próbował zdobyć względy dziewczyny, Inki Leszczyńskiej („stworzenie było śliczne i bardzo czarne”), nie sięgnął już po broń palną. By dowieść szczerego afektu, przy świadkach zjadł na cześć wybranki litr czereśni z pestkami. Ale nie doczekał się za to nawet uśmiechu, bo rywal skonsumował sztuczne kwiaty z kapelusika dziewczyny. W dodatku ze wstążką! Przegrana była bezsporna.

W IV Gimnazjum im. Jana Długosza we Lwowie Kornel Makuszyński pojawił się trzeciego dnia roku szkolnego 1896/1897 „w podniszczonym mundurku, wychudzony i zbiedzony” – tak zapamiętał go Henryk Cudnowski (wtedy jeszcze nosił nazwisko Cudek), w dorosłym życiu aktor i reżyser teatralny. „Korneliusz Makuszyński” – przedstawił się kolegom, potrząsając bujną jeszcze wtedy czupryną. Uważał, że imię pożyczone od rzymskiego historyka Publiusza Korneliusza Tacyta, którego dzieła gimnazjaliści musieli studiować na lekcjach łaciny, zabrzmiało dużo lepiej niż banalny Kornel. A potem usiadł na wskazanym przez wychowawcę miejscu, obok Cudnowskiego. Podczas pauzy zaczęli rozmawiać. Nowy pochwalił się, że przeszedł piechotą prawie sto kilometrów z Przemyśla do Lwowa, bo pieniądze, które dostał na bilet kolejowy, wołał zachować na inne wydatki. Brzmiało to dość nieprawdopodobnie, ale nie takie rzeczy opowiadają sobie nastolatki. Polubili się. Obaj uwielbiali *Trylogię* i teatr, więc tematów nie brakowało. Potrafili przez wiele godzin rozmawiać językiem Zagłoby i Wołodyjowskiego, a kiedy jeszcze okazało się, że Cudnowski może za darmo wchodzić za kulisy lwowskiego teatru, a czasem nawet zabierać ze sobą nowego kolegę, przyjaźń została przypieczętowana.

Razem chodzili do szkoły, po drodze wywołując z domu młodszego o rok Julka Kleinera. O sobie Kornel opowiadał jednak mało, pytania o rodzinę zbywał milczeniem. Często za to wspominał doktora Leonarda Tarnawskiego. Cudnowski domyślił się, że majątny prawnik pomaga matce kolegi, pozbawionej po śmierci męża stałego dochodu.

Makuszyński zamieszkał w wynajętym pokoju na Kleparowie, ale długo kolegi do siebie nie zapraszał. Żegnał się w połowie Kleparowskiej i dalej szedł sam. Wstydził się, bo pokój miał „u Siegla”, a to nie był najlepszy adres w mieście. Siegel, właściciel przedsiębiorstwa asenizacyjnego, zajmował się także łapaniem i uśmiercaniem bezpańskich psów, czyli był hyclem. Jego kamienica stała niedaleko tzw. Góry Stracenia, powszechnie nazywanej Hyclową Górą. Wcześniej wieszano tam skazanych na śmierć złoczyńców, a później także buntowników przeciwko władzy. Stąd właśnie wzięła się nazwa wzgórza.

Kornel był wniebowzięty, kiedy Cudnowski pierwszy raz zabrał go za teatralne kulisy. Z nabożeństwem dotykał dekoracji, z podziwem oglądał maszynę imitującą grzmoty, gdy na scenie potrzebna była burza, ale największą fascynację chłopca wzbudziła sznurownia (tzw. sznurboden). Na końcu każdego sznura

przyczepiony był fragment dekoracji, opuszczany w razie potrzeby i zgodnie z rozwojem akcji. A co jeszcze ważniejsze, ze szczytu sznurowni można było zobaczyć wszystko, co się działo na scenie. Trzeba było tylko sprytnie ukryć się przed maszynistami odpowiedzialnymi za dekoracje, więc zafascynowany teatrem gimnazjalista wspinał się coraz wyżej na kolejne poziomy sznurbodenu.

Nie przepuszczał żadnej okazji, żeby dostać się za kulisy i na jaskółkę sznurowni. Przedstawienie *Cyrano de Bergerac* według sztuki Edmonda Rostanda widział dwadzieścia cztery razy. „Z tego prostego powodu tylko tyle razy, bo go więcej nie grano” – napisał. W pewnym momencie nie potrzebował już nawet pośrednictwa. „Jakim cudem wymykał się cerberowi przy wejściu – zostało już jego tajemnicą” – wspominał Cudnowski. Sam na najwyższy poziom sznurbodenu zaglądał rzadko. Kiedy raz wgramolił się tam za Makuszyńskim, uznał, że efekt nie jest wart włożonego wysiłku. Słowa aktorów były ledwo słyszalne, a widok z góry mało ciekawy: „Oglądaliśmy jedynie różnego rodzaju peruki występujących artystów”.

Ale i eskapady Makuszyńskiego osiągnęły kres. Któregoś wieczora, schodząc ze swojej „łóży” na najwyższym piętrze sznurowni, natknął się na grających w karty maszynistów. Ujawnienie oznaczało koniec darmowych atrakcji, więc postanowił poczekać, aż skończą i pójdą sobie. Ale zanim oni dobrnęli do finału, on zasnął na twardej podłodze. Tak go zastał nocny stróż. Widząc jednak gimnazjalistę w mundurku, nie zawołał policji, tylko wyrzucił chłopaka z teatru. Odtąd Kornel nie mógł już liczyć na darmowy wstęp za kulisy. Mógł tylko mieć nadzieję, że główny kontroler pan Ringer raz w tygodniu zlituje się i wpuści go bez biletu na teatralny paradyz. Bo na niezauważone przemknięcie w tłumie chętnych na najtańsze miejsca szanse były coraz mniejsze. Bileterzy skrupulatnie wyłapywali gapowiczów, a młodszym dodatkowo nie szczędzili bolesnych kuksańców.

Chcąc więc dalej bywać w teatrze, chłopcy musieli poszukać jakiegoś źródła dochodu. Najlepiej korepetycji. Obaj byli już w czwartej klasie, więc bez problemu mogli pomagać w nauce uczniom zaczynającym dopiero gimnazjalną drogę. Cudnowski odpowiedział na anons w gazecie i znalazł podopiecznego, a Kornel zaczął uczyć siostrzeńca Henryka – Antka. Dostawał za to dziesięć koron miesięcznie (Henryk tylko osiem), w dodatku on i cierpiący na wstręt do nauki pupil szybko się dogadali, że lekcje nie zawsze są najważniejsze.

– Antek, lekcja! – wołał, ale na widok skrzywionej miny ucznia miękł: – No co? Nie chcesz mieć lekcji? – I znacznie już ciszej, żeby nie usłyszała matka Antka, pytał: – A koronę masz? Odpowiedź była oczywista:

– Będę miał.

Cudnowski ze zdziwieniem patrzył, jak leniwy zwykle siostrzeniec szybko biegnie do apteki ojca na sąsiedniej ulicy, by pod jakimś pretekstem wyłudzić

srebrną koronę. „Zaczął się tedy dla Makuszyńskiego, jeżeli idzie o finanse, »wiek złoty«, albo raczej »posrebrzany«” – wspominał. Zwłaszcza gdy Kornel zdobył kolejne korepetycje, u państwa Goldmanów. Było go odtąd stać nie tylko na lepsze ubrania, a od czasu do czasu na jakiś tańszy bilet do teatru, ale nawet na bilard w szynku Magenheima przy Janowskiej, dokąd oczywiście zapraszał także przyjaciela. Okazało się, że jest bilardowym mistrzem i musiał dawać koledze fory, nigdy jednak nie ujawnił, gdzie się nauczył tak dobrze grać. Bilardowe wyprawy nie spodobały się matce Henryka. Zagroziła, że jeśli będą się powtarzać, przestanie zapraszać Makuszyńskiego, a to oznaczało także odcięcie go od obiadów, które co niedzielę szykowała. Teatr był zdecydowanie bardziej bezpieczny.

Postanowili razem z grupą zaprzyjaźnionych gimnazjalistów wystawić *Zbójców* Schillera. Na początek każdy miał obejrzeć jak najwięcej razy sztukę graną przez zawodowych aktorów w Teatrze Skarbkowskim, co było o tyle łatwe, że bilety na szkolne spektakle w sobotnie popołudnia były bardzo tanie. Podczas prób do przedstawienia powtarzali zapamiętane sceny i gesty aktorów, aż wreszcie przyszedł czas na premierę. Odbyła się późną jesienią 1897 roku w jakiejś wynajętej za grosze salce, której nikt inny wynajmować nie chciał, potem grywali także w prywatnych mieszkaniach. Cudnowski był reżyserem i odtwórcą roli Franciszka, Makuszyński grał starego hrabiego Moora.

Nie występowali za darmo, bilety na ich spektakle kosztowały pięć centów, tyle co najtańsze wejściówki na galerię podczas popołudniówek w zawodowym teatrze. Widzowie zwykle przymykali oko na nieuchronne aktorskie i inscenizacyjne niedoskonałości, ale nad niektórymi nie dało się przejść do porządku dziennego. Jak w ów feralny wieczór, kiedy wystawili *Zbójców* w mieszkaniu szkolnego kolegi Edka Hirszprunga. Już w pierwszym akcie Makuszyńskiemu odpadła sztuczna broda – publiczność nie była w stanie powstrzymać wybuchów śmiechu i trzeba było spuścić kurtynę. A gdy na dodatek Muszka, mops gospodarzy, zaatakowała Cudnowskiego, przedstawienie padło ostatecznie, a widzowie zażądali zwrotu pieniędzy. „Był to ostatni występ Makuszyńskiego, który do dalszych przedstawień nie dał się uprosić” – wspominał Cudnowski.

Na ich wzajemne relacje to jednak nie wpłynęło. Zwłaszcza w szkole, gdzie musieli zewrzeć siły w obronie przed nauczycielem matematyki księdzem kanonikiem Janem Kosteckim, doktorem filozofii i teologii. Był członkiem utrzymywanego za carskie ruble stronnictwa staroruskiego, rusofilem i konserwatystą, czego nie ukrywał. Niski, chudy, krótko ostrzyżony, o malutkich, świdrujących oczkach, patriotycznie nastawionych uczniów, a już zwłaszcza zaczynającego właśnie pisać Makuszyńskiego, miał za durniów (diurniów, jak mówił). Znęcał się nad Kornelem za każdym razem, kiedy wyrwał go do odpowiedzi, czyli prawie co lekcję. Jeszcze gorzej było, gdy się dowiedział, że

pisze wiersze.

– Panie diurniu, a co? Znowu nie umiemy? Nie chce się panu, panie diurniu, uczyć matematyki, woli się pisać jakieś tam misztygałki...

Te misztygałki to był wiersz – pierwszy, który został wydrukowany – na cześć Henryka Sienkiewicza. W *Bezgrzesznych latach* można przeczytać, że powstał po wizycie autora *Trylogii* we Lwowie, ale to raczej pomyłka. Sienkiewicz był we Lwowie w roku 1900, tymczasem Makuszyński opowiada o utworze, który dwa lata wcześniej został wydrukowany na pierwszej stronie pisma dla młodzieży szkolnej „Polonia”. Był „głupi, ale napisany całym sercem”, egzaltowany, pełen patosu i uwielbienia, miały się w nim rymować „łany”, „kurhany” i „hetmany”, „blizna” i „Ojczyzna”, ale najważniejszy był podpis głoszący całemu światu, że autorem jest „Kornel Makuszyński, uczeń IV klasy gimnazjalnej”.

Być może Makuszyński tak zapamiętał przechowywany w muzeum w Zakopanem utwór *Słysz, Polsko!*, który ukazał się w „Polonii” w roku 1901 – Makuszyński miał już lat siedemnaście z okładem, wiersz wcale nie był podpisany imieniem i nazwiskiem, tylko pseudonimem Witold Oksza, nie ma też w nim rymów blizna – Ojczyzna czy hetmany – kurhany, patriotycznych uniesień, bicia w piersi i młodzieńczej egzaltacji jest za to dość:

Oto się bijem w obnażone piersi –

A pięści nasze z żalu są jak młoty!...

Bo niżli kruszec słota sąśmy szczerzi,

Posępni dumą namiętnej tęsknoty,

Bo w duszach huczy nam podziemna skarga

Co – nie wybuchnie! Globem nie zatarga!

Spowiedzi naszej słuchaj, Polsko!... Oto

Ważym się wyznać, iżeśmy duchami

Bywali w gnuśne pogrążeni błoto,

Co nasyceniem płaskim w hańbę plami

Że za spokoju liczman, jak Judasze,

My sprzedawali harde myśli nasze! [...]

Kiedy więc po szkole zaczął krążyć złośliwy dwuwiersz pod adresem nauczyciela matematyki i księdza kanonika w jednym, podejrzenie musiało paść na jedyne go poetę w gimnazjum. Fraszka brzmiała:

Kto carskich rubli pełne ma niecki –

Zgadnijcie, proszę: to jest...

Odpowiedź była oczywista. Właścicielem kieszeni wypchanej carskimi srebrnikami był ani chybi ksiądz kanonik Kostecki. Nie miał też wątpliwości matematyk, który doniósł o szkalującym go utworze dyrektorowi, i nie miał sam dyrektor, który wezwał do siebie... Makuszyńskiego.

Ani dyrektor, ani ksiądz długo nie chcieli uwierzyć, że autorem może być ktoś inny. Dopiero śledztwo i ostateczne przyznanie się prawdziwych winowajców (jednym był Cudnowski) uratowały podejrzanego. Dyrektor, który najwyraźniej też za księdzem profesorem nie przepadał, tylko pogroził palcem „poetom”:

– Nie róbcieź konkurencji Kornelowi.

Makuszyński, wspominając księdza kanonika w *Bezgrzesznych latach*, napisał, że udawał tylko tyrana, a naprawdę to była z niego „przezacna dusza” i patrzył na matematyczną tępotę piszącego wiersze ucznia przez palce. „Pomnik ci postawią, a ja ci dam pałę!” – straszył, a potem i tak się ulitował nad delikwentem. Najtrudniejsze pytanie, jakie zadał Makuszyńskiemu na maturze, brzmiało: „ile jest siedem razy siedem”. Nie próbował sprawdzać, co uczeń wie na temat rozbijania atomów czy skraplania powietrza, bo zapewne nie miał wątpliwości, że nie wie niczego, co by umożliwiło postawienie pozytywnej oceny.

Mimo wszystko relacja Cudnowskiego wydaje się bardziej prawdopodobna niż wspomnienie pisarza, który nie potrafił do nikogo żywić urazy. Tym bardziej że i Stanisław Wasylewski dobrze zapamiętał wojnę, którą wypowiedział Makuszyńskiemu matematyk w sutannie. Napisał nawet, że Kostecki oblał go na maturze (wtedy mówiło się „spalił”) i uczeń musiał po wakacjach zdawać egzamin poprawkowy, ale to raczej też nie była prawda. Na świadectwie maturalnym pisarza – pozytywnym! – widnieje adnotacja „zdawał po raz pierwszy”. Choć nie wyklucza to poprawki na koniec którejs z wcześniejszych klas. Żadnego roku jednak nie powtarzał.

„Przyjaźń moja z Makuszyńskim po tym zdarzeniu jeszcze bardziej się zacieśniła” – podsumował Cudnowski konflikt z kanonikiem. Przez kilka lat siedzieli w jednej ławce i doprowadzili podpowiadanie do perfekcji. Było to konieczne, bo obaj nie bardzo przykładali się do nauki. Kornel także w tym przodował: w starszych klasach miał jeden kajet do wszystkiego – matematyki,

polskiego, greki i łaciny – zeszyt uniwersalny, jak mawiał.

– Jeszcze się nie postarał o przyzwoity zeszyt? – irytował się nauczyciel greki, szukając w brulionie odpowiednich zadań.

– Ciężko z pieniędzmi, panie profesorze – odpowiadał Makuszyński, co niekoniecznie było prawdą, ale świetnie nadawało się na wymówkę.

Kornel dalej bywał u Cudnowskiego, a Henryk czasem na Kleparowskiej, co było o tyle ryzykowne, że baciary z kleparowszczyzny nie bardzo lubiły na swoim terenie obcych i dochodziło do regularnych bijatyk tamtejszych chłopaków i grup z „lepszych” ulic.

Makuszyński, siedzący na barykadzie dzielącej oba światy, nie brał w ulicznych potyczkach udziału. Mimo to cieszył się szacunkiem wśród baciarów. „Przyznał się, że dość często pisał im wierszyki okolicznościowe dla ich bogdanek” – wspominał Cudnowski. Musiały być udane, bo baciary nie zaczepiały także Henryka, nawet kiedy pojawiał się sam w rządzonej przez nich rejonie. Był przecież znajomym swojego.

Cudnowski zapamiętał wiersz Makuszyńskiego, o którym zapomniał nawet sam autor (po latach wypili w Zakopanem dzban wina na okoliczność szczęśliwego odnalezienia tekstu).

Zabrzmi, pieśni! Piersz wezbrana

Chce wybuchnąć na świat falą;

Dusza we mnie rozśpiewana –

Słowa w ustach mi się palą.

Precz ze smutków mych całunem!

Niech świat jasny się otworzy,

Smutki strzaskam słów piorunem,

Całun zmienię w jasność zorzy.

Precz z zwątpieniem, co mnie trwogą

Dotąd napawało. Teraz wierzę,

Że i słońca dotknę nogą,

Że się z huraganem zmierzę!

O innym wierszu wspominał Jakub Rothfeld, szkolny kolega obu, przyszły profesor neurologii na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie (zmienił nazwisko na Rostowski). Poemat zawierający zdanie: „Przeciw memu bunt podniosłem bogu” wywołał awanturę, która o mały włos skończyłaby się relegowaniem autora z kolejnego gimnazjum. Tym razem nie za obrazę księdza, a samego Boga, bo w druku słowo „bogu” zaczynało się od wielkiej litery. „Konferencja profesorska: wyrzucić Makuszyńskiego. Tylko ksiądz katecheta go bronił” – pisał Rostowski. Młodego poetę uratował dopiero odnaleziony w redakcji rękopis wiersza, z którego jasno wynikało, że to drukarz w gorliwej pobożności wydrukował słowo „bogu” z dużym B i wyszło niedopuszczalne obrazoburstwo. Siedzieli później z Makuszyńskim w jednej gimnazjalnej ławce i przechodzili z klasy do klasy tylko „w ciżbie”, wspominał Rostowski. „Kornel miał celujący postęp z polskiego, a ja »chwalebne« z zachowania – resztę mieliśmy »dostateczne«”.

Sława szkolnego wieszacza otaczająca Makuszyńskiego spowodowała, że gdy Wasylewski postanowił założyć w IV Gimnazjum kółko samokształceniowe (przeniósł się do Lwowa z ojcem, który dostał pracę w stolicy Galicji) i wydawać na hektografie konspiracyjne pismo w nakładzie... pięciu–sześciu egzemplarzy, o utwór programowy do pierwszego numeru poprosił właśnie jego.

Makuszyński napisał wiersz pod tytułem *Nasza droga*. Wasylewski pamiętał nawet fragment pierwszej strofy: „Pójdiesz drogą cierniem sianą po śmierć lub po sławę”, a może „po śmierć i po sławę” – tego nie był pewien. Kornel wygłosił też podczas inauguracyjnego posiedzenia tajnego kółka w mieszkaniu rodziców Wasylewskiego wykład o *Szyfowych pracach* Stefana Żeromskiego. „I wiemy, że prace ich (tzn. zaborców w ogóle) pozostaną szyfowymi zawsze...” – cytował Wasylewski ostatnie słowa prelekcji starszego kolegi, którego zapamiętał z tego okresu jeszcze w wytartym mundurku gimnazjalnym, ale także już w charakterystycznej młodopolskiej pelerynie.

„Był ten mundurek tak wyświechtany, iż mógłby służyć za zwierciadło u małomiasteczkowego golibrody” – potwierdził po latach trochę starszy od Makuszyńskiego Stanisław Stroński, wtedy działacz konspiracyjnego Związku Młodzieży Polskiej ZET. Kolega opiekujący się tajnymi kołami młodzieży działającymi w szkołach średnich przedstawił mu „zwracającego na się szczególną uwagę” szesnastoletniego Kornela.

W szkole mówiło się, że literacki talent Makuszyńskiego pierwszy dostrzegł profesor Wojciech Grzegorzewicz. Otoczył chłopca opieką, pozwolił korzystać ze swojej biblioteki i zapraszał nawet do domu na herbatę. W *Bezgrzesznych latach* autor wystawił mu pomnik. Życzył każdemu młodemu człowiekowi o ambicjach

pisarskich takiego nauczyciela literatury: umiejącego pokazać jej piękno, nauczyć jej rozumienia i przeżywania, a jednocześnie potrafiącego chronić adepta w niesprzyjających okolicznościach. „On mnie wypraszał u profesora matematyki i u Greka, i u historyka, i u innych” – wspominał Makuszyński. A kiedy na lekcji religii katecheta przyłapał go na czytaniu pod ławką (Szekspira!), profesor poruszył niebo i ziemię, by uratować swego protegowanego przed kolejnym wyrzuceniem.

Przyjaźń z Cudnowskim trwała, nawet gdy lwowskie IV Gimnazjum podzielono i Kornel trafił do nowego, VI Gimnazjum, a Henryk przez złośliwego nauczyciela greki musiał repetować piątą klasę w starej szkole. Dalej łączyły ich teatr i wspólne wagarzy spędzane w czytelni Ossolineum. Owszem, bywało i tak, że bezmyślnie przełazikowali wykradzione szkole godziny, znacznie częściej jednak Makuszyński ciągnął kolegę do biblioteki, gdzie nawet niespecjalnie dziwiono się młodzieńcom w gimnazjalnych mundurkach. Skoro dobrowolnie przychodzili do czytelni i obkładali się stosami książek, to widocznie musieli mieć po temu dobry powód. Makuszyński jak zwykle najchętniej sięgał po książki Sienkiewicza, ale czytał też wiersze Kasprowicza, utwory Wyspiańskiego i Micińskiego. „Zaczynałem odczuwać coś w rodzaju szacunku dla Kornela” – wspominał Cudnowski.

Ich więź umocniły jeszcze tanie obiadki w niewielkiej mleczarni U Cioci, w kamieniczce tuż za Teatrem Skarbkowskim. Były tym większą atrakcją, że po śmierci ojca Henryka obiady w jego domu rodzinnym były dużo skromniejsze i rzadziej zapraszano na nie gości.

Ciocia, tęga niewiasta lat mniej więcej pięćdziesięciu, serwowała najpyszniejsze ruskie pierogi i białą kawę – ich sława wyszła daleko poza opłotki Lwowa. Było smacznie i tanio, dlatego przy dwóch długich, przykrytych ceratą stołach cisnął się zawsze tłum gości. Wśród nich najwięcej studentów i gimnazjalistów, którzy wchodzili właśnie w wiek, kiedy nawet największa porcja jest za mała.



Adelaff



LWÓW
KOPERNIKA 1

„Istne cudeńka opowiadano o sukcesach Makuszyńskiego, który – mimo mundurka gimnazjalisty – chadzał do kawiarni Sznajdra, bywał u wybitnej poetki Maryli Wolskiej, cieszył się poparciem Kasprowicza” – z zazdrością pisał Stanisław Wasylewski. Lwowski gimnazjalista Kornel Makuszyński, 1903.

Makuszyński cieszył się szczególnymi względami Cioci. Duża porcja pierogów (dziesięć sztuk) kosztowała dziesięć centów, ale na jego talerzu za te same pieniądze łądowało ich zwykle dwanaście, a nawet trzynaście, w dodatku obficie polanych masłem. Innym przysługiwały jedna bułka i jedna filiżanka kawy, on mógł jeść i pić do woli, choć płacił tyle samo co wszyscy. Cudnowski podejrzewał, że wkupił się w łaski zarówno Cioci, jak i usługujących dziewcząt układanymi dla nich wierszami. W każdym razie, zapamiętał, Kornel w ostatnich latach gimnazjum wyraźnie się „poprawiał”: „Twarz jego nabierała owalnych konturów”. Był to skutek wizyt w cukierni, dokąd zwykle szli po obfitym i niedrogim obiedzie, by zaoszczędzone pieniądze wydać na słodycze.

To Cudnowski pokazał koledze niewielką cukierenkę, w której zjadł kiedyś dobre ciastka. Należała do Franciszka Staffa, ojca Leopolda, którego wiersze obaj czytali w „Słowie Polskim” i w „Kurierze Lwowskim”. Leopold był od nich starszy tylko o sześć lat, ale wtedy wydawało się to przepaścią. Stali się niemal codziennymi klientami ciastkarni, mając nadzieję, że któregoś dnia trafią na poetę, cieszącego się po wydaniu tomu *Sny o potędze* coraz większą sławą. Było to całkiem możliwe, bo słyszeli, że młody Staff często zastępuje rodziców za ladą. I rzeczywiście któregoś dnia tak właśnie się stało. Na odwagę zebrał się Cudnowski. Najpierw poprosił o dwa ciastka, potem powiedział, jak bardzo się z kolegą zachwycają poezją Staffa, a na koniec zapytał, czy pan Leopold nie zechciałby się zapoznać z wierszami kolegi. Bo tak się składa, że obecny tu Kornel też pisze.

– Nie udawaj skromnisia i pokaż panu Staffowi, coś nagryzmolił – przekonywał Makuszyńskiego, który w pierwszej chwili odwdzieczył mu się mocnym kuksańcem.

Owszem, rozbawiony Staff chciał się zapoznać, ale okazało się, że Makuszyński nie ma przy sobie żadnego ze swoich utworów. Wtedy Cudnowski, nie pytając o pozwolenie, wyrecytował wiersz, który znał na pamięć: *Zabrzmi, pieśni!*. Staff pochwalił i poprosił o przyniesienie innych. Znajomość została zawarta, a zachęcony Makuszyński pisał coraz więcej. Po latach obaj spotkali się w Polskiej Akademii Literatury.

Ale najważniejszym poetą był dla gimnazjalisty uwielbiany od dawna Jan Kasprowic, profesor Uniwersytetu Lwowskiego i redaktor „Tygodnika Literackiego”, dodatku do „Słowa Polskiego”. W tygodniku co niedzielę na poczesnym miejscu ukazywały się wybrane przez Kasprowicza wiersze.

Zadebiutować dzięki jego rekomendacji było jak wyzwolenie na poetyckiego czeladnika. Makuszyński postanowił spróbować. Wybrał spośród setki napisanych sonetów dwa jego zdaniem najlepsze, *U gór* i *Jesień*, opatrzył listem, ale na wszelki wypadek nie ujawnił, że jest ledwie gimnazjalistą, i wysłał, „[...] z tą samą nadzieją ujrzenia ich w druku co ujrzenia ludzi na Marsie” – napisał.

Mimo wszystko czekał. Pierwszej niedzieli „Tygodnik” przyniósł nowy wiersz Staffa. Za tydzień utwór Maryli Wolskiej, równie piękny jak poprzedni. Nadzieja malała coraz bardziej. Widział już swoje sonety na dnie redakcyjnego kosza. Aż do niedzieli, gdy przechodząc obok redakcji „Słowa”, zobaczył wywieszony jak zwykle przed wejściem do redakcji nowy numer dziennika. A na pierwszej stronie dodatku literackiego swój sonet, który „jaśniej, błyszczy się, promienieje, krzyczy, wrzeszczy na cały świat”. I obok drugi. Nie mógł uwierzyć, ale tak właśnie było: „Jan Kasproicz uznał je za godne druku. Jan Kasproicz kazał je wydrukować”.

Jednak sukces oznaczał także kłopoty. Przepisy szkolne zakazywały gimnazjalistom publikowania czegokolwiek bez zgody dyrekcji. A tu dowód był wydrukowany czarno na białym, w dodatku podpisany imieniem i nazwiskiem ucznia. Wezwany do gabinetu dyrektora szedł odprowadzany zachwyconymi spojrzeniami kolegów, ale na trzęsących się nogach. Niepotrzebnie, jak się okazało. Dyrektor wytknął uczniowi, że zrobił coś absolutnie zakazanego i karygodnego, ale się uśmiechał.

- Już nie będziesz? – zapytał.
- Będę, panie dyrektorze!
- No, to dobrze.

Dumny Makuszyński natychmiast napisał też do redakcji, czy może kiedyś wydrukowałiby mu coś jeszcze. Odpowiedź była natychmiastowa. Że oczywiście, niech przysyła, no i niech zgłosi się po odbiór honorarium. To było najbardziej zaskakujące. Bo nie dość, że wydrukowali, to jeszcze chcieli zapłacić! Bał się, ale koledzy przekonywali, że powinien, bo przecież przy okazji pozna Kasproicza. To przeważyło. Ćwierć wieku później napisał, że zaszył dziurę w bucie białą nitką i posmarował atramentem, szkolny mundurek wyczyścił mydłem, napluł na dłoń i przygładził fryzurę. Odprowadzało go do redakcji szesnastu najbardziej zaufanych kolegów.

Stróż skierował go do pokoju Kasproicza. Był u siebie. Wielki, brodaty, ale niegroźny.

- Czego tam? – zapytał.
- Pan kazał mi tu przyjść.
- Ja? Panu? Po co?
- Po pieniądze...

„Nie wyglądałem na brodatego Żyda, prześladowcę” – wspominał

Makuszyński, więc Kasprowicz uznał go za przysłanego przez kogoś gońca. W końcu zapytał o nazwisko. Długo nie mógł uwierzyć, że ten stojący przed nim gimnazjalista naprawdę jest autorem sonetów, które opublikował w „Tygodniku”. W końcu jednak uwierzył. A w redakcyjnej administracji wypłacono młodemu poecie dwie korony i osiemdziesiąt halerzy, co dla ubogiego ucznia stanowiło sporą kwotę. Ale i tak najważniejsza była znajomość z Kasprowiczem, poetyckim idolem, a później także przyjacielem.

– Kasprowicz mnie pochwalił! Heniek, słyszysz? Ten wielki Kasprowicz! Powiada, że mam talent!

Cudnowski zapamiętał, że przyjaciel niemal fiksał go ze szczęścia: „Uznanie, jakiego Kasprowicz Kornelowi nie szczędził, stanowiło glejt, który go wprowadził do cechu literackiego”. Kasprowicz stał się odtąd bożyszczem Makuszyńskiego. Uczył się jego wierszy na pamięć i nie miał żadnych wątpliwości, że jeśli Kasprowicz coś napisał albo przetłumaczył, było to najlepsze na świecie. No i to dzięki niemu literacki Lwów dowiedział się, że oto narodził się nowy poeta!

Makuszyński opublikował w czasach gimnazjalnych może z dziesięć wierszy, które ukazały się w piśmie akademickim „Teki”. W siódmej klasie napisał poemat filozoficzny *Dusze*. Arcydzieło, jak sądził, tak wiele w nim było fraz ściągniętych po raz kolejny ze Słowackiego. Kiedy po latach natknął się w szkolnych szpargach na tekst młodzieńczego utworu, do oczu napłynęły mu łzy wzruszenia. „Potem zacząłem wyć z uciechy i tarzałem się z radości. Strasznie to jest śmieszny poemat!” – podsumował.

Pisał oczywiście znacznie więcej, niż publikował. Cudnowski zapamiętał, że w szóstej i siódmej klasie nie było tygodnia, by nie powstał jakiś wiersz. Czy pisał też prozę, i co była warta, tego nie zapamiętał, choć po latach wydawało mu się, że Kornel czytał mu jakąś literacką impresję, jakich pełno było w ówczesnych gazetach.

Koledzy za to dobrze pamiętali złośliwe fraszki produkowane na zamówienie i bez zamówienia. Kiedy Tadek Blauth narysował karykaturę Makuszyńskiego siedzącego na skrzydlatej świni, ten zareagował dwuwierszem, którym podpisał rysunek: „Dowcip dobry, ale nieco świński, / na tłustym Blaucie jedzie Makuszyński”.

„Istne cudenka opowiadano o sukcesach Makuszyńskiego, który – mimo mundurka gimnazjalisty – chadzał do kawiarni Sznajdra, bywał u wybitnej poetki Maryli Wolskiej, cieszył się poparciem Kasprowicza” – z zazdrością pisał Wasylewski. Sam Makuszyński w liście do Krystyny Kolińskiej pisał jednak, że bywał w literacko-artystycznym salonie Wolskiej dopiero jako student drugiego roku polonistyki Uniwersytetu Lwowskiego. „Dom Wolskich na wzgórzu, piękna i rozłożysta willa, był Soplicowem, gdzie można się było

»nadyszeć Ojczyzny«” – wspominał. Bywali u Wolskich wszyscy, którzy się we Lwowie liczyli albo dopiero aspirowali do sławy, czyli tak zwany Młody Lwów, między innymi Leopold Staff, Ostap Ortwin, Makuszyński.

Wśród żyjących pisarzy był jeszcze tylko jeden, którego Kornel Makuszyński wielbił na równi z Kasprowiczem – Henryk Sienkiewicz. Kiedy w kwietniu 1900 roku odbywał się tryumfalny przejazd autora *Trylogii* przez Lwów, Makuszyński był wszędzie. Pierwszego dnia w szpalerze gimnazjalistów w szkolnych mundurkach, czekających przez kilka godzin wzdłuż trasy, którą pisarz miał jechać z dworca. Stali „dostojni i marsowi”, ale kiedy Sienkiewicz przejeżdżał obok w powozie ciągniętym przez dwa siwe araby, zaczęli wrzeszczeć ile sił w piersiach w nadziei, że to właśnie ich usłyszysz. Następnego dnia udało mu się dostać do wypełnionej po brzegi sali ratuszowej, gdzie przyszedł noblista wygłosił odczyt „Bitwa pod Grunwaldem”. A wieczorem do teatru na *Halke*, wystawioną na cześć gościa. Wejściówki załatwił niezawodny Cudnowski, którego siostra, wielbiona od dawna przez Makuszyńskiego (napisał nawet dla niej wiersz), w spektaklu wystąpiła w tytułowej roli. Przypomni sobie te chwile i uczucia kilkanaście lat później w kijowskim Teatrze Polskim, podczas akademii żałobnej po śmierci Henryka Sienkiewicza.

Makuszyński dojrzywał nie tylko poetycko, ale także fizycznie. Szybko też zaczął łyseć. Kiedy przed maturą Cudnowski zwrócił mu uwagę na coraz większe zakola, w ogóle się tym nie przejął. Mało tego, cieszył się, że doda mu to powagi. Osobistości, z którymi ostatnio obcuje, przestaną go traktować jak smarkacza – oświadczył koledze.

Krótko przed maturą poznał Wincentego Lutosławskiego, gwiazdę ruchu narodowego, którego ściągnęli do Lwowa miejscowi endecy. A poza tym filozofa, mistyka oraz ortodoksyjnego propagatora totalnej abstynencji (od alkoholu, tytoniu, hazardu i rozpusty). „Nie przestanę go nigdy wielbić jako jeden z najświetniejszych i najrozleglejszych umysłów” – pisał trzydzieści lat później. O praktykowaniu ascezy się nie wypowiadał, bo też nie mógłby się pochwalić szczególnymi sukcesami w tej dziedzinie.

Cudnowski nie wiedział, co spowodowało nagłą sympatię przyjaciela do endecji. Mieli umowę, że w sprawach intymnych oraz „wielkiej wagi” – to było określenie Makuszyńskiego – nie należy być nadto wścibskim. A według Makuszyńskiego to była właśnie sprawa wielkiej wagi, choć zdaniem Cudnowskiego wpływ Lutosławskiego na maturzystę nie był aż tak znaczący, by zmienić go w bojownika idei narodowo-demokratycznych, a tym bardziej pozbawić poczucia humoru. „Twierdzę z całą stanowczością, że ulegał on temu wpływowi pozornie, raczej ze względów natury utylitarnej” – napisał. Utwierdził się w tym przekonaniu, gdy przy jakiejś okazji Makuszyński zdradził mu, że natychmiast po maturze obejmie posadę w nowym dzienniku, który wkrótce

zacznie wychodzić we Lwowie. Kilka miesięcy później okazało się, że było to „Słowo Polskie”, w którym debiutował. Dziennik zamierzali przejąć endecy za pieniądze przemysłowców naftowych z Zagłębia Borysławsko-Drohobyckiego.

Po latach potwierdził ten brak nadmiernego ideologicznego zaangażowania Makuszyńskiego sam Lutosławski. W 1930 roku opowiadał Wasylewskiemu o zawodzie, jaki sprawił mu najlepszy z jego lwowskich wychowanków, choć przecież jeszcze jako student jeździł z nim na niemiecki wówczas Śląsk, by tam szerzyć wśród górników i młodzieży wiedzę o polskiej historii i literaturze.

Namówiony przez Lutosławskiego Makuszyński i kilku innych studentów prowadzili kursy dla robotników na Śląsku, a Kornel dodatkowo pomagał w redagowaniu „Iskry”, drukowanego w Gliwicach pisma dla górników. „Pisałem: wiersze, nowele, opowiadania” – wspominał. Zakazana przez władze zaborcze działalność musiała jednak odbywać się w całkowitej konspiracji. Sypiał gdzie popadło, na strychach albo w opuszczonych budynkach, gdzieś w Zabrze, Katowicach albo Gliwicach. I towarzyszył Lutosławskiemu, który w zakonspirowanych przed niemiecką policją salach, tylko z krzyżem i białym orłem na ścianie, mówił o Polsce. „Zebranie to czyniło wrażenie osobliwego kazania w katakumbach” – wspominał. Lutosławski, jeszcze niedawno ozdoba salonów największych polskich miast, na Śląsku był żołnierzem, który miał wypełnić misję. Przychodzili go słuchać ludzie, którzy nie wszystko rozumieli, ale chcieli mieć poczucie, że ktoś o nich w Polsce pamięta. Nawet jeśli tej Polski nie ma na mapie.

Makuszyński zapamiętał pierwszy własny wykład w jakiejś szopie w Zabrze. Miał opowiedzieć górnikom o Juliuszu Słowackim. Bał się, bo zadanie było i tak bardzo trudne, a jeszcze tuż przed prelekcją usłyszał szept jednego ze słuchaczy:

– Ten karlus nie ma knefla przy surducie, a jedną nogawicę ma krótszą... Po co takiego przysyłają...

Wydawało się, że nie może się udać: był za młody, miał przekonywać ludzi, którzy na co dzień ryzykują pod ziemią życie, do romantycznej poezji, a w dodatku miał urwany guzik i źle uszyte spodnie, na Śląsku rzeczy niedopuszczalne. Przerażony zaczął w końcu wykład. „Czytał pięknie! Nam, którzy rzadko wtedy słyszeliśmy czystą mowę polską, poezje wieszczów czytane przez Makuszyńskiego wydawały się cudowną muzyką mowy ojczystej” – zapamiętał uczestniczący w odczycie Jan Przybyła.

Po wykładzie Makuszyński złowił słowa wypowiedziane przez tego samego górnika, który wcześniej skrytykował jego wygląd:

– Ignac, powiedz, żeby ten karlus jak najszybciej przyjechał. Może nie mieć nawet dwóch knefli.

Nie zdążył podziękować, gdy rozległy się gwizdki policyjnych agentów, którzy wpadli na ślad nielegalnego zgromadzenia. Makuszyński został

wyprowadzony na zewnątrz przez małego – jak mu się wydawało – chłopca i przez płot uciekł żandarmom. Naprawdę chłopiec był jego rówieśnikiem. Nazywał się właśnie Jan Przybyła, kilkanaście lat później bił się w powstaniach śląskich o Polskę, po wojnie został burmistrzem w Chropaczowie (dziś dzielnica Świętochłowic), pisał wiersze, zginął w Auschwitz. Wspominał, że szczególnie uwziął się na Makuszyńskiego szpicel niemieckiej policji politycznej, niejaki Miemczyk. Nie mógł go zatrzymać podczas obstawionego przez wartowników spotkania z górnikiem, więc postanowił zrobić to na ulicy, kiedy przybysz ze Lwowa będzie sam. Któregoś wieczoru zaczął się na niego i zniemacka złapał za rękaw. Ale nie udało się. Makuszyński się wyrwał, „zostawiając Miemczykowi na pamiątkę w ręku mankiet”.

Kornel Makuszyński kilkakrotnie przywoływał tamte wyjazdy na Śląsk. I swój podziw dla ludzi, których spotkał. „Z każdym dniem wydawali mi się więksi ci prości ludzie” – pisał.

II

U Sznajdra i gdzie indziej...

Po maturze zdanej w 1903 roku Kornel Makuszyński zapisał się na polonistykę na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Lwowskiego (imię króla Jana Kazimierza uczelnia otrzyma dopiero w wolnej Polsce), ale od momentu debiutu wiedział już, że co najmniej równie przyjemne jak czytanie jest pisanie. A jeszcze więcej satysfakcji dostarcza pisanie, za które dostaje się pieniądze.

Ukończył ledwie dwadzieścia lat, gdy został recenzentem teatralnym „Słowa Polskiego”, szcycąc się, że ma wśród współpracowników między innymi Władysława Reymonta, Henryka Sienkiewicza, Kazimierza Przerwę-Tetmajera, Leopolda Staffa i Gabrielę Zapolską. Nowi właściciele dziennika oddali gazetę we władanie narodowym demokratom (na czele pisma stanął Zygmunt Wasilewski), z którymi Makuszyński sympatyzował.

– Stary, moja posada w redakcji to murr... – chwalił się Cudnowskiemu po rozmowie z Wasilewskim, jeszcze przed maturą.

Potwierdziło to podejrzenia Henryka co do prawdziwych powodów nagłego flirtu świeżo upieczonego poety i przyszłego krytyka z endecją. Makuszyński upierał się, że chodzi wyłącznie o idee, i z dumą opowiadał, że poznał już nawet głównego ideologa narodowej demokracji Romana Dmowskiego, który przyjechał do Lwowa.

Dzięki posadzie mógł się błyskawicznie usamodzielnąć. „Ku zazdrości wszystkich kolegów szkolnych zamieszkał wtedy w dwóch pokojach przedzielonych od siebie paciorkową kotarą, z wejściem wprost z sieni” – wspominał Jakub Rostowski. Odwiedzał przyjaciela w garsonierze przy Koralnickiej, gdzie „w obu pokojach unosił się delikatny zapach perfum”. Makuszyński korzystał z władzy, jaką dawały umieszczane w poczytnym dzienniku recenzje, śledzone uważnie przez widzów i aktorów, a zwłaszcza przez aktorki. Rostowski spotkał go któregoś dnia spacerującego po Lwowie w towarzystwie młodej i pięknej kobiety, „aktorki oczywiście”. „Trząśł teatrem – zapamiętał Stanisław Lam – przymilały się doń aktorki, a rozlewnością, sztamą przy kieliszku i fałszywą przyjaźnią jednać go sobie chcieli aktorzy”.

Recenzje w „Słowie” pisał na zmianę z Wasilewskim; już wtedy były one takie, że „nikt nie mógł czuć do recenzenta najmniejszego żalu”, uważał naczelny. „Każda sztuka miała w jego oczach same zalety, każda aktorka odznaczała się olbrzymim talentem i jeszcze większą urodą” – zapamiętał Zygmunt Nowakowski, sam też aktor i pisarz. Nie była to cała prawda, potrafił być także złośliwy. „Trzeba, żeby aktorzy byli lepiej przygotowani i żeby grali jak z nut, a nie jak z elementarza” – napisał o przedstawieniu *Małżeństwa z musu* Moliera. „Myślałem,

że to kopenhaska porcelana, a to tylko garnek z gliny – myślałem, że to szampan, a to tylko ceres” – krytykował inny spektakl. „Trzeba się skrzywić mocno na widok najtańszego z tanich teatralnych efektów, jakim jest stutysięczny i pierwszy widok zbolalej kobiety, tarzającej się u nóg mężczyzny i całującej jego rękę, kiedy on, powiedziawszy jakiś banalny aforyzm, odchodzi niewzruszony rozebrać się w garderobie” – znęcał się po kolejnej premierze.

Zaprzyjaźnił się z Leopoldem Staffem, różnica wieku w miarę upływu lat przestawała mieć znaczenie. Tym bardziej że teraz to on, pełnoprawny członek redakcji, mógł wspierać Staffa, zaledwie współpracownika pisma, w trudnej misji wydobywania należnych honorariów. Potwierdza to prośba poety, wyrażona w długim i rymowanym liście do Makuszyńskiego:

Otóż najmilszy, drogi Kornelu,

Rym mój niniejszy ma to na celu,

Choćby Medycki stawał na głowie,

Ażebyś wyrwał mi w „Polskim Słowie”

(A Ty się z wszystkim łatwo uporasz)

Za tercynowe wiersze honorarz.



„Trząśł teatrem, przymilały się doń aktorki, a rozlewnością, sztamą przy kieliszku i fałszywą przyjaźnią jednać go sobie chcieli aktorzy” – zapamiętał Stanisław Lam.

Zygmunt Medycki był dyrektorem administracyjnym „Słowa” i odpowiadał za budżet. „W jakim się stawić miejscu, nie leniąc, / Aby Cię ujrzeć i zabrać pieniądź”, pytał na koniec Staff, po czym proponował oczywiście kieliszek wina u Sznajdra. Kiedy indziej prosił Makuszyńskiego o szybki druk jakiegoś utworu (i w związku z tym bezzwłoczną wypłatę honorarium), to znowu o wycofanie z redakcji wiersza, który zdążył już przekazać komu innemu.

Repertuar w teatrach zmieniał się wówczas szybko, premiery odbywały się co kilka tygodni, więc i dziennikarze mieli ręce pełne roboty. A Lwów szybko uczył się nazwiska Makuszyński, bystrego recenzenta i dowcipnego felietonisty z ambicjami literackimi, co łatwo było dostrzec w poetyckim stylu jego sprawozdań ze spektakli. Niektórzy krzywili się, że obracanie wszystkiego w żart podnosi co prawda poczytność jego recenzji, ale zabija ich użyteczność. Czytelnik rzadko dowiaduje się o przedstawieniu czegoś konkretnego. Makuszyński przyznawał, że faktycznie czytający nigdy nie wiedzieli, „czy sztuka jest dobra, czy pod zdechłym psem”, za to zawsze zostawało im w pamięci kilka dowcipów. Właśnie to podkreślała Irena Solska, największa gwiazda lwowskiego teatru: „Makuszyński – to dowcip, życzliwość, entuzjazm młodego poety”.

Mimo to, a może właśnie dlatego, jesienią 1906 roku musiał ustąpić miejsca w „Słowie” Janowi Augustowi Kisielewskiemu, autorowi głośnych dramatów *W sieci* i *Karykatury*, współzałożycielowi i konferansjerowi pierwszego polskiego kabaretu literackiego Zielony Balonik. Starszy o osiem lat Kisielewski przyjeżdżał do Lwowa jako gwiazda. Jako ten, który chłocznie bezlitośnie zgniły, zmurszały świat filistrów nierozumiejących artystów ani prawdziwej sztuki. „Był w młodych naszych oczach bohaterem, zawadiackim rycerzem, Prometeuszem smarkatej młodości, chorążym idącego z tupetem legionu” – pisał Makuszyński. W dodatku wydano go właśnie z zaboru rosyjskiego „za politykę”. Nie miał na sumieniu niczego poważnego, ale wyrzucono go i to wystarczyło, by jeszcze wzmocnić poprzedzającą go legendę.

Redakcja powiadomiła więc młodego współpracownika „w słowach pełnych dyplomatycznej słodyczy”, że pięknie i rozsądnie byłoby, gdyby ustąpił miejsca luminarzowi z Warszawy. Są prośby, które mają siłę rozkazu. To był właśnie ten przypadek. „Smutno mi było w sercu, udawałem jednak, że się uśmiecham” – pisał Makuszyński.

Mało kto jeszcze wtedy wiedział, że przyjazd Jana Augusta to tak naprawdę emigracja za chlebem człowieka, którego talent się wypalił. Ale we Lwowie, czyli „na prowincji”, mógł nadal grać gwiazdę. „Zdawało się, że nam wszystkim czyni

łaskę swoim przybyciem, on, paryżanin, on, tryumfator” – przyznał gorzko Makuszyński. A gdy zaczął pisać, we Lwowie zawrzało. Zachwycał swobodą formy, kaprysił, łobuzował rozkosznie, entuzjazmował się Wasylewski. „Przybrał pozę Herkulesa, co ma oczyścić stajnię Augiasza – wtórował mu Makuszyński. – W kałamarzu miał gorącą lawę, arszenik i inne gryzące ciecze”.

Mimo że przez Kisielewskiego stracił posadę, utrzymywali przyjazne kontakty. „Studiowali razem głębie lwowskich kawiarni, wysiadali u Sznajdra na Akademickiej, przyjaźnili się” – tak zapamiętał ich Stanisław Wasylewski, wtedy stypendysta w Zakładzie Narodowym im. Ossolińskich. Dedykując Makuszyńskiemu egzemplarz *Karykatur*, Kisielewski napisał: „Mój drogi Neli, miałeś dla tych kartek zawsze serdeczne słowa. Wiem, że kochałeś je, może nie mniej niż ja – nie dziwię się. Obaj Kochamy naszą młodość, która te kartki napełniała. [...] Myślę, że tej filozofii zawdzięczamy naszą wzajemną przyjaźń”.

Kariera nowego recenzenta „Słowa” nie trwała jednak długo. Choroba psychiczna Jana Augusta dawała o sobie znać z coraz większą intensywnością. Krytycy zarzucali mu, że nie panuje nad słowami, rzuca inwektywy na lewo i prawo, miota się bez ładu, logiki i konsekwencji. Czara goryczy się przelała, gdy zaczął pouczać Zygmunta Wasilewskiego, komu, o czym i w jaki sposób wolno w „Słowie” pisać. A zwłaszcza komu i czego pisać nie wolno! I co najgorsze, zażądał podwyższenia pensji o 50 procent. Po takim ultimatum Wasilewski nie miał wyboru. Po trzech ledwie miesiącach współpracy Jan August Kisielewski stracił posadę. Redakcja wezwała do powrotu Makuszyńskiego.

Spotykali się jeszcze na premierach. Makuszyński obserwował przyspieszone gaśnięcie gwiazdy, którą tak podziwiał. „Stokroć bardziej był tragiczny niż jego postacie »w sieci« uwikłane” – pisał o Kisielewskim, którego sukces wyniósł na sam szczyt, a potem obłąd zламаł i zmiażdżył.

Zygmunt Wasilewski nie eksperymentował więcej z recenzentami teatralnymi. Zresztą z każdym tekstem stawało się bardziej oczywiste, że nikogo lepszego niż Makuszyński nie znajdzie. „Po kilku miesiącach usamodzielniał się Makuszyński jako jedynowładca” – wspominał Stanisław Wasylewski.

Był zaledwie studentem, ale szybko stał się jednym z najważniejszych autorów „Słowa Polskiego”. Stanisław Lam napisał: „Dwudziestokilkuletni zaledwie ten młodzieniec, już świecący łysiną D’Annunziowską, o nieokiełznanym temperamentie, niezwyklej łatwości pióra, przerzucał się od poezji do prozy, od sentymentalnych wierszy do humorystycznych nowel, od ciętych sprawozdań teatralnych do dowcipnych korespondencji”.

We wspomnieniach Makuszyńskiego wyglądało to nieco mniej prestiżowo i kulturalnie. Owszem, pisał dużo, nawet bardzo dużo, można powiedzieć pisał wszystko, co akurat było gazecie potrzebne. Wiersze okolicznościowe, felietony i recenzje, ale także relacje z pożarów i pogrzebów, krótkie notatki do kroniki

kryminalnej i miejskiej. Jakby tego było mało, naczelny powierzył jego pieczy dział ekonomiczny, czyli informacje z giełdy. Makuszyński nie znał się na finansach w ogóle, ale Wasilewskiemu to nie przeszkadzało. Przecież chodziło jedynie o sprawdzenie wahań cen trzydziestu giełdowych spółek i przepisanie kursów walut z jakiegoś dziennika ukazującego się w Wiedniu. To powinien umieć zrobić każdy. Redaktor nie przewidział jednak, że nowy opiekun działu finansowego – już po tygodniu śmiertelnie znudzony nałożonymi obowiązkami – urządzi na giełdzie trzęsienie ziemi. Jednego dnia obniżył wartość akcji kolejowych o pięćset koron, cenę soli potasowych podniósł ze stu do trzech tysięcy pięciuset koron, a kolejnym papierem wartościowym kazał stać w miejscu bez najmniejszego ruchu: „»moje« akcje szalały, tańczyły i skakały jak pchły” – wspominał. Do dnia, kiedy z awanturą wpadł do redakcji jakiś „czarny giełdciarz”, który nie mógł zrozumieć, co się dzieje. Wściekły Wasilewski rzucił w Makuszyńskiego kałamarzem i zakazał pisania o giełdzie. A dział wrócił do statecznej nudy.

Makuszyński zapamiętał czas krótkiego terminowania, a potem pracy redaktorskiej w gazecie bardzo dokładnie. Oprócz najważniejszych informacji (kroniki pogrzebowej, prognozy pogody i, w nieco mniejszym stopniu, polityki), które jako tako musiały odpowiadać prawdzie, cała reszta opierała się na najbardziej pożądanej w prasie popularnej dziennikarskiej zalecie, czyli fantazji. Mówiąc wprost, na umiejętności zmyślenia.

Gdy zaczynał karierę, życie toczyło się powoli i nudno. Przed wielką wojną, później nazwaną I wojną światową, nic się na świecie nie działo, w powietrzu nie warczały aeroplany, nie było wojen ani trujących gazów, ubolewał. Trudno było o jakąś sensacyjną wiadomość albo efektownego trupa, który nadawałby się na czołówkę; wszystko trzeba było wymyślić. „W trzywierszowej notatce dzisiaj jest więcej krwi, łez i nieszczęścia niż w całej naszej gazecie było tego przez miesiąc” – napisał w felietonie z okazji dziennikarskiego jubileuszu. A jeśli nawet trup już był, to należało go szanować, żeby wystarczył na dłużej. Zbrodnię ubarwiało się tak, żeby dało się z niej utoczyć trochę świeżej krwi co najmniej przez kilka tygodni, i to codziennie. Kiedy więc w końcu pojawiał się zbrodniarz, który choć trochę przypominał Kubę Rozpruwacza, dziennikarze płakali z zachwytem, dodał.

Fantazja była na wagę złota w czasach, gdy za całe wyposażenie techniczne w redakcji musiały wystarczyć nakręcane korbką wielkie pudło rzeźącego, huczącego i dudniącego telefonu oraz wiecznie psujący się telegraf, bo o radiu, owszem, ktoś już coś nawet słyszał, ale nie było ono jeszcze żadnym źródłem informacji. Mimo to (a właściwie dzięki temu) gazety pełne były „korespondencji własnych” z Chin, Tybetu i gór Salomona, choć żaden z korespondentów nigdy tam nie był ani nawet się nie wybierał. A czytelnicy wzruszali się, uśmiechali lub płakali, zależnie od tego, czy piszący był w nastroju radosnym, rzewnym, czy może

postanowił akurat jedną notatką uśmiercić dziesięć milionów Chińczyków, mając stuprocentową pewność, że nikt nigdy tego nie sprawdzi ani nie podważy.

Tak było, gdy w którymś z numerów „Słowa” jeden z dziennikarzy ze swadą opisał pożar w amerykańskiej kopalni... brązu. Musiał coś wymyślić, bo brakowało „sensacji” do porannego wydania. Gazeta się ukazała i nikt nie zaprotestował, że przecież brązu się nie wydobywa; może nawet komuś przeszła przez głowę zawstydzająca myśl, że o tym dotąd nie wiedział. Sam Makuszyński przekonał się, że w druku przejdzie nawet największa bzdura, gdy przed którąś Wielkanocą przyniósł do redakcji artykuł o Beduinach, którzy w Afryce rozpoczęli już, jak co roku w tym czasie, malowanie pisanek, do czego używają wielkich strusich jaj. Co dowodzi, pisał dalej, że chrześcijańska wiara i tradycja wśród arabskich ludów koczowniczych są nadal żywe. Nie zdziwiło go, że na taki stek bzdur nie zareagowali czytelnicy, zwykle traktujący z nabożną wiarą słowo drukowane. Ale sensacyjną informację najpierw ukradły i opublikowały inne gazety, a rok później to samo zrobiło macierzyste „Słowo”, powtarzając „news” za dziennikiem, który wcześniej przepisał bzdurny tekst Makuszyńskiego.

Którógóś dnia do redakcji przyszedł Wasylewski. Przyniósł niewielki felieton, licząc na protekcję szkolnego kolegi. Makuszyński tekst w „Słowie” zamieścił, ale dalsza współpraca się z tego nie wywiązała. Wręcz odwrotnie: zaczęli rywalizować, kiedy Wasylewski został felietonistą i recenzentem teatralnym „Gazety Porannej i Wieczornej”, nowego dziennika lwowskiego. Rzucił Makuszyńskiemu rękawicę, publikując recenzję z nowego spektaklu już w porannym wydaniu swojej gazety. To znaczyło, że musiał napisać ją w nocy, w ciągu dwóch godzin po zakończeniu spektaklu, a przed wysłaniem dziennika do druku. Makuszyński zwykł spędzać wieczór po premierze u Sznajdra, mając czas na biesiadę i przedyskutowanie spektaklu. Recenzję ogłaszał dopiero w popołudniowym wydaniu „Słowa” albo w ogóle następnego dnia. Ale na wyzwanie konkurencji musiał zareagować. Po kolejnej premierze pierwszy raz w karierze zrezygnował z wizyty u Sznajdra i, jak Wasylewski, napisał recenzję do porannego wydania. Jednak następnym razem... zaprosił na kolację wydawcę gazety, w której pracował Wasylewski. Przekonał go, że jednak lepiej publikować recenzje w popołudniowym wydaniu, bo to i czasu na przemyślenie premiery jest więcej, i można ponownie przeczytać tekst. A wydawca... „wytłumaczył” mniej doświadczonemu współpracownikowi, że tak właśnie ma być. „Kornelek, niespokojny, że w ogóle ktoś śmie wdzierać się w orbitę jego bezapelacyjnego królowania, rad był z całej duszy podstawić mi nogę” – skomentował Wasylewski w niechętnych Makuszyńskiemu wspomnieniach. A potem dodał: „Musiałem ustąpić...”. I przez następnych czterdzieści lat pamiętał mu, że kiedy urządził ucztę na cześć Ludwika Solskiego, zaprosił na bankiet wszystkich lwowskich recenzentów, tylko jego jednego nie.

Prawda była taka, że pisanie recenzji w nocy, bezpośrednio po spektaklu, żeby mogła ukazać się w porannym wydaniu gazet, było już w tym czasie normą, do której musieli się dostosować nawet najwięksi, także Tadeusz Boy-Żeleński. Zachowało się kilka wierszowanych liścików Makuszyńskiego do Władysława Ratzki, zecera w lwowskiej drukarni, który w środku nocy lub bladym świtem składał z ołowianych czcionek ostatnie teksty do porannej gazety, w tym recenzje z wieczornych premier. Mieszkali w sąsiednich kamienicach, więc między oknami przeciągnęli sznurek na kołowrotkach. Makuszyński „wysyłał” w nocy ukończony rękopis, a zecer zabierał go, idąc do drukarni. Często opatrzone był błagalnym liścikiem „Do WP. Władysława Ratzki”, żeby zmieścił gdzieś recenzję, nawet kosztem skrócenia albo i... wyrzucenia z kolumny tekstu innego autora.

Panie Ratzko!

Złóż Pan chwacko.

Niech Pan dusi,

Jak Pan może,

Dziś pójść musi –

Nie pomoże

Panie Boże.

Coś Pan skróci,

Coś wyrzuci,

Jakieś sprawki

Ronikiera

Czy „Migawki”

Et cetera...

Choćbyś nawet

Miał wyrzucić

Pan... Haulera.

Gdyżby wzięła

Mnie cholera,

Jeśliby to pozostało,

Com ja pisał,

Przez noc całą.

I zecer Władysław Ratzko, zaprzyjaźniony z niesfornym (teksty bywały zwykle za długie) i niepunktualnym (przecież pan Ratzko jakoś da radę!) pisarzem, robił wszystko, by umieścić je na godnym miejscu w gazecie.

Wszyscy, którzy coś znaczyli w lwowskim świecie literackim, dziennikarskim, aktorskim i artystycznym, spotykali się wówczas w kawiarni Sznajdra, u zbiegu ulic Akademickiej i Chorążczyzny. Bywał u Sznajdra oczywiście Jan Kasprowicz, przychodzili malarze: Fryderyk Pautsch i Kazimierz Sichulski, poetka Bronisława Ostrowska, rzeźbiarz Stanisław Ostrowski (przyszły autor stojącego dziś przy Belwederze pomnika marszałka Piłsudskiego), pisarze: Karol Irzykowski, Leopold Staff, Jerzy Żuławski i Jan August Kisielewski, słynny geograf Eugeniusz Romer, aktor Ludwik Solski, minister austriackiego rządu dla Galicji i bohater setek anegdot hrabia Wojciech Dzieduszycki, a nawet sam Bolesław Wieniawa-Długoszowski, wówczas absolwent medycyny z ambicjami artystycznymi i łamacz niewieścich serc, parę lat później adiutant Piłsudskiego, jedna z najbarwniejszych postaci II Rzeczypospolitej. „To był Parnas, Olimp, Helikon, szczyt lwowskiego świata, Mekka i mokka prawowiernych” – pisał Makuszyński.

Popołudniami schodzili się u Sznajdra wszyscy, którzy we Lwowie byli. Jeśli zaś ktoś akurat wyjechał, nawet na wiele miesięcy, to wystarczyło, by po powrocie pojawił się w kawiarni przy Akademickiej, a błyskawicznie dowiadywał się o wszystkim, co wydarzyło się w mieście ważnego i o czym powinien wiedzieć. Dodatkowo właściciel płacił za dorożkę i dawał na kredyt kawę i koniak, bo artysta, wyjeżdżając, zwykle się zapożyczał i zastawiał mieszkanie, więc wróciwszy, nie miał nawet na obiad.



Aktor Antoni Fertner nazwał go we wspomnieniach „mężem pełnym dobrotliwości i zaufania do ludzi”.

„Ja się w niej wychowałem i jako literackie niemowlę sączyłem z jej piersi wiele koniaku i odrobinę mądrości” – wspominał kawiarnię ćwierć wieku później Makuszyński. Aktor Karol Adwentowicz, o którym napisał kiedyś „Jack London polskiego teatru”, zapamiętał „pozujących na cyganerię peleryniarzy” pijących wódkę Baczewskiego, deklamujących fragmenty swoich wierszy i spierających się o przyszłość Polski. Wśród nich Makuszyńskiego, pozornie radosnego i emanującego optymizmem. Ale to była zdaniem Adwentowicza tylko maska, „by ukryć smutek, czasem gorycz, a ludziom nieść słońce i pogodę”.

Stefania Kossowska, która знаła Makuszyńskiego od dziecka, po latach mówiła, że raczej pozował na artystycznego cygana, niż był nim naprawdę. Ze swoim wyglądem i manierami stanowił zaprzeczenie wizerunku rozwichrzonego artysty, którym, być może, bardzo chciał być. Średniego wzrostu i średniej tuszy, zawsze ubrany stosownie do okoliczności, punktualny i uprzedzająco grzeczny, także wobec nieartystów, sybaryta z błyszczącą łysiną i starannie przystrzyżonym małym wąsem, nade wszystko cenił spokój i wygodę.

Powstało u Sznajdra coś w rodzaju poetyckiego Bratniaka, wspólnoty, która nie pozwalała umrzeć z głodu popadającym w finansowe tarapaty. Zawsze znalazł się ktoś, kto wspomógł artystę będącego akurat w biedzie, bo nie wypłacili mu honorarium albo wydał już pieniądze, które miał dopiero zarobić swoim talentem, tyle że talentu zabrakło. Jeśli więc ktoś był przy pieniądzach, dzielił się z innymi: pożyczka, karmił, stawiał. Mało tego, zgodnie z obowiązującym w kawiarni niepisany prawem starsi twórcy mieli się opiekować młodymi i otaczać ich troską. „Ubrdali sobie masoni z tej kawiarni, że stary, skrzydlaty koń powinien wziąć w opiekę młodego pegaza” – wspominał Makuszyński. Dawali też młodym prawo do błędzenia: Gdy wielu z nich zapalczywie ruszało na starszych kolegów w gazetowych recenzjach, oni im wybacжали, pamiętając z własnego doświadczenia, że młodzieńcza bezkompromisowość to stan przejściowy i w końcu każdy „młody bałwan zmądrzeje”, tak jak oni po latach i wielu niemądrych słowach zmądrzeli. Jak i ja zmądrzałem, napisał Makuszyński.

Pewnie to u Sznajdra zrodził się też pomysł stworzenia we Lwowie scenki kabaretowej na wzór krakowskiego Zielonego Balonika, którego legenda zdążyła dotrzeć już w najbardziej odległe zakątki kraju. A przecież Lwów był nie tylko od Krakowa większy, ale był też stolicą Galicji, więc gościnne występy krakowskiej trupy mu nie wystarczały. Makuszyński został jednym z autorów teatryku, ale sławy Zielonego Balonika przebić się nie udało.

No i wreszcie była u Sznajdra najlepsza na świecie kawa, a jeśli nawet nie najbardziej smaczna, to taka przetrwała we wspomnieniach. Bo kawa pita

w młodości zawsze jest najlepsza.

Ale karykaturę Makuszyńskiego jako kaczkę Kazimierz Sichulski narysował nie u Sznajdra, lecz w restauracji hotelu George, najlepszego wtedy i później we Lwowie. Jak żartobliwie pisał sam portretowany, był wówczas młodzieńcem nadobnym, eleganckim, wytwornym, smukłym i dorodnym, ale łajdacki karykaturzysta zwrócił uwagę wyłącznie na cokolwiek nieforemny nos przypominający kaczy dziób. Wszystko po to, żeby dowieść świata, „że twarz ta nie jest zgoła twarzą, lecz zwyczajną katastrofą”, w dodatku brodatą, broda była bowiem konieczną dekoracją artystycznej twarzy. W gruncie rzeczy obaj panowie lubili się bardzo i to Makuszyńskiemu ofiarował Sichulski wszystkie karykatury, które powstały tamtego wieczora w George’u. Narysował jeszcze słynnego śpiewaka z Zagrzebia Marko Vuškovicia, który koncertował właśnie we Lwowie, Franciszka Bietkowskiego, mecenasa lwowskiej cyganerii, Różę Łuszczkiewiczównę, młodą aktorkę tyleż utalentowaną, co szpetną (kilka lat później popełniła samobójstwo), i Antoniego Zolla, na co dzień cesarsko-królewskiego urzędnika, ale o ambicjach artysty, malarza i fotografa.



... A BRAWO!

KAWAL. ORD. POLONIA
RESTITUTA I ASTORIA
RESTAVRATA

Hilg 1909

„Wielu bowiem było pijących, a mało płacących” – wspominał Makuszyński biesiady z kompanami. Sportretował przyjaciela Kazimierz Sichulski.

U Sznajdra zbierano się każdorazowo po premierze w którymś z lwowskich teatrów, żeby usłyszeć opinię, a częściej wygłosić własną, na temat dopiero co obejrzanej sztuki. Zanim następnego dnia w gazetach ukazały się recenzje, u Sznajdra dokonywano egzekucji na autorze komedii lub dramatu albo też ogłaszano narodziny arcydzieła, które niewątpliwie wstrząśnie światem. Całonocne dyskusje obficie podlewano alkoholem, ku rozpaczy właściciela. „Wielu bowiem było pijących, a mało płacących” – wspominał Makuszyński. A każdy powód był dobry, żeby się napić. Po *Moralności pani Dulskiej* piło się, żeby zmyć filisterski fetor dobywający się z genialnej, jak zgodnie oceniono, sztuki Gabrieli Zapolskiej. Po *Lekkomyślnej siostrze* Włodzimierza Perzyńskiego bankiet ku czci autora trwał – jak góralskie wesele – trzy dni i trzy noce... Kto ośmielił się podważyć ocenę, jaka zapadła u Sznajdra, stawał się śmiertelnym wrogiem wszystkich. Wyroki były równie niepodważalne jak te, które kilkanaście lat później ferowano w mekce skamandrytów, czyli warszawskiej Ziemiańskiej.

Makuszyński przeczytał *Moralność* jako jeden z pierwszych, na długo przed premierą. „Powiedział Wasilewskiemu, iż za cenę dymisji nie pozwoli odebrać sobie pisania o *Dulskiej*” – informowała Gabriela Zapolska któregoś ze znajomych. W recenzji podkreślał, że sztuka to gotowy podręcznik pospolitego kołtuństwa, a postaci mogłyby wprost ze sceny trafić do pierwszej z brzegu kamienicy – skąd przecież wyszły.

Zapolska pisała dużo i nierówno, toteż raz wychwalano ją pod niebiosa, kiedy indziej zaś krzywiono się na teksty niedopracowane, wypchnięte na scenę byle szybciej... Reagowała na krytykę bardzo gwałtownie, pochlebne recenzje odbierała jako zasłużone i należne, krytykę przyjmowała histerycznie. Bywało, że w ogóle nie odkłaniała się recenzentowi albo odpowiadała zdawkowo i wyniośle, a potem posyłała liścik na wytwornym papierze: „Gwiżdżę na pański ukłon”. Przed jedną z premier posłała czterem krytykom kagańce, jakie zakłada się agresywnym psom. „Zrywała czasem wszelkie z krytykiem stosunki na dwa tygodnie” – zapamiętał Makuszyński. Ale nie umiała długo się gniewać, więc po kilku dniach przy okazji jakiegoś mniej lub bardziej przypadkowego spotkania rzucała:

– Pisz sobie te swoje idiotyzmy, ale przyjdź na koniak.

„Przed premierą jej sztuki listy były pisane miodem i perfumą na różowej wstążce, po premierze często arsenikiem i cykutą” – wspominał Makuszyński listy Zapolskiej. Przed premierą tytułowała go: „Szanowny i miły Żądzo!” (co było aluzją do cyklu sonetów Makuszyńskiego *Żądza*) i w czułych słowach prosiła o życzliwość i reklamę. O wstawiennictwo u dyrektorów teatrów, którzy z niezrozumiałych powodów nie chcą grać jej najnowszego dzieła,

i poinformowanie ich, że w Warszawie sztuka odniosła nadzwyczajny tryumf. I o obronę przed zakusami teatralnych piratów, ingerencjami cenzorów oraz atakami księży, protestujących przeciwko zgorszeniu szerzonemu przez skandalistkę. „Niech Pan im dobrze napisze, tym starym rozpustnikom wyuzdanym w życiu, którzy widzą wszędzie »zgorszenie«” – prosiła. „Jeżeli nie pokażemy im zębów – klechy zjedzą nas”. Przypominała przy okazji, kiedy i przed kim Makuszyńskiego „szczerze”, jak zapewniała, chwaliła, więc oczywiste było, że oczekuje rewanżu.

Po recenzji, która zdaniem Zapolskiej nie dość wysoko podnosiła walory sztuki (a taka była jej zdaniem większość ocen), krytyk przestawał dla niej istnieć. Stawał się w jej listach reprezentantem „rozmaitych Makuszyńskich”, symbolem „jakichś Makuszyńskich”, którzy załatwiają za teatralnymi kulisami, a nawet w podłych knajpach, prywatne interesy, kierując się osobistymi animozjami. Skaczą po jej sztukach i „jak te pajace w cerowanych trykotach po dywaniku kozły machają”, żaliła się redaktorowi „Kuriera Warszawskiego” i wydawcy Ferdynandowi Hoesickowi. A przecież inni chwalą to, na czym „ten drań Makuszyński” poznać się nie umie. Dlatego zdecydowała, że jej kolejna sztuka (*Pariasy*) we Lwowie grana nie będzie, „bo nie mogę dać się poniewierać panom Makuszyńskim”, informowała Tadeusza Pawlikowskiego, dyrektora Teatru Miejskiego w Krakowie. Innym razem w liście do męża, malarza Stanisława Janowskiego, komentując pozytywny (wreszcie!) felieton Makuszyńskiego, pisała zgryźliwie, że musiał aż do Paryża pojechać, żeby docenić jej „kulturę paryską i talent, jakiego równego nie ma obecnie nigdzie”.

Makuszyński dostawał od kapryśnej pisarki (Gabci, jak ją poufale nazywano w środowisku) na przemian fotografie z czułymi dedykacjami albo listy wypowiadające znajomość. „Potem znowu grzmoty umilkły, a ja skwapliwie odrabiałem zaległości w koniaku” – wspominał meandry znajomości z Zapolską.

Kiedyś nawet zaproponowała Kornelowi współautorstwo przy kolejnej sztuce. „Jeden akt. Ja dam temat, scenariusz, Pan poezję, Gall [Jan Karol – M.U.] muzykę. Czy dobrze?” – pisała 22 grudnia 1906 roku, dołączając opłatek i świąteczne życzenia. Sztuka, która miała już nawet tytuł – *Baśń*, jednak nie powstała.

Makuszyński co najmniej raz posunął się w kontaktach z pisarką do szantażu. Kiedy skrytykował sztukę *Ich czworo* za płytką farsowość, życzliwy Zapolskiej „Goniec Polski” nazwał go teatralnym szakalem i zarzucił mu nieuczciwość. Recenzent uznał, że za atakiem stoi sama autorka, i poinformował Zapolską, że odpowiadając na tę napaść w „Słowie Polskim”, znacznie bardziej opiniotwórczym, będzie musiał także ją potraktować „w sposób niemiły”. Pisarka, najwyraźniej przestraszona, poprosiła redakcję o zaniechanie kolejnych tekstów o teatralnych szakalach, a jeśli to niemożliwe, to bardzo prosiła, by przynajmniej

„oszczędzać pana Makuszyńskiego”.

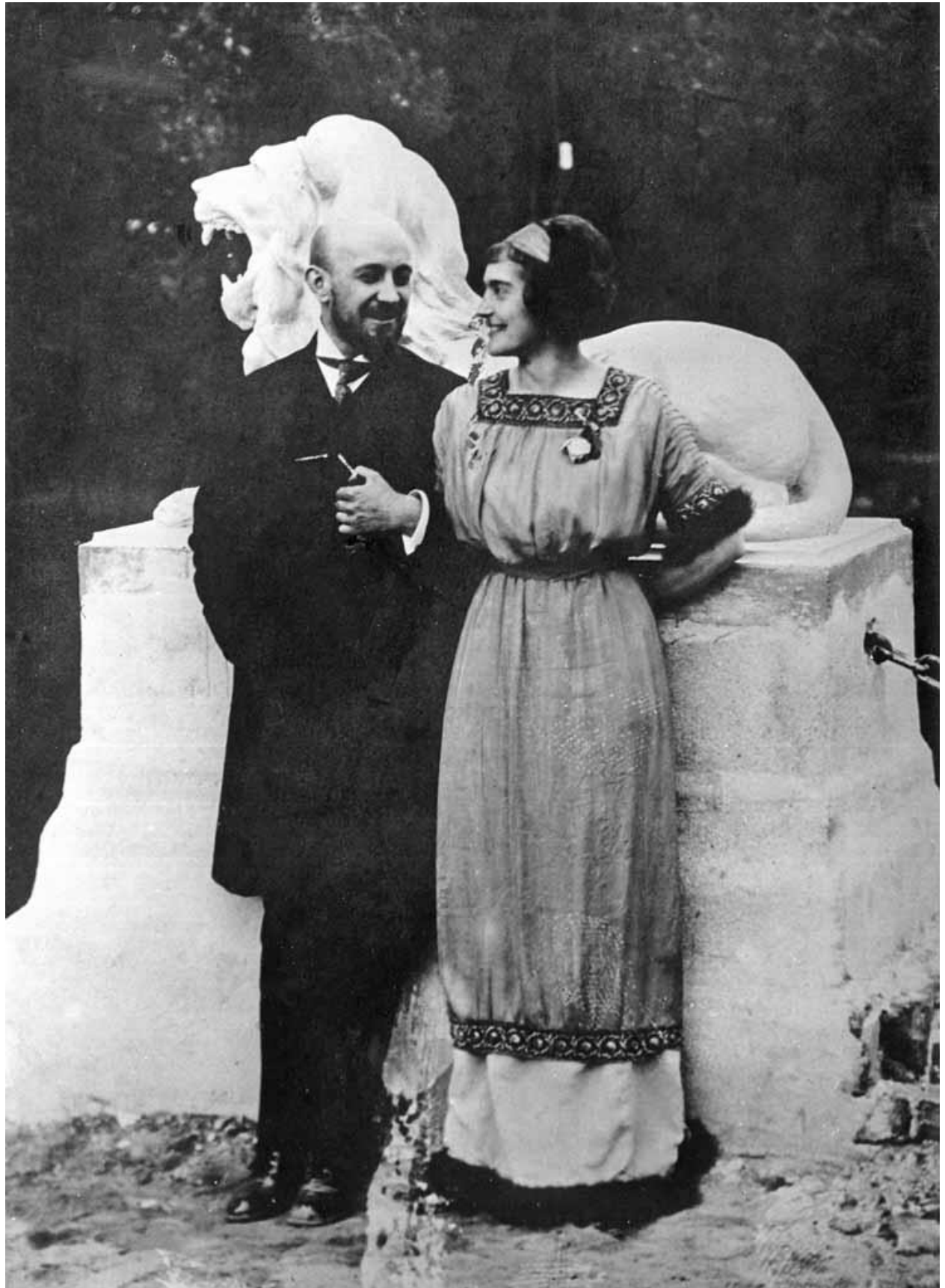
Był lojalny wobec kapryśnej pisarki także po jej śmierci. Nie żyła od dziesięciu lat, gdy ukazała się publikacja Anieli Kallas *Zapolska. Powieść biograficzna*. Omawiając książkę, nie pozostawił czytelnikom wątpliwości, co myśli o autorce: „Niežnośna grafomanka wyniosła o Zapolskiej na świat przez kuchenne schody skandaliczne plotki”, nieprawdziwie wmawiając ludziom, że była „przeraźliwie rozpustną czarownicą”.

W 1907 roku Kornel Makuszyński poznał przyszłą żonę Emilię Bażeńską, piękną, wielbioną przez lwowską bohemę studentkę Uniwersytetu Lwowskiego. „Uroczą czarnuszką z sienkiewiczowskich kresów żmudzkich” – pisał o niej Wasylewski. Adorowało Emilię wielu (między innymi Boy-Żeleński i Staff, który w listach zwracał się do niej: „archaniele o czarnych oczach czarodziejki”), równie wielu darzyło ją co najmniej sympatią (wśród nich Kasprowicz i Reymont), kilku próbowało zdobyć, ona jednak oddała rękę Makuszyńskiemu. Może nie najprzystojniejszemu, ale bardzo dowcipnemu, eleganckiemu i już wtedy cieszącemu się sporą sławą. Wzięli ślub we wrześniu 1908 roku i wyjechali do Paryża. Pisarz mógł być w stolicy Francji przewodnikiem młodej żony. Rok wcześniej spędził kilka miesięcy na Sorbonie, studiując literaturę francuską.

Paryż był wówczas dla wszystkich młodych ludzi o ambicjach artystycznych kierunkiem obowiązkowym. „W czasach cielejącej mojej młodości nie można było wyzwolić się z terminu na czeladnika w cechu malarskim czy pisarskim, jeśli się nie odbyło wędrowki do stolicy światła i świata. Młodzieniec z artystycznej branży, który nie był w Paryżu, był marnym Turkiem, który nie zwiedził Mekki i nie pił wody ze studni Cem-Cem [właśc. Zamzam – M.U.]. Brak mu było tego świetlanego pocałunku, który na czole adepta składał Paryż. Zdawało się, że taki będzie zawsze miał bielmo na oczach” – pisał Makuszyński. Więc jeździli do Paryża ci utalentowani, którym rzeczywiście miało to pomóc w rozwoju, i ci, którym tylko się wydawało, że talent mają. Jechali do Francji bez pieniędzy, wierząc, że dwa tygodnie jakoś przebiją, a zostawali na kilka lat, żywiąc się najtańszym końskim mięsem, popijanym najpodlejszym koniakiem wyłudzanym za pochlebstwa wygłaszane pod adresem hojnych restauratorów. „Myślę, że cyganeria paryska przyczyniła się do tego, że dzisiaj Paryż nie ma koni” – ocenił Makuszyński po latach. Żyli z pożyczek, które traktowali jak darowiznę, i z pieniędzy uzyskiwanych za zastawiane w lombardzie przedmioty. Ale najczęściej przymierali głodem. Za to kiedy wracali do kraju... Jeden został ambasadorem, drugi rektorem akademii muzycznej, kolejny rektorem akademii malarskiej, inni sławnymi dziennikarzami, skrzypkami, rzeźbiarzami, pisarzami. Bez paryskiego szlifowania pewnie nigdy by im się to nie udało, uważał Makuszyński.

W knajpkach z tanim winem Emilia i Kornel spotykali ziomków ze Lwowa: Wieniawę-Długoszowskiego, Perzyńskiego, rzeźbiarza Ostrowskiego, ale

poznawali też innych Polaków, którzy przyjechali do Paryża „za sztuką”. „Mnóstwo młodych Polaków od pędzla i dłuta, i pióra grało w bilard w knajpie na Montparnasse i zbijało złote, polskie bąki” – zapamiętał Makuszyński.



Emilia Bażeńska, pierwsza żona Makuszyńskiego, była według Leopolda Staffa „archaniołem o czarnych oczach czarodziejki”. Emilia i Kornel w Burbiszkach na Żmudzi, 1912–1917.

Kolonia przybyszów z Polski mieszała się z emigrantami rosyjskimi, którzy też przyjeżdżali do artystycznej stolicy świata. Byli wśród nich poeta Konstanty Balmont, powieściopisarz Aleksy Tołstoj, eseista Konstanty Wołoszyn. W jednym ze spotkań autorskich zorganizowanych przez Wołoszyna w jego mieszkaniu na Montparnasse uczestniczył Makuszyński. „Nie znający języka rosyjskiego, przykleił do swej pogodnej twarzy uśmiech dobrze wychowanego męczennika” – wspominał Waław Rogowicz, powieściopisarz i tłumacz. Skrzywił się dopiero, gdy Wołoszyn zdradził, że gorzkawy smak podanego gościom wina bierze się z dodanej do trunku mirry zdobytej u zaprzyjaźnionego Francuza zamieszkałego w Syrii.

W Paryżu Makuszyńscy spotykali się także z poznanym we Lwowie Reymontem, przeszli z nim nawet na „ty” (był starszy od Kornela o siedemnaście lat). Gdy wyjechali, Reymont słał do nich listy i pocztówki, domagając się deklaracji, kiedy znów zjawią się w Paryżu („miłym i przytulającym wszelkie sieroctwo”). „Jeśliście nie wyjechali jeszcze, to proszę, zabierajcie manatki i przyjeżdżajcie tutaj, gdzie ciepło, oceanicznie, winno, sosnowo zarazem i tanio” – zachęcał. Żądał najnowszych wieści ze Lwowa, przede wszystkim informacji o „słodkiej pani, czarnej Emmie”. „Drogi Ludzie. [...] Co się tam dzieje z Wami? Kiedyż się zjawicie między nami? Parę słów napiszcie. [...] A której mówię: Ty, całuję obie rączki, a któremu mówię: Ty, całuję chude pyski, Wasz Wł. St. Reymont”.

„Wciąż głucho milczenie, zali się gniewacie?” – dopytywał, gdy Makuszyński nie kwapił się z odpisywaniem. Sam regularnie donosił im o wydarzeniach i przekazywał ploteczki z polskiej kolonii w Paryżu: „Literatury więcej, niżli potrzeba – bo wszystkie radykalne Bogi”. I prosił o szybką odpowiedź, to natychmiast więcej napisze.

W roku 1911 Kornel i Emilia pojechali do Wenecji i Neapolu, a potem na Capri. W Neapolu obejrzeni kinematograf, rzeźbę Wenus Kallipygos i „dymiącego jak zepsuty piec” Wezuwiusza, na Capri wyprawili się do maleńkiego portu, który w Ameryce byłby zaledwie akwarium dla złotych rybek, ale w Europie był w owym czasie mekką malarzy i poetów, wspominał Makuszyński. Za całą władzę wystarczyli w nim prefekt, trzech rajców i dwóch żandarmów, organista i proboszcz, który zajmował się też wynajmowaniem mieszkań i handlem winem. Infrastrukturę turystyczną tworzyły: hotel pod nazwą (uwaga!) Wezuwiusz, osiem dorożek, cztery osiołki i dwa wagoniki kolejki linowej, w których regulamin składał się zaledwie z dwóch słów: *Non sputare*, czyli „Nie pluć”.

W wysłanym do „Słowa Polskiego” liście z lipca 1911 roku Makuszyński opisywał z zachwytem cudowną Capri i z nieco już mniejszym entuzjazmem jej mieszkańców, którzy nie dość, że wciskają przybyszom grzebienie z fałszywego szylkretu i podrabiane korale, to jeszcze resztę wydają w fałszywych monetach. Choć – dodał na pocieszenie – górale w Zakopanem robiliby dokładnie tak samo, gdyby tylko mieli szylkret i morze. Nie można było jednak nie zakochać się w miniaturowych, „pokręconych paralitycznie”, ale ozłoconych słońcem uliczkach białego miasta, których nigdy nie chce się opuszczać. I w zielonej jak najczystszy szmaragd wodzie, z meduzami podobnymi do wielkich przejrzystych grzybów. I w artystach, którzy tłumnie na Capri przybywali. Spotkał między innymi Leopolda Staffa, który przebywał tam już kilka miesięcy (kwaterowali nawet jakiś czas w tym samym domku) i znał „na pamięć historię każdego mieszkańca”.

Według Wasylewskiego Makuszyński („młody żonkoś”) nie zaznał słodczy ogniska domowego ani w Paryżu, ani podczas podróży po Europie, ani po powrocie do Lwowa. Emilia, zasmakowawszy w męskim uwielbieniu, nie zamierzała z niego rezygnować. Uczestniczyła na równych z mężem prawach w restauracyjno-kawiarnianych szaleństwach. „Pani Emma, poza tym bez zarzutu, musiała bez ustanku knajpować i gazować” – pisał Wasylewski. Nie było ponoć wieczoru, który małżonkowie spędziliby w domu. Makuszyński cieszył się coraz większą popularnością zarówno wśród literatów, jak i nafciarzy z Zagłębia Borysławsko-Drohobyckiego, którzy finansowali wydawanie „Słowa”. Został ich przewodnikiem podczas eskapad po nocnych lokalach Lwowa, kończących się zwykle w George’u, najbardziej luksusowym hotelu w mieście. „Szampan lał się u George’a co wieczór” – pisał Wasylewski.

Po sukcesach prasowych przyszedł wreszcie czas na Makuszyńskiego poetę i powieściopisarza. W 1908 roku ukazał się bardzo dobrze przyjęty przez krytykę pierwszy tomik jego poezji *Polów gwiazd*. Wiersze takie sobie, ale wydanie śliczne i honorarium olbrzymie, ironizował autor; pieniędzy starczyło na ucztę „ze śledziem i serdelkami. Wódka była, piwo było,omalże wina nie było”. A potem posypały się kolejne książki i wznowienia. Rok po wierszach wydał zbiór opowiadań *Rzeczy wesole* (cztery edycje w ciągu dwóch lat), potem kolejny tom *Romantyczne historie* (trzy wydania) i relacje z podróży *W kalejdoskopie* (także trzykrotnie wznowiane). W roku 1911 wyszła *Zabawa w szczęście*, w następnym bajki dla dzieci: *Szewc Kopytko i Kaczor Kwak*, dalej *Awantury arabskie* (1913) i *Straszliwe przygody* (1914). Wydane przez Gebethnera i Wolffa *Awantury*, zbiór dość swobodnie potraktowanych i przerobionych orientalnych baśni z tysiąca i jednej nocy, zapoczątkowały trzydziestosiedmioletnią współpracę wydawnictwa z Makuszyńskim. Trwała ona do 1950 roku, aż do wymuszonego przez władze PRL zamknięcia oficyny.

Rzeczy wesole, *Romantyczne historie* i *W kalejdoskopie* ukazały się po

rosyjsku, a tłumaczono Makuszyńskiego także na węgierski, czeski, francuski, niemiecki i esperanto. Lwowski „Ilustrowany Almanach Literacko-Artystyczny” informował, że w roku 1912 Towarzystwo Wydawnicze wyda dwutomową powieść Kornela Makuszyńskiego *Król obłąkany*, ale na liście jego książek nie ma takiego tytułu.

Pisał humoreski i opowiadania łotrzykowskie, orientalne bajki i przypowieści, w latach 1910–1914 relacje z podróży do Włoch, Francji, Niemiec, Holandii, Belgii i Anglii. Drugi zbiór felietonów podróżniczych zatytułował *Straszliwe przygody*, bo dziennikarskie doświadczenie podpowiadało mu, że chwytliwy tytuł to połowa sukcesu. W 1911 roku wydał *Dusze z papieru*, dwa tomy swoich recenzji teatralnych z ostatnich pięciu lat. Wilhelm Feldman, autor obszernej *Współczesnej literatury polskiej*, napisał, że Makuszyński to „rozigrany Pierrot o zbolałym sercu”, posługujący się formą a to groteski o szubienicznym humorze, a to znów bajki fantastycznej à la Edgar Allan Poe, kokietujący pesymizmem i łamańcami psychologicznymi w rodzaju: „Gdyby jeden człowiek wiedział wszystko o drugim, cały świat popełniłby samobójstwo”.

Rzeczy wesole podzieliły Lwów. Większość krytyków patrzyła na autora zabawnych opowiadań „jak na parszywą owcę”, wspominał. Wiersze mu jeszcze wybaczone, poezja pasowała do młodopolskich czasów, choć strofy Makuszyńskiego niektórym krytykom wydawały się nie dość depresyjne i ponure. Ale humoreski?! W dodatku moralnie tak dwuznaczne!! To było coś zdecydowanie poniżej obowiązującego artystowskiego zadęcia poetów Młodej Polski. Stanisław Przybyszewski i kręcący się wokół niego twórcy (czyli wedle Makuszyńskiego „szatan i jego przyboczne szatany”) uważali, że światu nieuchronnie zmierzającemu do katastrofy literatura nie ma już nic do zaoferowania. A tu nagle pojawiła się książka nieodparcie optymistyczna, wręcz frywolna. „Wydała się bluźnierczą parodią i z wielu stron wołano: »To nie jest literatura!«” – wspominał Makuszyński.

Zofia Nałkowska, już wtedy uważana za literacką gwiazdę, zanotowała kwaśno, że forma książek Makuszyńskiego jest może zręczna, ale zbyt rozwlekła i żarty też nie całkiem świeże. „Autor niezasłużenie chwalony jest przez ludzi skądinąd wiarygodnych” – dodała.

Z odsieczą przyszli mu krytycy i historycy literatury: Ostap Ortwin, Adam Dobrowolski i Henryk Galle. Pierwszy napisał, że książka Makuszyńskiego to przyjemne odprężenie po nużącym i ciężkim patosie i wreszcie rzecz napisana ludzkim językiem, bez jęków i płaczu. „Drwi bez miłosierdzia z wszelkiej głupoty, tchórzostwa, parafianšczyzny, fałszywej pruderii [...] różgami cynicznego, bezczelnego śmiechu ćwiczy niedołęgów, kołtunów, mazgajów, pajaców i papierowych manekinów życiowych, każe się bez pardonu wieszać i strzelać poetom, grafomanom, bankrutom politycznym i filozofom bez systemów” –

zachwycał się Dobrowolski w dodatku kulturalnym do „Dziennika Poznańskiego”. „W dodatku nie można mu było zarzucić, że kogokolwiek naśladuje. Humor Makuszyńskiego jest może trochę kawiarniany, cygański, kawalerski, ale jakże szczery, bezpośredni, żywy” – chwalił w miesięczniku „Książka” Galle. O bajkach dla dzieci Jan Lechoń po latach napisał: „Są cudowne i wiecznotrwałe. Robione pod Andersena, ale z polskim i własnym Kornela dowcipem”.

Tę radość i optymistyczny stosunek do świata zarzucano Makuszyńskiemu tak długo, dopóki nie pojawili się naśladowcy. A kiedy wreszcie Polska odzyskała niepodległość, tym bardziej trudno było odmawiać ludziom prawa do śmiechu i żądać pogrążania się w młodopolskim spleenie.

Cieszył się, przynajmniej we Lwowie, opinią człowieka, który może wiele. Podczas balu charytatywnego pod wezwaniem Matki Boskiej doszło do rozmowy, którą Melchior Wańkowicz przypominał w *Karafce La Fontaine'a*. Współorganizator akcji greckokatolicki arcybiskup Józef Teodorowicz, witając opiniotwórczego felietonistę, zagadnął:

– Spodziewamy się, że pan coś ładnego napisze na cześć Najświętszej Panny.

– Eeee, proszę ekscelencji, nie zwykłem się dorabiać na kobietach – miał odpalić Makuszyński.

„Przypuszczam, że wówczas musiał się odłupać spory kawał poczynającej się popularności” – skomentował Wańkowicz.

Uchodził wśród przyjaciół za mistrza dedykacji. Nigdy nie wpisywał banalnego „z przyjaźnią”, „serdecznie”, „z prośbą o przyjęcie”, a już na pewno nikogo nie zbywał wpisem „Drogiemu... – tu odpowiednie imię – Kornel”. Jego dedykacje były zawsze serdeczne i dowcipne. Janowi Lorentowiczowi, koledze po recenzenckim piórze, w *Awanturach arabskich* napisał: „Wielkiemu Wezyrowi teatru, Prorokowi Krytyki polskiej, którego rozum jest wspaniały jak Koran, a serce słodkie jak sorbet różany – aby, strudzoną głowę ułożywszy na pachnącym myrrhą i miodem łonie odaliski i gryząc daktyle, czytał sobie tę książkę i czasem wesoło zarżał, jako wysokiej krwi arabczyk – ofiaruje Mu ją obłąkany derwisz hadzi Kornel Makuszyński”. Zbiór opowiadań *Żywot pani i inne świecidelka* opatrzył dedykacją tak dwuznaczną, że Lorentowicz natychmiast wyrwał ją z książki. „Była tam nieprzyzwoita i... obrażająca legenda o szpadzie. Otrzymał za nią przy spotkaniu kułaka w bok, na co wyszczerzył zęby, uradowany, że »chwyciło«” – wspominał później Jan.

Kiedy mógł, służył znajomym radą i pomocą. Włodzimierz Perzyński prosił „po przyjacielsku” o podpowiedź, czy w ogóle jest sens ścigać dyrektora prowincjonalnego teatryku, objeżdżającego galicyjskie miasteczka z jego sztuką, o czym autor nie został powiadomiony nawet słowem, nie mówiąc o wypłaceniu honorarium. A może wszelkie starania zdadzą się psu na budę? „Pan musi coś

o tym wiedzieć lub łatwo się dowie” – pisał. Potem jeszcze wielokrotnie prosił Makuszyńskiego o interwencję lub pomoc: a to o obiecaną recenzję, a to o opublikowanie w „Słowie Polskim” nowelki „za dobre honorarium”, a to znów o interwencję w sprawie należnych mu pieniędzy, które trzeba było wydobyć od administracji dziennika. Makuszyński pomagał, interweniował, recenzował, tylko honorarium za sztukę graną przez objazdową trupę nie udało się uzyskać.

Kazimierz Wierzyński trafił do stryjskiego gimnazjum, gdy Makuszyński był już we Lwowie, ale w szkole ciągle pamiętano niesforenego ucznia. Zebrał się więc na odwagę i wysłał „ziomkowi” kilka wierszy, prosząc o ocenę. W odpowiedzi dostał list z zachętą, by próbował dalej. „Zawsze mu potem mówiłem, że on winien wszystkiemu, co z tego wynikało” – wspominał poeta.

Makuszyński był przewodnikiem po lwowskich lokalach i innych atrakcjach Tadeusza Boya-Żeleńskiego, już wtedy bardzo sławnego, który przyjechał z Krakowa do kochanki, znanej aktorki Jadwigi Mrozowskiej, i... ugrzązł na dłużej. Wspomnieniem po upojnych nocach pozostał wiersz, który napisał 6 maja 1912 roku: *List prywatny do Kornela Makuszyńskiego, nakłaniający go do spożycia wieczery u Żorża*.

Zatem namawiasz mnie, miły Kornelu,

Ażeby kropnąć felieton dla „Słowa”?

Czemu nie? owszem, drogi przyjacielu,

Zbyt jest zaszczytną dla mnie ta namowa,

Bym się nie skusił zasiąść z Jaśnie Państwem,

Pomiędzy jednym a drugim pijaństwem.

Potem autor wiersza zygzakiem rusza (pewnie także w rzeczywistości) za swoim „łysym mistrzem”, co włosy stracił, wściubiając nos za teatralne kulisy, w trasę przez szynki i lupanary, by powitać świt na ulicy przed Żorżem, czyli hotelem George. On, „literat biedny”, przywyka do zbytku w mieście, gdzie borysławska nafta zmienia się w wino szampańskie. Wsłuchuje się w myśli, które kłębią się w „pijackim łbie”:

I chcę tam z tobą jeszcze iść, Kornelu,

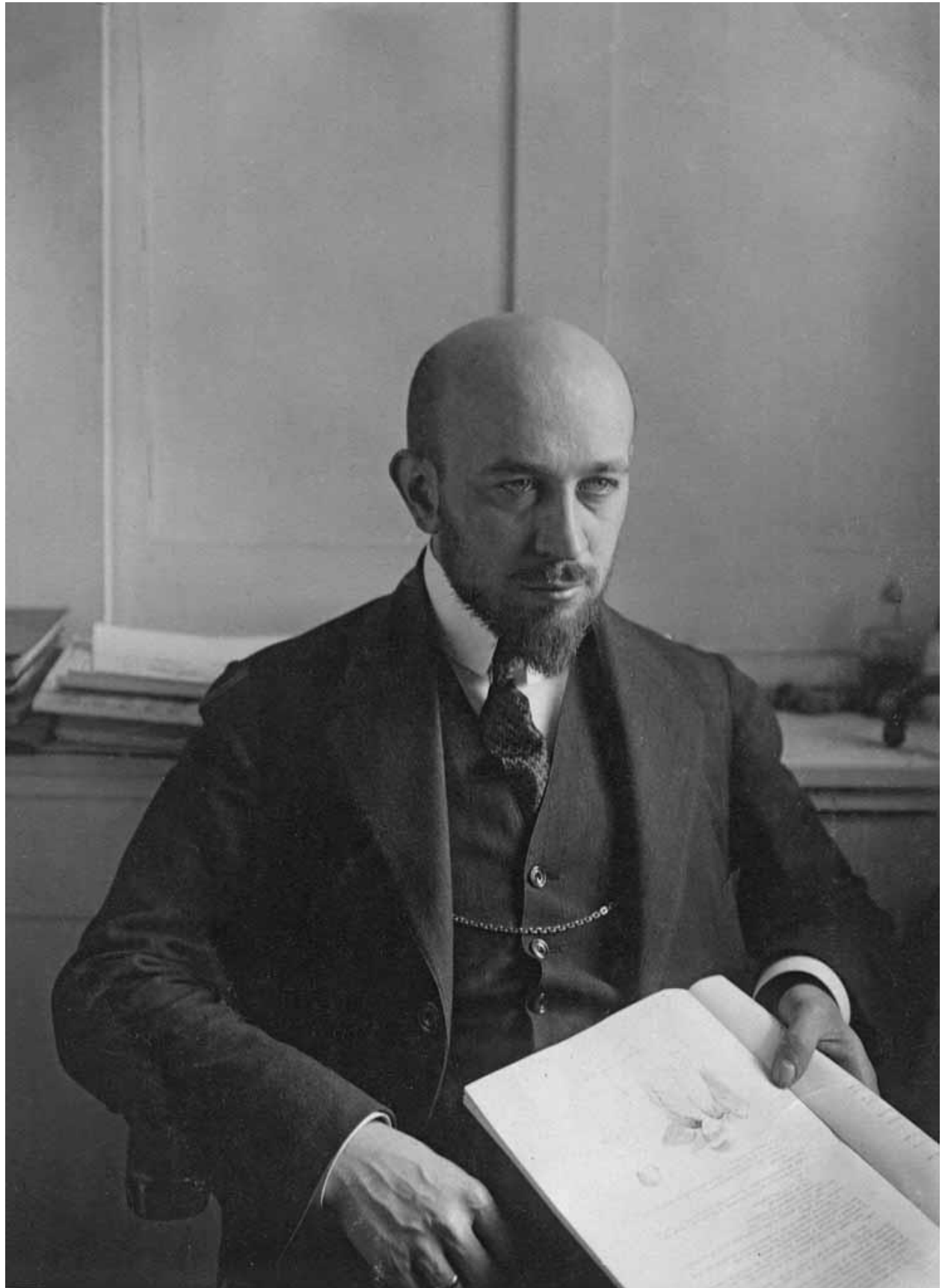
Jeszcze raz z Wami snuć zabawę w szczęście,

Tam nam przystało wytrwać, przyjacielu,

Z rzeczywistością zmagać się na pięście,

Tam pójdźmy razem na *gwiazd* naszych połów,

Aż nas prześwietlą w dwu ziemskich aniołów!



„Zatem namawiasz mnie, miły Kornelu, / Ażeby kropnąć felieton dla »Słowa«?” – pisał w wierszowanym liście adresowanym do Makuszyńskiego Tadeusz Boy-Żeleński.

W roku 1913 Zygmunt Wesołowski, aktor teatralny, który miał już w dorobku także dwa filmy: *Pomszczona krzywda* (inny tytuł *Złamane życie*) oraz *Miłosne przygody panów Z. i J., znanych osobistości w D.*, wyreżyserował komedię *Najmilszy ze złodziei*, opartą na opowiadaniu Makuszyńskiego. Film krótkometrażowy, oczywiście czarno-biały i niemy. Scenariusz napisał sam reżyser, ale fakt, że za podstawę posłużyła nowela *Dwie przygody najmilszego ze złodziei*, był miarą rosnącej sławy lwowskiego krytyka. Kino, zwłaszcza polskie, dopiero raczkowało, więc nazwisko znanego felietonisty i pisarza mogło obrazowi tylko pomóc.

Taśma z filmem się nie zachowała, więc jego fabuły można się domyślać jedynie na podstawie treści opowiadania. Józef Karczoch to złodziej o romantycznym sercu. W willi, którą zamierza obrabować, trafia na parę w trakcie miłosnych uniesień. Gdy się okazuje, że to pani domu zdradza nieobecnego małżonka z przystojnym młodzieńcem, chce się wycofać. Pod domem wpada jednak na męża, który postanawia wykorzystać rabusia, by ukarać wiarołomną. Karczoch ma wrócić do domu i przestraszyć kochanków. Młodzieniec rzuci się wtedy do ucieczki, a mąż go zastrzeli. Ostatecznie jednak „najmilszy ze złodziei” odstępuje od planu. Uprzedza kochanków o zasadzce i mąż rogacz bezskutecznie czeka pod oknem.

Premiera odbyła się 1 czerwca 1913 roku. Józefa Karczocha zagrał Adolf Stanisław Poleński, niewierną żonę Maria Olska, aktorzy teatrów we Lwowie i Krakowie, zdradzonym mężem był sam reżyser. Film nie miał jednak dobrego przyjęcia. Książki Makuszyńskiego sprzedawały się świetnie, więc wina była raczej po stronie reżysera. Zygmunt Wesołowski stawał za kamerą jeszcze kilka razy, ale bez większych sukcesów. Po jednym z jego filmów Antoni Słonimski pisał nawet o nieudolności reżysera i jego niesumiennym podejściu do pracy.

W tym samym roku Makuszyński został kierownikiem literackim Teatru Miejskiego we Lwowie. Kiedy krytyk i recenzent otrzymuje propozycję objęcia posady w opisywanym przez lata teatrze, powody mogą być dwa: udręczona napastliwymi i złośliwymi recenzjami dyrekcja woli mieć zoila po swojej stronie albo dysponuje on imponującą wiedzą teatralną i literacką, więc teatr może wyłącznie na tym zyskać. W przypadku Makuszyńskiego chodziło raczej o drugi powód. Ludwik Heller, dyrektor Teatru Miejskiego, kompozytor i założyciel Filharmonii Lwowskiej, był przez recenzentów ostro atakowany za repertuar i poziom swojego teatru. Miał prawo liczyć na wsparcie i obronę Makuszyńskiego.

W sezonie 1913/1914 w repertuarze Teatru znalazły się między innymi

Grube ryby Wojciecha Bałuckiego, *Zemsta* Aleksandra Fredry, *Upiory* Henrika Ibsena, *Złote runo* Stanisława Przybyszewskiego, *Zaczarowane koło* Lucjana Rydla, *Sędziowie* i *Warszawianka* Stanisława Wyspiańskiego oraz *Hamlet* Szekspira. W tej inscenizacji po raz pierwszy w polskim teatrze tytułową rolę zagrała kobieta, Stanisława Wysocka. Krytyka sceptycznie potraktowała eksperyment, sam Makuszyński zaś wysłał aktorce piękny wieniec ze złotym napisem na czerwonej wstędze: „Hamletowi, który oszczędził cnotę Ofelii”.

Rok później wybuchła I wojna światowa.

III

Wojna widziana z Kijowa

Wybuch wojny po zamordowaniu w Sarajewie arcyksięcia Franciszka Ferdynanda Habsburga zastał Makuszyńskich na Żmudzi, w majątku Burbiszki należącym do Michała Bażeńskiego, brata Emilii.

Bywali tam co roku, choć za każdym razem musieli przekraczać granicę między zaborami austriackim i rosyjskim. W czasie pokoju nie powodowało to większych problemów, ale po wypowiedzeniu przez Austro-Węgry wojny najpierw Serbii, a w konsekwencji i Rosji jako obywatele wrogiego mocarstwa stali się podejrzani. Aresztowano ich i wywieziono w głąb Rosji, do guberni kostromskiej. Zamieszkali we wsi Krasnoje. „Obchodzono się tu z nami nadzwyczaj uprzejmie” – zapewniał Makuszyński w liście przesłanym do „Słowa Polskiego”.

Po kilku tygodniach zabiegów, interwencji (i pewnie łapówek) szwagra, a także dyrektora jednego z wileńskich banków Władysława Meysztowicza oraz aktorów Stanisławy Wysockiej i Juliusza Osterwy pozwolono Makuszyńskim wrócić do Burbiszek i tam, w guberni kowieńskiej, mieszkać do końca wojny. To już było niemało, pisarz prosił jednak przyjaciół, by wystarali się u Rosjan (okupujących Lwów od września 1914 roku) o zgodę na powrót do miasta. Udało się, ale dopiero po kilku miesiącach.

Po powrocie objął stanowisko kierownika literackiego teatru, który po półrocznej przerwie pozwolili uruchomić Rosjanie (dyrektorem został Jakub Glikson). Scena zainaugurowała działalność *Halką* Stanisława Moniuszki, później wystawiono *Pigmaliона* George’a Bernarda Shawa, planowano sztuki Lucjana Rydla, Stanisława Przybyszewskiego i Leopolda Staffa.

– Repertuar dramatu ma swój cel wielki w czasach smutku i żałoby – mówił Makuszyński dziennikarzowi „Gazety Warszawskiej”. – Będziemy się starali uczynić z teatru świętą wyspę, na którą przyjdą odpocząć ludzie zmęczeni, gdzie przyjdą rozjaśniać oczy ludzie, którzy patrzyli na to, przed czym dusza się wzdraga.

Ale teatr w okupowanym Lwowie nie przypominał tego sprzed wojny. Przede wszystkim brakowało aktorów, nie było pieniędzy ani na gaże, ani na dekoracje, ani nawet na utrzymanie budynku. „I tak się grało, trochę na głodno, łatając rozpaczliwie luki w obsadzie, bo i inspicjent grał, i sufler musiał być aktorem” – pisał po latach Makuszyński. Kiedy pojawiał się ktoś z nazwiskiem, choćby u schyłku kariery – jak diwa operowa Janina Korolewicz-Waydowa (śpiewała nawet z Enrikiem Caruso), która przejeżdżała akurat przez Lwów – natychmiast trafiał na scenę.



„I tak się grało, trochę na głodno, łątając rozpaczliwie luki w obsadzie” – wspominał Makuszyński. Próba w teatrze. Kornel Makuszyński wśród aktorów, Lwów, 1915.

Za to bez ograniczeń działały carska cenzura i policja. Cenzorzy pilnowali, żeby na scenę nie przedostały się żadne nieprawomyślne treści, a policmajster – żeby spektakle kończyły się przed dziesiątą wieczorem, od której obowiązywała godzina policyjna. Bywało, wspominał Makuszyński, że aktorzy opuszczali środkowe sceny, żeby zdążyć zagrać finał. Było to konieczne, bo Polaków złapanych po godzinie policyjnej natychmiast wysyłano do kopania okopów. I nie zawsze pomagały łapówki, zwłaszcza gdy zbliżał się front. Toteż dość szybko okazało się, że na widowni bywa więcej Rosjan niż Polaków. Przychodzili pijani, zajmowali łoże, palili tam cygara, wdzierali się za kulisy do aktorek... Makuszyński i aktorzy coraz częściej słyszeli oskarżenia, że utworzyli teatr dla Moskali.

W czerwcu 1915 roku Rosjanie wycofali się ze Lwowa, nawet nie próbując bronić miasta. Wrócili Austriacy. Mimo to wielu Polaków zdecydowało się na wyjazd w głąb Rosji. Uciekali przed mobilizacją. Nie zamierali ginąć na wojnie, której nie uważali za swoją.

Makuszyńscy wyjechali do Kijowa. To nie było rozwiązanie najgorsze. W Kijowie mieszkało wówczas około stu tysięcy Polaków, działały polskie sklepy

i kawiarnie, księgarnie i szkoły, na uniwersytecie studiowało bardzo wielu Polaków, wychodziły polskie gazety, działał teatr. Makuszyński, którego nazwisko dobrze znano, został prezesem Związku Literatów i Dziennikarzy Polskich w Kijowie oraz kierownikiem literackim tamtejszego Teatru Polskiego.

W Kijowie znaleźli się także malarz Konrad Krzyżanowski, powieściopisarz Józef Weysenhoff, scenograf Wincenty Drabik, aktor i reżyser Stefan Jaracz oraz Karol Szymanowski, który wrócił właśnie z muzycznych studiów w Niemczech i Francji.

Leopold Staff również opuścił Lwów, by uniknąć powołania do wojska, i trafił do Charkowa, oddalonego od Kijowa o prawie pięćset kilometrów. Nie krył zazdrości, że Makuszyński urządził się lepiej niż on i potrafi zawsze znaleźć miejsce, gdzie dają „ciastka, lody i szparagi”.

Prosił w listach młodszego kolegę o pożyczki i protekcje. Oraz jak zwykle uwodził Emilię: „Przed urokiem Twym, Pani, moje skronie biją”. Makuszyński najwyraźniej nie miał mu tego za złe („Choć mnie pasja bierze, że Kornel uwagi / nie zwraca na me hołdy i gniewem nie gorze”), bo nie tylko wystawił trzyaktowy dramat Staffa *Wawrzyny*, ale także wypożyczył mu kostiumy do inscenizacji tejże sztuki w Charkowie, gdzie wyreżyserował ją sam poeta.

Podczas jednego ze spotkań kijowskiej kolonii artystycznej u Karola Szymanowskiego Makuszyński poznał „mrocznego młodziana w mundurze praporszczyka” [chorążego – M.U.], który nic nie gadał, ale wystarczyło, że spojrzał, a „siniec nieuchronnie zostawał na gębie”. Młodzieńcem owym był oficer carskiej armii Stanisław Ignacy Witkiewicz, później bardziej znany jako Witkacy. Przedstawiono Makuszyńskiemu także młodego człowieka w aksamitnej marynarce z wyłożonym białym kołnierzykiem koszuli. Nazywał się Jarosław Iwaszkiewicz i po latach okazał się jednym z najlepszych polskich prozaików.

Przesiadawali w kijowskiej restauracji „Drewniaja Ruś”, której właściciel pan Antoni, wielki oryginał, dumny był z artystycznej klienteli („Człowiek zaczynał się dla niego od artysty” – wspominał Makuszyński), choć często polskim gościom musiał łać wino na kredyt. Dawał im też zarobić, zamawiając u malarzy swoje kolejne portrety albo wykupując po kilka rzędów na spektaklach w Teatrze Polskim.

Makuszyński postanowił zorganizować w teatrze kijowskim koncert Karola Szymanowskiego, będącego u progu wielkiej kariery. Długo musiał przekonywać kompozytora („będą gadali, że to dzikie i niepojęte”, obawiał się muzyk), ale wreszcie dostał jego zgodę. W nieopalanej sali teatru Szymanowski w samym fraku trząsł się z zimna, ale koncert okazał się ogromnym sukcesem. Nawet restaurator pan Antoni uznał, że Szymanowski „eto gienij”, i przez cały wieczór gościł polskich artystów, nie żałując wina i jedzenia.

W listopadzie 1916 roku odbywały się uroczystości żałobne po śmierci

Henryka Sienkiewicza. Organizowano je wszędzie tam, gdzie mieszkali Polacy. A więc także w Kijowie, gdzie polonia była bardzo liczna. Po patriotycznej mszy, celebrowanej przez księdza Szlagowskiego, odbyła się łzawa akademія w Teatrze Polskim. Na scenie stanęła obita kirem trybuna, z której przemawiali kolejni mówcy. Wreszcie przyszedł kolej Makuszyńskiego. Stał przed tłumem i zaczął słowami własnego wiersza: „Płacz, wszystka ziemio polska”.

„Źle uczyniłem” – wspominał osiem lat później. Sam zaczął płakać, rozplakali się też ludzie w teatrze: „Rozluźniły się twarde, emigracyjne dusze”. Nie mógł się powstrzymać od egzaltacji, ale chwilę później nie zrezygnował ze złośliwego dowcipu. W liście do Leopolda Staffa, który ten pokazywał przyjacielom, napisał: „umarł Henryk Sienkiewicz – coraz nas mniej – jak mówi Eugenia Żmijewska”. Żmijewska była autorką popularnych przed wojną romansów i redaktorką pisma „Świat Kobiet”. Po 1914 roku także znalazła się w Kijowie. „Zdruzgotanie grafomanii zostało tu dokonane ze smakiem godnym pióra Saint-Simona czy pani de Sévigné” – zapamiętała list Makuszyńskiego lwowska aktorka Halina Ostrowska-Grabska.

W Kijowie ukazywały się kolejne książki Makuszyńskiego. W 1915 roku *Perły i wieprze*, opowieść o losach przedstawicieli młodopolskiej cyganerii: malarzy Szymona Chrzążcza, Eustachego Szczygła oraz niespełnionego poety, którego pierwowzorem był sam Makuszyński. Dwa lata później wydał jej kontynuację *Po mlecznej drodze*. „Zarówno rodzaj dowcipu, jak sentymentu wysoce dla mnie niemiły” – zanotowała po lekturze Zofia Nałkowska.

Już w wolnej Polsce „Ilustrowany Kurier Codzienny” ujawnił rzekome kulisy narodzin tytułu pierwszej części opowieści. Na jakieś przyjęcie zorganizowane przez ludzi bogatych i o wielkich ambicjach, lecz raczej małej kultury – jak relacjonowała gazeta – zaproszeni zostali także pisarze, wśród nich Boy-Żeleński, Słonimski i Makuszyński. Z niesmakiem przyglądali się, jak tłusta, ale obwieszona pięknymi perłami gospodyni mizdrzy się do równie otyłych gości.

– Perły i wieprze – miał mruknąć Boy, a Makuszyński, który szukał tytułu dla pisanej właśnie książki, aż krzyknął z radości.

– Masz rację – uściśnął zdumionego Boya. – Znakomity tytuł!

To anegdota z gatunku tych, które jeśli nawet nie są prawdziwe, to zostały dobrze wymyślone. Bo przed opublikowaniem *Perł i wieprzy* Makuszyński Słonimskiego nie znał. Boya oczywiście znał świetnie, ale autora *Słówek* nie było wtedy w Kijowie.

W roku 1916 wydał *Bardzo dziwne bajki*, na które złożyły się opowiadania stare i nowe, między innymi: *Bajka o królownie Marysi, o czarnym łabędziu i o lodowej górze, Szewc Kopytko i Kaczor Kwak, O tym, jak krawiec pan Niteczka został królem, O tym, jak Wicek warszawiak pognął śmierć* oraz *Dzielny Janek i jego pies*. W bardzo patriotycznym wstępie Makuszyński pisał, że chce „ratować

polskie dusze” przebywających na obczyźnie tysiące dzieci, które nie mają dostępu do książek w języku ojczystym. Zachęcał dzieci w Kijowie do lektury, pisał o ciężkiej doli małych Polaków w zaborze niemieckim. Pod koniec życia wspominał, że *Bardzo dziwne bajki* dostarczyły mu najwięcej radości ze wszystkich jego książek. Były skromnie wydane, szare, ale ilość listów od dzieci, które otrzymał po ukazaniu się tomiku, przerosła wszelkie oczekiwania. „Miałem później większe autorskie sukcesy, ten jednak był mi najmiłszy” – wspominał.

W 1917 roku wojna po raz kolejny dogoniła Makuszyńskich. Ukraińcy, widząc rozpadające się w przyspieszonym tempie imperium carskie, powołali w listopadzie własne państwo, autonomiczną Ukrainą Republikę Ludową, sfederowaną jedynie z Rosją. Tyle że bolszewicy, którzy po rewolucji październikowej przejęli władzę w Rosji, nie zamierzali pozwolić Ukraińcom na niepodległość. Na początku 1918 roku zaczął się dwutygodniowy ostrzał artyleryjski Kijowa. Mieszkańcy za dnia musieli się kryć przed wybuchającymi w powietrzu szrapnelami, noc spędzali w piwnicach. „Celem stało się całe miasto” – pisał Makuszyński.

Mężczyźni za dnia patrolowali ulice, w nocy pełnili warty, chroniąc domy przed bandami dezerterskich, zbiegłych więźniów i szabrowników plądrującymi opuszczone mieszkania. Obowiązek warty, „z zardzewiałym karabinem w jednej ręce i szablą niewychodzącą z pochwy w drugiej”, objął także Makuszyński. Początkowo strażnicy zajmowali się głównie grą w karty, ale kiedy bolszewickie oddziały weszły do miasta, zaczęło być groźnie.

Po trzynastu dniach oblężenia Armia Czerwona, złożona w większości z prorosyjskich Ukraińców, zajęła Kijów. W mieście i okolicy zaczęły się samosądy i zbiorowe egzekucje na ludziach, którzy nie dość entuzjastycznie przyjmowali nową władzę. Wspomnienia z tamtego czasu Makuszyński opublikował już w wolnej Polsce w książce *Radosne i smutne*.

„»Graduszczyj cham« upił się krwią i brodził w niej po kolana, krwiooki, uśmiechnięty paralitycznie, przemożny, rozjuszony, wściekłe bydło, urwane z łańcucha, oszalałe w rozpędzie” – tak pisał o ukraińskiej dziczy mordującej cywilizację, o straszliwych rezunach, dla których głównym przykazaniem było niesienie śmierci ludziom z dworów. Nawet tym, którzy wcześniej leczyli ich i kształcili. Wzywali lekarza, by pomógł rodzącej kobiecie, a gdy nie był już potrzebny, zabijali go. „Skazani kopali najpierw sami dla siebie groby, potem stawiano ich nad brzegiem dołu i strącano weń uderzeniem kuli” – wspominał.

Pisał o ludziach zabijanych na ulicy tylko dlatego, że nosili buty, które spodobały się uzbrojonym bandytom. Ludziach mordowanych dla samej rozkoszy mordowania. O dworach plądrowanych dla radości niszczenia, książkach palonych z nienawiści do wiedzy. Zwyczajne mordowanie nie wystarczało, pisał, oprawcy prawdziwą rozkosz znajdowali dopiero w wyłupywaniu oczu, wycinaniu języków,

w rozpruwaniu brzuchów kobietom. A kiedy zabrakło już ludzi, ich dworów i książek, z tym samym okrucieństwem torturowali, a potem zabijali zwierzęta, których jedyną winą było to, że należały do przeklętych panów. „Jakaś straszliwa żądza krwi zalała te straszne, ohydne, dzikie mózgi”.

Zapamiętał na całe życie karawany liczące po kilkadziesiąt chłopskich furmanek zaprzęgniętych w woły, a na każdym z wozów zbitą ze zwykłych desek trumnę pokrytą gałązkami jedliny. „Tak grzebano swoje ofiary, wrogie bowiem rozkładały się po parkach i ogrodach” – pisał. Funt chleba wart był wtedy więcej niż ludzkie życie. Płądrowano sklepy i magazyny, na ulicach ostrzeliwały się uzbrojone po zęby oddziały samozwańczej milicji i straży obywatelskiej, a czasem zwykli bandyci. Najbardziej cierpieli na tym zwykli przechodnie. Można było próbować wzywać na pomoc „prawdziwą władzę”, ale zwykle było to bezskuteczne: „Praktyczniej jednak było dać się obrabować”.

Narastała panika. Przybywało dobrze poinformowanych, którzy wiedzieli „na pewno”, że lada chwila zacznie się jeszcze większa rzeź, bolszewicy zatrują miejskie wodociągi, a w bogatych dzielnicach rozpuszczą zarazki dżumy. Widzieli nawet na własne oczy kielbasę, w której znalazł się odcięty ludzki palec z tkwiącym jeszcze na nim sygnetem.

Któregoś dnia „ukraińscy bolszewicy” przyszli do domu Makuszyńskich, szukając broni. Odrażający, cuchnący wódką, machorką i brudem, gotowi zabić za gest najmniejszego nieposłuszeństwa. Gospodarzy uratowało tylko to, że wcześniej mieszkanie zniszczył pocisk armatni. Nie było czego rabować. Sołdaci zabrali tylko talię kart, pudełko z kremem do paznokci wyglądające, jakby zawierało jakiś klejnot, i kolorową piżamę: „służy dziś zapewne jako wspaniały mundur jakiemuś bolszewickiemu generałowi” – ironizował pisarz.

W czasie kilku nocy, których Bóg się pewnie przeraził, w męczeńskim ogniu umarła zarażona wścieklizną dusza tego kraju – pisał Makuszyński. „Taka jest dziwna plugawa podłość w tym strasznym rezunie, że zbrodniarz, schwytyany, lecz hardo idący na szubienicę, jest wobec niego jak bohater wobec wściekłego psa”.

Nie dzielił mordujących na „złych bolszewików” i „szlachetnych wolnościowców”. Uważał, że to farsa, w którą mogli uwierzyć tylko ludzie tak naiwni jak dyplomaci. Widział takie samo okrucieństwo i zło po obu stronach. Bolszewicy i niebolszewicy mordowali tak samo i w tym samym celu: „Hasłem jest zniszczenie wszystkiego, co polskie, zniszczenie aż do fundamentów”. Dante był w piekle, ale nie był w 1918 roku na Ukrainie, więc o prawdziwym piekle nie może nic wiedzieć, dodawał.

Trwającą wojnę przerwali dopiero Niemcy, wezwani na pomoc przez rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej. Zostali zaproszeni jako sprzymierzeńcy, ale szybko zaczęli zachowywać się jak okupanci: rabowali, bili nieposłusznych (nawet ministrów gabinetu, który ich wezwał) i z równą pogardą traktowali Ukraińców po

obu stronach barykady. Bywa, że gość okradnie gospodarza, a potem go jeszcze pobije, pisał Makuszyński, ale żeby okradł, pobił, a na koniec jeszcze wtrącił za to zapraszającego do więzienia, trzeba Niemca. Niczego to jednak Ukraińców nie nauczyło, uważał. Nie zmienili utrwalonego przez wieki wrogiego stosunku do Polaków: „Opluci przez Niemców, poszli wyrzynać Polskę do Wschodniej Galicji – razem z Niemcami!”.

W 1922 roku zaatakował go za *Radosne i smutne* ksiądz Mikołaj Ilków, poseł na sejm Rzeczypospolitej z ramienia Agrarnej Ukraińskiej Chłopskiej Partii. Zażądał konfiskaty książki, która jego zdaniem szczuła Polaków przeciwko Ukraińcom. Zaatakowany pisarz bronił się. Nie potrafiłby i nie zamierzał szczuć ani judzić jednego narodu przeciw drugiemu. Po prostu opisywał to, co widział. I przykro mu, jeśli ktokolwiek mógł pomyśleć inaczej, tym bardziej że nigdzie nie pisał o całym narodzie ukraińskim. Nie zabrzmiało to przekonująco. A książka była jeszcze kilka razy wznawiana.

Pod koniec 1918 roku ukazała się powieść *Słońce w herbie*. Różniła się od wszystkiego, co Makuszyński dotąd napisał. Nie było w niej satyry, obecnej nawet w *Radosne i smutne*, nie było egzotyki ani bajkowości. Byli czterej weterani powstania styczniowego, wierni do końca życia wartościom, w imię których poszli w 1863 bić się za ojczyznę. Starzy już i całkowicie inni niż młodopolscy dekadenci, dominujący w polskiej kulturze na przełomie XIX i XX wieku. Przedstawiciele pokolenia przegranego, ale mającego jeszcze marzenia. O wolności i niepodległej ojczyźnie... Nie tak apatycznego jak ci, co przyszli po nim.

Zaczął pisać powieść jeszcze przed wybuchem I wojny światowej i przed powstaniem legionów Piłsudskiego, w atmosferze dominującego w Galicji pogodzenia z rozbiorami i akceptacji dla c.k. monarchii. Cztery lata później wymowa książki nie była już tak prowokacyjna i oskarżycielska, jak być może zamierzył. Ale i tak *Słońce w herbie* miało w II Rzeczypospolitej aż sześć wydań i przychylnie recenzje.

Wilhelm Feldman, podsumowując w 1918 roku dotychczasową twórczość Makuszyńskiego, skrytykował go za lekceważenie prawdy psychologicznej, przesadzanie postaci, nadmiar słów, efekciarstwo i obliczone na niewybredną publiczność dowcipy. Jednocześnie jednak napisał, „że wyzwala się w nim zgoła niepospolita indywidualność artystyczna, twórca baśni z życia nowoczesnego przeciw temu życiu nowoczesnemu”. Autor snuje na jawie czarodziejskie sny o życiu, którego tak naprawdę nie ma, ale które mogłoby być, gdyby ludzie kierowali się religią dobroci i miłości. Próbuje kryć się za szubienicznym humorem i rubaszością, ale to tylko zasłona dla marzeń. Nie ma więc w jego powieściach życiowego realizmu, ale jest świat, który mógłby być, gdyby ludzie tylko zechcieli.

Pisząc te słowa, Wilhelm Feldman nie mógł wiedzieć, jak bardzo potwierdzą te słowa kolejne książki Makuszyńskiego.

IV

W wolnej (wreszcie) Polsce

Późną jesienią 1918 roku Makuszyńscy przyjechali z Kijowa do Warszawy. Wkrótce potem Makuszyński wziął udział w uroczystym koncercie ku czci koalicji, która zwyciężyła w wielkiej wojnie i dała Polsce wolność. W Teatrze Wielkim orkiestra zagrała hymny Stanów Zjednoczonych, Włoch, Anglii, Francji, Belgii i Polski, przemawiali i recytowali wiersze Aleksander Świętochowski, Adam Grzymała-Siedlecki, Józef Weysenhoff. Makuszyński zaś „sławił Belgię i jej króla bohaterskiego w przecudnym, natchnionym przemówieniu” oraz „uczcił Belgię i jej ofiarę w tych zapasach potwornych”, relacjonowała prasa.

Spotkać go można było w tym czasie najczęściej w Astorii na Nowym Świecie, gdzie gromadziła się artystyczna Warszawa. „Cały parnas odrodzonej stolicy” – wspominał Antoni Słonimski. Przychodzili na kartkowe tużpowojenne obiady, chude i niesmaczne, ale lepsze niż żadne. Innych zresztą nie było, bo podczas okupacji „Niemcy wyżarli wszystko”, Polakom został tylko pęczak. O jakości wydawanych w Astorii posiłków świadczyła śpiewana w kabaretach piosenka: „Dlaczego pan jest taki blady? Czy urzędowe jesz obiady?” – dodawał Słonimski.

Obiady były jednakowe dla wszystkich, ale politycznie Astoria była podzielona. Przy oknie po prawej stronie siadywali endecy: Adolf Nowaczyński, Włodzimierz Perzyński i Makuszyński, po lewej młodzi poeci, którzy wkrótce nazwali się pikadorczykami, a jakiś czas później skamandrytami: Jan Lechoń, Antoni Słonimski, Julian Tuwim. Dosiadali się do nich Stefan Żeromski, a także zaprzyjaźnieni wojskowi: adiutant brygadiera Józefa Piłsudskiego major Bolesław Wieniawa-Długoszowski (z ręką na temblaku, „romantycznie ranny”, jak pisano w gazetach) i przyszedł premier Walery Sławek.

Stoły zachowywały dumną, choć nie wrogą odrębność i pewnie byłoby tak jeszcze długo, gdyby nie... Makuszyński. „Kornel w swojej kordialnej potrzebie przyjaźni przekraczał często linię demarkacyjną obu stolików” – zapamiętał Słonimski. Nawet gdy któregoś dnia podniecony przybiegł do Astorii z wieścią o znaczeniu absolutnie strategicznym, nie zachował jej wyłącznie dla lokatorów swojego stolika. Przechodząc obok bastionu lewicy, rzucił: „Jest nowa restauracja. Alkazar. Na Królewskiej. Dają sztukę mięsa z rurą”.

Na takie hasło ruszyli na Królewską wszyscy. Otwarcie nowej restauracji było najlepszym dowodem, że zaopatrzenie w stolicy się poprawia. „Rosły w oczach kiełbasy, szynki, serdele, mortadele, pojawiły się słynne warszawskie »rozmaitości«” – pisał Słonimski. Po latach wspominał, że rok 1918 i odzyskanie przez Polskę niepodległości kojarzą mu się właśnie z Makuszyńskim, Astorią

i sztuką mięsa. Starszy o jedenaście lat pisarz stał się dla Słonimskiego symbolem powrotu Polski do normalności. Literaci mogli wreszcie zostawić płaszcz Konrada – „nieco już znoszony” – w szatni Astorii i zasiąść do biesiadnego stołu. Skończyła się wojna, nadchodził czas zabawy.

Toteż gdy młodzi przedstawiciele lewicy założyli *vis-à-vis* Astorii kawiarnię literacką Pod Picadorem i ogłosili wprowadzenie w Polsce dyktatury poetariatu, stosunki nie zostały zerwane. Bywały wieczory – wspominał Kazimierz Wierzyński, który szybko dołączył do pikadorczyków – że gromada poetów przenosiła się z Pikadora do Astorii, zajmowała całą salę restauracyjną i rozpoczynał się artyleryjski pojedynek na dowcipy, kalambury i absurdalne żarty. Pojedynek nierówny, bo Makuszyński musiał bronić się sam, mając naprzeciwko takie tuzy satyry jak Tuwim, Słonimski i Lechoń. „Jego bateria – Kazimierz Markiewicz, Skoczylas i Treter – składała się z ludzi ochoczych, ale kanonierów powolnych” – pisał Wierzyński.



Ja wysyłałem na front piosenki, a bractwo je tam wyrykiwało w sposób niesłychany” – wspominał po latach okres spędzony w Oddziale II Informacyjno-Prasowym (Referat Literacki) Generalnego Inspektoratu Armii

Ochotniczej. Od lewej Kornel Makuszyński, NN, Włodzimierz Perzyński i Eugeniusz Korwin-Mańczewski (stoi).

W 1920 roku Makuszyński został zmobilizowany. Polska nie skończyła jeszcze świętować odzyskanej po stu dwudziestu trzech latach niepodległości, gdy wybuchła wojna z Rosją, w której władzę coraz bardziej bezwzględnie sprawowali bolszewicy. Chcieli zagarnąć ziemie dawnego zaboru rosyjskiego, a gdyby się dało, to także tereny Wschodniej Galicji, i przyłączyć je jako kolejną republikę do komunistycznego imperium. A potem resztę Polski... Armia Czerwona przekroczyła granicę i zmierzała już ku Warszawie, osadzając na zdobywanych ziemiach posłuszne sobie władze. Przyszłość polskiego państwa zawisała na włosku. Do obrony ojczyzny mobilizowano kogo się da.

Makuszyński trafił do Oddziału II Informacyjno-Prasowego (Referat Literacki) Generalnego Inspektoratu Armii Ochotniczej powołanej w 1920 roku. W tym samym referacie był jeszcze Stefan Żeromski, a wśród podwładnych Makuszyński miał między innymi Bolesława Leśmiana. Redagowali tygodnik „Wesoły Wojak”, jednodniówki podtrzymujące na duchu ludność cywilną i broszury nawołujące do obrony Warszawy przed bolszewikami.

Makuszyński pisał patriotyczne piosenki ku pokrzepieniu, a jeszcze bardziej ku uradowaniu żołnierskich serc, „śmieszne, rzewne, zwariowane, zawiesiste, tłuste, ryczące z uciechy, wywracające kozły” – wspominał. Piosenki proste, jak proste jest życie żołnierskie, ocenił Zdzisław Dębicki. Ukazywały się najpierw w dzienniku „Żołnierz Polski”, a później w tomikach *Piosenki żołnierskie* oraz *Żołnierz, diabeł i dziewczyna*.

Mówiły o tym, o czym żołnierze na froncie najbardziej chcieli słuchać i o czym chcieli śpiewać. O dziewczętach, które nie żałowały obrońcom ojczyzny swoich serc i objęć („Nie uchybisz swojej cnocie, kiedy oddasz się patriocie” – pisał Wieniawa-Długoszowski) i z dumą wychowywały potem nieślubne ułańskie dzieci. Jak owa panna z piosenki (melodię skomponował Stanisław Niewiadomski) *Przekorna dziewczyna*, która ani myślała, mimo ostrzeżeń starszych, kryć się przed pędzącymi drogą ułanami. Zwłaszcza przed jednym, na karym koniu: „Jeśli mu się wydam miła, / To nie będę się broniła, / Niech mnie zabiera”. Oficer ginie, ale ona nie rozpacza, choć zostaje sama z synem:

Zrobię zeń wielkiego pana,

Wychowam go na ułana,

Napolijona!

Ale była też taka panna, która przyszła do pułku ułanów z synkiem, żeby

odnaleźć jego ojca. Co prawda nie wiedziała, z którym z kawalerzystów poszła w Łazienkach w krzaki bzu, była jednak pewna, że musiał to być szwoleżer, bo nikt tak jak ułan nie potrafi kochać. Porucznik użalił się nad uwiedzioną dziewczyną i nakazał znaleźć i ukarać winowajcę. Wachmistrz zebrał żołnierzy, by sprawdzić, do którego dziecko jest najbardziej podobne. I sprawca się znalazł.

Podobny jak dwie krople!... –

z radością wnet wykrzyka,

do kogo? Gadaj prędko!... –

do... pana porucznika!

Pisał o „największych panach na ziemi”, polskich żołnierzach, co śmierć prali po pyskach, idąc na krwawy bój po radość i sławę. O sprytnym wojaku, co miał dwie kochanki, jedną na poranki, drugą na wieczory, ale się nie domyślał, że i one miały po narzeczonym na każdą część dnia. A także o najbardziej zaborczej kochance – śmierci, co na ślubnym kobiercu całuje wybranka kulą prosto w serce. I o wiernym koniu, za którego diabeł podsuwał ułanowi piękną dziewczynę, ale żołnierz nie chciał się zamienić. Bo żadna dziewczka, choćby młoda i chętna („Zad wspaniały, więc wspaniałe / Muszą też być okolice, / Barki – jakbyś widział skałę, / Jako rzepy – takie cyce”), nigdy nie będzie tak wierna jak jego stara klacz, która z niejednej wyniosła go potyczki.

Sam sułtan gdzieś w haremie

Przy stu panienkach drzemie,

A żołnierz na ożenek

Aż tysiąc ma panienek,

A każda cicho szlocha

I bardzo mocno kocha,

I życzy sercem całem,

By został generałem.

„Ja wysyłałem na front piosenki, a bractwo je tam wyrykiwało w sposób

niesłychany. Niespodziewanie wielką wśród nich zyskałem popularność” – wspominał po latach.

Książeczki-pobudki, jak nazywał zbiory swoich żołnierskich kupletów, osiągnęły zawrotne nakłady stu (*Piosenki żołnierskie*) i dwustu tysięcy (*Żołnierz, diabeł i dziewczyna*) egzemplarzy. We wstępie do pierwszego nieopatrznie zdradził swój prawdziwy adres (Widok 3) i zaprosił do siebie żołnierzy. Obiecał nawet wino i towarzystwo dziewcząt, a potem się dziwił, kiedy naprawdę przyszli. W dodatku przynieśli w prezencie pół świńskiej tuszy, oczywiście gdzieś ukradzionej. „Przez tydzień jadłem słoninę” – tak to się skończyło.

Nie wszystkie piosenki były równie frywolne. Wiele też było w jego tekstach patriotycznych wezwań do walki za ojczyznę, opisów bitew (z tą najważniejszą, w obronie Warszawy, nazwaną później Cudem nad Wisłą), hołdów dla bohaterstwa zwykłych żołnierzy, gotowych na największe cierpienia, na znój i ofiary dla Polski, choć przecież dobrze wiedzieli, że nagroda czeka ich dopiero po śmierci.

I żyć będę wiekopomnie

Ja – zbiedzony piechur szary,

Ja – którego śmierć się trwoży,

Ja – obrońca świętej wiary,

Żołnierz polski, sługa boży!

Bywał też korespondentem wojennym, jak Adam Grzymała-Siedlecki czy Melchior Wańkowicz. Miał krzepić serca, budować morale żołnierzy na froncie i krzewić patriotyzm wśród cywilów. Więc jeździł na front, krzepił, budował i krzewił. Choć bardziej niż samą wojnę opisywał to, co mógł zobaczyć dwa dni po ucieczce bolszewików, gdy opadł już bitewny pył. „Żółte glisty okopów” wrytych w glinie pod Modlinem, wijące się wzdłuż drogi ciągi kolczastych zasieków, już nieprzydatnych, ale przypominających niedawne dni lęku przed zbliżającymi się do Warszawy oddziałami Rosjan. Z dumą opisywał kolumny armat, „lśniących, z lufami otwartymi jak paszcze smoków”, ciągniętych na front przez konie, i roześmianych żołnierzy siedzących na lawetach. Nikt, kto czytał jego opisy dział „ugniatających ziemię swoją spiżową mocą”, wspaniałych okazów straszliwej siły, „co kiedy przemówią, to gromem, kiedy krzykną, to zabiją”, nie mógł wątpić w potęgę polskiego oręża. Bo jest przecież, pisał z coraz większą egzaltacją, zaklęta w tych armatach „dumna moc śmierci, patrząca daleko przed siebie czarnym okiem wylotu, co się w chwili sprawiedliwej walki zaczerwieni, zajdzie krwią, ogniem się rozpłomieni i ciśnie z czarnej źrenicy błyskawicą gniewu

i śmierci”. I nic już wtedy nie będzie w stanie powstrzymać polskiego ducha, „co zwrócił się twarzą ku nieszczęściu, spoważniał, skrzepł, stężał i idzie spokojnie ku zwycięstwu, wyrobionemu nie brawurą i fantazją polską, lecz bólem, niepokojem, męką trwóg i śmiertelnej troski o Ojczyznę”.

Przyglądał się żołnierzom wracającym z frontu, „czasem okrwawionym, najczęściej w jednym bucie”, którzy szli w jego reportażach uśmiechnięci, dumni, przekonani, że dobrze przysłużyli się ojczyźnie i nic już Polski z drogi ku wolności nie cofnie. Widział niepogrzebane jeszcze trupy pod Nasielskiem, dla których miejscowi chłopci kopali zbiorowe groby. Trupy żołnierzy polskich, „stających przed Bogiem, jasnych i czystych”, i rosyjskich, „nierównie liczniejszych, zmienionych kulą i batogiem w zwierzęta”, przygnanych do obcego kraju, o którym pewnie wcześniej nawet nie słyszeli. Umierali, nie wiedząc, po co ani za czyją umierają sprawę. Ofiary propagandy sowieckiej, która w jednym ręku dzierży proklamacje zapowiadające wolność i prawa dla robotników i chłopów, a drugą zabija. „Uczyć się nam tego trzeba od nich, bo to jedno, poza mordowaniem, doprowadzili do mistrzostwa” – napisał.

Cytował rozlepioną na murach nasielskich kamienic proklamację z 13 sierpnia 1920 roku. Wojenno-rewolucyjny komisarz Aleksiejew tryumfalnie informował o „oczyszczeniu miasta z białopolaków” i mianował się jedyną w mieście władzą, cywilną i wojskową. Dwa dni później musiał uciekać z Nasielska jak niepyszny: „Szkoda, że nie razem z polską kulą, chociaż do twarzy byłoby mu na tej samej latarni, na której powiesił proklamację”. Zwłaszcza, pisał Makuszyński, że uciekający bolszewicy zdążyli wywieźć wszystko, co się dało, rzeczy potrzebne i niepotrzebne, a czego zabrać nie byli w stanie – niszczyli dla samej satysfakcji niszczenia.

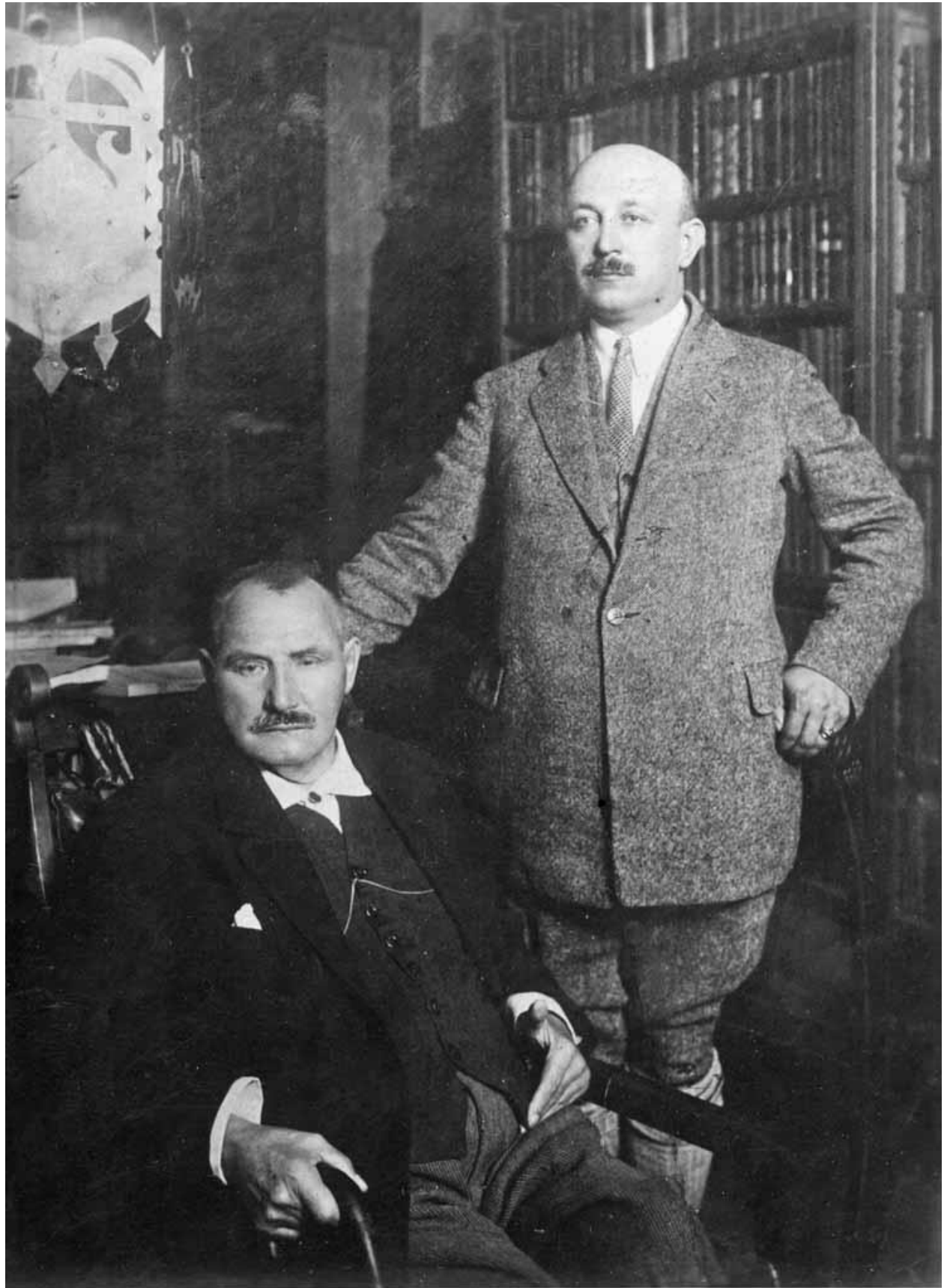
Opisywał też polskich chłopów, którzy jeszcze parę tygodni wcześniej, gdy polskie oddziały w nieładzie wycofywały się przed Armią Czerwoną, odmawiali żołnierzom kawałka chleba i szklanki mleka. A gdy sytuacja się odwróciła, na kolanach ich przepraszała, gotowi oddać wybawcom wszystko, co udało im się przed bolszewikami uchronić.

Korespondentom wojennym pozwolono zajrzeć do sztabu podpułkownika Adama Koca, kawalera Virtuti Militari, którego żołnierze dopiero co przepędzili Rosjan z Nasielska. Dowódca pułku i jego sztabowcy przeistaczali się pod piórem Makuszyńskiego w bogów wojny, panów życia i śmierci, nieustraszonych, gotowych do największych poświęceń dla ojczyzny. Nie śpią, nie jedzą, pisał, tylko dusze swe młode jak łuki napiąwszy, czekają na rozkaz, „święte słowo, tak mało w Polsce znane”, by ruszyć dalej „orłowym swoim szlakiem [...]. O, jak cudownie pięknie jest w tej kuźni wojny!” – pisał z entuzjazmem, a czytelnicy musieli wierzyć, że losy ojczyzny są w rękach ludzi, którzy prędzej sami zginą, niż oddadzą wrogowi choćby piędź polskiej ziemi.

Podobnie zachwycony był marynarzami – „wojskiem wspaniałym, zaciętym i ślicznym” – z którymi spędził tydzień na pokładzie statku sztabowego Warneńczyk, wchodzącego w skład utworzonej pod koniec 1918 roku Flotylli Wiślanej. Pokazywano mu miejsca, gdzie jeszcze kilka dni wcześniej przepraw przez rzekę broniły niewielkie statki, pływające wcześniej pod banderami Austro-Węgier i Niemiec albo zarekwirowane prywatnym armatorom rzeczonym i szybko uzbrojone w niewielkie działka i karabiny maszynowe. I groby nad Wisłą, w których pochowano poległych marynarzy polskiej wojennej floty śródlądowej.

Gdy żołnierze dowiadywali się, że będzie o nich pisał sam Kornel Makuszyński, dziękowali mu za frontowe piosenki, a on wpadał w coraz większy zachwyty nad ludźmi, którzy wróciwszy z krwawego boju, mają jeszcze chęć i siłę, by sięgać po słowo drukowane: „Człowiek, co trzy dni nie jadł, nie rzuca się na chleb z taką zachłannością jak te chłopaki na gazety” – pisał. A tak właśnie czynią bogowie wojny, dodawał, w których ciałach zamieszkały dusze dzieci i bohaterów zarazem. Polska odzyskała wolność niespełna dwa lata wcześniej, więc teraz, kiedy heroicznym wysiłkiem udało się uratować Warszawę przed zajęciem przez bolszewików, uważał swój patos za usprawiedliwiony.

W Warszawie Makuszyńscy wynajęli ostatecznie duże mieszkanie w Alei Róż. Kornel przyjął propozycję Stanisława Strońskiego i został redaktorem działu literackiego i recenzentem teatralnym w dzienniku „Rzeczpospolita” (1920–1924), a następnie, aż do roku 1929, w „Warszawiance”. Stroński dobrze pamiętał Makuszyńskiego z tekstów publikowanych w lwowskim „Słowie”, więc nie miał wątpliwości, że to bardzo dobry wybór. Współpracownik był pilny, staranny, niezawodny. Miał, przynajmniej na początku, trzy najważniejsze cechy wymagane od dziennikarza: dostarczał artykuły na zadany temat, w wymaganym czasie i o ustalonej objętości. Zwłaszcza że w Warszawie nie miał już wyboru, recenzja premierowego przedstawienia musiała się ukazać w porannym wydaniu gazety. Dlatego w dniu premiery zwykle przychodził do redakcji dwukrotnie. Przed spektaklem przynosił rękopis omawiający sztukę, która miała być grana wieczorem, o północy przybiegał, żeby na gorąco dopisać drugą część, oceniającą grę aktorów.



Makuszyński nie miał wątpliwości, że jeśli Kasprowicz coś napisał albo przetłumaczył, było to najlepsze na świecie. Na zdjęciu z patronem swojego debiutu i poetyckim mistrzem.

Wchodził do redakcji z papierosem w ustach, wspominał Władysław Marth, który poznał go w „Warszawiance”, witał się z obecnymi i nie zdejmując płaszcza, siadał do pierwszego wolnego biurka. Pisał bez chwili zastanowienia. Odrywał pióro od papieru tylko na chwilę, by zapalić następnego papierosa: „Cała rzecz trwała pół godziny do trzech kwadransów i recenzja była gotowa do druku”. Po czym autor wybiegał do Adrii albo Cristalu, gdzie czekali już z kolacją żona i przyjaciele. „Te jego odcinki teatralne były znakomite, ciepłe i cięte, życzliwe i dowcipne, zawsze zacieśniające więź między świetnymi teatrami warszawskimi a światłym ogółem” – chwalił Stroński.

Zadaniem redaktora działu było też, jak w każdej gazecie, przyciąganie na łamy innych autorów. „Rzeczpospolita” i „Warszawianka” były związane z endecją, ale zapraszając pisarzy, Makuszyński nie kierował się ani ich poglądami, ani sławą. Zamawiał utwory u przyszłego noblisty Władysława Reymonta (choć nie zawsze była to współpraca bezkolizyjna, bo Reymont zawałał terminy i pisał tyle, ile uważał za konieczne, czyli najczęściej za dużo), u podziwianego nieustająco Leopolda Staffa, ale także u Stanisława Przybyszewskiego, którego poglądy musiały budzić przerażenie drobnomieszczańskich czytelników „Rzeczpospolitej”. Drukował artykuły antyklerykała Emila Zegadłowicza, który szykował się już do kariery naczelnego pornografa II RP. W „Rzeczpospolitej” jeszcze przed maturą debiutował Konstanty Ildelfons Gałczyński. Być może wersy o „strojeniu surmy serca na tony tęgie i harde”, „rozdzieraniu powietrza krzykiem” i „zamienianiu w życie złudy śnień” wiersza *Szturm* przypomniały Makuszyńskiemu jego własny debiut i pierwsze podobnie egzaltowane metafory, bo pomógł młodemu poecie, jak kiedyś Kasprowicz pomógł jemu. Lechoń w *Dzienniku* napisał, że w krytyce najważniejsza rzecz to poczuć metal, z którego zrobieni są autor i jego dzieło. Z prawdziwego złota, srebra czy tombaku? „Kornel [...] po prostu powąchał sztukę lub książkę i już czuł ten metal, i jeśli nie załgiwał się z jakichś przyjacielskich względów – sądził bez pudła”.

Dzielił redakcyjny pokój z przygłuchym Włodzimierzem Perzyńskim, z którym porozumiewał się za pomocą wierszowanych karteczek. „Można by było z tych rozmówek, które mi pokazywali, gdy wpadałem do nich, ułożyć spory zbiór nieskromnych fraszek” – wspominał Stroński. Makuszyński pochwalił mu się kiedyś dowcipem, który zrobił Perzyńskiemu. Szli przez las obok dużego mrowiska. Kornel wyjął z kieszeni rewolwer, wymierzył w mrowisko, udał, że naciska spust, i... schował broń do kieszeni.

– Perz bardzo się zmartwił, że już nawet strzału z bliska nie słyszy –

opowiadał potem kolegom.

Szybko stał się literackim filarem „Rzeczypospolitej”, jej najważniejszym i najchętniej czytany, obok Adolfa Nowaczyńskiego i Perzyńskiego, felietonistą. „Był wtedy wielkim hetmanem Warszawki” – wspominał Wasylewski, a Wierzyński pisał: „Spotkać go można było wszędzie – w teatrach, kawiarniach, salonach”. Podczas pierwszego w wolnej Rzeczypospolitej zjazdu pisarzy został członkiem zarządu nowo powołanego wspólnego dla trzech byłych zaborów Związku Zawodowego Literatów Polskich. Co nie znaczy, że cieszył się uznaniem wszystkich. „Oto autor, do którego nie mogę się przekonać pomimo prób. Ten szubieniczny humor z patriotyczną łezką jest nad moje siły” – zanotowała po raz kolejny w *Dziennikach* w czerwcu 1920 roku Zofia Nałkowska.

Po zdjęciu munduru wrócił do stolika w Astorii, choć bardziej zgodne z prawdą byłoby zdanie, że nigdy jej nie porzucił, bo odwiedzał lokal podczas każdej przepustki. Kawiarnia Pod Picadorem już nie istniała, pikadorczycy przedzierzgnęli się w skamandrytów i przeprowadzili do Ziemiańskiej, ale on pozostał wierny Astorii, gdzie zawsze czekał na niego stolik. „Bywał tam Makuszyński codziennym gościem, jadał obiady i kolacje, popijał, urządzał rozmaite uczyty i przyjęcia” – wspominał Kazimierz Paszkowski. Zdarzały się wieczory, gdy do stołu „zarezerwowanego dla J. W. Pana Kornela Makuszyńskiego” (co wszem wobec ogłaszała ustawiona na nim kartka) dosuwano stół sąsiedni, potem jeszcze jeden i kolejny, a następnie całe towarzystwo bawiło się do późna w noc. „Był wielkim optymistą, piewcą radości życia, miał coś z Dickensa i Marka Twaina” – dodał Paszkowski, który po latach został wydawcą jego książek.



Hermsby,
6.1.76.

„Był wtedy wielkim hetmanem Warszawki” – wspominał Wasylewski szaleństwo pierwszych lat wolnej Polski. „Wiadomości Literackie” 1926, nr 9.

Autor *Słońca w herbie* twierdził nawet, że za spędzony w Astorii czas i zasługi dla rozwoju lokalu należy mu się order – Astoria Restaurata. Oczywiście w nocnych biesiadach uczestniczyła także Emilia. „Entuzjastka alkoholu, popijająca angiolkami”, wedle Wasylewskiego wręcz przewodziła („hetmaniła”, napisała) męskiemu towarzystwu. Uwielbiano ją, nawet Lechoń, choć zasadniczo wolał towarzystwo mężczyzn, panią Emmę ubóstwiał. Kornelowi zaś wszyscy, jak pisał, kłaniali się w pas, łącznie z młodymi skamandrytami. Co nie przeszkadzało im kpić z niego w szopkach i satyrach. Lechoń, Słonimski i Tuwim żartowali z Makuszyńskiego już w pierwszej ze swoich szopek noworocznych (na rok 1922), które błyskawicznie podbiły Warszawę. Kukielka Marnela (skrzyżowanie Kornela z koniakiem Martell) Kakuszyńskiego deklarowała, że może pić z każdym, niezależnie od poglądów, pochodzenia i zajęcia: z Kasprowiczem i Ostrowskim, z Mackiewiczem i Nowaczyńskim, Winawerem i Perzyńskim, Gebethnerem i Grydzewskim, „z zecerem i etceterem”. „Dostanę Polonię Restitutę – albo Astorię restauratę! / Per Astoria ad astra! Przejdę do historii! / Ja własny dożywotni stolik mam w Astorii” – ogłaszał z dumą Marnel, a potem na melodię legionowego *O mój rozmarynie* śpiewał:

O Rzeczpospolito, rozwijaj się, (bis)

Pójdę do Astorii –

Tam usiądę w glorii, (bis)

Przywitam się. [...]

Dadzą mi cygaro, zaciągnę się, (bis)

Coś mi w sercu wzbiera,

Gdzie tu są dwa zera? (bis)

Przywitam się.

Dadzą mi koniaku kochanego,

Dadzą mi konika smażonego

I ostry widelec,

I ostry widelec (bis)

Do boku jego.

A gdy przyjdzie płacić za kotlety, (bis)

Płacić będzie wielu,

Kochany Marnelu, (bis)

Ale nie ty.

Tak było naprawdę. „»Boski« Kornel miał tylu przyjaciół, kolegów, sympatyków, że istotnie rzadko sięgał do kieszeni” – potwierdził Paszkowski. A Zygmunt Nowakowski, który w szopce poruszał kukielką Makuszyńskiego, wspominał, że pisarz po premierze szopki przyszedł za kulisy i poprosił, by nieco zmienić finał piosenki. Chciał, żeby jego kukielka śpiewała:

A gdy przyjdzie zapić te kotlety, (bis)

Wodę pija wielu,

Kochany Marnelu, (bis)

Ale nie ty.

„Istotnie, wody pod żadną postacią nie uznawał” – napisał Nowakowski. Ale to wszystko były złośliwostki między przyjaciółmi.

Żartowali nawet w korespondencji. Kiedy Makuszyński wysłał Lechoniowi książkę *Moje listy* (zresztą na jego prośbę), dostał w odpowiedzi wiersz:

Jeśliś damie chciał ubliżyć

To dopiąłeś swego celu!

Jakeś mógł aż tak się zniżyć

Mój Kornelu

Gdy ty siedzisz tam w Astorii

Przy szampanie na fotelu

I przechodzisz do historii

Mój Kornelu

My myślimy oburzeni

O odwecie i fortelu

Wkrótce Ciebie się wypleni

Mój Kornelu!

W żadnym Cię nie przyjmą domu

O zradliwy przyjacielu

– Co najwyżej po kryjomu!

Mój Kornelu

Tak jak wejdiesz – wyjdiesz czysty,

Nic nie zaznasz, prócz... fotelu

Popamiętasz Twoje „Listy”

Mój Kornelu!

Wiersz był reakcją Lechonia na lekko uszczypliwe, choć tak naprawdę bardzo ciepłe słowa o skamandrytach w felietonach Makuszyńskiego. Różnili się ideowo, ale to nie przeszkadzało im we współpracy. Kiedy Lechoń został redaktorem naczelnym satyrycznego „Cyrulika Warszawskiego”, poprosił Makuszyńskiego o teksty. Choć powołany po przewrocie majowym tygodnik nie krył sympatii dla sanacji (w Warszawie nazywano go nawet „Cyrulikiem Serwilskim”), a Makuszyńskiemu zdecydowanie bliżej było do endecji, odsuniętej przez Piłsudskiego od władzy. Za tekst do jubileuszowego, setnego numeru Lechoń obiecywał mu nawet „honorarium najwyższe, jakie chcesz i na rękę (choć wiem, że

o honoraria nie dbasz)”. Dopisek w nawiasie był kolejną złośliwością, dopuszczalną w gronie przyjaciół, którzy przecież dobrze wiedzieli, że kto jak kto, ale Kornel o pieniądze dba.

Nazwisko Makuszyńskiego pojawiało się także od samego początku na łamach założonych w 1924 roku przez Mieczysława Grydzewskiego „Wiadomości Literackich”, pisma uważanego za sympatyzujące z lewicą. Zbyt rzadko jednak, by uznać go za stałego współpracownika, kogoś, kto – jak Słonimski czy Tuwim – odcisnął na nim wyraźne piętno. Publikował sporadycznie, w numerach monograficznych. Wspominał Henryka Sienkiewicza, pisał o zmarłym Janie Kasprowiczu i jego żonie, opisywał lwowskie lata Leopolda Staffa, żegnał dramaturga Włodzimierza Perzyńskiego, składał hołd Karolowi Szymanowskiemu. W lutym 1925 roku Reymont dziękował mu za artykuł o swojej twórczości ogłoszony w specjalnym numerze „Wiadomości”: „Piłem Twój artykuł łakomymi ustami jakoby najcenniejszy kordiał. Łakomymi, boć życie nie dawało mi spijać takich specymenów przyjaźni”. Kilka miesięcy wcześniej Reymont dostał Nagrodę Nobla, ale w Polsce czuł się wciąż niedoceniany. Bo wywodził się ze społecznych „nizin”, bo nie studiował na uniwersytecie („nie był patentowanym przez żaden uniwersytet idiotą”), bo nie należał do właściwej partii, nie był Żydem ani „socjałem”, a tylko takim „wybębniaki huczne peany”. „Czyż można brać takiego matołka pod uwagę” – żalił się w jednym z listów na „doskonałą obojętność” wobec siebie, choć nie tylko po Noblu, ale i wcześniej krytyka pisała o nim dużo i dobrze. Ale zdaniem pisarza nie dość dobrze. Według niego tylko Makuszyński zrozumiał, przeżył, docenił i... napisał. Ale i on zapomniał umieścić w tekście choć paru życzliwych słów o żonie, wypomnił mu. A przecież wie, co taka męczennica, towarzysząca życia pisarza, musi znosić. „Krzywda jej się stała” – dodał na koniec Reymont.



„Nikt za naszych czasów tak nie kochał teatru i tak go nie znał jak Kornel” – pisał Jan Lechoń. Od lewej: Kornel Makuszyński, Jan Lechoń i prof. Czajkowski. U góry w oknie żona ministra Tadeusza Jackowskiego, polskiego dyplomaty.

Zażyłość Reymonta z Makuszyńskimi trwała do końca życia noblisty. Gdziekolwiek jeździł, do Paryża czy Nicei, wysyłał do nich listy, a w Polsce zapraszał do dworku w Kołaczkwowie, gdzie zamieszkał w 1920 roku. „Jeśli niebo się zachmurzy, to mamy muzykę, pokera i mahjonga na dwa stoły! Potem kartofle z mlekiem, cud ciastka z kremem albo innego prosiaka. Na desert orgię róż i malin, no i gości” – zachęcał. Reymont, jak wielu innych, wierzył we wpływy i możliwości Makuszyńskiego i korzystał z nich. Choćby prosząc o pomoc w znalezieniu mieszkania dla znajomego z Lublina, „człowieka przezacnego”.

Makuszyński współpracował też z prasą o lżejszym charakterze, na przykład z „Panią”. Dla tego literacko-artystycznego magazynu pisywali wszyscy: skamandryci, Żeromski, Staff, Boy-Żeleński, bo wydawca i redaktor pisma Gustaw Zmigryder płacił hojnie i w terminie, co nie było wówczas praktyką codzienną. Zmigryder był właścicielem luksusowego salonu mody damskiej przy ulicy Czystej, gdzie w bieliznę zaopatrywały się najszykowniejsze warszawianki.

Warszawka żartowała, że wydawca „Pani” przeznaczą na pismo pieniądze, które zarabia, sprzedając koronkowe dessous i jedwabne koszulki nocne. W jednej z szopek „Cyrulika Warszawskiego”, autorstwa jak zwykle Tuwima, Słonimskiego i Lechonia, kukielka Zmigrydera śpiewała nawet: „I co z majtek wyjmuję, / To w »Panią« pakuję”. Na to wpadała na scenę kukielka Kornela Makuszyńskiego ze słowami:

Pakuje, pakuje, słowo honoru, pakuje.

Kochany, złoty, polski Paquin.



Makuszyński nie miał przed wojną szczęścia do filmu. *Najmilszy ze złodziei* zrobił klapę, *Szatan z siódmej klasy* nie przetrwał. Także znany reżyser Ryszard Ordyński (na zdjęciu), autor m.in. pierwszej ekranizacji *Pana Tadeusza*, nie sięgnął po żadne z jego dzieł. Filmy według powieści pisarza zaczęły powstawać dopiero kilka lat po jego śmierci.

Jeanne Paquin była jedną z najgłośniejszych wtedy paryskich dyktatorek

mody decydujących o tym, co nosiły francuskie elegantki.

Pojawienie się obu postaci w tej samej scenie szopki mogło być pokłosiem historii opisaney przez rysownika Jerzego Zarubę, także współpracownika „Pani”. Do Zmigrydera przybiegł któregoś dnia pikolak z Astorii z listem od Makuszyńskiego. Redaktor przeczytał, uśmiechnął się wyraźnie zadowolony i wyjął z portfela okazały plik banknotów.

– Ach, ten Kornel – zwrócił się do towarzyszy. – Słuchajcie, co pisze: „Kochany Guciu, wykup mnie z Astorii, bo nie mam na zapłacenie rachunku. Będzie to nowe a conto. Całuję, Twój Kornel M.”.

Prośba była dość bezczelna, ale Zmigryder włożył pieniądze do koperty i dał posłańcowi. „Miał słabość do artystów i lubił się publicznie popisywać znajomością i stosunkami z nimi” – skomentował Zaruba.

Makuszyński uważany był za autora nieprawdopodobnie płodnego. Dwadzieścia kilka tomów w ciągu niespełna szesnastu lat, jakie upłynęły od debiutu, entuzjazmował się w „Wiadomościach Literackich” Józef Wasserzug (Ixion), rozpoczynając wywiad z pisarzem. Liryki, poematy, nowele, powieści, bajki, groteskowe historyjki, listy, recenzje, i za każdym razem rekordy powodzenia. Każda książka po trzy, cztery wydania, a niektóre po dziewięć i dziesięć...

Publikował co najmniej jedną książkę rocznie, częściej dwie. Oprócz powieści i opowiadań także zbiory felietonów drukowanych w gazetach. Znalazł pojemną formę, która równie dobrze sprawdzała się, gdy pisał sprawozdania z podróży, jak i recenzje, portrety przyjaciół, żartobliwe felietony. A przede wszystkim pasowała do jego gawędziarskiego stylu, pełnego dygresji i żartów. To były listy-gawędy, kartki bez konkretnego adresata, ale nadawca zawsze był ten sam: doskonały obserwator, dowcipny komentator obyczajowych przemian i dobroduszny narrator. Kolejne książki różniły się tytułami: *Moje listy* (1923), *Piąte przez dziesiąte* (1925), *Ponure igraszki* (1927), *Żywot pani i inne świecidelka* (1929), *Ze środy na piątek* (1931), ale zawartość była zawsze ta sama. „Pistolet do zabijania grzechu śmiertelnego – smutku” – pisał Michał Rolle w „Gazecie Lwowskiej”. A Makuszyński żartował, że musi drukować swoje listy w gazetach, bo ubogiego literata nie stać na kopertę i pocztowe marki.

Protestował tylko przeciwko nazywaniu go „smutnym humorystą”. Owszem, przyznawał, przypisano mu taką maskę, żeby było refleksyjnie i „głęboko”. A on nigdy nie czuł się humorystą, a tym bardziej smutnym: „Tak mogą o mnie myśleć tylko ludzie smakujący smętek jak narodową potrawę” – mówił w rozmowie z „Wiadomościami”. Kocha życie, wielbi radość, nienawidzi fabrykowania tandetnych tragedii, Jontka z *Halki* powiesiłby z czystym sumieniem, a za najbardziej przyteczne książki uważa te, „które się śmieją”.

„Wszyscy dokoła smućą się, jak należy, a ja się uśmiecham, wszyscy jęczą,

a ja śpiewam, wszyscy nienawidzą się nawzajem, a ja kocham cały świat, nawet literatów. Ta brzydka niesolidarność, ta niepojęcie ponura mania, aby być wroną kolorową, kiedy wszystkie są czarne, jest jedynym moim zmartwieniem” – wyłożył swoje credo pisarskie we wstępie (zatytułowanym *Wstęp niepotrzebny*) do zbioru opowiadań *Żywot pani i inne świecidelka*.

Pisał o przyjaciółach artystach, kobietach, brydżu, wyścigach konnych, teatrze i prasie. O „dorożkach automobilowych”, czyli taksówkach, które wypierają z warszawskich ulic dorożki konne. Kpił ze stereotypów, jednocześnie odwołując się do nich. Bo wiadomo, że nic tak nie zachwyci czytelników jak potwierdzenie ich własnych uprzedzeń i fobii. Wytykał korespondentom zagranicznym zmyślanie informacji, dziennikarzom hipokryzję, a krytyce artystycznej obłudę, choć sam, przyznawał, nie był bez grzechu. Zwłaszcza w młodości.

Kiedy więc czyta w gazecie, że operowa primadonna śpiewała jak anioł i „tylko w wielkiej arii cokolwiek mniej czuła się pewną”, świetnie wie, że stara baba darła się jak zleżące płótno i wyła jak potępiona. A gdy dowiaduje się z kroniki żałobnej, że czcigodny nieboszczyk służył Ojczyźnie do ostatniego tchu, przyczyniając się do jej dobrobytu i sławy, nie ma wątpliwości, że stoi za tym nekrolog wykupiony za pięćset złotych. Bo w gruncie rzeczy zmarły zasłużył się jedynie tym, że zwolnił miejsce dla kogoś nowego.

Prawdy nie ma nawet w kronice kryminalnej, pisał. Bo tego, który wcisnął komuś kawałek zwykłego szkiełka jako najprawdziwszy brylant, nazywa się oszustem i łajdakiem, a tego, co dał się podejść – niewinną ofiarą. Podczas gdy prawda jest inna: ten pierwszy jest świetnym psychologiem, a drugi najzwyklejszym idiotą, skoro myślał, że uda mu się przechytrzyć zawodowca, kupując tanio coś wartego wielokrotnie więcej. Naigrawał się z kabaretowych aktoreczek, opowiadających w wywiadach (których oczywiście nienawidzą i zgadzają się ich udzielać wyłącznie na życzenie swojej ukochanej publiczności), że każdego wieczora czytają listy świętego Augustyna. A w ciągu dnia każdą wolną chwilę poświęcają studiowaniu rozpraw filozoficznych Kartezjusza czy Kanta albo zagłębiają się – „jak w orzeźwiającej kąpieli” – w siedmiotomowym dziele Prousta *W poszukiwaniu straconego czasu*. W dodatku podczas lektury notują na marginesach książek uwagi, które mogłyby się złożyć na kolejne dzieło, co najmniej równie obszerne.

Z premedytacją demaskował szablony, według których dziennikarze bulwarowych pisemek produkują sensacyjne wiadomości, których tytuły wydrukowane wielkimi literami krzyczą później z czołówek gazet. Takie, które sprawdzają się zawsze, gdy trzeba ratować spadającą sprzedaż. *Człowiek-małpa z wyspy Borneo*, czyli odkryta w buszu małpa pozbawiona sierści i przypominająca człowieka. *Midinetka żoną maharadży Barpuru*, czyli wyciskająca łzy historia miłości, którą zapalał maharadża do ubogiej, ale pięknej ekspedientki z domu

mody. *Drzewo, które zjada ludzi*, czyli roślina kanibal z puszczy gdzieś w Ameryce Południowej. *Małżeństwo sióstr syjamskich*, czyli w poszukiwaniu odpowiedzi na odwieczne pytanie: jak one to robią z dwoma mężami w noc poślubną i później. *Żebrak milionerem*, czyli wielki majątek znaleziony w barłogu zmarłego w Nowym Jorku bezdomnego. *Mąż własnej córki*, czyli historia pewnego ojca – po latach wraca do miasta, które opuścił w młodości, zakochuje się w pięknej sierocie i dopiero w noc poślubną dowiaduje się, że to jego córka, o której w chwili wyjazdu nie wiedział. Oczywiście trzeba zawsze obudować historię szczegółami, które ją uprawdopodobnią, pisał. Powinna dziać się w możliwie egzotycznym kraju (choć historia o poślubieniu własnej córki pasowałaby też do Łodzi), należy powołać się na wiarygodnie wyglądające źródło (najlepiej, gdy jest to uczone o angielskim nazwisku) i opatrzyć tekst podkreślającymi emocje wykrzyknikami.

Wspominał czytelników odwiedzających redakcję, w których pracował. Nobliwe damy przynoszące grafomańskie historyjki z wyższych sfer i autorów krwawych politycznych satyr. Jednakowo przekonanych o własnym geniuszu i spisku światowej mafii redaktorskiej, która zmówiła się, żeby odrzucać ich teksty, bo boi się konkurencji ze strony bardziej utalentowanych. „Zaprzędaliście się Żydom, a kto wie, czyś pan też nie Żyd” – cytował jednego z oburzonych kandydatów na autora bestsellerów.

Samego Makuszyńskiego krytyka nie rozpieszczała, niezależnie od tego, co i jak pisał. W „Wiadomościach Literackich”, owszem, ukazywały się recenzje jego książek, ale raczej mało entuzjastyczne.



W *Pieśni o Ojczyźnie* Makuszyński aż 296 razy użył słów: Polska, Polak, polski. Wcale jednak od tych romantycznych zaklęć i inwokacji nie przybyło w poemacie głębi, wyzłośliwił się recenzent.

Już wydany w 1924 roku poemat *Pieśń o Ojczyźnie* przyjęty został kwaśno. Za dużo patosu, egzaltacji, pustych chwytów retorycznych i zwykłego lania wody, choć oczywiście w najszlachetniejszych, państwowotwórczych intencjach, pisali recenzenci. Bliski Makuszyńskiemu Adam Grzymała-Siedlecki, chwając „poetyckie zaangażowanie” autora, ewangeliczną pokorę wobec ojczyzny, strofy opisujące martyrologię tysięcy Polaków zsyłanych w głąb Rosji i opisy najgłębszej tęsknoty za niepodległością, zwracał zarazem delikatnie uwagę na „pokusę krasomówstwa”, której uległ autor, i „nadmierną rozrzutność w słowach i uczuciach”. Jan Lechoń napisał, że *Pieśń* to przykład, kiedy pisarz wpada na pomysł najbardziej niebezpieczny. Zamierzał napisać dzieło wielkie, skończyło się na nieudany. „Pisane to jak Słowacki – tylko że to nie Słowacki”. Makuszyński niepotrzebnie zrezygnował z własnego tonu, który słyhać było w debiutanckich *Połowach gwiazd*.

Józef Wittlin na łamach „Wiadomości Literackich” zarzucił Makuszyńskiemu nieszczerłość. Bo jakże, „jeden z najdowcipniejszych pisarzy polskich”, „jeden z najświetniejszych felietonistów i causerów”, autor figlarnych facecyj, który zwykle przemawiał do czytelników językiem niewyszukanym,

pełnym życia i rubasznego czasem śmiechu, nagle sili się na pienia pełne świętej miłości kochanej ojczyzny. Nawet jeśli boleśnie to Makuszyńskiego zrani, pisał Wittlin, powiedzieć trzeba, że ani to szczerze, ani literacko dobre, bo pełne porównań i przenośni ze świata dawno umarłego. Autor przystroił swój poemat w szaty wypożyczone z muzeum narodowych mitów, wypełnił językiem kaznodziejskim i użył akordów tak podniosłych, że całość rozminęła się z nową Polską, która po odrodzeniu potrzebuje już innego języka i nowego patriotyzmu. Aż 296 razy (jak skrupulatnie policzył recenzent) Makuszyński użył słów: Polska, Polak, polski, wcale jednak od tych romantycznych zaklęć i inwokacji nie przybyło w poemacie głębi. Wręcz przeciwnie, nawet najbardziej patriotycznie nastrojonemu czytelnikowi słowo „Polska” musi w efekcie spowszednieć i zubożeć: „Poetę współczesnego obowiązuje pewna wstydliva wstrzemięźliwość w używaniu słów naprawdę świętych lub mających pozór świętości”.

Można odnieść wrażenie, pisał dalej Wittlin, że martyrologia zniewolonej Polski i jej okupione krwią zmartwychwstanie w listopadzie 1918 roku potrzebne były tylko po to, żeby Makuszyński mógł je opisać. Owszem, podsumował, poeta padł przed ojczyzną na kolana, ale żeby nadto nie cierpieć, wcześniej ułożył pod tymi kolanami gruby i kwiecisty dywan ze słów.

Adolf Nowaczyński odpowiedział na poemat Makuszyńskiego własnym: *Do Kornela po Pieśni o Ojczyźnie*. Najpierw pochwalił, wyraził podziw dla „oktaw przepysznych pieniającej kaskady” i „byrońskiego stroju barda” przywdzianego przez autora. Ale potem stwierdził, że nadmiernie idealizuje on ojczyznę, w dodatku żąda, żeby tak samo bezgranicznie i bezwarunkowo wielbili ją inni. A gdy wielbią choćby odrobinę mniej lub nieco inaczej, wpada w potępieńczy ton Piotra Skargi, rozdziera szaty jak Rejtan i zanoszą do Boga skargi na rodaków. I już nie kwili „jak słowik skrzydlaty”, ale „wyklina wszystkich”, co nie dość niskie składają ojczyźnie pokłony.

Nowaczyński uznał, że wcale nie jest z Polską tak źle, jak pisze Makuszyński, wcale toczące się w niej spory nie świadczą o tym, że za chwilę zginie, nie jest też „jakimś na Europie wrzodem”. Polacy mają prawo do polemik i sporów, a nawet do kłótni, to utopia, że wszyscy będą myśleć tak samo i tak samo kochać ojczyznę. Nie może odmawiać Polakom prawa do kłócenia się o Polskę, gdy w każdym innym kraju na świecie też wre wojna. Oczywiście są miejsca, gdzie wszyscy muszą myśleć tak samo i gdzie zniknęły już wszelkie polemiki – w Rosji, nad Wołgą i Kamą. „Lecz chyba nie chcesz, by i tu... tak samo” – pytał retorycznie Nowaczyński.



„Wiele w tej chwili znosi utrapień z powodu nieoczekiwanie otrzymanej nagrody” – zanotowała w dzienniku Zofia Nałkowska po otrzymaniu przez Makuszyńskiego Nagrody Państwowej za *Pieśń o Ojczyźnie*.

Prawdziwa awantura wybuchła jednak wtedy, gdy w 1926 roku Makuszyński otrzymał za *Pieśń o Ojczyźnie* Państwową Nagrodę Literacką. Nawet Zofia Nałkowska, jak zwykle niechętna Makuszyńskiemu i odmawiająca mu talentu Lechonia, Wierzyńskiego czy choćby Marii Dąbrowskiej, której nie lubiła, zanotowała w *Dziennikach*, że „wiele w tej chwili znosi utrapień z powodu nieoczekiwanie otrzymanej nagrody”. Choć jak zwykle dodała: „Jego dowcip pozostawia mię smutną, a jego patriotyczna łezka jest dla mnie nie do wytrzymania”.

Państwowa Nagroda Literacka musiała wzbudzić emocje. Pięć tysięcy złotych odpowiadało mniej więcej dwuletnim dochodom urzędnika państwowego. Przyznano ją dopiero po raz drugi, pierwszym laureatem był Stefan Żeromski, więc część prasy uznała za grubą przesadę wyróżnienie jako kolejnego pisarza autora humoresek i felietonów. Krytycy narzekali na jakość nagrodzonego utworu, prasa piłsudczykowska i lewicowa miała za złe, że dostał ją autor sympatyzujący z endecją. „Wywyższony ponad miarę laureat”, „takiej książki nie wolno było nagradzać”, „wyrok najgorszy z tych, które można było sobie wyobrazić”, atakował Makuszyńskiego „Głos Prawdy”. Niechętni pisarzowi gazety wyliczały nazwiska tych, którzy bardziej zasługiwali na laur: Wacława Berenta, Józefa Weyssenhoffa, Andrzeja Struga, Kazimierza Przerwę-Tetmajera, nawet Stanisława Przybyszewskiego. „Głos Prawdy” w kolejnych numerach publikował fotografie niesprawiedliwie jego zdaniem pominiętych, z komentarzem: „Lecz i ten wielki twórca musiał ustąpić miejsca Kornelowi Makuszyńskiemu”. Argument, że nagroda przyznawana jest za dzieło opublikowane w ciągu ostatnich trzech lat, a większość wymienionych nic nowego w tym czasie nie napisała, adwersarzy nie przekonał. Lepiej było nie przyznać nagrody w ogóle, niż dać ją Makuszyńskiemu, utrzymywał „Głos”.

W obronie pisarza stanęła „Warszawianka”, w której pracował. Rozwierzgało się, rozkrzyczało „towarzystwo majowe”, kpił Kazimierz Dunin-Markiewicz. Niezadowoleni piłsudczycy chcieli, żeby nagrodę dostał któryś z wiernych żołnierzy Marszałka: popierająca go ślepo Zofia Nałkowska, Andrzej Strug albo Juliusz Kaden-Bandrowski. A przecież to piosenki Makuszyńskiego śpiewali w 1920 roku wszyscy: ci, co bili się o Polskę pod komendą Piłsudskiego, i ci, którymi dowodził jego oponent generał Józef Haller. Makuszyński zasłużył na nagrodę za *Pieśń o Ojczyźnie* kilkudziesięcioma tomami swoich dzieł, dowodził Dunin-Markiewicz, i odegrał równie ważną rolę w walce o wolną Polskę jak ci pisarze, którym rzekomo bardziej się należała.

Adam Grzymała-Siedlecki w „Kurierze Warszawskim” oskarżył sanację o stosowanie politycznych kryteriów w ocenie literatury. Prasa rządowa atakuje rządową nagrodę? „Nie możemy się skarżyć na brak humoru w ojczyźnie. [...] Czy jest granica walki z autorem, którego nienawidzicie za jego wyznania polityczne?” – pisał. Nagle nawet ci autorzy, którzy wcześniej byli na łamach prasy lewicowej i sanacyjnej bezwzględnie krytykowani, stali się od Makuszyńskiego lepsi, bo byli od niego bardziej „nasi”!

Także Adolf Nowaczyński, który nie krył krytycyzmu wobec *Pieśni o Ojczyźnie*, wziął w obronę bliskiego mu ideowo laureata, podkreślając, że nie ma drugiego polskiego pisarza tak powszechnie czytanego. Czytają go robotnicy i inteligencja, czytają i śmieją się nawet ci, którzy krzywią się, że to takie „niewyrafinowane”. „Cervantes był też »tylko humorystą«; a choć i za jego czasów żyli poeci wyżsi rangą duchową, w polocie myślowym górniesi i chmurniesi [...], to »awantura arabska« o Don Kiszocie zostanie” – dodał.

Także kolejna książka, wspomnienia *Bezgrzeszne lata*, które ukazały się w roku 1925, przez czytelników przyjęta bardzo ciepło i kilkakrotnie przed wojną wznawiana, przez część krytyki potraktowana została surowo. Andrzej Stawar w „Wiadomościach Literackich” zarzucił Makuszyńskiemu powierzchowność, sztuczność postaci, nadużywanie bez powodu wielkich słów, wymuszony liryzm: „Mechanizm wywoływania wzruszenia u Makuszyńskiego obliczony jest na taki właśnie naskórkowy sposób reagowania – w jaki np. powstaje gwałtowna serdeczność ludzi pijanych”. Poza tym w tych wspomnieniach są co prawda indiańskie gry, szkolne zabawy i wspomnienia, ale dziwnie mało jest dziecka. „I to jest największy grzech »Bezgrzesznych lat«” – podsumował recenzent.

Stawar, poważny marksistowski krytyk, potraktował mocno podkoloryzowane wspomnienia Makuszyńskiego ze śmiertelną powagą, która nijak do tej książki nie pasowała. W jednym z wywiadów Makuszyński mówił, że w *Bezgrzesznych latach* autor sprawia wrażenie człowieka, „który ma strasznie dobre serce i złotą duszę, ale w głowie groch z kapustą i psie figle”. I nawet jeśli była w tym szczypta kokieterii, to takie stwierdzenie było znacznie bliższe prawdy niż zasadniczy ton Stawara. Pisarz uważał, że dorośli sięgną po jego książkę, bo pozwoli im bezkarnie wrócić w czasy, gdy nie musieli być jeszcze dorośli. A gimnazjaliści będą czytać wspomnienia mocno już starego z ich punktu widzenia człowieka (przekroczył właśnie czterdziestkę), bo zobaczą w nich rozgrzeszenie własnych najgłupszych nawet szkolnych pomysłów. Przecież nie można mieć pretensji do dzieci o to, co samemu się robiło albo akceptuje u pana Makuszyńskiego!

Większość ludzi właśnie tak książkę potraktowała, jako powrót do lat beztroskiej młodości. Ale skutek był taki, że jeszcze głębiej wepchnięto Makuszyńskiego do szuflady z napisem „humorysta”, a to z definicji oznaczało

pisarza pozbawionego dostatecznej głębi, mało wyrafinowanego i schlebiającego nie najwyższym gustom publiczności. A jak jeszcze doszła do tego etykieta felietonisty, „pisarza gazetowego”, autora posługującego się przede wszystkim satyrą i dowcipem, to przeciwnicy nie potrzebowali już niczego więcej.

Henryk Drzewiecki w 1927 roku twierdził w „Wiadomościach Literackich”, że Makuszyński próbuje metodę pisania humorystycznych felietonów przerzucić do powieści, a efekt jest mizerny. Brakuje mu pomysłu na dłuższą formę, więc temat błyskawicznie się wyczerpuje, jak w powieści *Fatalna szpilka. Przerażliwa historia do głębi wzruszająca* (1925). A kiedy już całkiem nie wie, o czym pisać, to popada w pseudofilozoficzne rozważania i jest jeszcze gorzej. Mało tego, także jako humorysta jest „ptakiem skromniejszego lotu” niż choćby Adolf Nowaczyński. Bo dowcip wymaga, wbrew pozorom, odrębnej formy literackiej, a tej według krytyka Makuszyńskiemu brakuje. I kiedy za kilkadziesiąt lat jakiś profesor literatury pochylił się nad twórczością autora *Fatalnej szpilki* i spróbuje rzetelnie policzyć wszystkie dowcipy zawarte w jego książkach, to znajdzie ich bardzo niewiele, wbrew oczekiwaniom. Bo Makuszyński, owszem, pisze lekko, ale dowcipów, kalamburów, a nawet humoru sytuacyjnego jest w jego utworach mało. I choć zaczynał od liryki, a teraz przez swoje felietony próbuje przebić się w rejony prawdziwej powieści, to pozostaje zdaniem Drzewieckiego na marginesie. Jego twórczość nie ma cech wielkiej literatury, nawet *Pieśń o Ojczyźnie*, za którą dostał nagrodę państwową. W dodatku czytelnicy wcale takiej literatury od niego nie oczekują.

Każdego lata parę tygodni Makuszyńscy spędzali w Burbiszkach, które pozostały w rękach brata Emilii, ale coraz częściej – najpierw raz, a potem kilka razy w roku – jeździli do Zakopanego. Pisarz, zauroczony góralską architekturą, wybudował nawet w parku otaczającym dworek w Burbiszkach mały domek w stylu zakopiańskim. Nie przeszkadzało mu, że góralska chata zmontowana z elementów przywiezionych z Podhala w ogóle nie pasowała do żmudzkich równin. Domek przetrwał ponoć aż do II wojny światowej, podczas której spłonął. W czerwcu 1926 roku Emilia zmarła na gruźlicę. Kornel nigdy więcej na Litwę nie pojechał.

„Biedny Kornel jest bardzo załamany – bo też to była doskonała para – dwóch dobrych towarzyszy na drodze życia” – pisała Stanisława Wysocka do Emila Zegadłowicza. Ale nie wszyscy myśleli tak samo, zdarzały się też sarkastyczne komentarze: „Skończyło się wreszcie knajpowanie hajduczka ze Żmudzi” – napisał Wasylewski. I jak zwykle nie zmarnował okazji, by przypiąć Makuszyńskiemu łątkę. Tym razem wyrodnego męża, który nie czekając nawet na koniec żałoby, ożenił się po raz drugi. Ale to nie była prawda. Makuszyński powtórnie ożenił się w sierpniu 1927 roku, czternaście miesięcy po śmierci pierwszej żony.

Janinę Gluzińską, śpiewaczkę operową, córkę znanego lekarza lwowskiego, poznał u Reymontów. Była całkowicie inna niż Emilia. „Nieprzyjaciółka knajpy, wzięła go w karby mocnego zarządu domowego w Warszawie już i potem w Zakopanem” – ocenił Wasylewski. Kornel był w Janinie bardzo zakochany. Nazywał ją w listach „gołębicą bezgrzeszną” i „pochodnią miłości”, z typową dla siebie egzaltacją pisał: „Szaleństwa moje zaczynają jednak nabierać formy ostrej: gadam z Twoją fotografią, gadam z Tobą głośno, tulę się do Ciebie”.

W styczniu 1927 roku planowane już chyba małżeństwo zawisło na włosku, i to bardzo cienkim. Najpierw ukazująca się w Łodzi „Ilustrowana Republika”, za nią krakowski „Ilustrowany Kurier Codzienny”, a potem pozostałe należące do koncernu „IKC” gazety w całym kraju opublikowały opatrzoną dużym tytułem informację, że kręgi towarzyskie Warszawy z ożywieniem komentują wieści o zaręczynach „wdowy po św. pamięci Władysławie Reymonce ze znanym nowelistą i powieściopisarzem Kornelem Makuszyńskim”. Znali się od dawna, obracali w tym samym środowisku, przyjaźnili, więc o plotkę nie było trudno. A gazety zareagowały jak na prasę bulwarową przystało. W dodatku Janina była w tym czasie w Warszawie, a Makuszyński w Zakopanem, więc nie mógł od razu wszystkiego wyjaśnić, a najwyraźniej obawiał się reakcji narzeczonej. „Byłem bliski małego szaleństwa z powodu ohydny idiotyzmu krakowskiego Kuriera, który mnie zaręczył z Lilką” – pisał do Janiny po opublikowaniu przez gazety wiadomości o rzekomych zaręczynach. Redakcja „IKC” zamieściła sprostowanie, szef koncernu Marian Dąbrowski przyjechał do Zakopanego, by osobiście przeprosić pisarza („rozmowa moja z nim dobiła mnie do reszty”), ale najważniejsze było wybaczenie Janiny. Błagał o list, który potwierdzi, że nie uwierzyła w jego zdradę i dobrze wie, że to tylko efekt ludzkiej podłości: „Wyc mi się chce na samą myśl o tym. [...] Czy ja wiem, co kto jeszcze wymyśli, aby dwoje ludzi nie zaznało szczęścia?”. Na wszelki wypadek napisał też list do przyszłej teściowej, zapewniając, że gdy tylko nadejdzie właściwa pora – jeszcze przecież trwała żałoba – pojawi się, by „prosić o promyczek łaski”. Najwyraźniej został przyjęty bardzo życzliwie, bo już miesiąc po ślubie – dziękując w liście „na kolanach” za Janeczkę – nazywał matkę żony „najdroższą staruszką” i „najdroższą teściową”. A potem listy były już coraz bardziej „po makuszyńsku” zwariowane. Pisał więc: „Najdroższa Staruszeko, święta Zofio z 2 córkami, potrójna dawka Luminalu, śpiąca Królewno!” i żartobliwie zarzucał adresatce czyny niegodne „osoby rozcarniętej w średnim wieku”. Wprawdzie najdroższa teściowa i tak zwykle gra w brydża, jakby była po jakimś bardzo silnym środku nasennym, ale z niczym nie należy przesadzać. W październiku 1927 roku donosił „z przerażeniem”, że pewna wysoko postawiona persona poinformowała go, iż osoba, którą darzył nieograniczonym zaufaniem, czyli jego teściowa właśnie, „okazała pewnego czasu tak rozwiązały cynizm, że usiłowała wyjść na ulicę

w majtkach, bez żadnego okrycia”. Do tej pory przekonany był, że różne wybryki teściowej, w tym obłądna licytacja w brydżu, wynikały z „przealkoholizowania” w młodości, ale teraz widzi, że przyczyny tkwią głębiej, w „ponurej skłonności do skandalu i chęci wywołania zbiegowiska”. Gdybyż to jeszcze stało się po nocy spędzonej przy stoliku brydżowym, sprawa byłaby jasna: teściowa po prostu przegrała spódnicę. Ale bulwersujące zdarzenie miało miejsce w biały dzień, więc zięć domaga się wyjaśnień, tym bardziej że zaczyna dostrzegać u swojej żony podobne ciągoty do zachowań skandalicznych. „W razie gdybym nie otrzymał odpowiedzi jako tako zadowolniającej, będę zmuszony odwrotnie odesłać Teściowej jej Córkę” – zakończył. Do listu dopisała się Janina: „Mamusiu, powiedz, czy ja nie mam racji, że zamówiłam celę po Stryjeńskiej w Bałowicach dla tego »lekkiego wariata«!?”). Ekscentryczna malarka Zofia Stryjeńska wróciła niedawno z bałowickiego zakładu „dla umysłowo chorych”, a Makuszyński był sygnatariuszem listu protestującego przeciwko sensacyjnemu tonowi, w jakim informowała o wydarzeniu prasa. Po zwolnieniu Stryjeńska jeden z pierwszych listów skierowała do Makuszyńskiego, tłumacząc, że przymusowe umieszczenie w zakładzie było skutkiem spisku, w którym uczestniczył jej mąż.

Makuszyński był sławny i popularny, a to oznaczało obowiązki. Zaproszony przez władze województwa śląskiego przez dni kilka marca 1927 roku spotykał się z górnikami, brał udział w patriotycznych uroczystościach i zakrapianych bankietach. Kolejny raz miał krzewić polskość na ciągle podzielonym i niespokojnym Śląsku.

W listach do Janiny, jeszcze wtedy narzeczonej, opisywał swój pobyt z najdrobniejszymi szczegółami: „Niedziela 8 rano po nieprzespanej nocy przyjazd. 9 rano nabożeństwo. 11 obchód do 4 po poł. W międzyczasie ponure rozmowy o tragicznych stosunkach na Górnym Śląsku. Od 4–7 bankiet, 7.30–9 teatr (*Halka*), od 9–11 raut (o, Jezu!), od 11–2 bankiet dla mnie. Specjalnie. Markiewicz pijany jak świnia”. Następny dzień był podobny. Już o ósmej rano wyjazd do kopalni. Przez kilka godzin spotkania i rozmowy z ludźmi. Od pierwszej do czwartej po południu bankiet w jednej z kopalń: „Górnicy zrobili mi cudowną orację. Gadali na moją cześć 7 razy”, chwalił się narzeczonej. Po bankiecie wyjazd do Królewskiej Huty [dziś Chorzów]: „Włóczęga po piekle, wobec którego Dante jest łapserdakiem. Ogień i zgroza”. Od siódmej do jedenastej kolejny bankiet, „o Jezu!”. W dodatku z entuzjastycznymi przemowami na cześć pisarza, bo dyrektor kopalni też był ze Lwowa, jak się okazało. Nazajutrz wszystko zaczynało się od początku. Spotkanie z redaktorami pism, raut u wicewojewody, odczyt dla studentów o „śmiechu polskim i jego nieśmiertelnym piastunie Fredrze” („świetna stylistycznie rozprawa”, „spośród żyjących literatów jest chyba najwytworniejszym mówcą, urodzonym prelegentem” – komplementowała wystąpienie miejscowa prasa), bankiet na cześć „najukochańszego pana Kornela”, kolejne mowy

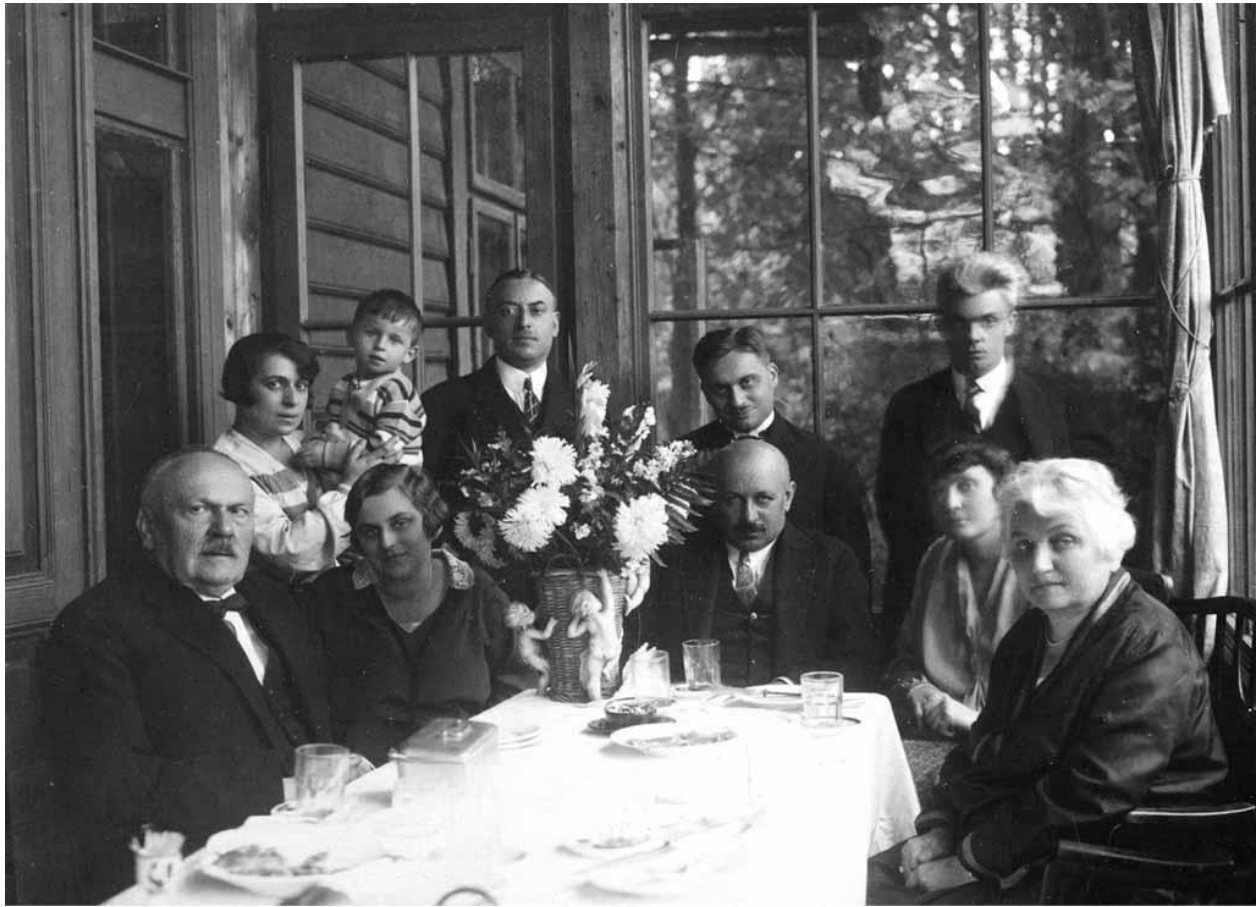
zaczynające się od słów: „Drogi Mistrzu! Dumni i szczęśliwi...”.

Mówiąc o Fredrze, mówił właściwie o sobie. O radości, która w literaturze bardziej krzepi ducha narodu niż łzy, skargi i narzekania. O humorze, który jest skuteczniejszym balsamem na rany spowodowane wielowiekową niewolą niż smutek nawet największej poezji. O wesołości, która lepiej koi niż najbardziej rozpaczliwe jęki i beznadziejne opisy scen narodowych męczarni. Było jeszcze o epigonach Gabrieli Zapolskiej i naśladowcach smętku wielkiej poezji. Pierwsi, owszem, posługują się humorem, ale zjadliwym i szyderym, zalatującym zatęchłą dulszczyzną. Drudzy wpadają w histerię beznadziejności, jakby się w Polsce nic nie zmieniło.

„To miejsce przemówienia prelegenta powinno być wyryte złotymi zgłoskami na marmurze i wywieszzone na widok publiczny” – pisał sprawozdawca. Katowiccy studenci pożegnali Makuszyńskiego owacją.

„Jeszcze żyję, ale już nie bardzo” – skarżył się Janinie. Wracał ze Śląska przygnębiony tym, co zobaczył. Ślązacy, którzy trzykrotnie wywoływali powstania, domagając się połączenia z Polską, byli coraz bardziej rozgoryczeni tym, jak są traktowani przez władze. Brak zrozumienia dla odmienności Śląska, podejrzliwość ze strony narzuconej administracji i nachalne polonizowanie dodatkowo pogłębiały istniejące podziały. „Tu się żrą bardziej niż w Warszawie” – pisał do Janiny. Przywódcy kłócą się i napadają na siebie, coraz głośniejsze mówi się o wojnie i oderwaniu Śląska od Polski, a Niemcy tylko zacierają ręce: „Piekło gorsze niż w hucie. O, Chryste Panie! Nieszczęśliwi my jesteśmy ludzie!”. Jedynym pożytkiem była wizyta w Bystrej u Juliana Fałata, skąd przywiózł obraz ofiarowany mu przez malarza. Niewiele jednak odnalazł z tego Śląska, który pamiętał z roku 1904 i 1905, kiedy na polecenie Lutosławskiego jeździł opowiadać górnikom i hutnikom o Polsce.

Konsekwencją popularności Makuszyńskiego było ponowne zainteresowanie filmowców jego twórczością. W połowie 1926 roku w prasie pojawiła się informacja, że reżyser Leon Trystan, który właśnie zakończył zdjęcia do dramatu *Kochanka Szamoty* na podstawie noweli Stefana Grabińskiego, przystępuje do pracy nad scenariuszem filmu *Strach oczu*, opartym na trzech nowelach „znakomitego pisarza Kornela Makuszyńskiego”.



„Gadam z Twoją fotografią, gadam z Tobą głośno, tulę się do Ciebie” – pisał Makuszyński do narzeczonej Janiny Gluzińskiej. Na zdjęciu już z żoną i gośćmi w dniu ślubu, Zakopane 31 sierpnia 1927.

Janina Gluzińska i Kornel Makuszyński wzięli ślub 31 sierpnia 1927 roku w kościele parafialnym Świętej Rodziny w Zakopanem. Informowały o tym gazety w całym kraju, od Lwowa przez Lublin i Warszawę po Poznań i Gdańsk, a także prasa polonijna. „Ślub znakomitego literata” – krzyczały tytuły. Sakramentu udzielił małżonkom dziekan zakopiański, ksiądz Jan Tobolak, a wśród świadków uroczystości była, co gazety także odnotowały, Władysława Reymontowa, co ostatecznie ukróciło wszelkie plotki. „Państwo młodzi tego samego dnia wyjechali na parę dni do Krakowa, po czym mają wrócić do Zakopanego na dwumiesięczny pobyt” – mogli przeczytać czytelnicy.

Fuszerka Pana Boga, czyli Makuszyński i kobiety

Stwarzając kobietę, Pan Bóg sfuszerował ten interes, napisał Makuszyński w jednym z bardzo wczesnych opowiadań (*Rajska opowieść* z tomu *Rzeczy wesole*, 1909), a później już tylko starał się tę tezę rozwinąć i uzasadnić.

Dzień stworzenia kobiety był klęską ludzkości, ale nic się z tym nie da zrobić, chwile słabości mają nawet geniusze i bogowie. Zwierzęta w raju przyglądały się z wielkim zainteresowaniem, co też dobry Bóg wyprawia. A on cały dzień lepił coś z błota, potem to przerabiał, starał się poprawić, ale ciągle mu nie wychodziło. W końcu „ulepił figurę niekształną, niezgrabną i do niczego nie podobną”. Następnie wytarł maskarę liśćmi drzewa pomarańczowego, aby zagłuszyć fetor mułu.

Kobieta schła, a zewsząd zbiegły się wszystkie stworzenia, by zobaczyć dziwowisko: małpy, nosorożec, żyrafa i beznadziejnie zakochany w żyrafie wielbłąd. Patrzyły zaskoczone, jedno z trwogą, inne z kpiną. „Nie bardzo piękne bydlę jest ta kobieta...” – orzekł krokodyl, a słoń chciał nawet wyrwaną z ziemi palmą rozbić Boże dzieło na kawałki.

A jakby tego było jeszcze za mało, okazało się, że głupota, złośliwość i przekora kobiety nie tylko dorównują jej brzydocie, ale nawet ją przewyższają. Kobieta, nazwana Hewą, robiła wszystko na opak, nawet gdy były to przykazania samego stwórcy. Tak więc wszystko, co wydarzyło się później między mężczyznami i kobietami, było skutkiem przekręcenia boskich słów: „miłuj męża swojego po wszystek dzień twojego żywota” i „służyć mu będziesz i będziesz mu posłuszna”. Hewa mdlała, kiedy nie wiedziała, jak się zachować i co powiedzieć, kazała wyrwać pawiowi ogon, by piórami przybrać sobie okolice pleców, papudze obciąć skrzydła, którymi ozdobiła głowę, a usta nacierała burakiem. Adam, mimo że owłosiony na całym ciele, spodobał się jej, bo był poczciwy i głupi, więc spędzała z nim czas chętnie, zwłaszcza w celu przedłużenia gatunku, by nie przysparzać Bogu trudu dalszego stwarzania. Adam urządził dla niej przedstawienie cyrkowe (przychodził na nie sam Stwórca), a Hewa i tak go w końcu zdradziła w trzcinie cukrowej ze starym, łysym szympansem. Tego nie przewidział nawet Pan Bóg. – Bałem się, że cię zdradzi, ale myślałem, że sobie nie da rady. Co za chytryść, co za chytryść – tłumaczył się Bóg Adamowi. – Zmęczony już byłem bardzo, kiedy ją stwarzałem, na dobre to nie wyszło. Sfuszerowałem ten interes, Adamie, przebacz mi, to moja wina...

Dziś wiele zdań, które Makuszyński napisał o kobietach, uznano by za seksistowskie, a co najmniej politycznie niepoprawne, a on sam – używając języka jego felietonów – zostałby wbity na pal, wielokrotnie łamany kołem, a na koniec

poćwiartowany. Ale kiedy je pisał, uchodziło, także w druku, dużo więcej. I nikt nie protestował przeciwko mizoginistycznym komentarzom.

Już w *Rzeczach wesołych* kobiety pojawiały się we wszelkich możliwych (oczywiście negatywnych) odmianach, w jakich tylko mógł wystąpić „puch marny”. „Kobieta-kabotyzm, kobieta-parazytyzm, kobieta-chytryść, kobieta-okrucieństwo, kobieta-wyzysk, kobieta (*excuzes le moi*) – głupota, kobieta-marność i zmienność, a zawsze niejako kobieta-absolut, kobieta-arcotyp, bez indywidualnych różnic i cech” – scharakteryzował opisane w książce kobiety recenzent tygodnika „Świat”.

Po wielu latach używania rozumu nawet kobieta odróżni kapelusz od dzieła filozoficznego, napisał Makuszyński. A było tych podszytych męskim szowinizmem myśli dużo, dużo więcej:

Piękna kobieta jest jak kaczka – za dużo dla jednego, za mało dla dwóch.

Kobieta duszy nie ma, bo się boi wody, psa, papierosów, ognia i ciemnego pokoju.

Jeśli na twoje pytanie kobieta odpowiada – nie wierz jej, jeśli jednak milczy – nie wierz jej tym bardziej.

Jeśli kobieta cię zdradzi, zawsze mieć będzie żal do ciebie, że z twego powodu nie mogła tego uczynić wcześniej.

Obelgą jest twierdzenie, że kobieta nie ma duszy. Kobieta ma ich trzysta sześćdziesiąt i pięć!

Jeśli uwierzysz, że kobieta jest aniołem, stracisz wiarę inną: w wiekuisty spokój nieba.

Nie mów kobiecie: „Bóg tak chce!” – bo powie, że jej zupełnie nie bierzesz pod uwagę.

Porównywanie kobiety do diabła jest niemądre i niesmaczne. Cóż komu zawinił biedny diabeł?

Subtelność kobieca jest tak cudowna, że kobieta żałuje cię już kilka dni przedtem, zanim cię zdradzi.

Książkę może zamordować usłużny krytyk; tobie, smutny bracie, jeśli o kobietę idzie, nikt takiej drobnej przysługi nie odda.

Wszystko na świecie da się uzasadnić i pojąć prócz wielożeństwa.

W felietonie *Lekarstwo na złą żonę* na czytelniku, który mu się poskarżył, jak bardzo jest nieszczęśliwy, bo ma już trzecią żonę, nie zostawił suchej nitki:

– Pan jest głupi, nie nieszczęśliwy. A jeśli pan jest nieszczęśliwy, to słusznie, natura bowiem musi ukarać człowieka za potworne zboczenie. Po co się pan żenił aż trzy razy?

Kpił z kobiet przy każdej okazji. Pisał, że wakacyjnymi upodobaniami Polek rządzą przede wszystkim ich kształty. Panie mające długie nogi, piękny brzuch, „piersi podobne do ludzi” i w ogóle wyglądające tak, że mogłyby stanąć nago

w muzeum, jadą nad morze, gdzie mogą się do woli rozbierać i sycić pożądanym wzrokiem mężczyzn, podziwiających ich ciała. Te zaś, które na górze nie mają czym przyciągnąć męskich oczu, natomiast „dół” mają, owszem, piękny, jadą w góry. „Jakże mądra jest przyroda. W górach nikt nigdy na kobietę nie patrzy z góry, tylko zawsze z dołu” – kończył wywód.

Kobiety, jego zdaniem, wybierały Zakopane przede wszystkim dlatego, żeby z wdziękiem dostać tam zawrotu głowy, malowniczo omdleć i dać się uratować, a potem... uwieść jakiemuś Staszкови Rojowi albo innemu tatrzańskiemu przewodnikowi, oczywiście urodziwemu jak sam Janosik. W dodatku bez żadnych wyrzutów sumienia. Skoro Leda mogła zrobić to z łabędziem, to kuracjuszka z warszawskiego mondu może przecież z prawdziwym orłem z Tatr. On ratował ją przed upadkiem w przepaść, ona z wdzięczności za uratowane życie upadała z nim w kosodrzewinie. „Bo chociaż to niewygodne i trochę kłuje, jednak jest sprężyste i zawsze nieco oryginalne” – erotyczne aluzje, którymi podszyta była większość „kobiecych” tekstów Makuszyńskiego, przydawały im jeszcze popularności.

Zakopane pod piórem Makuszyńskiego z magicznej stolicy artystów zmieniało się w mekkę wyzwolonych pań, przyjeżdżających, by „zapomnieć się” z jakimś wyjątkowo przystojnym panem. Albo w ogóle gotowych się zapomnieć, byle tylko któryś z przybywających w Tatry panów chciał z owego zapomnienia skorzystać. Zdrada w Zakopanem, pisał, stawała się jakby mniej poważna i dużo łatwiej wybaczalna, skoro można było z dużym prawdopodobieństwem założyć, iż zdradzająca męża kuracjuszka jest w tym samym czasie, a najdalej podczas następnego pobytu, zdradzana przez małżonka. A nawet – co oczywiście było już znacznie trudniejsze do wybaczenia – przez kochanka!

Ale kiedy zarzucano mu niechęć do wszystkich kobiet, bronił się, że to nieprawda. Niektóre lubi. „Szanuję naprawdę kobiety godne szacunku, a natrząsam się z lichych imitacji kobiecości, z papug różnokolorowych, z arcydzieł sztuki ornamentacyjnej, z malowanych lalek, co to ani dziecka nie wychowa, ani kochać nie umie, ani myśleć nie zdoła, tylko w karty gra, obcina włosy, krawcowe zamęcza i męża, pali, pije i – nie daj Boże! – wiersze pisze” – tłumaczył, ale nie mógł mieć pewności, czy udało mu się przekonać choćby jedną.

Dużo większą sympatią pisarza cieszyły się dorastające panienki, podlotki, a mówiąc językiem nieco późniejszym: nastolatki. Choć, zastrzegał, największy nawet uczoney do końca świata się nie dowie, co się dzieje w głowie i duszy takiej dorastającej panny.

Irenka Borowska, bohaterka powieści *Panna z mokrą głową*, jest śliczna jak anioł, mądra jak filozof („ale taki, któremu coś w mądrej pomieszało się głowie”), wesółka jak szczygiełek o poranku, gotowa na każde wariactwo, z połamaniem rąk i nóg aż do skręcenia karku włącznie. Ewa Tyszowska z *Szaleństw panny Ewy* jest niezależna, energiczna, bystra, złożona z „prochu, siarki, dynamitu i jeszcze

siedmiu innych ingrediencji wybuchowych, każdej chwili grożących spokojnemu światu zagładą”. A przy tym jest jeszcze dobra, czuła i ma złote serce.

Aż dziw, że z tak słodkich istot wyrastają później owe niewierne, okrutne, głupie i nienawidzące wszystkiego wokół kobiety, które zaludniają powieści Makuszyńskiego, pisali krytycy. A on sam nie krył, że też tego pojąć nie potrafi. Kobięcą słabość dostrzegał nawet w takim cudzie, jakim była panna Wanda, w której od pierwszego wejrzenia zakochuje się bohater *Szatana z siódmej klasy*. „W tej chwili lata po mieście jak kot z pęcherzem i ogląda fatalaszki – żali się Adasiowi Cisowskiemu profesor Gąsowski. – Nie rozumiem tej namiętności, któż jednak zdołał kiedykolwiek pojąć kobietę. Napoleon był geniuszem, ale z babami nie umiał dać sobie rady”.

Z czasem Makuszyński zaczął o kobietach pisać lepiej, choć nadal były to teksty podszyte złośliwą protekcjonalnością. Jak wtedy, gdy wstawiając się w felietonie za kobietą, która stanęła przed sądem za sfalszowanie dowodu (odmłodziła się o osiem lat), zgłosił do sejmu projekt, by w ogóle zwolnić kobiety z obowiązku podawania wieku, skoro wszyscy, także mężczyźni, będą dzięki temu bardziej szczęśliwi. Jeśli więc kobieta oświadcza, że ma lat trzydzieści, i zamierza je mieć jeszcze długo, nie należy jej w tym przeszkadzać, nawet gdy ma wnuczkę, która też już sobie co nieco odjęła.

W felietonie *Kobieta zbyt oczerniona* wziął w obronę Ksantypę, tłumacząc, jak krzywdząco i niesprawiedliwie stała się symbolem kobiecej wredności i patronką wszystkich złych kobiet na świecie. Przed nią i po niej z pewnością były kobiety o wiele gorsze i bardziej złośliwe, którym znacznie bliżej do Heroda. Miały jednak więcej szczęścia, bo żadna z nich nie była żoną Sokratesa, filozofa i najmądrzejszego spośród śmiertelnych. Gdyby nie on, nikt by nigdy o Ksantypie nie usłyszał, a nawet gdyby wiedzieli o niej współcześni, to pamięć o kobiecie przepadłaby wraz z nimi. Ale skoro przeszedł do historii Sokrates, musiała przejść i ona. A ona nie mogła być inna przy mężu, którym unieszczęśliwił ją los. Mąż, owszem, miał genialny umysł, ale poza tym był beztroskim nierobem, utracjuszem i opojem. Włóczył się od rana do nocy po Atenach, gadał do siebie albo zaczepiał ludzi i nieproszony wszczynął rozmowy na temat dobra, prawdy i demokracji. Ktoś taki nie mógł być lubiany, nic więc dziwnego, że skończyło się skazaniem Sokratesa na śmierć. Odium niechęci spadło jednak na Ksantypę, choć ona chciała być tylko normalną żoną: umiarkowanie marudną, przeciętnie złośliwą i oczywiście jak inne niezadowoloną z męża. Wszyscy mogli na niego narzekać, ona jedna powinna być zadowolona z życia z geniuszem. A przecież jeśli naprawdę był geniuszem, to powinien wiedzieć, że Ksantypa do niego nie pasuje, że jest za głupia, by go zrozumieć, i zbyt prymitywna, by pojąć, z kim ma do czynienia. Więc nie powinien się z nią żenić. A jak już się ożenił, to powinien chociaż stać się tak głupi jak ona. A więc to Sokrates jest winny jej nieszczęścia, kończył przewrotny

wywód.

Innym razem słaWił odwagę i poświęcenie kobiet, na jakie nie byłoby stać nawet najodważniejszych i najbardziej genialnych mężczyzn. Czy Napoleon pozwoliłby wyskubywać sobie brwi? Nie, wolał prowadzić wojny, bo to znacznie łatwiejsze i mniej bolesne. Czy Kopernik dla poprawienia cery okładałby sobie twarz surową cielęcina, czy piłby ocet, żeby schudnąć, albo kazał wyrwać zdrowy ząb tylko dlatego, że krzywo rósł? Nie, wolał zająć się zatrzymywaniem słońca, choć nikomu do niczego się to nie przydało. To prawda, mężczyźni, idąc na wojnę, narażają się na śmierć, ale śmierć zwykle szybką, poprzedzoną najwyżej krótkim bólem. To kobiety cierpią naprawdę. Wykazują się od wieków hartem ducha i gotowością do znoszenia tortur: wkładają drewniane kółka do nosów, zniekształcają sobie stopy, zakładają pełne insektów peruki, wbijają się w krynoliny i gorsety. Byle tylko stać się jeszcze piękniejszymi, nawet jeśli wydaje się to już niemożliwe, a w dodatku mężczyźni i tak nie są w stanie tego dostrzec.

Mężczyzna przez miliony lat ewolucji nie zmienił się zbyt, pisał. Stracił ogon, kły, pazury oraz włosy na głowie i... zatrzymał się w ewolucji. Kobieta u jego boku nie tylko od dawna nie przypomina dawnej Ewy, owłosionej i raczej szpetnej, nie tylko cały czas się zmienia, jej ewolucja każdego roku przyspiesza coraz bardziej. „Seryjny fordowski model rajski, niezdarny i z grubsza ociosany, zmienił się nie do poznania” – pisał Makuszyński w felietonie *One i my*. Bóg stworzył kobietę tylko raz i, jak każdy mężczyzna, zadowolony z siebie uznał robotę za skończoną, a kobieta stwarza się na nowo co najmniej cztery razy w roku. I uczyni wszystko, by móc to robić jeszcze częściej.

Posługiwał się podobnymi stereotypami bardzo często, a jednak w ankiecie „Kuriera Porannego” na temat kobiety przyszłości stwierdził, że kobiety chcą być równe mężczyznom, silne i samodzielne i... nikt nie może im tego zabronić. Kobiety-lalki, wypchane trocinami, bladolice anielice i nadęte matrony diabli wzięli, i to dobrze. A potem dodał coś, co wtedy zabrzmiało dużo bardziej rewolucyjnie niż dziś. O regulacji urodzin, co także wtedy oznaczało przede wszystkim aborcję, mogą decydować wyłącznie kobiety, on, jako mężczyzna, nie ośmielił się zabierać na ten temat głosu: „Niech ten, który cierpi, ma największe i bodaj że jedyne prawo odpowiedzi” – napisał. Nie stanął, jak Tadeusz Boy-Żeleński, na pierwszej linii frontu walki o prawa kobiet, ale nie mogło być wątpliwości, po której jest stronie.

*

Opowiadanie *Rajska opowieść* zrobiło nieoczekiwaną karierę prawie pół wieku po pierwszej publikacji, kiedy Makuszyński od dwóch lat już nie żył, a jego książek nie wydawano. W 1955 roku ukazał się w Polsce zbiór rysunków francuskiego karykaturzysty Jeana Effela *Stworzenie świata*. Autor, członek

francuskiej partii komunistycznej, kpił z Boga, kreacjonizmu i wiary, a peerelowski wydawca uznał, że do ateistycznej wymowy rysunków Effela najlepiej będzie pasowało z lekka mizoginiczne opowiadanie endeka Makuszyńskiego.

Książka okazała się wielkim sukcesem. Do dziś wznawiana jest z tekstem Kornela Makuszyńskiego.

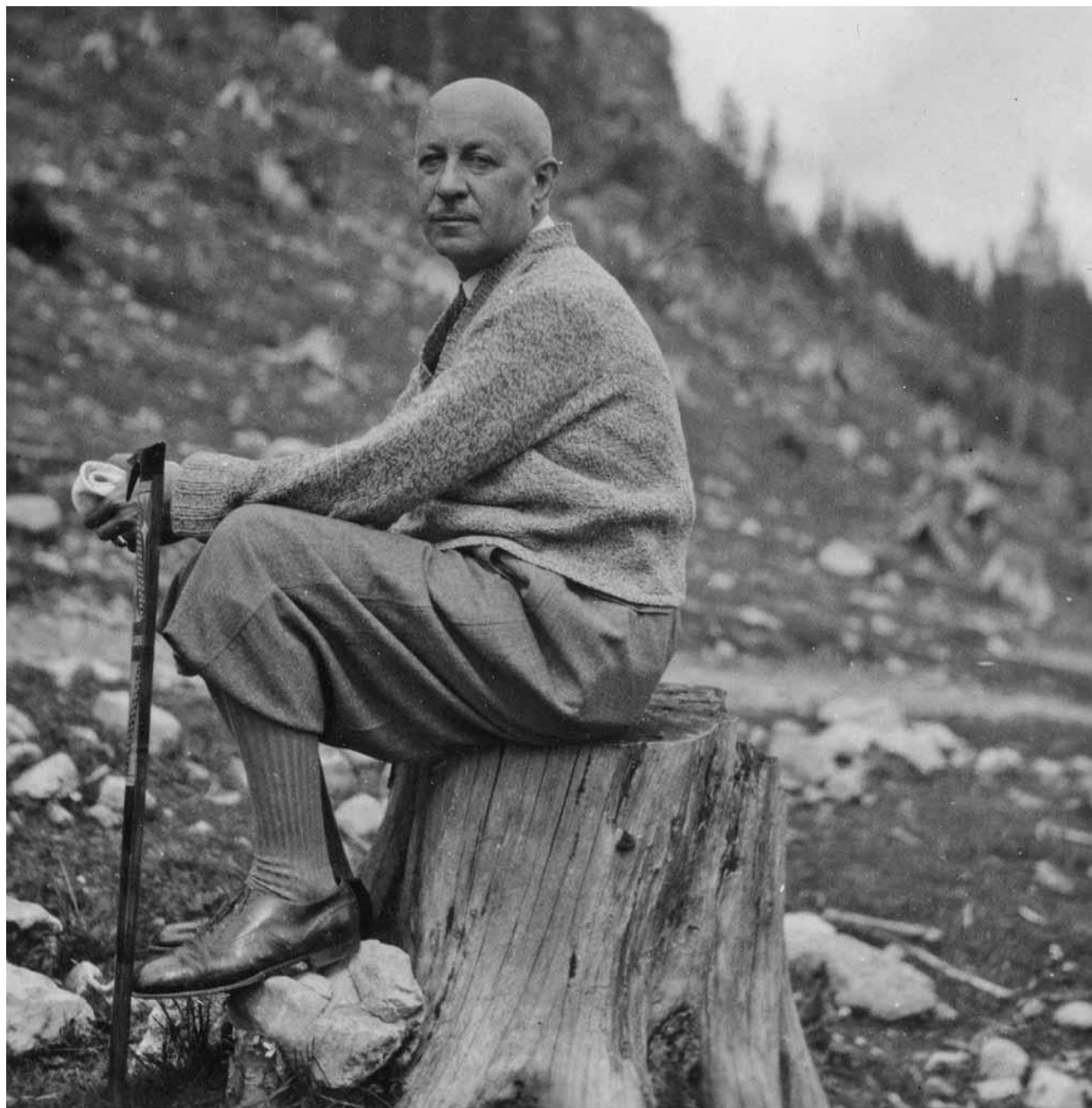
VI

Po lewej Giewont, z prawej Gubałówka, a w środku deszcz...

Nie wiadomo dokładnie, kiedy Kornel Makuszyński przyjechał do Zakopanego po raz pierwszy. Prawdopodobnie jeszcze przed wybuchem wielkiej wojny w 1914 roku. Jak wielu postanowił spędzić z żoną letnie wakacje w miejscowości, która zaczynała być coraz bardziej popularna, ale nie była jeszcze zatłoczona. Zażywali z Emilią kuracji w słynnym zakładzie wodoleczniczym doktora Andrzeja Chramca. Tworzyli bardzo miłą parę, wspominał medyk. On był już wtedy znanym dziennikarzem, ona „należała do bardzo przystojnych i wytwornych dam”.

Wiadomo też, że pisarz zajmował się w Zakopanem tym, czym zawsze i wszędzie. Dzielił czas między pisanie, biesiady i grę w karty. „Pan Kornel sypał dowcipami i był najbardziej pożądanym partnerem w wincie, bo się nigdy nie gniewał, gdy kto wyszedł spod drugiego króla” – wspominał doktor Chramiec.

Po wojnie przyjeżdżał do Zakopanego coraz częściej. Początkowo przede wszystkim zimą, później także latem, w końcu kilka razy w roku, kiedy tylko znajdował czas. Z pierwszą żoną Emilią, a po jej śmierci także z Janiną. Zwłaszcza że profesorostwo Gluzińscy, drudzy teściowie Makuszyńskiego, byli właścicielami willi Ustronie przy ulicy Sienkiewicza. To właśnie tam pisarz umieścił akcję powieści *Panna z mokrą głową*. Zachwytny Irenki Borowskiej urodą osady pod Tatrami, miejscem jak z zimowej bajki, był zachwytem samego Makuszyńskiego.



„Rycerz Giewont przed ułożeniem się na wiekowy sen załatwił pewną ludzką potrzebę i z tego powstało Zakopane” – napisał w jednym z wczesnych felietonów poświęconych stolicy Tatr.

Ale nie od razu zakochał się w Zakopanem. I dawał temu brakowi miłości wyraz. Pierwszy *List z Zakopanego* ukazał się w 1921 roku w dzienniku „Rzeczpospolita”, potem pojawiały się także kolejne w „Warszawianie”, „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”, „Kurierze Warszawskim” i pismach wychodzących w Zakopanem: „Głosie Zakopiańskim” i „Głosie Podhala”, wreszcie w książkach. I wcale go za te pierwsze listy pod Giewontem nie kochano. Bo choć sam przyjeżdżał w Tatry coraz częściej i chętniej (najpierw do

zaprzyjaźnionego pensjonatu Sanato państwa Rumińskich, a później do willi Ustronie), to innych wcale do odwiedzin nie zachęcał. Wręcz przeciwnie.

„Górale jest to szczerp dorodny i dzielny; wesele trwa u nich trzy dni, pogrzeb siedem” – pokpiwał. Jedynym ich celem i zajęciem jest obdzieranie naiwnych ceprów ze skóry i dutków, chociaż w zamian oferują niewiele, a najchętniej nic. Poza oczywiście najpiękniejszymi na świecie górami, których czują się wyłącznymi właścicielami. Mają najczulsze na świecie serca, które nie pozwalają im skrzywdzić (a już broń Boże zabić) żadnego stworzenia: barana, indyka czy choćby kury. Czekają, aż zwierzę samo zdechnie ze starości, i wtedy podają je do zjedzenia przybyszom z nizin.

Miasto o ambicjach „zimowej stolicy Polski” to dziura, jakich mało, licha imitacja kurortu, ostrzeżał. Brudna, zaniedbana i ciemna. Wieś na drodze od Trzaski do Karpowicza, czyli między dwoma restauracjami, w których bywał. „Po lewej stronie Giewont, po prawej Gubałówka, a w środku deszcz” – pisał. Po Krupówkach swobodnie spacerują krowy, kozy i owce, na ciemnych ulicach zalega półmetrowa warstwa końskiego łajna, które ugniatają drepczący tam i z powrotem kuracjusze, produkując przy okazji „hygieniczną pastę zakopiańską”. Nie da się przejść na drugą stronę Krupówek, żeby nie stracić w jakiejś dziurze przednich zębów, a w błotnych bajorach na środku ulicy można łatwo utonąć. W pensjonatach nie należy oczekiwać wygód, spokoju ani czystości. W restauracjach można dostać najwyżej wyszczerbiony talerz i cynową łyżkę, a światła świecą słabo, jak umarłemu. Schodząc z gór, lepiej nie liczyć na gorącą kolację, bo nawet zwykłego chleba się nie dostanie. Trzeba było wrócić wcześniej, a nie dobijać się po nocy. Bo w Zakopanem tak naprawdę nikomu na gościach nie zależy. Przecież wiadomo, że niezależnie od tego, jak źle zostaną potraktowani, i tak wrócą, w dodatku zachęcą do przyjazdu innych. W końcu dlaczego mają mieć od nich lepiej.

Jedyne, do czego gość ma prawo, to zapłacić za kurs do Doliny Strążyskiej sześć razy więcej, niż jest to warte, bo zakopiańskie sępy nie mają żadnych skrupułów, żeby przyjezdnego oskubać do gołej skóry. „Dlatego jadąc na kurację pod Gubałówkę, najlepiej zabrać ze sobą wszystko: jedzenie, pościel, papierosy, dorożkę, a jeszcze lepiej cały dom i wszelkie potrzebne do życia drobiazgi”. W Zakopanem można dostać najwyżej ciupagę. Nie ma też co liczyć, że „kozy dojący gazdowie” wysłuchają nawet najpokorniejszych próśb ceprów, bo wszystko i tak wiedzą lepiej. Dlatego trzeba mieć końskie zdrowie, żeby się leczyć w Zakopanem. Więcej ludzi tam zachorowało, niż wyzdrowiało, a ci, co przyjechali zdrowi, wyjeżdżają po letnim pobycie z gruźlicą, katarem żołądka albo delirium tremens. A jeśli ktoś miał wyjątkowe szczęście, to tylko z obłędem.

„Rycerz Giewont przed ułożeniem się na wiekowy sen załatwił pewną ludzką potrzebę i z tego powstało Zakopane” – napisał kiedyś. Zapamiętano mu to

na długo.

W tatrzańskich listach pisał o wszystkim. O koncercie Karola Szymanowskiego na zaflegmionym fortepianie w lodowato zimnej sali teatralnej Morskie Oko, która przypominała bardziej więzienie niż świątynię sztuki. O elektrowni, która daje światła mniej niż gromnica, co posłużyła już dwudziestu nieboszczykom, a jeśli nawet prąd jest, to nie dłużej niż przez pół godziny w ciągu dnia, i w dodatku co chwilę go wyłączają. I o słynnych gościach, którzy z niejasnych powodów wciąż mimo wszystko przyjeżdżają pod Giewont i napychają góralom kabzy. Wieszczył miastu upadek, jeśli w końcu nie zacznie bardziej o siebie i o kuracjuszy dbać. Pan Bóg kiedyś nie wytrzyma i zetrze tę obrazę swojej łaskawości z powierzchni ziemi. Spadnie z nieba piorun i spłoną nędzne zakopiańskie budy. Bo na to, że spalą się ze wstydu same, nie ma co liczyć.

Po co więc w ogóle do Zakopanego się pchać, fatygować, tłuc, męczyć, zabijać, pytał w kolejnym liście. Każdy ma inny powód, ale właściwie żaden nie jest dobry. Owszem, wariaci łążą po górach, ale ludzie choć trochę myślący nudzą się tam jak mopsy. Co inteligentniejsi grają w brydża, zrezygnowani plombują sobie z nudów zęby, lekkomyślni w oczekiwaniu na obiad czytają powieści wypożyczone z miejscowej czytelnicy. Panny mówią o tym, o czym się nie mówi, panowie o tym, co się robi, a poza tym wszyscy poruszają się jak muchy w miodzie.

Opisy Makuszyńskiego nijak się miały do wykreowanego przez Tytusa Chałubińskiego i Stanisława Witkiewicza ojca wizerunku miejsca magicznego, a tym bardziej do stworzonej przez Stanisława Witkiewicza syna, czyli Witkacego, wizji miasta demonicznego, w którym przenikają się śmiertelnie groźna przyroda i najwyższa sztuka. Zakopane Makuszyńskiego było najzwyczajszą, zapchaną przez przyjezdnych turystyczną miejsciną, przereklamowaną zarówno jako kurort, jak i stolica artystów. Zepsuta przez pieniądze ceprów i pazerność górali. Uważał, że legendę zniszczyli ci, których przyciągnęła, a górale skwapliwie to wykorzystali.



„Piłem u Karpowicza wino z bladym strachem, obawiając się otrucia. Życzono mi nagłej i niespodziewanej śmierci, nawet na koszt gminy” – wspominał Makuszyński. Zdjęcie podpisał „wyglupy”.

– Wołałem o światło, o szkoły i szpitale, o bruki i o taki drobiazg, żeby krowy nie przechadzały się po ulicach – mówił w jednym z wywiadów. – Piłem u Karpowicza wino z bladym strachem, obawiając się otrucia. Życzono mi nagłej i niespodziewanej śmierci, nawet na koszt gminy.

Sypały się na jego głowę gromy, słano do gazet protesty, nawet przypisywano jego artykułom winę za kiepskie sezony, kiedy pod Tatry przyjeżdżało mniej turystów niż zwykle. Aż w końcu stosunek Makuszyńskiego do Zakopanego zaczął się zmieniać. Począł dostrzegać starania ludzi, którzy próbowali zaniedbaną osadę przekształcać wbrew wszelkim przeciwnościom. Krytykował dysproporcje między hołubioną od lat i dopieszczaną z różnych stron Krynica a zaniedbanym i wykorzystywanym przez wszystkich Zakopanem, gdzie w dodatku otwarto kamieniołomy i zaczęto wysadzać potężne skały, niszcząc przy okazji regle, które straszą teraz okropnymi szczyrbami. „Jakby ojciec wybijał własnemu dziecku zęby i sprzedawał je dla zysku” – napisał. W miarę jak coraz bardziej czuł się zakopiańczykiem, rodził się w nim lokalny patriotyzm i zmieniała się perspektywa, z której patrzył na „swoje” już miasto. Kiedy przyjeżdżał, „nawet kozy patrzyły na niego tkliwie”, wspominał. Nadal wytykał miastu zaniedbania (choć nie tak brutalnym językiem jak kiedyś), ale zaczął bronić Zakopanego przed atakami innych.

Kiedy w roku 1930 wybitny aktor Ludwik Solski zarzucił kurortowi dokładnie to samo, o czym wcześniej pisał Makuszyński: błoto, brud, brak kanalizacji, niechęć do turystów – pisarz zareagował wyliczeniem tego, co w ostatnich latach zrobiono. Zbudowano wspaniałe schroniska i sanatoria, doprowadzono wodociąg i elektryczność, powstały teatr i park, uruchomiono komunikację autobusową i położono bruk. Kanalizacji, owszem, dalej nie ma, ale w mieście rozległym prawie jak Warszawa musiałaby kosztować miliony. „Uderzaj, Ludwiku, oto pierś moja, ale nie czyn krzywdy Zakopanemu, gdzie Cię tak bardzo kochają” – zakończył z patosem. Po takiej zmianie zakopiańczycy musieli mu wybaczyć dawną krytykę.

W pewnym momencie uznał, że prawo do krytyki ma tylko on, bo szczerze miasto pokochał, a innym od niego wara. W końcu został jednym z najsłynniejszych przedstawicieli tego szczególnego gatunku ludzi, których malarz Rafał Malczewski, syn Jacka, nazywał volkszakopiańczykami (sam zresztą też się za takiego uważał).

Przez lata opisywał nie tylko ludzi pozwalających się oszukiwać sprytnym gazdom, ale i swoich przyjaciół, którzy w sezonie tłumnie ściągali do Zakopanego.

Oczywiście znał wszystkich. Jeden z pierwszych opublikowanych w „Rzeczpospolitej” listów poświęcił wyprawie w Tatry, którą w sierpniu 1921 roku odbył z Tadeuszem Boyem-Żeleńskim i Stanisławem Ignacym Witkiewiczem. Nie tyle nawet wyprawie, co spacerowi do Czarnego Stawu, po drodze bez jednej choćby przepaści, w jaką niewprawy turysta mógłby wpaść.

Na początku wszystko wydawało się Makuszyńskiemu proste, choć nieco podejrzanе było, że Boy i Witkacy wzięli solidne, grube buty, ciupagi i plecaki z zapasem jedzenia oraz peleryny, a on zwykłą laseczkę i zaledwie małą tabliczkę czekolady. W dodatku po drodze zdradzieccy przyjaciele zabronili Makuszyńskiemu cokolwiek mówić, „bo to męczy”, kłaść się dla odpoczynku na trawie (mógł „najwyżej usiąść, na dwie, trzy minuty”) i co najważniejsze – jeść. Bo nie można przecież jeść, idąc, a skoro się cały czas idzie, to na posiłek przyjdzie czas... gdy będzie czas. Ale kiedy zatrzymali się na Hali Gąsienicowej, żeby odpocząć, okazało się, że to nie jest jeszcze czas na jedzenie, bo dużo bardziej będzie im smakowało „trochę dalej”. Dopiero widok Czarnego Stawu wynagrodził mu wszystko. A gdy jeszcze dotarli do Zmarzłego Stawu... „Chciałem tych złych ludzi uściskać” – entuzjazmował się Makuszyński.

Szczęśliwy i dumny łatwo dał się namówić na dalszą drogę. Nie, nie na jeden z Granatów: Zadni, Pośredni czy Skrajny, jak pierwotnie sugerował Witkacy, bo może rzeczywiście byłoby zbyt ciężko i za daleko. Zgodzili się na kompromis zaproponowany przez Boya, żeby pójść do Pustej Dolinki, bo tam przecież każdy dojdzie. Ale kiedy byli już na miejscu, obaj towarzysze zaczęli tłumaczyć Makuszyńskiemu, że kto dotarł do Pustej Dolinki, musi spróbować wejść jeszcze odrobinę wyżej, naprawdę niedaleko, na Bulkę „czy coś takiego”.

Ruszyli. „To nie ja szedłem, to szła furia, jedna z najstraszliwszych, jakie widziałem” – wspominał Makuszyński. Wydawało mu się, że szlak nigdy się nie skończy. Za każdą górą pojawiała się kolejna, jeszcze wyższa, kamienie osuwały się spod stóp, nogi bolały coraz bardziej, a przyjaciele („od dawna już byli przyjaciele!”) stawali się coraz bardziej bezlitośni. Aż dotarli na Bulkę, niebiańsko piękną i z nawiązką wynagradzającą trudy wspinaczki.

– Więc to się nazywa Bulka? – spytał wniebowzięty Makuszyński.

– To się nazywa Granaty! – odpowiedział jeden z przewodników, „człowiek, który dlatego tylko żyje, że go zbyt miłuję”.

Droga na Granaty, choć wymagająca kilku godzin wędrówki, nie była na pewno tak uciążliwa i traumatyczna, jak przedstawił ją Makuszyński, ale takimi właśnie opisami w listach bawił swoich czytelników. Powinni byli z każdym felietonem bardziej marzyć o spędzeniu w Zakopanem najbliższych wakacji i przejściu trasy, którą pan Makuszyński z takim humorem opisał. Choć, jak wspominała Hilda Jankowska, wśród przyjaciół nigdy nie ukrywał, że jego ulubionym wyczynem taternickim jest przejście przez Krupówki, a Giewont

wygląda najdoskonalej z werandy restauracji Karpowicza.

Wyprawa w góry z Witkacym i Boyem odbyła się naprawdę, choć zapewne wyglądała inaczej, niż ją przedstawił Makuszyński. „Skrzywdziłeś mnie [...], opisawszy mnie w sposób niegodny w gazetach” – zareagował listem Witkiewicz, ale wielkich pretensji nie miał. Makuszyński był przecież wpływowym redaktorem i opiniotwórczym krytykiem, więc obrażać go byłoby nierozsądnie. Witkacy zaś – choć w roku 1921 cieszył się już sławą zakopiańskiego malarza i skandalisty i w górach to on był dla Makuszyńskiego autorytetem – próbował dopiero przebić się z dramatami na stołeczne sceny, a z esejami i felietonami na łamy pism.

„Nie myśl, że jest to płaszczenie się przed tyranem” – zastrzegł na wszelki wypadek. Razem z listem z żalami wysłał Makuszyńskiemu, „jako zakopiańczykowi w stanie wysoce jeszcze embrionalnym, [...] studia nad zakopianiną” oraz kilka artykułów „dotyczących kwestii Czystej Formy na scenie”. I zasugerował, że gdyby Makuszyński zechciał „zjechać” w prasie jego sztukę *Pragmatyści*, która ma być niedługo wystawiona w Teatrze Polskim w Warszawie, to on mógłby ostro na tę krytykę odpowiedzieć, ruszając na bój krwawy i śmiertelny. A przy okazji „skandalu teatralnego” zdobyć dla swego dramatu reklamę dającą nadzieję na frekwencyjny sukces.

Odwoływał się do życzliwości Makuszyńskiego, przypominając, że całkiem niedawno „kochany Kornel” wypił z nim bruderszaft, ale sprawozdawca teatralny „Rzeczpospolitej” pewnie i bez tego spełniłby tę prośbę. Napisał po premierze recenzję niezbyt entuzjastyczną, ale i nie całkiem miażdżącą, podczas gdy inni krytycy nie zostawili na autorze *Pragmatystów* suchej nitki. Pisali o scenicznej bredni, bełkocie i wariactwie: udawanym albo, jeszcze gorzej, szczerym. Makuszyński ustawił się raczej w roli mentora udzielającego dobrych rad wstępującemu na teatralną scenę adeptowi. Postawił diagnozę, że nadmierna, aż zuchwała pewność siebie, którą prezentuje w dramacie Witkacy, nie ma uzasadnienia w doskonałości jego dzieła, lecz wynika z braku wiary w siebie człowieka, który nie wie, czy podąża właściwą drogą, zaplątany w „tragiczne koło nieporozumienia ze sobą samym”. Zarzucił Witkiewiczowi, że pisze zawile i za obszernie, niepotrzebnie mnoży przykłady i porównania, tworzy bohaterów będących pokraczną karykaturą prawdziwych ludzi.

Zadbał też o publikację w „Rzeczpospolitej” polemiki Witkacego z niechętnymi krytykami, mimo że redakcja początkowo tekst odrzuciła. Zrobił to, choć autor *Pragmatystów* nie oszczędził także jego. Witkacy życzył Makuszyńskiemu, żeby zdołał wdrapać się na wierzchołek zrozumienia jego sztuki, tak jak kiedyś – podstępnie zwabiony – zdobył Granaty, i dopiero tam zachwyił się pięknem, którego wcześniej nie był w stanie sobie uświadomić. „Oby moje sztuki, urojone według niego jako artystyczna wartość, były dlań czymś w rodzaju owej fikcyjnej Bulki” – pisał Witkacy.

Tatrzańsko-dramaturgiczny spór nie skłócił jednak pisarzy i nie spowodował przesunięcia Makuszyńskiego na liście przyjaciół Witkacego na jakieś poślednie miejsce. Zakopane ich pojednało, kontaktowali się często, choć pisali do siebie rzadko. Nie musieli, spotykając się kilka razy dziennie na Krupówkach czy u Trzaski. Witkacy podsyłał Makuszyńskiemu plotki z zakopiańskiego towarzystwa (raczej zmyślane, a przynajmniej mocno podkolorowane) do wykorzystania w kolejnych *Listach*, a w 1928 roku zaproponował namalowanie portretu „drogiego Kornela”. Prosił go kilkakrotnie, by przyszedł pozować do „portretu grzecznościowo-wdzięcznościowego”, o czym od dawna marzył „w bezsenne noce”. Nie ma jednak pewności, czy taki portret powstał; w każdym razie nie jest znany.

Kiedy Witkacy zjeżdżał do Warszawy, mógł zawsze liczyć na reklamę pióra Makuszyńskiego, z podaniem adresu na Brackiej 23, gdzie czasowo przenosiła się z Zakopanego Firma Portretowa Witkiewicza. „Kto tedy pragnie mieć portret znakomity, niech sobie zanotuje warszawski adres firmy; będzie miał i obraz, i przyjemność nie byle jaką, że go namalował nie byle kto, lecz sam Witkiewicz” – w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” Makuszyński zapewniał, że Firma robi portrety przepyszne, szybko i tanio, wypełniając każde żądanie, nawet jeśli wiąże się to z gwałtem na jej wolnym duchu. Firma jest bowiem spokojna, wytworna i oparta na kalkulacji handlowej, czyli maluje tak, żeby nawet największy burżuj, pragnący mieć portret jak Pan Bóg i Akademia Sztuki przykazali, wychodził z Brackiej zadowolony. Wcześniej oczywiście płacąc, ile należało.

Przyjeżdżając do Zakopanego, Makuszyński chodził w góry, ale to nie były długie wycieczki, jak zapamiętał Franciszek Pawlica, prowadzący schronisko Staszczkówka (dziś hotel Sabała). Szedł zawsze w towarzystwie i zawsze wracał na noc do Zakopanego. Siadał za ławą i zaczynał opowiadać.

– Tak się niekiedy rozgadał, że to już nie było dzielenie się wrażeniami, ale powieści – wspominał Pawlica. – Mówił o Tatrach, ale kojarzył z tym wspomnienia inne: Włochy, morze. O Wenecji czego nam nie opowiadał...

Od końca lat dwudziestych opisywał już w *Listach z Zakopanego* miasteczko skromne i może trochę zaniedbane, ale rozwijające się coraz bujniej mimo przeciwności i zmywy ludzi małych, którym sukces Zakopanego był nie w smak. „Wszystkim naszym wrogom pokażemy z godnością dość symbolicznie nazwany w tym celu szczyt: Suchy Zadek” – napisał.

Walczył o prawo do otwarcia w Zakopanem kasyna gry (bezskutecznie, bo hazard w II Rzeczypospolitej był niedozwolony). Skoro istnieje kasyno w Sopocie (wtedy w Niemczech), działają kasyna w Czechosłowacji i na Węgrzech, a nawet w kraju tak mądrym jak Francja, przekonywał, dlaczego nie miałyby powstać i w Polsce. Oczywiście w Zakopanem. Pora skończyć z obłudą, nawoływał. Ze świętoszkowatością, która powoduje, że można mieć dowolną liczbę kochanek,

przegrywać w pokera ostatnie portki i upijać się do nieprzytomności, ale tak, żeby nikt nie wiedział. I najlepiej za granicą. Przecież lepiej, żeby ludzie grali otwarcie, w wytwornym lokalu i w dobrym towarzystwie, niż w pokątnych spelunkach, gdzie hazard i tak jest obecny, o czym wszyscy świetnie wiedzą, tyle że nielegalnie, a prawa ustalają szulerzy do spółki z gangsterami.

Zakończył jak zwykle, wbijając miastu szpilkę, choć wolną już od dawnej niechęci. Jest jeszcze jeden poważny argument, pisał, żeby otworzyć kasyno właśnie w Zakopanem. Kiedy spłukany do cna gracz postanowi z rozpaczy zakończyć życie, akurat tam nie będzie miał z tym najmniejszego problemu. Wystarczy, że pójdzie do pierwszej z brzegu knajpy i zamówi bigos. A jeśli mimo wszystko uda mu się przeżyć, to popije wszystko lokalnym winem i wtedy zgon ma już murowany.

Czasem szczególnym był w Zakopanem „sezon”, czyli kilka miesięcy latem i zimą, gdy zjeżdżali pod Tatry artyści, a prócz nich ludzie, których talenty nie dorównywały artystycznym ambicjom, oraz zwykli turyści. Cisza i spokój, na które można było liczyć poza sezonem, znikwały, a miasto dostawało gorączki. Wieczory w restauracjach zmieniały się w bal w Tworkach, podczas którego ludzie zmieniali się w tańczących derwiszy, wspominał Makuszyński: „Bogowie latali na halnych wiatrach, a ludzie pili wódkę”. Wybuchały wielkie i dozgonne miłości kończące się wraz z upływem lata i nawiązywały się przelotne romanse, których efekty objawiały się po dziewięciu miesiącach. A potem sezon się kończył, miasteczko zapadało w senną codzienność, ludzie leczyli obolałe wątroby i oplakiwali miłosne zawody... Aż do następnego razu: „I znowu »sezon«, i znowu rozpacz, i tak *da capo senza fine*”.

Któregoś roku redaktorzy „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” zapytali Makuszyńskiego, co nowego pisze.

– Powieść – odparł pisarz, który właśnie wrócił z wakacji spędzonych w dwu górskich kurortach.

– Jaką? – dążyli.

– Dla dzieci. Po tym, co widziałem w Krynicy i Zakopanem, sądzę, że w najbliższym czasie będzie urodzaj na dzieci. Trzeba być przewidującym.

Od początku lat trzydziestych stosunki Makuszyńskiego z Zakopanem układały się już bardzo dobrze. Miasto zaczęło o siebie dbać, a felietonista pozwolił wypłynąć na powierzchnię wrodzonej łagodności. W uchwale z marca 1931 roku o nadaniu Makuszyńskiemu honorowego obywatelstwa Zakopanego pisano już – i to wielkimi literami – o Miłośniku i Przyjacielu Zakopanego i Tatr oraz o głębokiej wdzięczności Rady Miejskiej za zasługi pisarza dla rozwoju osady. A on, dziękując, powtórzył to, co już wcześniej niejednokrotnie mówił i pisał:

– Wielu ludzi kocha Zakopane, lecz nikt go nie kocha szczerzej i wyżej niż

ja.

Parę miesięcy później został członkiem Związku Górali i otrzymał honorową zakopiańską ciupagę. A kiedy pierwszy raz zjechał pod Giewont jako honorowy góral, na dworcu witano go jak najdostojniejszego gościa. Zagrała mu kapela Bartusia Obrochty, powóz, którym jechał z żoną, poprzedzali konni, a przed pensjonatem czekała, jak na młodożeńców, brama powitalna.

– I wieźliśmy go z paradą przez miasto do Oazy – wspominał Franciszek Pawlica.

Tygodnik „Zakopane” opublikował mowę doktora Jana Galarowskiego, który podczas uroczystości nadania Makuszyńskiemu godności honorowego górala przywołał w laudacji dialog dwóch zakopiańskich dorożkarzy:

– Hej, bracie! Cy ty wiesz, wto to Makuszyński?

– Moze jaki minister z Warszawy?

– Eh, co ta minister, Makuszyński wiencyj znacy jako syćka ministry!

Makuszyński wzruszył się tak bardzo, że nie mógł wydusić słowa. Dopiero kilkanaście dni później w liście otwartym do Związku Górali dziękował ludziom zawsze wolnym, niehandlującym ani sercem, ani duszą, o zbójnickiej, nieustraszonej, rycerskiej odwadze, niezłomnej dumie i jasnym spojrzeniu, że przyjęli go do swojej rodziny i dopuścili do braterstwa. Prosił, żeby i jego nauczyli tej góralskiej odwagi, dumy i szlachetnego męstwa, żeby mógł być tego braterstwa godnym. Tylko tego brakowało mu bowiem, by z przekonaniem powiedzieć: „Jestem z tobą jednej krwi, o bracie!”.

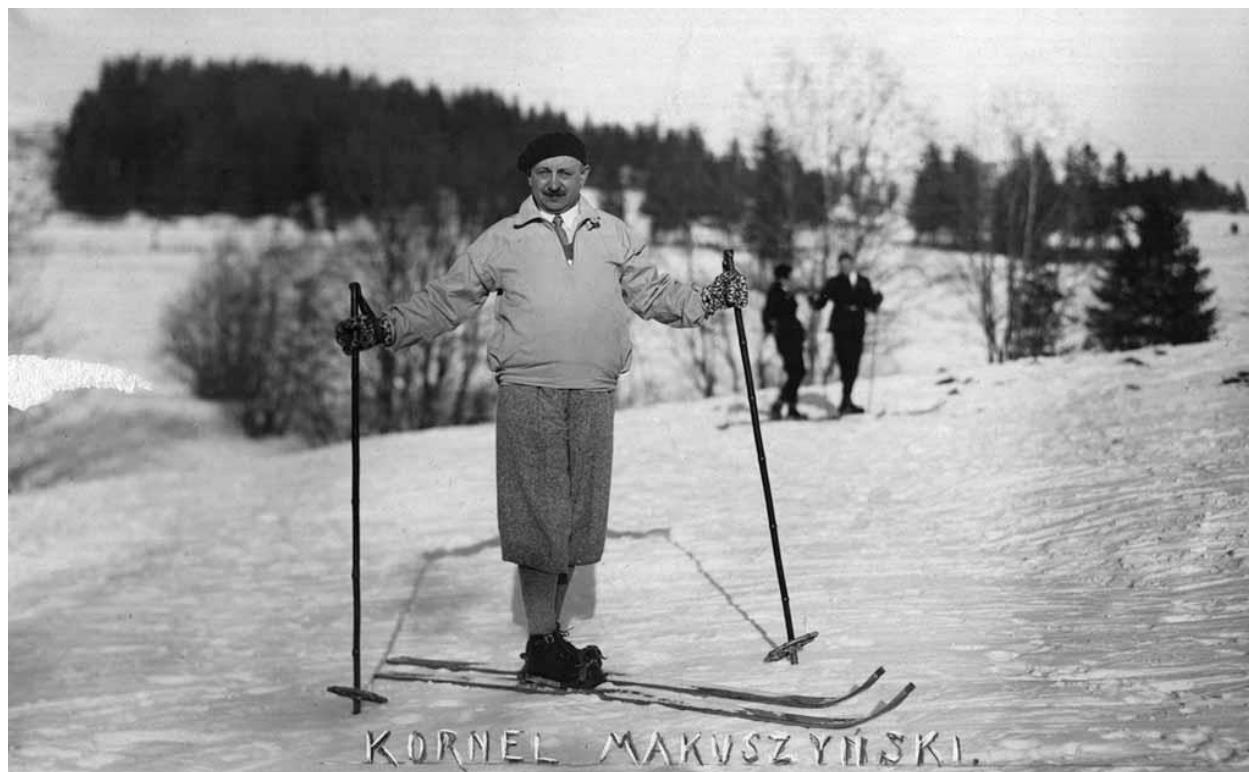
„Cyrułik Warszawski” opublikował rysunek Feliksa Topolskiego przedstawiający Makuszyńskiego w góralskim stroju, z ciupagą w jednej ręce, z butelką w drugiej i z podpisem: „Dziwuje się Giewont / Patrzą skalne ściany – / Bo Kornel gra w bridża / W portkach „cyfrowanych” / [...] Kuma Gubałówka / Mówi do Nosala: / »Jeszcze nie widziała / Takiego górala«”.

„Gwarą naszą mówił znakomicie i chętnie. Na weseliska chodził. Na wieczornicach góralskich moc razy był” – opowiadał Pawlica.

W 1936 roku uruchomiona została kolej linowa na Kasprowy Wierch. Na dolnej stacji wyciągu od rana tłoczyli się turyści, czekający na wywiezienie na szczyt, i to za spore pieniądze. Ale Makuszyński nie musiał płacić. Jak kilka innych zasłużonych dla Zakopanego osób dostał na kolejkę darmowy bilet, i to „po wieczne czasy”.

„Zaczął patronować imprezom sportowym, fundować nagrody itd. Równocześnie jego honoraria autorskie rosły” – wspominał Makuszyńskiego zakopiański historyk, krytyk i taternik Zygmunt Leśnodorski. Od 1930 roku puchar imienia pisarza wręczany był za tryumf w narciarskim biegu z przeszkodami (zawodnicy skakali przez krzaki i rowy, musieli pokonywać tunele i skocznie), organizowanym przez Towarzystwo Sportowe Wisła Zakopane. Makuszyński

chętnie przyjeżdżał na zawody swego imienia, lubił się fotografować w narciarskich pozach, ale nie czuł się na nartach zbyt pewnie. „Jako narciarz jestem prostak, / Brzuch zbyt wiatrem mam wydęty” – pisał.



„Jako narciarz jestem prostak, / Brzuch zbyt wiatrem mam wydęty” – pisał.

– Kiedy się zbliżał, rosły głosy: „Makuszyński idzie” – opowiadał Tadeuszowi Bocheńskiemu jeden z działaczy Wisły.

W końcu został nawet honorowym prezesem klubu. Wręczał zwycięzcom nagrody (dodatkiem były zawsze jego książki z odręczną, rymowaną dedykacją), a potem jeszcze opisywał wszystko w gazetach. W wierszykach, które wpisywał do książek, zachowały się nazwiska największych polskich narciarzy, olimpijczyków, Bronisława Czecha i Stanisława Marusarza: „Zanim na wietrze swe rozpoczniesz jazdy, / Zanim się w śniegu białym umorusasz, / I zanim w górę skoczysz, aż pod gwiazdy, / Patrz, jak to czyni Stanisław Marusarz”.

Marusarz wspominał epizod po przegranych zawodach. Miał kilkanaście lat, na mecie był zły i chciało mu się płakać. Wtedy podszedł Makuszyński.

– Ciesz się, że przegrałeś, gdybyś wygrał, byłbyś już najlepszy, już nie musiałbyś być lepszy od siebie, a tak wszystko jeszcze przed tobą.

Czterokrotny olimpijczyk, a w czasie wojny kurier tatrzański, zapamiętał te słowa na zawsze. Podobnie jak jego siostra Helena, którą Makuszyński zachęcił do udziału w zawodach, choć na starcie stanęli sami chłopcy: „Nie becz, będziesz

dobra”. Była siódma na kilkuset uczestników.

Oprócz fundowania nagród pisarz organizował też wśród znajomych i kuracjuszy zbiórki pieniędzy na sprzęt narciarski dla dzieci z ubogich rodzin, których wśród górali nie brakowało. Przeobraził się w wielkiego jałmużnika, wspominał Włodzimierz Wnuk, wtedy uczeń zakopiańskiego gimnazjum. „Warunek był tylko jeden: trzeba było się dobrze uczyć, inaczej nart się nie dostało”.



„Przeobraził się w wielkiego jałmużnika” – wspominał Włodzimierz Wnuk. Kornel Makuszyński wśród góralskich dzieci, które dzięki niemu otrzymały narty.

W opowiadaniu *Czarnooki opryszek* Makuszyński opisał chłopca, który przyszedł któregoś dnia do jego mieszkania i bez ceregieli zażądał: „Dajcie narty!”. Pisarz wyrzucił smarkacza za drzwi, ale zaintrygowany niespotykaną wcześniej bezczelnością postanowił dowiedzieć się, kim jest. W szkole powiedzieli mu, że to łobuz większy niż inni, uczyć mu się nie chce, ale pięknie tańczy i śpiewa po góralsku. Zaryzykował i kazał mu dać narty. Chłopiec po jakimś czasie stał się najlepszym uczniem w klasie.

Wnuk, sam zakopiańczyk, po wojnie pisarz i publicysta „Tygodnika Powszechnego”, wspominając po latach działalność Makuszyńskiego w Zakopanem, dopisał pointę do tej historii. Prawie dwadzieścia lat później, było już po II wojnie światowej, do siedzącego w restauracji Makuszyńskiego podeszła

góralka i pogłaskała go po ramieniu:

– To za mojego męża, tego „czarnookiego opryszka” – powiedziała.



„Uśmiechnij się do bliźniego, a bliźni nie tylko zdejmie płaszcz, ale serce

wyjmie z piersi i ofiaruje ci je na dłoni” – pisał. Na zdjęciu z psem Kibicem.

A Wnuk dodał: „z którego z biegiem czasu wyrósł jeden z mistrzów polskiego narciarstwa”.

Uczniowie zakopiańskiego gimnazjum znali pisarza przede wszystkim z książek, ale we wrześniu 1929 roku dostali od Makuszyńskiego długi, wzruszający list. Pisał, jak bardzo zmienia się Zakopane, kiedy uczniowie wracają z wakacji i na ulicach zaczynają się dzikie wrzaski, hałas jak na góralskim weselu i trzęsienie ziemi, a cisza kryje się na dziesięć miesięcy gdzieś wysoko w górach. Ale potem wyłożył młodemu swoje życiowe credo. Przekonywał, że nie ma ludzi złych, są tylko nieszczęśliwi. Dlatego przed każdym trzeba otworzyć serce, podchodzić z uśmiechem i miłością. „Uśmiech wszystkie wyrównuje sprawy” – pisał.

Przypomniał też przypowieść o zakładzie między wiatrem a słońcem o to, kto jest silniejszy i więcej może zdziałać. Wiatr postanowił zerwać płaszcz z przechodnia. Ale im bardziej wyl, dmuchał i szarpał, tym mocniej człowiek przytrzymał swoje okrycie. Wreszcie wichur zrezygnował. Wtedy zaświeciło słońce, mocno, żarliwie, gorąco, a człowiek sam zdjął płaszcz. „Oto cała sztuka. Uśmiechnij się do bliźniego, a bliźni nie tylko zdejmie płaszcz, ale serce wyjmie z piersi i ofiaruje ci je na dłoni” – radził uczniom.

„To chyba jeden z najpiękniejszych utworów Kornela Makuszyńskiego” – wspominał Włodzimierz Wnuk. Tak mógł przemówić do młodzieży tylko pisarz, który miał słońce w herbie, a miłość w sercu, dodał.

Makuszyński spędzał w Zakopanem coraz więcej czasu, przyjeżdżał na kilka tygodni, a czasem dłużej. Ale wolał miesiące poza sezonem. Ponieważ w sezonie cała Warszawa jeździła do Zakopanego, on zostawał, żeby w Zakopanem nie być w Warszawie. Dopiero kiedy Warszawa wróci z Zakopanego do Warszawy, on wyjedzie z Warszawy do Zakopanego. „Jest to nieco zawile, lecz sens ma głęboki” – tłumaczył.

Poza wszystkim zapewne po prostu nie chciał być wplątywany w towarzyskie spory i konflikty, które w sezonie przenosiły się ze stolicy do Zakopanego. Irytowało go to. Napisał nawet złośliwy felieton o niesnaskach w pensjonacie Harenda, gdzie mieszkał, ale nie pomogło. Marusia, wdowa po Janie Kasproviczu, była skonfliktowana z pozostałymi lokatorami, też znajomymi Makuszyńskiego, i każdy próbował przeciągnąć go na swoją stronę.

Makuszyńskiego znali w Zakopanem wszyscy. Jedni z kawiarni, do których jak w Warszawie zaglądał każdego dnia. Inni z imprez sportowych, przede wszystkim narciarskich, podczas których zwracał powszechną uwagę. Większość – z Krupówek, przez które szedł, odpowiadając na ukłony z lewa i prawa. „Już z daleka można było rozpoznać charakterystyczną, dużą łysą głowę i jakby lekko

pasowe oblicze” – wspominał Włodzimierz Wnuk. „Przechadzał się w splendorze po Krupówkach i kłaniał z umiejętnością podkomorzego, połączoną z kunsztem ochmistrza własnego dworu. Możliwym słał pocałunki przez jezdnię wraz z czołobitnym pokłonem i omalże nie z obłapieniem za nogi, pokurczom i gołocie takie sobie od niechcienia machnięcie ręką lub jednym okiem” – zapamiętał Rafał Malczewski. „Prowadził regularny tryb życia, przed południem intensywnie pracował w pensjonacie, po obiedzie wstępował do »Morskiego Oka« na czarną kawę, później szedł do Karpowicza na brydża” – napisał Henryk Worcell.

Któregoś dnia Makuszyński zaprosił Worcella do swojego stolika. Chciał poznać autora wydanej w 1936 roku pod pseudonimem (naprawdę nazywał się Tadeusz Kurtyka) głośnej powieści *Zakłete rewiry*. Skandalistę, który „zhańbił polski przemysł gastronomiczny i obraził wszystkich, od największych restauratorów po najskromniejszych pikolaków”. Worcell pochwalił się, że oczywiście dobrze zna książki starszego pisarza, więc od razu zdobył jego sympatię. Było to tuż po tym, jak poznańscy kelnerzy opublikowali w prasie protest przeciwko *Zakłętym rewiram*, żądając wycofania książki z księgarń w całej Polsce. Makuszyńskiego bardzo to rozbawiło i obiecał nawet, że napisze o Worcellu w „Kurjerze Warszawskim”. Felieton miał mieć tytuł *Dzielny chłopiec*.

– Doooooobrze – zgodził się Worcell nieco wyniośle.

„Tak jakbym powiedział: »Dobrze, co mi to szkodzi, niech pan pisze«” – wspominał po latach. Pożegnał się, poszedł do innego stolika i... szybko tego pożałował. Ktoś powiedział mu później, że Makuszyński był trochę zgorszony tym, że debiutant nie docenił jego życzliwości. I nie napisał obiecanego felietonu. Worcell tłumaczył się, że był rozpuszczony i zdezorientowany reakcją na swój debiut. Wcześniej pisali już przecież o nim Juliusz Kaden-Bandrowski, Witold Gombrowicz, Kazimierz Wyka, Zygmunt Nowakowski, pisarze i krytycy o równie głośnych nazwiskach, więc myślał, że tak po prostu jest zawsze. Jeśli chce napisać także Makuszyński, to niech pisze. „Oj, panie Kornelu, gdybym pana teraz spotkał...” – żałował ponieważ.



„Zaczął patronować imprezom sportowym, fundować nagrody itd. Równocześnie jego honoraria autorskie rosły” – wspominał Makuszyńskiego Zygmunt Leśnodorski. Z Marianem Dąbrowskim, szefem „Ilustrowanego Kuriera Codziennego”, na stadionie w Zakopanem.

W wybudowanej przez doktora Józefa Knosagę willi Opolanka przy ówczesnej ulicy 29 Listopada (dziś Kazimierza Przerwy-Tetmajera 15) Makuszyńscy zamieszkali po raz pierwszy w roku 1934. Odtąd miało tak być już zawsze, przyjeżdżali do Opolanki latem i zimą, a po wojnie zamieszkali w niej na stałe.

W jednym z ostatnich wywiadów pisarz mówił:

– Sienkiewicz powiedział, że każdy ma dwie ojczyzny, własną i Włochy. Ja miałem dwa miasta: Warszawę i Zakopane, więc kiedy mi wszystko uleciało z wiatrem, gdzież się miałem schronić?

VII

Dama chodzi sama, czyli szlem bez czterech

Zapytany, czy grywa na fortepianie, Makuszyński odrzekł:

– Rzadko, bardzo rzadko, nie lubię, jak mi się karty ślizgają...

Był zapalonym brydżystą. Może sobie, kto chce, narzekać, że świat dał się opętać namiętności, jaką jest gra w brydża, ale nie wymyślono jak dotąd rozrywki lepszej, napisał. To gra mądra, inteligentna i przyjemna, choć wyłącznie dla ludzi mądrych, inteligentnych i... przyzwoitych.

„Oto Kornel Makuszyński, już wtedy przygarbiony, idzie w dół Krupówek – wiadomo, że nie do kościoła na nieszpory, lecz do Karpowicza na codziennego brydża” – wspominał Zakopane z lat trzydziestych XX wieku Henryk Worcell. Przychodzili do Karpowicza przedsiębiorcy, adwokaci i artyści. Grube ryby i płotki. Wśród nich właściciel fabryczki wody sodowej, „impotent o brzydkiej twarzy, lecz czułym sercu”, którego zapamiętał malarz Rafał Malczewski.

Brydżowe seanse z udziałem Makuszyńskiego w innym miejscu, w klubie nad restauracją Trzaski, opisał krakowski krytyk i tatarnik Zygmunt Leśnodorski. Na dole w rytm muzyki wygrywanej przez jakiś jazz-band podrygiwali stłoczeni do granic możliwości zwykli ludzie. Na górze do ustawionych w dwa szeregi kanciastych stolików zasiadali brydżyści! Niezależnie od wiejącego halnego i szalejących nad regłami burz i śnieżyc. Ci, którzy dopiero czekali na partnerów albo którym brakowało czwartego do rozpoczęcia gry, zajmowali miejsca na miękkich kanapach pod ścianami i nudzili się, przerzucając stopy czasopism. Przecież i tak nie mogło być w nich nic równie interesującego jak brydż.

Monotonnemu szmerowi kart rzucanych na blaty stolików i stereotypowym odzywkom brydżystów towarzyszyły tylko dochodzące z dołu głośniejsze dźwięki saksofonu, skrzypiec czy fortepianu. I tak było każdego popołudnia i wieczora: „Zawsze jednak tłoczyła się cizba na dole i licytowano szlemiki na górze”. Aż do dnia, w którym gracze spotykający się dotąd osobno u Karpowicza i u Trzaski połączyli siły i zniknęło wreszcie niebezpieczeństwo braku czwartego do brydżowej rozgrywki. W Klubie Brydżowym powstałym w hotelu Morskie Oko na Krupówkach bywali już wszyscy bez wyjątku. Premierzy i generałowie, ministrowie i wojewodowie, poeci i malarze, katolicy i żydzi. Zachodził słynny adiutant Piłsudskiego, pułkownik, a wkrótce generał, Bolesław Wieniawa-Długoszowski, uwielbiający brydża Antoni Słonimski, magnat prasowy i redaktor „Ilustrowanego Kuriera Codziennego” Marian Dąbrowski, rotmistrz Henryk Dobrzański, czyli przyszły Hubal, rewolucyjny poeta Władysław Broniewski, właściciel Firmy Portretowej Stanisław Ignacy Witkiewicz, a nawet Karol Szymanowski, który grał raczej kiepsko, ale mimo to wszyscy go lubili.

Jednym ze stałych bywalców i filarów Klubu został Kornel Makuszyński, brydżysta klasy najwyższej, niedościgły – co przyznawali nawet konkurenci – zarówno w licytacji, jak i rozgrywce. Pamiętał dokładnie, jakie karty już zeszedły, który z graczy kiedy i jaką rzucał na stół, więc łatwo mógł wywnioskować, co komu jeszcze zostało w ręku. Bywało, że pod koniec rozgrywki, gdy inni gracze chronili przed wzrokiem przeciwników ostatnie trzy karty, Makuszyński oznajmiał: pan ma waleta pik, piątkę i dwójkę karo, a pan dziesiątkę atu, asa i damę trefl. „Zgadzało się zawsze” – wspominał Leśnodorski. Śmiałość impasów Makuszyńskiego graniczyła z zuchwałością. Grał precyzyjnie jak maszyna. Najstarsi bywalcy klubu nie pamiętali, by kiedykolwiek zmarnował okazję wylicytowania szlemika albo zostawienia przeciwników „bez trzech”.

„Był ulubieńcem karciarzy, choć nie lubił przegrywać” – zapamiętał Rafał Malczewski. Jego stolik otaczał zwykle wianuszek kibiców, których nic nie było w stanie wyleczyć z pokusy podglądania gry mistrza. Ani jego felietony, pełne pogardliwych słów pod adresem tych pseudokibiców, ani antykibicowskie napisy, umieszczone na ścianach przez gospodarzy Klubu nie zrażały oglądaczy. Stolik Makuszyńskiego przypominał obraz Rembrandta *Lekcja anatomii doktora Tulpa*: „Grono adeptów medycyny z nabożeństwem patrzy, jak uczony anatom wykonuje sekcję” – pisał Leśnodorski. Złośliwą satysfakcją obserwatorów i kaskady śmiechu wzbudzały zwłaszcza te nieliczne momenty, gdy mistrz jednak przecenił połączoną siłę kart swoich oraz partnera i „leżał bez czterech z kontrą i rekontrą”.

Ludzkość potrafiła poradzić sobie z najgorszymi plagami, pisał Makuszyński, nawet z dżumą i szcurami, a brydżowym kibicom nie dała rady. Bo kibic to licha imitacja człowieka, zmora podstępna, chytra, jadowita, dokuczliwa i kłamliwa, choć skryta za anielskim uśmiechem, miłością w oczach i słodyczą płynącą z ust. Kibic jest jak karaluch w czekoladzie, dziura w moście, truteń w ulu, trujący grzyb w barszczu. Nawet wyrostek robaczkowy ma jakieś uzasadnienie, tylko kibice, zwłaszcza brydżowi, są na świecie zbędni całkowicie. W jednym z felietonów opublikowanych w „Kurjerze Warszawskim” umieścił katalog kibiców. Był kibic krety, kibic prowokator, kibic lustro, kibic cynik, kibic awanturnik, kibic fałszywy świadek, kibic dżuma i jeszcze kilkunastu innych, choć jego zdaniem odmian było co najmniej kilka tysięcy. Dlatego kodeks karny powinien zostać uzupełniony o przepis uwalniający od wszelkiej kary każdego brydżystę, który pozbawi życia kibica „środkiem gwałtownie lub też powolnie działającym”.



Słynny tenor Jan Kiepura (na zdjęciu w 1933 roku) grywał z Makuszyńskim w brydża. Pisarz użył też jego nazwiska jako synonimu gracza, który nie może wytrzymać nawet chwili bez nucenia pod nosem stale tego samego kawałka jakiejś pieśni. „Ilustrowany Kurier Codzienny” / NAC.

Sam Makuszyński uważał się za brydżystę doskonałego i nie krył pogardy dla niedzielnych graczy, którzy całkowicie bezpodstawnie uważają, że grają najlepiej na świecie. W dodatku obrażają prawdziwych brydżystów dowcipnymi, w swoim mniemaniu, powiedzonkami w rodzaju: „trefelki, kolorek niewielki”, „karo, panno Klaro”, „tylko gra w piki daje wyniki”, „dama chodzi sama”, „as bierze raz”, „karta lubi dym” czy „as na warcie – diabeł w karcie” (w wersji dla brydżystów mężczyzn: „g.... w karcie”), czyli tzw. plaża, brak innych figur i atutów. A przecież wiadomo, że podczas nawet najdłuższej nocy przy stoliku brydżycie wystarczy nie więcej niż dziesięć słów. I tak partnerzy doskonale go rozumieją.

Ale samym brydżystom też się dostało. W felietonie *Historia naturalna brydżystów* Makuszyński przedstawił katalog wielbicieli tej gry w karty, spośród których niewielu dałoby się zakwalifikować jako całkowicie zdrowych psychicznie. Był więc brydżysta d'Artagnan, awanturnik i ryzykant wbrew logice. Był Tartuffe, czyli Świętoszek, wylewający fałszywe łzy nad kimś, kogo przed chwilą złupił do ostatniej złotówki. Był Papkin, przechwalający się, gdzie grywał i z kim, oczywiście, zawsze wygrywając! Był Einstein, który nigdy nie przyjmował do wiadomości, że zagrał jak noga, wszak „wszystko jest względne, proszę pana”. Był Sokole Oko, mający nieodpartą potrzebę ukradkowego sprawdzania, co też przeciwnik ma w kartach. Był Kauzyperda, który jak na prawnika, zwłaszcza nieudolnego, przystało, nigdy nie przyznawał partnerowi racji. Był Rebbe, który posiadał wszystkie rozumy i gotów był dzielić się swoją mądrością z innymi, niezależnie, czy ktoś chciał go słuchać, czy nie. Był Kiepura, czyli gracz, który nie mógł wytrzymać nawet chwili bez irtującego nucenia pod nosem stale tego samego kawałka jakiejś pieśni lub arii. Był brydżysta Piccard, który jak rajdowiec podczas wyścigu nigdy nie pozwalał się przelicytować, choć efektem brawurowej licytacji była zwykle sromotna porażka. Był wreszcie Edison, który podczas gry nie respektował żadnych reguł, bo właściwie dlaczego miałby respektować, skoro w każdej chwili mógł wymyślić własne, o wiele doskonalsze i bardziej skuteczne. I było jeszcze kilkunastu innych, w większości szaleńców, oszustów i kretynów, z którymi jednak każdy chcący grać w brydża musi przestawać, bo w końcu normalnych ludzi wśród brydżystów nie ma, a z kimś grać trzeba.

Kiedy więc powstał w Zakopanem oficjalny Klub Brydżowy, Kornel osiadł w nim na stałe. „Z małą przerwą na sen i inne drobne czynności” – wspominał Rafał Malczewski. Jeden z brydżowych seansów miał ponoć trwać trzydzieści

sześć godzin. Makuszyński grał i cały czas opowiadał dowcipy.

VIII

W warszawskich kawiarniach i teatrach

W latach dwudziestych najczęściej można było zastać Makuszyńskiego w Astorii, ale pojawiał się także w innych miejscach. Przede wszystkim w słynnej cukierni Lourse'a, nazywanej przez lata giełdą plotek. Mieściła się w Hotelu Europejskim, na rogu Krakowskiego Przedmieścia i Czystej (dziś Ossolińskich). Gromadził się tam świat aktorski i literacki, bywali uczeni i przemysłowcy, prawnicy i politycy. Schodzili się w południe, by wymienić najnowsze plotki, wypić kawę, czarną lub ze śmietanką, uzgodnić szczegóły intratnego interesu czy omówić pomysł na książkę. Lourse był bardziej wytworny niż Ziemiańska skamandrytów i bardziej „na szlaku”, przez co gromadził publiczność mniej może artystyczną, ale bogatszą i zdecydowanie bardziej snobistyczną.

Makuszyński miał do Lourse'a niedaleko, redakcja „Kuriera Warszawskiego” mieściła się po drugiej stronie Krakowskiego Przedmieścia. Siadywał przy stoliku Mieczysława Frenkiela, zażywającego już wtedy sławy największego aktora komediowego polskiego teatru. Trzecim kompanem był, aż do śmierci w 1930 roku, dramaturg Włodzimierz Perzyński. To od tego stolika Makuszyński miał zanucić na widok Juliusza Germana, autora powieści *Iwonka*, bijącej właśnie rekordy w ilości wyciśniętych pensjonarskich łez: „Nie będzie German pluł nam w twarz, ni dzieci nam iwonił”. Oczywiście na melodię *Roty*.

To także u Lourse'a rzuciła się na Makuszyńskiego kilkudziesięciosobowa wycieczka szkolna. Rozpoznawszy w siedzącym na werandzie mężczyźnie ulubionego pisarza, młodzież postanowiła obsypać go kwiatkami i złożyć mu wyrazy uwielbienia.



Protestował przeciwko nazywaniu go smutnym humorystą. „Tak mogą o mnie myśleć tylko ludzie smakujący smętek jak narodową potrawę” – mówił w rozmowie z „Wiadomościami Literackimi”.

Coraz częściej Makuszyński zaglądał też do restauracji Europejskiej w tym samym hotelu. Tam codziennie o dwunastej w południe schodzili się bywalcy, wśród nich legenda polskiego teatru Ludwik Solski. Zasiadali przy zsuniętych zawczasu stołach, zarezerwowanych dla panów artystów. Informował o tym dwuwiersz ułożony przez Makuszyńskiego:

Odejdź stąd, miły gościu, i opuść te stoły,

Albowiem je zasiada Solski z przyjaciół.

Inną knajpkę z tamtego czasu wspominał w „Przekroju” Jan Krusz. Mieściła się przy ulicy Świętokrzyskiej, za skrzyżowaniem z Nowym Światem. Tam właśnie, „na górce u Gettla”, królował Makuszyński, przekonując kompanów przy stole, że wino, zwłaszcza szlachetne, to nic innego jak „zabutelkowane słońce”. Obok siadywali zaproszeni przezeń goście. Endecki publicysta i największy przeciwnik skamandrytów Adolf Nowaczyński (to o nim rozżłoszczony atakami Słonimski napisał: „Rudy do budy”). Wacław Grubiński, krytyk teatralny i dramatopisarz. Pisarz i podróżnik Antoni Ferdynand Ossendowski, wtedy po

Sienkiewicz najczęściej tłumaczony polski pisarz. Karykaturzysta i rysownik Kamil Mackiewicz, autor (wspólnie ze Stanisławem Wasylewskim) pierwszego polskiego komiksu – *Ogniem i mieczem, czyli przygody szalonego Grzesia*, publikowanego w lwowskim tygodniku satyryczno-politycznym „Szczutek”.

– Jak się masz, Kamilu, byłeś u kardynała Kakowskiego? – powitał Makuszyński wchodzącego do knajpki grafika.

– Ja? – zdziwił się Mackiewicz, nie wiedząc, czegoż miałby od niego chcieć metropolita warszawski i prymas Polski w jednej osobie.

– Jak to? Wczoraj zapewniano mnie, że dostałeś zaproszenie do katedry na Wielki Czwartek w charakterze dwunastego dziada do mycia nóg... – zawołał Makuszyński, zadowolony, że znów udał mu się dowcip.

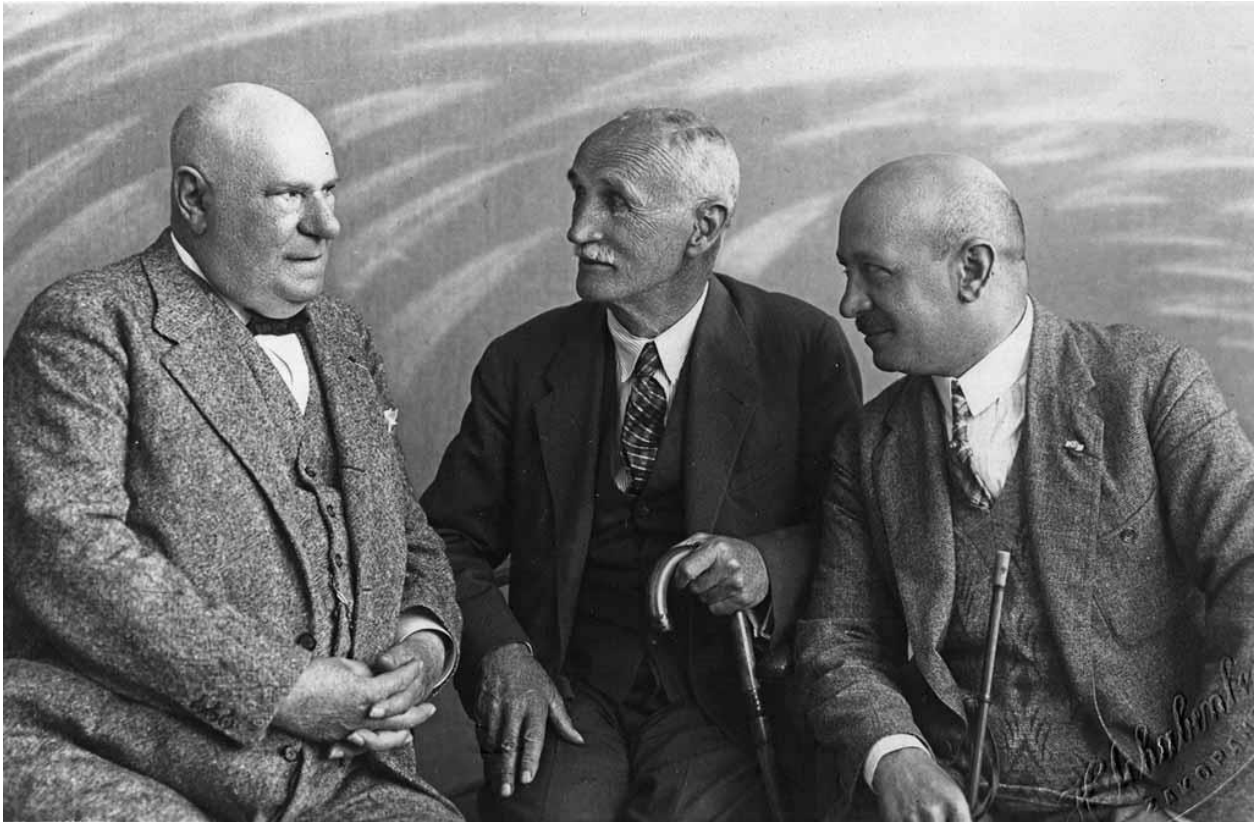
Mackiewicz, przyzwyczajony zapewne do kpin, uklonił się przechodzącej obok dziewczynie, „uroczej prowincjonalnej primadonnie”. A Makuszyński nie zmarnował okazji do kolejnego żartu.

– A jednak kobiecie rzadko się coś uda, nawet uda – rzucił.

Każdy ze znajomych musiał się liczyć z tym, że stanie się obiektem dowcipu. Ossendowski opowiadał kiedyś, jak to podczas podróży na Syberię jadł smażone kotlety z mięsa mamuta znalezionego w wiecznej zmarzlinie, Makuszyński przerwał:

– Ale takim mamutem to się jednak przesiąka. Antosiu, opowiedz lepiej, jakżeś to na Cejlonie doił słonie, to ciekawsze niż twoja „żywa bujda”.

Kpina dotyczyła sztuki Ossendowskiego *Żywy Budda*, która właśnie zaliczyła w teatrze spektakularną klapę.



W restauracji Europejskiej codziennie o dwunastej w południe i zawsze przy tym samym stoliku zbierali się stali bywalcy. Od lewej: aktor Mieczysław Frenkiel, malarz Julian Fałat i Kornel Makuszyński, 1928.

Uwiecznił za to Ossendowskiego w drugim tomie komiksu opisującego awantury i wybryki małej małpki Fiki-Miki. Małpka i towarzyszący jej Murzynek Goga-Goga znaleźli na pustyni zakopaną w piasku głowę, należącą – jak się okazało – do „sławnego podróżnika”: „Odkopali go czym prędzej, / Do murzyńskiej wiodą wioski, / A tam krzyczą – »Niech nam żyje / Pan profesor Ossendowski!«”.

Dowcipy Makuszyńskiego szły w miasto, powtarzano je z równym niemal smakiem jak żarty Tuwima i Słonimskiego z szopek noworocznych i kabaretowe zwischenruffy Qui-pro-Quo, a później Bandy.

Kiedy nuncjusz papieski w Polsce Achille Ratti został papieżem Piusem IX, Makuszyński ogłosił:

– To jedyny papież, który jeździł kolejką wilanowską.

O złotym młodzieńcu kręcącym się w literacko-aktorskim środowisku stolicy orzekł:

– On się utrzymuje z picia bruderszaftów.

Na widok kompozytora i dyrygenta Grzegorza Fitelberga, atakującego według Lechonia „jakąś damę w nie pierwszej już wiośnie”, scenicznym szeptem

rzucił:

– Ficio leci na tę Wandę jak na starą partyturę Bacha.

Kpił z przyjaciół, ale kiedy trzeba było, a miał pieniądze, ratował ich w potrzebie. I szybko zapominał o udzielonej pożyczce, wiedząc pewnie, że i tak nie ma co liczyć na zwrot długu.

– Masz tu, kochany Karolku, trzy ruble, to jednego rubla będziesz mi winny – powiedział przyjacielowi, który poprosił go o pożyczkę, oczywiście „na chwilę”, dwóch rubli. Waluty państw zaborczych były w obiegu jeszcze kilkanaście miesięcy po odzyskaniu przez Polskę niepodległości.

To wcale nie były, mimo żartów skamandrytów na temat skąpstwa Kornela, przypadki rzadkie. Świadczą o tym listy przechowywane w Muzeum Kornela Makuszyńskiego w Zakopanem.

„Drogi Kornelu, Wielki Makuszyński – pisał Jan Lechoń, zaklinając, szantażując śmiercią (własną), prosząc pokornie, błagając o pożyczkę piętnastu złotych, więc wcale nie mała: – „Jeśli je masz przypadkiem, a chcesz mnie nimi wesprzeć ze znanej wielkoduszności – uczyn to, uczyn to”.

Jan Krusz opisał wspólną wyprawę połączoną z biesiadą, w której uczestniczyli Makuszyński, Ossendowski i Reymont, świeżo upieczony noblista, z żoną. Wybrali się samochodem Krusza do Radomia, żeby spróbować specjałów serwowanych w tzw. handelku Wierzbickiego. Handelki to były niewielkie restauracje połączone ze składami win i towarów delikatesowych, zwykle sprowadzanych na wyłączność, więc dostępnych tylko w tym jednym miejscu. A radomski handelek Wierzbickiego znany był nawet w stolicy ze świetnego zaopatrzenia w wina i mocniejsze trunki oraz z wyśmienitych potraw, zwłaszcza jeśli zawierzyło się wyborowi i gustom właściciela. Wtedy pan Wierzbicki stawał na głowie, by gości zadowolić. A przyjmując noblistę i słynnego pisarza Makuszyńskiego, starał się szczególnie, kazał im przy okazji zgadywać, co też piją. I jak zwykle, ku satysfakcji gospodarza, prawie nikomu nie udało się odgadnąć nazwy trunku, tylko Makuszyński rozpoznał ulubione chianti.

Z radomskiej wyprawy Krusz zapamiętał złośliwość wobec Reymonta, tak naprawdę wymierzona w jego żonę – dość apodyktyczną i trzymającą męża krótko. Po kieliszku armaniaku podanym do czarnej kawy Reymont pochylił się do ucha żony, nieśmiało pytając, czy może postawić całemu towarzystwu drugą kolejkę doskonałego trunku. Pytał, choć po Noblu pieniędzy miał tyle, że mógłby kompanów kupić i nosić na dewizce od zegarka. Makuszyński nie wytrzymał i wypalił do Reymonta:

– Drogi przyjacielu, rycerze twego pokroju, spełniając toasty z pantofelka swej bogdanki, nie zawsze musieli pod nim siedzieć.

Lechoń wspominał spotkania u głośnej w II Rzeczypospolitej aktorki Heleny Sulimy, odtwórczyni roli Telimeny w pierwszej, niemej jeszcze ekranizacji *Pana*

Tadeusza: „U Heleny Sulimy mówiło się (»się« – tzn. ona, ja, Nowaczyński, Kornel) takie złośliwości, że kiedyś postanowiliśmy przerzucić się z ludzi na zwierzęta”.

Później żarty Makuszyńskiego krążyły już anonimowo po Warszawie. Jak ten o flądrze. Patrząc w sklepie na wyłożone na ladzie ryby, miał wziąć w palce jedną z najmniejszych i smutno pokiwać głową ze słowami:

– Spójrz, jak to jest: taka mała i już flądra!

Był popularny, miał pieniądze i wpływy w najważniejszych redakcjach, więc był też adresatem próśb, suplik, błagań, westchnień o pomoc, protekcję, wsparcie, szepnięcie życzliwego słówka. Więc pomagał, wspierał, protegował, szeptał. Zresztą bez specjalnego przymusu czy niechęci. Uważał, że skoro może pomóc, to powinien.

Pisali do niego debiutanci i autorzy od dawna obecni na literackim rynku, co prawda bez sukcesu, ale przekonani, że to skutek zмовy albo nikt jeszcze się nie poznał na ich talencie. Ale jeśli tylko „Kochany Pan Kornel” zechce, to na pewno ich droga do kariery stanie się prosta, szeroka i wygodna. Najczęstsze, i to już od czasów lwowskich, były prośby o interwencję w sprawie niewypłaconych honorariów. Gdyby „drogi pan Kornel” mógł, gdyby tylko zechciał, gdyby się postarał, sprawa na pewno od razu ruszyłaby do przodu, ku niewypowiedzianemu zadowoleniu i dozgonnej wdzięczności proszącego. A najlepiej, gdyby „najukochańszy Pan Makuszyński” sam udał się do administracji z telegramem w dłoniach, wydarł pieniądze i wysłał pozbawionemu środków do życia autorowi.

„Szanowny Panie, załączam dwa wiersze z pytaniem, czy znajdują przy okazji miejsce w »Rzeczpospolitej« na warunkach 5 marek od wiersza” – pisała Kazimiera Iłakowiczówna. Przy innej okazji proponowała cykl utworów za sumę dziesięciu tysięcy marek (odpisał, że niestety dziennika na to nie stać), to znów prosiła o poinformowanie czytelników „Rzeczpospolitej” o nowym tomie wierszy „dobrych dla dzieci i dla dorosłych”. Stanisław Przybyszewski zabiegał o protekcję dla „p. Włodzimierza Jevszawijewa (wychowany w Częstochowie – matka Polka)”, który zdradza istotny talent, więc warto mu pomóc, a on, Przybyszewski, niestety nie może.

Jan Parandowski prosił, by Makuszyński wstawił się za nim w administracji „Warszawianki”, bo ostatnio płacą mu tak źle, że odechciewa się pisać, a bardzo potrzebuje pieniędzy. „Wiem, że mi Pan jest życzliwy, i nie wątpię, że naciśnie Pan na administrację, by mi wysłała zaraz i jak najwięcej” (podkreślenia, mające uzmysłwić adresatowi tragiczną sytuację piszącego, pochodziły od Parandowskiego). Kiedy indziej chciał, żeby Makuszyński napisał parę słów o jego najnowszej książce *Eros na Olimpie*, bo to bardzo by jej pomogło, a gdyby jednak nie mógł, to niech choć opublikuje załączony felieton zaprzyjaźnionego filologa.

Parę miesięcy później prosił „Szanownego i Kochanego Pana”

o wstawiennictwo u redaktora naczelnego „Warszawianki” Stanisława Strońskiego, który nie zareagował na propozycję pisania przez Parandowskiego co tydzień felietonu literackiego. „Znając Pańską życzliwość dla mnie, proszę o łaskawe pośrednictwo w tej sprawie” – dodał. No, a gdyby jeszcze Makuszyński zechciał szepnąć komu należy słówko w sprawie ministerialnego stypendium na półroczny pobyt w Rzymie, o które zabiega Parandowski, to zrobiłby naprawdę dobry uczynek, a ewentualny stypendysta nigdy by o tej życzliwości nie zapomniał: „Jeden Pański telefon może więcej wskórać niż wszystko inne”. Jakiś czas potem dziękował za skuteczną interwencję i pomoc, bo lepszego orędownika nie mógłby znaleźć. Już z Włoch napisał, że chętnie posiedziałyby w Rzymie jeszcze choć kwartał dłużej, a tu ministerstwo w sprawie przedłużenia stypendium milczy niechętnie. Po powrocie zaś poprosił Makuszyńskiego o pomoc w umieszczeniu w „Warszawiance” cyklu dziesięciu–dwunastu artykułów o pobycie we Włoszech, a wreszcie o znalezienie mu w Warszawie, dokąd się właśnie przeprowadzał ze Lwowa, jakiejś posady, stanowiska doradcy literackiego w teatrze albo innego stałego zajęcia: cyklu felietonów albo recenzji teatralnych. „Powierzam tedy mój los w Pańskie ręce” – pisał, a kilka miesięcy później deklarował: „Wierzę, że jeśli mi Pan coś obmyśli, to już będzie najlepsze”.

Makuszyński zachęcił do pisania Gustawa Morcinka, nauczyciela ze Skoczowa na Śląsku Cieszyńskim, który wysłał mu swoją pierwszą książkę *Serce za tamą*. Zaczęli korespondować. Makuszyński poradził, żeby adept czytał przede wszystkim klasyków polskiej literatury: Kochanowskiego, Skargę, Krasickiego, Mickiewicza. A potem Prusa, Sienkiewicza, Żeromskiego. To dla początkującego pisarza najlepsi nauczyciele. „Jeszcze panu coś powiem. Pisać trzeba sercem. Sercem! – powtórzył z naciskiem” – wspominał Morcinek w opowiadaniu *Jak stałem się pisarzem*.

O wstawiennictwo prosił Makuszyńskiego także Karol Szymanowski, który wyjeżdżając do Ameryki, wziął dwa obrazy należące do Franciszka Bietkowskiego, by sprzedać je za oceanem. Płótna pochodziły z kolekcji, którą mecenas zgromadził, utrzymując lwowską cyganerię, więc nazwiska ich twórców w USA niewiele komukolwiek mówiły. „Jakże ja mu wytłumaczę – nieszczęsnemu – że nie ma takiego bałwana w New York, który by to kupił!” – żalił się Szymanowski, gdy właściciel obrazów nękał go coraz bardziej natarczywymi listami. Bietkowski domagał się pieniędzy za dzieła, które jego zdaniem powinny zostać sprzedane od ręki. A ponieważ według kompozytora Makuszyński był współwinny zamieszania, więc powinien wziąć go w obronę.

„Chcę po prostu poradzić się pana, czy warto, abym psuł nadal papier” – napisał w 1925 roku Bolesław Leśmian. Pytanie nie było pewnie całkiem poważne, bo o ocenę swojej twórczości prosił Makuszyńskiego poeta pięć lat od niego starszy, mający już na koncie kilka tomików wierszy. Ale też Leśmian, notariusz

z Hrubieszowa, choć doceniany jako poeta, nie był taką gwiazdą, ani literacką, ani towarzyską, jak adresat listu. Liczył na zrozumienie, przypominając Makuszyńskiemu, jak to kiedyś we Lwowie on sam trząsł się ze strachu, czekając na odpowiedź Kasprowicza. „Zechce pan uwierzyć, że oczekuję z niecierpliwością pańskiej odpowiedzi” – zakończył. Nawet jeśli sporo było w tym liście kokieterii, to był on też wyrazem uznania dla pozycji autora świeżo wydanych *Bezgrzesznych lat*.

Helena Mniszkówna, autorka bardzo poczytnych „romansów z życia wyższych sfer” (*Trędowatej* czy *Ordynata Michorowskiego*), żaliła się „szanownemu i drogiemu panu” na szydzących z jej książek krytyków: „Ostatecznie obolała od pocisków i grzmoceń różnego kalibru wycofałam się dobrowolnie z towarzystw literackich”. Karol Hubert Rostworowski, którego dziennikarze oskarżyli o „zbezczeszczenie Mickiewicza” w sztuce *Zmartwychwstanie*, skarżył się, że na warszawskiej premierze nie udało się zapełnić nawet połowy widowni. Dziękował Makuszyńskiemu, że nie tylko zrozumiał jego najlepsze intencje wobec wieszczki („chciałem wystawić mu żywy pomnik”), ale też stanął w jego obronie: „Czysta, psia wdzięczność dyktuje mi ten list. Bóg Ci zapłać”.

Wacławowi Olasikowiczowi z Tomaszowa proszącemu o protekcję w jakiejś redakcji, w której mógłby się zaczepić, Makuszyński odpowiedział, że w Warszawie sytuacja jest beznadziejna. W stołecznych redakcjach panuje niesłychany tłok, ciężko wepchnąć się w najmniejszą choćby szczelinę, a Wyższa Szkoła Dziennikarska dostarcza co roku armię nowych adeptów pióra. Będzie jednak rozmawiał w Zakopanem z redaktorem naczelnym „IKC-a” Marianem Dąbrowskim, to zapyta, czy nie potrzebuje korespondenta z Tomaszowa. „Potem byłoby łatwiej przyczepić Pana do wielkiej redakcji. [...] Może Bóg da co uzyskać” – pisał, dając młodemu człowiekowi nadzieję. Nie widział go wcześniej na oczy, czytał tylko jeden wiersz, który zresztą niezbyt mu się podobał, ale postanowił pomóc. Po wojnie Olasikowicz został dziennikarzem, opublikował kilka wspomnieniowych książek, między innymi z pobytu w sowieckich łagrach.

Redakcje różnych pism prosiły Makuszyńskiego o wypowiedzi na najdziwniejsze tematy w wymyślanych dla zwabienia czytelników ankietach. Mówił więc o konieczności oszczędzania (twierdził, że czytając w nocy, gasi światło nawet na tę krótką chwilę, kiedy przewraca kartki, więc nie rozumie, dlaczego nie zgromadził jeszcze wielkiego majątku). O kobiecej modzie (wiedział tylko, że kiedyś kobiety nosiły „biusthaltery”, a dziś wkładają zmysłowe wdzianka, zmieniające piersi, które można było kiedyś zawiązać w kokardę, w „cudowny dualizm”). O podbijającym szturmem polską publiczność kinie – jeszcze wtedy niemym – i szansach przetrwania teatru (uważał, że film, chcący być niemym teatrem, jest filmem złym, bo nudnym, więc teatr wyjdzie z tej wojny podjazdowej

zwycięsko). Mówił o tym, z czego żyją literaci, zwłaszcza zarabiający tak dobrze jak on (z czystej literatury daje się wyżyć najwyżej dwa dni w tygodniu, przekonywał, pięć pozostałych, tych gorszych, to dziennikarska, felietonowa orka). I oczywiście co najmniej kilka razy w roku musiał odpowiadać na pytanie, nad czym obecnie pracuje (najwięcej czasu zajmuje mu wydobywanie pieniędzy od wydawców, odpowiadał).



„Nieprzyjaciółka knajpy, wzięła go w karby mocnego zarządu domowego w Warszawie już i potem w Zakopanem” – ocenił drugą żonę Makuszyńskiego Stanisław Wasylewski. Pisarz z żoną Janiną w mieszkaniu przy Alei Róż, ok. 1929.

Dzienniki i tygodniki publikowały informacje o kolejnych jubileuszach i nagrodach dla pisarza, zapowiadały, kiedy wystąpi przed mikrofonami Polskiego Radia, gdzie wygłosi odczyt i w którym mieście spotka się z czytelnikami spragnionymi jego książek i obecności. Ujawniały też najbardziej pożądane przez czytelników pod każdą długością i szerokością geograficzną informacje – z życia prywatnego sławnego pisarza. O ślubie zawartym „przez znakomitego literata” z Janiną Gluzińską, o tym, w którym kurorcie spędza urlop (i że zdradził Zakopane, przyjeżdżając na dwa miesiące do Krynicy), oraz gdzie będzie witał Boże Narodzenie.



„Nie sposób było nie lubić Kornela ani wejść z nim w konflikty. Był bezgranicznie pogodny i ustępliwy” – napisał Antoni Słonimski. Warszawa, Aleja Róż, 1929.



„Kornel Makuszyński po przebyciu w ostatnich dniach anginy nie wychodzi jeszcze z domu, wskutek czego nie mógł być wczoraj w teatrze” – tłumaczyła brak recenzji z premiery redakcja „Warszawianki”. Warszawa, Aleja Róż, 1929.

JAK MIESZKAJĄ NASI GŁOŚNI PISARZE:

Kornel Makuszyński



Kornel Makuszyński w swym gabinecie przy pracy.

ZAMIESZCZAJĄC kilka tygodni temu kilka fotografii z wielkopolskiego mieszkania znanego literata Stanisława Waaylewskiego, wiedzieliśmy zgóry, że zadowolimy w ten sposób, narazie tylko w drobnej części, łatwo zrozumiałą ciekawość Naszych Czytelników, którzy czytając kłajdli rozgłoszonych pisarzy chętnieby także wiedzieć, jak oni u siebie w domu mieszkają. Nie zawiedliśmy się. Po owym numerze „Światowida” otrzymaliśmy cały szereg listów Naszych Czytelników, zachęcających nas do dalszego prowadzenia tego tematu. Czytelnicy Nasz wymieniali cały szereg nazwisk popularnych autorów, o których obrazu mieszkania się dopominają, najczęściej jednak pojawia się nazwisko p. Kornela Makuszyńskiego.

Nie dziwnego. Któs jest od niego w najszerszych sferach społeczeństwa polskiego popularniejszy, i to zarówno wśród najwytworniejszych czytelników, jak i wśród „amatorskich”. I trzeba przyznać, że w tej wyjątkowej popularności p. Makuszyńskiego jest dowód zdrowych zaprawnień społeczeństwa naszego. Jeżeli już w przedwojennych czasach p. Makuszyński był dodatnim czynikiem w naszej literaturze, to za jego społeczna wartość w dzisiejszych czasach jeszcze wzrosła. Wzrósł odczuwamy, że wśród miłostego niejednokrotnie chaosu dzisiejszej i ogólnoswiatowej i specjalnie polskiej doli potrzeba nam słonecznego optymizmu, któryby dodał nam sił do kroczenia naprzód ku promiennejszej przyszłości, ku której pochód już rozpoczęliśmy. Makuszyński we wszystkim, co pisze, jest właśnie takim życiodajnym promieniem słońca, rozjaśniającym szaryną teraźniejszość. Ma humor i śmiech zdrowy, ma dowcip niedrażniący, umie nie tylko potępić i narzekać, ale przedewszystkiem umie pokazać piękno i radość tam, gdzie bez niego przez zamglone nasze oczy nie dojrzelibyśmy jej, choć ona tam istotnie jest. I zato dzisiaj jest nie głośnym, ale najgłośniejszym pisarzem polskim.



Fragment gabinetu.



Fragment jadalni.

**DRUKARNIA
POLSKA
R. ZEMANKA**

W KRAKOWIE
UL. T. KOŚCIUSZKI
5-TELEFON 5255

**SREBRNY
MEDAL NA
P.W.K. 1929**

POLECI DOKONCIE
ILLUSTR. NAJ. CIELE
TRYSTY WYKONCIE
ESTETYCZNE-DOB
TWA TERMINOWA
CENY SŁODNE



Pałacyk przy Aleji Róż Nr. 14 w Warszawie, w którym mieszka Kornel Makuszyński.



Inny fragment gabinetu.

Czytelnicy pod każdą długością i szerokością geograficzną łakną informacji o życiu prywatnym sławnych ludzi. Zdjęcia z mieszkania Kornela Makuszyńskiego zostały opublikowane w tygodniku „Światowid” 1929, nr 46.

„Ilustrowany Kurier Codzienny” informował z dumą, że pisarz został stałym współpracownikiem pisma: „Porcja radości życia dla naszych czytelników”. „Warszawianka” kajała się w notce od redakcji, że w numerze nie ma recenzji z najnowszej premiery w jednym z teatrów: „Kornel Makuszyński po przebyciu w ostatnich dniach anginy nie wychodzi jeszcze z domu, wskutek czego nie mógł być wczoraj w teatrze”. Miarą popularności była okładka jednego z numerów tygodnika „Świat” w lutym 1930 roku: widniało na niej zdjęcie pisarza na nartach, w berecie, wiatrówce i pumpach. Podpis głosił: „Kornel Makuszyński – wschodząca gwiazda narciarstwa polskiego”.

Rosnąca sława powodowała, że ciągle ktoś prosił go o wsparcie jakiejś akcji, udział w kweście, apel o datki na „najsłuszniejszy oczywiście cel”. „Zawsze od kogoś możniejszego wycyganiam grosz lub setkę dla jakiejś biedoty. Nic też dziwnego, jeśli autor *Serca w herbie* wypisze odezwę do społeczeństwa z wezwaniem o ofiarność na jakiś cel, to ten cel ma w ręku jakby wielkiego szlema” – pisał Adam Grzymała-Siedlecki.

Bywało, że wykorzystywano jego nazwisko, by zwabić czytelników. W 1925 roku „Warszawianka” opublikowała list Makuszyńskiego, stwierdzający, że nie ma on nic wspólnego z „autorytatywnym przekładem” powieści H. H. Ewersa *Dama tyfusowa*, dokonany rzekomo przez „W. Makuszyńskiego”. Nie zna, nigdy nie spotkał nikogo ani nawet nie słyszał o kimś, kto nosiłby jego nazwisko, więc śmie twierdzić, że ów drugi Makuszyński to postać fikcyjna, a Instytut Wydawniczy Renaissance umieścił na okładce jego nazwisko tylko po to, by przyciągnąć czytelników. Jeśli W. Makuszyński naprawdę istnieje, niech się ujawni i podpisuje odtąd swoje prace całym imieniem, bo inaczej „W” przed nazwiskiem będzie znaczyło jedynie: „Wymyślony”, „Wynajęty”, „Widziadło”, „Widmo” albo „Wice”.

Bronił się, ale dla wydawców i tak najważniejsze było, że nazwisko Makuszyńskiego (nawet fałszywego) poprawiało sprzedaż.

W 1927 roku ukazała się broszura młodego lwowskiego poety Jana Zahradnika *Kornel Makuszyński we wklęsłym zwierciadle*. Niewielka objętościowo, bo ledwie dwudziestoparostronicowa (złożyły się na nią felietony drukowane wcześniej w „Kurierze Lwowskim”), ale pełna jadu. Autor zaczął łagodnie. W kraju, gdzie połowa ludzi nie umie (z nielicznymi wyjątkami) pisać książek, a druga połowa ich nie czyta, literat to synonim życiowego upośledzenia, porównywalny z żebrakiem, półgłówkiem i wykolejencem. Ale w tym samym kraju, gdzie najskuteczniej ośmieszają swój zawód sami literaci, pojawił się

fenomen. Człowiek, który zapełnił księgarskie półki dziesiątkami tomów swoich książek, a i tak czytelnikom ciągle ich za mało, człowiek, dla którego felietonów ludzie wykupują całe nakłady czasopism. Kornel Makuszyński! Pisarz, któremu pod względem popularności, a już na pewno dochodów, nie dorównują ani Żeromski, ani Prus. Literat tak bogaty, że minister skarbu, choćby nie wiadomo jak się starał, nie byłby w stanie ogołocić go z płynących szerokim strumieniem honorariów. Autor książek zarabiający nawet więcej niż aktorzy! „A trzeba pamiętać, że aktorzy są najlepiej nagradzanymi ludźmi w Polsce” – pisał Zahradnik.

Skąd to powodzenie, ten sukces, te pieniądze? Zahradnik postanowił sprawdzić, „jaką przedstawia wartość dzieło twórcze piewcy *Perła i wieprza*”, przykładając do jego sławy wklęsłe zwierciadło, w którym – jak pisał – widać w rysach może grubych i karykaturalnych, ale przez to bardzo wyraźnych, wszystkie cechy pisarstwa Makuszyńskiego. Dzięki temu zobaczyć będzie można, czego ludzie szukają w jego dziełach. Co przysparza mu pieniędzy, „a co nie każe nam jednak dzieł tych mu zazdrościć”?

Makuszyński tworzył początkowo sonety i oktawy, jak Staff czy Słowacki, ale przekonał się, że nie umie, więc przestał. Próbuje jeszcze czasem być lirykiem, ale tylko wtedy, gdy zapomni, że czytelnicy na jego brak talentu nabrać się nie dają, znęcał się Zahradnik. Jest za to dobrym retorem, który umiejętnością układania słów (czyli „gadaniną”) zdobywa doraźny poklask. Ale słowotwórcza sprawność bez prawdziwej treści uśmierca twórczość, co widać choćby w *Pieśni o Ojczyźnie*. I nie pomogło powtórzenie dwieście dziewięćdziesiąt sześć razy słów: Polska, Polak, polski! Jeśli więc Makuszyński lirykiem nie jest, bo nie potrafi, to po co wiersze liryczne w ogóle pisze?

Niech już lepiej, pisał dalej Zahradnik, robi to, co umie, choć przecież i tak robi to od innych gorzej. Prozaikiem jest słabszym niż Sienkiewicz, satyrykiem mniej udolnym niż Nowaczyński, jako poeta ściąga od Słowackiego i Heinego. Trzymanie się literackiej spódnicy innych jest wybaczone u pisarzy początkujących, ale gdy literat tak dojrzały jak Makuszyński nie jest w stanie jej puścić, popada we wtórność. Choć jest to wtórność paradoksalnie wiodąca do sukcesu. Bo szablon stworzony z oryginału, dobrze oszlifowany i urobiony staje się od oryginału lepszy. „Przecież dewotka również bardziej jest szalona niż sam papież” – napisał Zahradnik. A Makuszyński, produkując duplikaty Słowackiego czy Sienkiewicza i korzystając z ich dorobku „obficie, może ponad miarę”, osiągnął mistrzostwo. Kręcąc się w kółko na karuzeli zapożyczeń, zażywał coraz większej sławy, aż sam uwierzył, że ta maniera to jego własny styl, którego naprawdę nigdy nie miał. Co gorsza, uwierzyli w to także czytelnicy: „Makuszyński, ten ulubiony Makuszyński, sam siebie robi, sam siebie podrabia, imituje – więc to jest już podwójny Makuszyński, zatem podwójnie musiał się

podobać”. Na szczęście nie wszyscy dali się zwieść. Ci najbardziej spostrzegawczy (jak należało rozumieć, właśnie on, Zahradnik) zauważyli, że Makuszyński nie spłaca kredytu, który zaciągnął i u czytelników, i u innych pisarzy: „Bo popularność jest lichwiarką i pobiera wysokie odsetki na krótkoterminowe spłaty”.

Na koniec, ciągnął Jan Zahradnik, Makuszyński został felietonistą. Potrafi w dwie godziny napisać o Reymoncie, o małżeńskiej zdradzie i wyścigach, o pieniądzech i braku pieniędzy, o Żydach, Zakopanem i swojej łysinie. Jest felietonistą, czyli człowiekiem, który potrafi pisać o niczym, co, jako człowiek dobrze czujący się w satyrze, doprowadził do mistrzostwa: „Poszedł po linii taniego, choć suto popłatnego humoru”. Mógłby więc już do końca życia pisać o niczym, a więc o wszystkim, ale z jakiegoś powodu nie chce.

Uparł się, żeby pisać o teatrze, o publicznym i prywatnym życiu aktorów i o sztuce. Ponieważ jednak w recenzjach zajmuje się głównie sobą, a nie teatrem, więc w felietonach odrabia zaległości i pisze o nim niemal nałogowo. Zdaniem Zahradnika, gdyby ktoś po latach chciał opisać pierwsze lata odrodzonej Rzeczypospolitej na podstawie felietonów Makuszyńskiego, musiałby dojść do wniosku, że najważniejszymi i najwybitniejszymi ludźmi byli w tym czasie aktorzy. Ale nawet wysiłki „pp. znawców i erotomanów dziennikarskich” nie są w stanie powstrzymać gwałtownego odwracania się publiczności od teatru. Więc lepiej, żeby Makuszyński sam jakąś farsę albo komedię napisał, niż żeby miał w felietonach opiewać sztukę przestarzałą i coraz mniej popularną. Zasklepiwszy się bowiem w ciasnym kręgu tematyki teatralnej, zaczyna zwyczajnie nudzić. Zahradnik w obowiązującej manierze napisał: „zweża horyzont” i „zamurowuje fantazję”.

Nie potrafi wyjść poza stereotypy: literat w jego felietonach jest zawsze goły i pije, malarz głupi i cierpi na suchoty, aktor jest rozkoszny, a wszyscy razem to kochani wariaci i chodzą w połatanych spodniach. W efekcie nawet artystyczna cyganeria, którą ukochał jako temat swoich felietonów, staje się pod jego piórem anachroniczna i nieprawdziwa, „urojona w głowie Makuszyńskiego”. Wszedł kiedyś na modne i popłatne pole, problem w tym jednak, że nie potrafi go opuścić, a publiczność już od dawna oczekuje czegoś zupełnie nowego. Nawet o kobietach pisze od dwudziestu lat w ten sam sposób, niby impertynencko, ale w istocie tak, by im schlebić. W jego felietonach nie ma kobiet etycznych, wszystkie zdradzają mężów, a potem także kochanków, oczywiście dla kolejnych kochanków. I choć Makuszyński kobiety obraża, to one, zdaniem Zahradnika, odbierają to jako pochlebstwa. Bo przecież z jego słów jasno wynika, że jest ktoś, kto o nie zabiega, kto do grzechu nakłania, chcąc się co najmniej do tego grzechu przyłączyć. A to dowodzi, że są piękne i wodzą na pokuszenie, więc zamiast się na Makuszyńskiego gniewać, są mu wdzięczne. A on w efekcie także o kobietach już nic nowego ani oryginalnego powiedzieć nie jest w stanie.

Kochają go i masowo czytują jego książki także Żydzi, choć przecież z nich kpi. Ale robi to w taki sposób, że nawet oni, „naród zarówno w zemście żarliwy, jak i zapamiętały we wdzięczności” (Zahradnik, z przekonania endek, nie mógł sobie darować drobnej złośliwości), nie mają o to pretensji.

„Z tym samym gnuśnym i niemoralnym pobłażaniem”, na którym tracą jednak ostrze i głębia dowcipu, Makuszyński odnosi się do wszystkiego, czym się zajmuje: teatru, Zakopanego, Żydów, nawet do samego siebie. Czymkolwiek by się zajął, pisał dalej Zahradnik, w końcu obróci się to przeciw niemu, ponieważ sukces zbyt go rozleniwił, a duchowe wygodnictwo zdeprawowało. Będzie więc już zawsze dostarczał czytelnikom potraw lekkostrawnych, ale mało treściwych. Jednak ulegając oczekiwaniom odbiorców, podsuwając im pod nos wyłącznie rzeczy, które najbardziej lubią – bo w zamian otrzymuje poklask, poczucie sukcesu i pieniądze – autor *Bezgrzesznych lat* marnuje nawet to, co ma. „W koniunkturze powodzenia zatracą się świetny talent Makuszyńskiego” – zakończył przewrotnie swój wywód.

Makuszyński nie zareagował na krytykę. Po latach żona mówiła, że dawał każdemu prawo do pisania o swojej twórczości, a rozprawkę młodego poety i nauczyciela uznał za chęć zwrócenia na siebie uwagi: „Zabolało go tylko, że Zahradnik zarzucał mu pisanie dla zysków pieniężnych i obrachowywał jego dochody”.

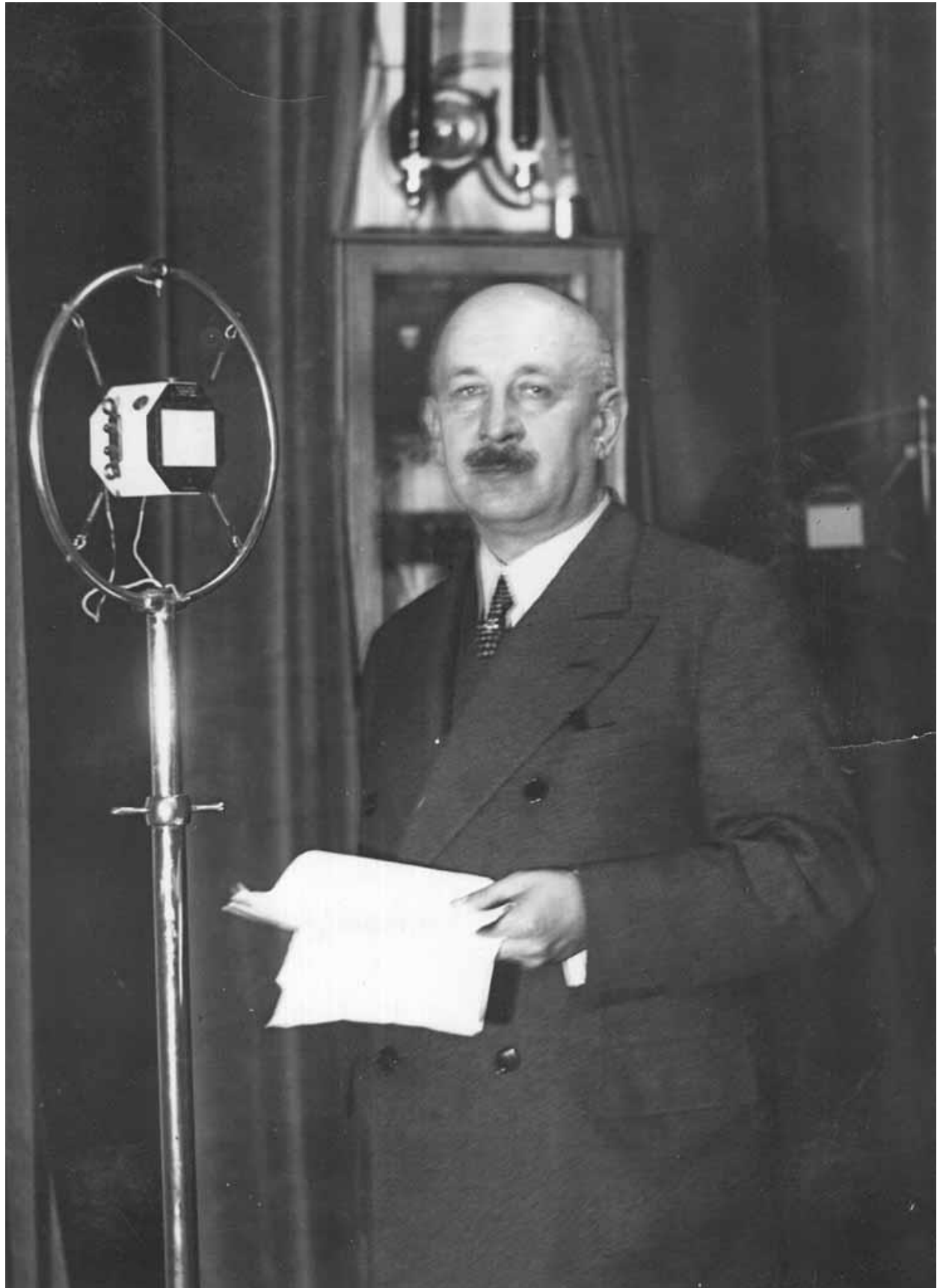
Zareagowali za to inni. „Kurier Lwowski”, który opublikował tekst Zahradnika, pochlebnie, ale większość recenzentów krytycznie i w podobnym tonie: Zahradnik chciał być jak Boy, ale mu nie wyszło. Broszura nie zaszkodziła Makuszyńskiemu, wkleśłe zwierciadło okazało się bardziej krzywe dla jej autora. „Bardzo ostro i wyraźnie odbiło małostkową, czysto osobistą zjadliwość p. Zahradnika” – napisał w „Rzeczpospolitej” Jan Sokolich-Wroczyński.

Makuszyńskiemu recenzenci zarzucali raczej to, że nie ma w jego książkach złych ludzi. Nawet jeśli pojawi się jakiś czarny charakter, szybko okazuje się, że pod okropną maską kryje się dobry człowiek. Pisarz odpowiedział na to w *Awanturze o Basię*. Stanisław Olszowski, jeden z bohaterów, również literat, też musi wciąż odpowiadać na pretensje, że tak wielu w jego książkach „ludzi dobrych, jasnych i miłosiernych”. Nie zamierza jednak niczego zmieniać: „Serce ludzkie takie jest dziwne, że więcej wierzy jasnemu urojeniu niż mętnej, czarnej rzeczywistości; więc moi dobrzy ludzie z książek, korzystając z tego przywileju, szerzą wieści o istnieniu dobra i o potrzebie miłosierdzia”.

Pod koniec lat dwudziestych Kornel Makuszyński zaczął chorować. Leczył się, ale bez większego efektu. „Jestem ciężko chory na cukrzycę i na takiej okrutnej i ponurej diecie, że się wprost ruszyć nie mogę bez całego aparatu zastrzyków i innych awantur, gorzkimi oblanymi łzami” – usprawiedliwiał się w liście do nauczyciela z Kielc Jana Gębicy, nie mogąc przyjąć zaproszenia na spotkanie

w szkole. Chciałby przyjechać, bo nic nie daje mu tyle siły co uwielbienie młodzieży, lecz nie jest w stanie: „Jakże ma biec srodze kulawy?”.

Być może na jeden z takich dni, kiedy choroba bardziej dawała mu się we znaki, trafił gimnazjalista Jan Twardowski, później ksiądz i poeta. Był urzeczony dickensowskim poczuciem humoru pisarza, który krytycy nazywali uśmiechem przez łzy. Wspominał: „Potrafił dostrzec dobro pod powłoką zła, piękno pod pozorną brzydotą, a prawdę tam, gdzie inni widzieli jedynie fałsz”. Postanowił odwiedzić ulubionego autora. Adres: Aleja Róż 14, udało się ustalić bez trudu. Otworzyła mu gosposia, pewnie przyzwyczajona do wizyt młodych wielbicieli gospodarza, bo od razu wpuściła chłopca do środka. Kazała zaczekać i poszła zawiadomić Makuszyńskiego. Jednak do spotkania nie doszło, przyniosła tylko list: „Drogi chłopcze, jestem w takim humorze, że chciałbym się powiesić”. Gimnazjalista był zaskoczony, bo zupełnie nie pasowało to do pogodnego wizerunku pisarza.



„Starał się nikomu w teatrze nie dokuczyć i nie za wiele od tej instytucji żądać” – ocenił recenzencką działalność Makuszyńskiego reżyser Leon Schiller. Pisarz przed mikrofonem Polskiego Radia.

Zdzisław Dębicki w serii portretów literackich, które publikował w latach 1927 i 1928, napisał, że na dnie humoru Makuszyńskiego leży smutek. Bo nikt na ziemi nie jest smutniejszy od poetów, którzy patrzą na świat bystrzej, widzą lepiej, rozumieją więcej. Humor, który był kiedyś w jego utworach, humor kawiarniany, został w kawiarni, a on poszedł dalej, zaglądając w głąb dusz swoich czytelników.

Pracował trzy–cztery godziny dziennie, na nową powieść potrzebował najwyżej dwóch–trzech miesięcy. Pomysły zapisywał zwykłym piórem, drobnymi literkami na luźnych kartkach, czasem nawet na pudełkach papierosów (pałi obstalunkowe albo płaskie z wizerunkiem flaminga na opakowaniu). A potem długo ich szukał, nie mogąc sobie przypomnieć, co zanotował. „Oglądam dziesiątki kart: zapisanych pismem tak drobnym, że zdawałoby się, że gołym okiem nie można tego odczytać” – relacjonował jeden z dziennikarzy swoje wrażenia po wywiadzie z pisarzem.

Był pisarzem „niezmotoryzowanym”, wspominał Zygmunt Nowakowski. Nie uznawał maszyny do pisania, gardził wiecznymi piórami, pisał ręcznie. Na biurku miał olbrzymi kałamarz, w którym zanurzał pióro z wymienną stalówką, zwykłą, wyglądającą, jakby używano jej od średniowiecza. Twierdził, że najtrafniejsze sformułowania, celne słowa, najzabawniejsze dowcipy przychodzą mu do głowy właśnie wtedy, gdy ręka z piórem wędruje znad papieru do kałamarza i z powrotem.

Pisał szybko, prawie zawsze od razu „na czysto”, nieważne, czy była to recenzja, felieton, czy powieść. Ale to, co chciał przekazać, miał wcześniej dokładnie przemyślane, wspominała Janina Gluzińska-Makuszyńska. To ona przepisywała później na maszynie zapisane maczkiem kartki. A on nie poprawiał już ani jej maszynopisów, ani drukarskich „szczotek”, które przysyłały do korekty redakcje.

Żona była pierwszym czytelnikiem. To ona uratowała życie Apaszowi, tytułowemu bohaterowi *Wyprawy pod pse*m. Miał zginąć, pomagając ratować małe dziecko. Scena była tak wzruszająca, że Janina zażądała ocalenia psa. Makuszyński ten jeden raz uległ.

Publikował w gazetach swoje słynne listy, felietony, recenzje, krótkie opowiadania. Wszystko było w nich złote, kochane, dobre, serdeczne. „Nie dostrzegał rzeczy brzydkich, niegodziwych, nie pachnących” – wspominał Zygmunt Nowakowski. W jego książkach nawet najczarniejsze charaktery w końcu okazywały dobre serca: „Kochał świat i wierzył w ludzi”.

Takim zapamiętali go prawie wszyscy. Nawet ci, których nie zawsze chwalił.

Zwłaszcza aktorzy. „Mąż pełny dobroćliwości i zaufania do ludzi” – mówił o Makuszyńskim Antoni Fertner, choć recenzent wypominał mu, że zbyt często na scenie błaznuje, zwłaszcza w kiepskich farsach, wywołując u widzów niegodny prawdziwego teatru rechot. „Ludzie w teatrze wyli z uciechy, szaleli z radości, umierali z rozkoszy, kiedy Fertner gwałcił trzy kobiety [...], był policjantem, potem wariatem, wreszcie odgryzał sobie prawy palec lewej nogi” – pisał Makuszyński, doceniając jednak wielki komediowy talent aktora. Leon Schiller, awangardowy reżyser teatralny i krytyk, zapamiętał, że Makuszyński „starał się nikomu w teatrze nie dokuczyć i nie za wiele od tej instytucji żądać”. Dbał bardziej o swojego czytelnika niż o pożytek, który mogliby z jego recenzji mieć reżyserzy czy aktorzy. Nie uczestniczył w toczących się w prasie debatach o posłannictwie teatru, nie spierał się o aktorskie metody ekspresji. Wolał teatr klasyczny, w którym tekst i jego interpretacja znaczą więcej niż obliczone na tani poklask eksperymentatorstwo.

Bywał na wszystkich premierach, podczas których ważne było nie tylko to, kto gra, ale i to, kto zasiada na widowni. Parandowski, który znalazłszy się w Warszawie, również zaczął pisać recenzje, zapamiętał szept, rozlegający się wśród widzów, „gdy szedł do swego miejsca, rozdając uśmiechy, ukłony, uściski rąk”.

Napisał ponad pół tysiąca felietonów teatralnych, i to licząc wyłącznie te, dla których punkt wyjścia stanowił konkretny spektakl. „Była to literatura sama w sobie. Ale nikt za naszych czasów tak nie kochał teatru i tak go nie znał jak Kornel” – zachwycał się jego recenzjami Jan Lechoń. Boy-Żeleński wychodził od spektaklu, ale naprawdę pisał o moralności, a Makuszyński o samym teatrze, „z nieomylnym wyczuciem istoty sztuki i wykonania”.

Na palcach obu rąk można policzyć premiery, o których nie był w stanie (albo nie chciał) napisać czegoś pochlebnego. Nawet kiedy krytykował, starał się rozbawić czytelników. „Lepiej było wysłać na scenę same fraki, pewnie ruszałyby się lepiej i wytworniej i byłyby dowcipniejsze” – napisał o *Ścieżkach cnoty* Gastona Armanda de Caillaveta. „Para miłosna całowała się z siłą dziesięciu koni parowych w pozach przypominających trochę japońskie drzeworyty. Sufler na to z dołu patrzył, dostał napadu erotycznej manii, sala dostała wypieków. Cenzor wybiegł z sali, wyrывая sobie garściami włosy” – pastwił się w „Rzeczpospolitej” nad *Cierpkim owocem* Roberta Bracca. „Jestem oburzony na skostniałość publiczności: wśród porządnej publiczności powinno w tej sztuce zemdleć z dziesięć osób, a tak co? Kilka czułych pań się spłakało, że tak na scenie biją kobietę, która kocha, kocha, och, jak kocha. I tyle tego. Nie jest to ładnie. Sztuka ta wstrząsa do głębi duszy. Przy tym jest głęboka, nie zawsze się słyszy zdanie tak ponuro filozoficzne: »Teatr jest to życie. A czymże jest życie? Komedią«” – drwił z *Oblędu* Charles’a Méré. „Komedię tę można streścić

w wodnistym przysłowiu: »z wielkiej chmury mały deszcz«, czyli że z okropnej powodzi, ze straszliwego wylewu Missisipi wypłynęło w rezultacie na wierzch to jedno, że ludzie to są mimo wszystko zwyczajne świnię” – podsumował *Powódź* Henninga Bergera. Po takich recenzjach twórcy wyśmianych spektakli mogli wyciągnąć wyłącznie jeden wniosek: należy natychmiast zdjąć sztukę z afisza.

Wielbił aktorów, szczególnie tych, których uważał za przyjaciół: Stefana Jaracza, Antoniego Fertnera, Kazimierza Junoszę-Stępowskiego, Ludwika Solskiego. Bywało, że opis spektaklu ograniczał do zachwytów nad ich talentem, nie kryjąc, że tylko kunszt artystów ratuje mierne przedstawienie. „Solski zrobił z siebie maskarę doskonałą, na pałkowatych nogach, w granicach dobrego smaku karykaturalną, syna kozła i diablicy, który po ojcu wziął fizjognomię, po matce zaś zalety ducha” – zachwycił się mistrzem w roli lichwiarza Łatki w *Dożywociu* Fredry.

W innym miejscu pisał:
Strach pomyśleć, panie Solski,

Że co zechcesz, wszystko udasz:

Dzisiaj jesteś Hetman polski,

Wczoraj Łatka, jutro Judasz.

Że dziś Chudogęba luby

Chudszy jesteś od rapira,

Jutro jako beczka gruby

Będziesz sędzią u Szekspira.

Opowiadał się za teatrem tradycyjnym, lecz gdy Rada Miejska i Magistrat Warszawy postanowiły zamknąć eksperymentalny Teatr im. Bogusławskiego, kierowany przez Leona Schillera i Aleksandra Zelwerowicza, podpisał list otwarty w obronie sceny. Oficjalnie likwidowano ją z powodów ekonomicznych, ale protestujący pisarze – obok Makuszyńskiego między innymi Boy, Broniewski, Kaden-Bandrowski, Sieroszewski i Strug – uznali, że to „krok świadomie i celowo skierowany przeciwko rozwojowi i dobru kultury polskiej”.

Wystąpił też w obronie dramaturga i poety Witolda Wandurskiego, członka Komunistycznej Partii Polski. Choć przecież nikt nie mógł mieć wątpliwości, że Makuszyńskiemu bliżej do prawicy niż do tej części środowiska literackiego, która

nie kryła poglądów lewicowych, a często otwarcie komunizowała. Gdy w 1928 roku łódzka prokuratura zatrzymała Wandurskiego w areszcie prewencyjnym, podpisał list domagający się jego zwolnienia. Wśród sygnatariuszy protestu, który zamieściły „Wiadomości Literackie”, byli pisarze reprezentujący różne opcje polityczne: Nałkowska, Boy, Irzykowski, Kaden-Bandrowski, Lechoń, Słonimski, Staff czy Wierzyński. Być może nawet niektórzy żalowali potem swego zaangażowania, bo Wandurski wkrótce po zwolnieniu wyjechał do Związku Sowieckiego. Kilka lat później, oskarżony o szpiegostwo, działalność kontrrewolucyjną i przygotowywanie zbrojnego powstania wymierzonego w ojczyznę światowego proletariatu, został tam rozstrzelany.

W 1931 roku Makuszyński podpisał kolejny protest, tym razem przeciwko aresztowaniu i uwięzieniu w Brześciu nad Bugiem posłów lewicy i partii chłopskich. Więzienie w twierdzy brzeskiej było ciężkie, a opozycyjnych polityków traktowano szczególnie brutalnie, bito ich i uniemożliwiano im kontakt z obrońcami i rodziną. Literaci protestowali przeciwko poniewieraniu godności więzionych i domagali się respektowania praw obywatelskich, zakorzenionych w tysiącletniej polskiej kulturze. Żądali śledztwa i ukarania oficerów biorących udział w aresztowaniach. Zastrzegli jednak, że ich głos sumienia nie powinien być wykorzystywany przez nikogo w grze politycznej.



„Strach pomyśleć, panie Solski, / Że co zechcesz, wszystko udasz” – zachwycał się Makuszyński talentem wybitnego aktora Ludwika Solskiego. Podróżnika Ferdynanda Ossendowskiego uwiecznił w *Awanturach i wybrykach małej małpki Fiki-Miki*. Na zdjęciu od prawej: Makuszyński, Ossendowski i Solski na ulicy w Warszawie.

Listów pisarzy w sprawie Brześcia było kilka, mniej lub bardziej ostrych. Pod tym, który sygnował Kornel Makuszyński, znalazły się też podpisy Nałkowskiej, Wacława Borowego, Władysława Sebyły i Staffa. Jego adresat, minister spraw wojskowych, uznał jednak, że nie ma podstaw, by oficerów oskarżanych o postępowanie niegodne polskiego żołnierza stawiać przed sądem. Działali zgodnie z regulaminem i na podstawie otrzymanych rozkazów, ocenił minister. Przy czym nie było wątpliwości, że rozkaz aresztowania posłów wydał marszałek Józef Piłsudski.

Makuszyński był jednym z najlepiej zarabiających pisarzy w ówczesnej Polsce, ale lubił przedstawiać się jako ubogi poeta, który z biedy chodzi bez butów. Kukielka Makuszyńskiego żaliła się w szopce: „Wszystko, co mam – ot, widzi pan minister: gatki... / Stary nędzarz, literat – chociaż rymów hrabia”, a potem zaczynała śpiewać na melodię *On przecież nie ma nic*:

Czasem sztuka zabić kruka

Albo sowę młotkiem w głowę,

Żeby mieć na obiad co!

To już takie stare dzieje –

Biedny polski pisarz mdleje,

Gdy zobaczy w kupie złotych sto!

W 1929 roku w gazetach pojawiła się informacja, że Makuszyński otrzyma nagrodę miasta Poznania, a wraz z nią dożywotnie stypendium w wysokości pięciuset złotych miesięcznie (była to naprawdę duża kwota, przyzwoity urzędniczy albo nauczycielski zarobek wynosił wtedy ok. 250–300 złotych). Laur i pieniądze miały być mu przyznane za cykl artykułów promujących Powszechną Wystawę Krajową, zorganizowaną w Poznaniu w dziesiątą rocznicę odzyskania niepodległości. Antoni Słonimski w „Wiadomościach Literackich” z satysfakcją napisał, że Kornel nie będzie mógł już dłużej udawać chudego literata. „Myślałem – będę wreszcie miał gdzie spać / I obiad zjem każdego dnia” – śpiewała kukielka w szopce. A Słonimski kpił: „Nie będzie już Kornel biadał, że musi wrone złapać na święta, bo nie ma na indyka. Nie przeczytamy już nigdy, że Kornel zemdłał, gdy zobaczył stuzłotówkę”. Nie będzie nawet musiał ukrywać się po kątach z piciem szampana, czego mu zresztą Słonimski nie zazdrości i życzy do najpóźniejszych lat, ale niechże już wreszcie przestanie używać porównań w rodzaju „piękny jak śmierć na wojnie”, bo są zbyt ponure i zwyczajnie

humoryście nie przystoją. „Miałeś rację, Antoni, już nie będę” – miał mu powiedzieć przy pierwszym spotkaniu Makuszyński. Słonimski to zmyślił, a informacja o nagrodzie, która obiegła prasę w całej Polsce, była plotką. Pisarz nie dostał dożywotniego stypendium ani wtedy, ani później. Ani od Poznania, ani od żadnego innego miasta.

W szopce „Cyrulika Warszawskiego” na rok 1930 kukielka Makuszyńskiego śpiewała zaś na melodię *Madame Loulou*:

Bo u Kornela

W duszy niedziela,

W szafie brylanty i stroje.

Żyje bez burz

W Alei Róż

I pisze powiastki swoje.

Serce jak wosk,

Czoło bez trosk

I uśmiech przedziwnie słodki –

Biedny Corneille

Jest co najmniej

Ofiarą zazdrosnej plotki!

Makuszyński nie miał właściwie wrogów, oczywiście poza krytykami w prasie, ale to akurat należało do obowiązującego w II Rzeczypospolitej rytuału i rzadko przekładało się na stosunki prywatne. A jeśli nawet wrogów miał, to oni się do tego nie przyznawali, bo po prostu nie wypadało być w sporze z pełnym przyjaźni dla wszystkich Kornelem. Nawet jeśli ktoś politycznie różnił się od niego tak bardzo jak choćby skamandryci, którzy w dodatku z wyższością patrzyli na pozbawione agresji humoreski i bezpretensjonalne powieści Makuszyńskiego. Owszem, pisał Słonimski, był jak król Midas, wszystko pod jego piórem zamieniało się w złoto, nie zawsze jednak najwyższej próby. „Nie sposób było nie

lubić Kornela ani wejść z nim w konflikty. Był bezgranicznie pogodny i uступliwy” – wspominał. Każdy był dla niego w równym stopniu „jedynym, kochanym, złotym wariatem”, nawet Pan Bóg: „Złoty, kochany wariat, który stworzył ten cały złoty, zwariowany świat”.

Znajomi bezlitośnie wykorzystywali tę jego łagodność i otwartość na ryzykowne czasem żarty. Któregoś roku, zaproszeni do Makuszyńskiego na przyjęcie imieninowe, uknuli spisek. Słonimski, Lechoń i Schiller postanowili posłać solenizantowi większą ilość efektownych prezentów, niezbyt kosztownych, co było ważne przede wszystkim dla obdarowujących, za to bez wątpienia ambarasujących obdarowanego. Prześcigając się w absurdalności swoich pomysłów, kupili na targowisku na Sewerynowie:

- dwanaście gipsowych biustów Tadeusza Kościuszki (w tym dwa uszkodzone),
- osiem desek do prasowania,
- dwadzieścia cztery tuziny kamieni do białych pantofli (wystarczyłoby ich do czyszczenia butów kilku pokoleniom sporej rodziny),
- dwadzieścia kilogramów buraków (w innym miejscu Słonimski napisał, że buraków było sto kilo),
- dwa tysiące gilz do papierosów,
- cztery balie,
- dwanaście szaflików,
- furmankę koksu.

Wszystko kazali hurtem dostarczyć do mieszkania Makuszyńskiego. Nie był to bynajmniej wybór przypadkowy, napisał z dumą Słonimski: „Kornel nie znoził białych pantofli, nie palił papierosów z ustnikami, miał centralne ogrzewanie i nie lubił buraków”.

Po przesłaniu podarunków zadowoleni z siebie autorzy dowcipu poszli na imieniny. Nie udało im się jednak dotrzeć na przyjęcie, bo schody kamienicy w Alei Róż zawałone były „prezentami”, a solenizant zabarykadował się w mieszkaniu. Szybko jednak wybaczył żartownisiom:

- Kochane stare wariaty, musiałem się na dwa dni przenieść do hotelu.

IX

Głupawy cap, choć strasznie poczciwy, i małpa o złotym sercu

„Jest to słynna postać z mojego poematu filozoficznego dla dzieci do lat pięciu. Głupawy cap, choć strasznie poczciwy. Cokolwiek uczyni, wszystko wypada na odwrót” – napisał o Koziółku Matołku sam Makuszyński.

Matołek narodził się jesienią 1932 roku w sanatorium w Otwocku, gdzie pisarz leczył rozwijającą się cukrzycę. Któregoś dnia odwiedzili go Jan Stanisław Gebethner, wydawca, i Marian Walentynowicz, grafik (z wykształcenia architekt), autor plakatów, okładek i rysunków w książkach dla dzieci, współpracownik „Tygodnika Ilustrowanego”. To on był autorem pomysłu, z którym przyjechali obaj do Makuszyńskiego. Na świecie coraz większą popularnością cieszyły się komiksy. Te najgłośniejsze, duński Pat i Patachon czy amerykański Flip i Flap, pojawiły się już także w Polsce, ale w podłych literacko tłumaczeniach i kiepskie graficznie. Wystarczy zatem, żeby Makuszyński napisał tekst, a Walentynowicz go zilustrował, i sukces gwarantowany.

Pisarz początkowo nie był zachwycony propozycją, trochę się nawet bronił, ale ostatecznie uległ namowom. Przeważył argument o konieczności postawienia tamy zalewowi „dziecięcej szmiry”, opowiadała Leszkowi Mazanowi Janina Gluzińska-Makuszyńska.

Pozostało wybrać bohatera. Zwierzę? Tak, ale jakie? Pies? Kot? Kogut? Zbyt oczywiste. Jakiś stwór egzotyczny? Też nie? Pisarz i rysownik doszli do wniosku, że wszystko już było. Więc może koziół? To był strzał w dziesiątkę. Później przy każdej okazji spierali się, kto zaproponował koziółka jako pierwszy, a przede wszystkim kto wymyślił mu imię – Matołek, wspominała żona Makuszyńskiego. Aż wreszcie wątpliwości rozwiązał autor tekstu. W radiowej pogadance zdradził dzieciom, oczywiście „w najgłębszej tajemnicy”, że... Walentynowicz jest przez cioteczną babkę spokrewniony z Matołkiem.

A skąd Pacanów? To także tłumaczy anegdota. Pewnie nie całkiem prawdziwa, ale dobrze wymyślona. Omawiając w otwockiej kawiarni szczegóły pracy nad książką o Koziółku, Makuszyński i Walentynowicz mieli zauważyć przy stoliku obok smutnego gościa. Zapytali, co go tak strasznie przygnębiło. Okazało się, że przyjechał z miasteczka, o którym nikt nigdy nie słyszał. Nazywało się Pacanów.

– Postaramy się, żeby usłyszeli o Pacanowie wszyscy – obiecali.

Makuszyński zapalił się do pracy tak bardzo, że pierwsza księga *120 przygód Koziółka Matołka* powstała w sześć dni, zapamiętała żona. Choć wcale nie było łatwo. W zbiorach Muzeum Makuszyńskiego w Zakopanem zachowało się kilka wersji początku książki. Według jednej Koziółek był potomkiem starego koziego

rodu słynącego z zakręconych rogów i dostojnych, długich bród. Wedle drugiej ojcem Matołka był znany i poważany w całej okolicy dzięki swej mądrości wspinały cap Wojciech Broda, co na niejedno już wskoczył pochyłe drzewo, matką zaś śliczna panna Koziołkówna z rodziny dorównującej sławą najlepszym kozim familiom.

Mieli syna – cud koźlątko,

Co sam włożył już na stołek,

Beczał pięknie, był roztropny,

A na imię miał Matołek.

Tegoż właśnie Matołka rodzice postanowili wysłać na studia kowalskie do Pacanowa, ciesząc się z góry na myśl o korzyściach, które cały kozi ród czerpać będzie z wiedzy syna. Bo jak niosła wieść, pacanowscy kowale potrafili podkuwać nawet delikatne kozie kopytka!

Ostatecznie Makuszyński zdecydował się na jeszcze inny początek, znany z kolejnych wydań *120 przygód*. „Wszystkie mądre polskie kozy” uchwaliły, aby wyprawić do Pacanowa posłańca – kozę albo kozła („jakąś bardzo mądrą głowę”) – który na miejscu sprawdzi rzetelność pogłoski. Da się na próbę podkuć, a gdy wróci, wszyscy dowiedzą się wreszcie z pewnego źródła, czy to dobrze mieć podkowy.

Matołek zgłosił się na ochotnika. Podróżował po całym świecie, odwiedzając miejsca, w których Makuszyński nigdy nie był (zresztą wszystko wskazuje na to, że Pacanowa też nigdy nie odwiedził), i takie, w których bywał, choćby wyspę Capri:

Był na Capri, koziej wyspie,

Gdzie dni miłych spędził wiele,

Śpiewał śliczne włoskie pieśni,

Potem tańczył tarantelę.

Matołek, zgodnie z imieniem, nie jest najmądrzejszy. Mógłby łatwo uniknąć niebezpiecznych przygód, które przytrafiają mu się na każdym kroku, ale nawet nie próbuje. Jest przekonany, że wszystko robi najlepiej. „Śpiewam piękniej niż słowik” – twierdzi i staje do rywalizacji o rękę królowny i koronę.

„Jest tak uparty, jak na polskiego kozła przystało” – charakteryzował go

Walentynowicz w reklamowej broszurze oficyny Gebethner i Wolff. Skoro postanowił znaleźć Pacanów, to nie mógł mu przeszkodzić ani mistrz Makuszyński (a gnębił kozła na różne sposoby: topił w morzu, wysyłał na księżyc i do Chin, wsadzał do armaty), ani nawet ilustrator. Nie pomogło zrzucanie z drzewa, ścinanie głowy, zamykanie w więzieniu, wsadzanie na pijanego słonia i na jeża. „Pocierając obolałe boki, Matołek wytrwale wędruje dalej i dalej, szukając wszędzie koziego kowala” – zapowiadał rysownik.

Pierwszy tom przygód Koziołka ukazał się na Gwiazdkę roku 1932, ale zgodnie z ówczesnym zwyczajem datowany był już na rok następny. Od razu stał się bestsellerem, choć recenzenci wcale nie byli nim zachwyceni. Autorka dwumiesięcznika „Polonista” Anna Kopczewska uznała, że co prawda Koziołek stroi bardzo dziwne miny, ale generalnie rysunki Walentynowicza są brzydkie, tekst Makuszyńskiego zaś, choć jak to u niego dowcipny, może jednak wywołać chaos w dziecięcych głowach.

Suchej nitki nie zostawiła na książce Makuszyńskiego i Walentynowicza Wanda Borudzka, redaktorka pisma dla dzieci „Płomyczek” i autorka utworów dla najmłodszych. „Są to przygody nie tylko Matołka, ale przede wszystkim dla matołków” – rozpoczęła recenzję w „Wiadomościach Literackich”. Dalej było już tylko gorzej. Owszem, dzieci za książką szaleją, wydawcy czerpią przyjemność z rosnących nakładów, ale poza tym to brukowiec w czystej postaci. Seksuologiczne mordy [autorka nie wyjaśniła, o co jej chodzi – M.U.], włamania, kradzieże, skoki do środka ziemi, wpadanie na łeb do wody, obcinanie i odrastanie brody, kleszcze raka w białe w ogon i w ogóle „dowcipy związane z funkcją siadania”. W dodatku to jeszcze nie wszystko: jest w książeczkach Makuszyńskiego topienie czarownicy, pijaństwo, obcinanie i przyszywanie koziej głowy, siadanie na jeżu, są kraksy samochodowe i różne inne wywijasy „koźlego głuptaka”. Sielskie zakończenie nie ratuje sprawy, a pomysły tylko miejscami dowcipy wywołują u dzieci spazmatyczny rechot, a w efekcie ból brzucha.

To prawda, pisała Borudzka, dzieci kochają Matołka, ale kochają też błaznów w cyrku i filmy, w których jakiś osobnik najpierw tarza się w smole, a chwilę potem w pierzu. Z rozkoszą zjadają naraz dziesięć ciastek, lecz potem trzeba je kurować olejem rycynowym. Podobnie jest z książką Makuszyńskiego, choć przecież autor wcześniej dowiódł, że pisać dla dzieci potrafi. Opowieść o głupawym koźle wchodzi w uszy, mimo że chciałoby się ją stamtąd z obrzydzeniem wytrząsnąć. Na szczęście wreszcie się kończy. „Matołek wrócił do Pacanowa (z którego bodajby był nie wyjrzał!)” – napisała recenzentka.

Uzaliła się też nad dołą Mariana Walentynowicza, który w swoich ilustracjach „musi wiernie naśladować małpie skoki tekstu”. Jeśli jednak Walentynowicz przypuszcza, że dzieci zrozumiały finezyjny smutek na koziej mordzie »Matoła«, to się myli. Nie wiadomo, znęcała się Borudzka, dlaczego „ten

bydlak” – czyli Koziółek – zamiast wyglądać jak normalne zwierzę, ma goły tors anemicznego ojca rodziny, zabierającego się właśnie do mycia „górnego dekoltu”? I co to za pomysł, żeby przebierać kozła w czerwone majtki, jak robiono to z tresowanymi pieskami w dawnych kabaretach? Przecież wiadomo, że zdrowy pies zdarłby z siebie taki absurdalny strój z obrzydzeniem. Podobnie uczyniłby prawdziwy kozioł, robiąc użytek ze swoich rogów. Najlepiej byłoby, podsumowała Wanda Borudzka, gdyby książka w ogóle nie powstała i recenzentka nie była zmuszona brać jej do rąk.

Makuszyński i Walentynowicz nie bardzo się krytyką przejęli, bo w kolejnych wydaniach niczego nie zmienili. Nawet w kwestii promowania pijaństwa, co było jednym z najpoważniejszych zarzutów wobec publikacji przeznaczonej dla dzieci. Borudzkiej chodziło prawdopodobnie o rysunek ilustrujący wizytę na księżycu. Matołek i Pan Twardowski siedzą przy sporej flasce (przezroczystej, więc płyn w środku nie był raczej sokiem!), a w dłoniach trzymają szklaneczki. Na innym rysunku przed Koziółkiem stoi butelka, a obok niej... już nawet nie szklaneczka, ale po prostu kieliszek. Co zaś najzabawniejsze, butelka i kieliszek w końcu z rysunku zniknęły, ale dopiero w peerelowskich wydaniach książeczki.

Narysowany przez Walentynowicza Koziółek bardzo się Makuszyńskiemu spodobał. Jak wspominała żona pisarza: „Matołkowa fizys przystawała jego zdaniem do tekstu wprost genialnie”. Domagał się tylko od Walentynowicza większej dosłowności w ilustracjach, grafik złościł się i kłął, ale zwykle ustępował. Kolejne tomy opowieści o Koziółku ukazywały się szybciej, niż to pierwotnie planowali. Drugi zapowiadany był dopiero na Boże Narodzenie 1933 roku, a gotowy był już na Wielkanoc. Pojawił się w sprzedaży razem z trzecim, w ciągu zaledwie kilku miesięcy, wydaniem *120 przygód*. Od grudnia 1932 do Gwiazdki 1934 roku ukazały się cztery części podróży Koziółka szukającego Pacanowa.

A już w roku 1935 rodzice mogli kupić dzieciom pod choinkę pierwszy tom nowego cyklu tandemu autorów: *Awantury i wybryki małej małpki Fiki-Miki*, której partnerem w bajkowych przygodach i wygłupach był Murzynek Goga-Goga. Bo „Znów jest Boże Narodzenie / I znów gwiazdka nowa świeci, / Przeto starym obyczajem / Trzeba uradować dzieci”. Przy sposobności Makuszyński zareklamował serię, której bohaterem był Koziółek. Jego przygody co prawda się skończyły („Bo Matołek zdobył rozum / I ma bardzo piękną żonę”), ale przecież ukazują się kolejne wznowienia, więc każde dziecko może zamówić u rodziców taki prezent.

Z listów nadsyłanych każdego dnia do mieszkania przy Alei Róż pisarz wiedział, jak bardzo dzieci czekają na kolejne książki, jak uważnie je czytają i oglądają. Kiedy napisał, że bohater „wziął tobołek” i ruszył w świat, a Walentynowicz tobołka nie narysował, natychmiast zaczęły przychodzić listy

żądające wyjaśnienia, co się stało z bagażem.

Opowieści o perypetiach małpki Fiki-Miki sprzedawały się równie świetnie jak książki o Koziołku Matołku. Makuszyński znowu musiał przyspieszyć tempo i druga część ponownie ukazała się szybciej, niż autorzy planowali, już na Wielkanoc. Bo – chwalił się w wywiadzie – dostał tysiąc listów od dzieci, które podniosły „srogi wrzask i straszne krzyki”, żądając wieści o losach Murzynka i małpki („Co porabia Fiki-Miki? / Może głodna jest, nieboga?”). Więc choć malarz mdlał z wysiłku, a pisarzowi pękała głowa, spisali ich przygody wcześniej. Nawet jeśli nie wszystko w tej historii było prawdą, to na pewno brzmiało świetnie.

Po sukcesie opowieści o Matołku i Fiki-Miki narodziła się sława Makuszyńskiego jako dostarczyciela ilustrowanych opowieści dla dzieci. Nie był już tylko autorem *Bardzo dziwnych bajek*, stał się pisarzem instytucją. Obok Juliana Tuwima i Jana Brzechwy, których utwory w tym samym czasie również podbijały dziecięcą wyobraźnię. Choć podobnie jak oni nie miał najlepszego podejścia do dzieci (z całej trójki tylko Brzechwa był ojcem, ale po raz pierwszy zobaczył swoją córkę jako dziewięcioletnią już dziewczynkę). „Makuszyński kochał dzieci i był ich najlepszym przyjacielem, ale oczywiście jedynie w swoich książkach. W życiu dzieci go nudziły i męczyły, jak nudzą i męczą wszystkich poza rodzicami. Tylko że biedny Kornel nie mógł sobie pozwolić na okazanie tych naturalnych uczuć” – wspominała Stefania Kossowska, która poznała go w dzieciństwie, gdy przychodził do rodziców, a później spotykała, będąc publicystką prasy warszawskiej.

– Przywitaj się ładnie z panem Makuszyńskim – instruowali dorośli małą Stefcie.

Jako sławny autor książek dla dzieci musiał to nie tylko cierpliwie znosić, ale też bawić „bachory, które mu podtykano” – pisała dorosła już Stefania.

Przed wojną komiks o Koziołku miał pięć wydań, w sumie około trzystu tysięcy egzemplarzy. Historyjki z Fiki-Miki w roli głównej nie przebiły powodzenia Matołka, ale także doczekały się kilku wznowień.

X

Panna z mokrą głową i genialny szatan

Po sukcesie *Bezgrzesznych lat*, które cieszyły dorosłych co najmniej tak samo jak dzieci, przyszedł czas na kolejne książki adresowane już wprost do młodych czytelników. Powieści *O dwóch takich, co ukradli księżyc* z 1928 roku i *Przyjaciel wesołego diabła* z roku 1930, pierwsze po pisanych jeszcze we Lwowie i Kijowie mniej lub bardziej dziwnych bajkach i awanturach arabskich, były przeznaczone raczej dla dzieci niż dla młodzieży. Historia bliźniaków, niesfornych i leniwych, którzy postanawiają ukraść i sprzedać księżyc, by nie musieć nigdy pracować, ale w końcu dociera do nich, co naprawdę ma wartość, była raczej baśniową przypowieścią z dydaktycznym morałem niż książką dziejącą się realnie w znanej czytelnikom rzeczywistości. Stefan Kiedrzyński, dramaturg i powieściopisarz, porównał ją nawet do *Serca Amicisa*.

Z podobnym wzruszeniem przyjęto opowieść o rodzącym się przywiązaniu uratowanego od śmierci chłopca do szlachetnego mędrca Witalisa, o przyjaźni Janka z diabłem Piszczalką i ich pełnej niebezpieczeństw wędrówce przez nieznaną krainę. Wyprawie koniecznej, gdy okazuje się, że tylko to może uratować tracącego wzrok Witalisa. *Przyjaciel wesołego diabła* to przede wszystkim piękna bajka o poświęceniu w imię miłości do przybranego ojca, oczywiście ze szczęśliwym, jak to u Makuszyńskiego, zakończeniem, pisali recenzenci.

Te dwie książki były wstępem do kilku najpopularniejszych powieści Makuszyńskiego, wielokrotnie wznawianych i filmowanych zarówno przed wojną, jak i po niej. Powieści, które oprócz humoru pokazywały Polskę.

Bohaterką *Panny z mokrą głową* z 1933 roku jest Irenka Borowska, dziewczynka, która samym swym przyjściem na świat zagroziła jego istnieniu, zapowiadał w wywiadzie Makuszyński. „Dziewczątko o sercu napełnionym słońcem miłości i temperamencie dzikiego Tatarzyna – wypowiedziało zażartą wojnę smutkowi i zagorzałej apatii” – pisał recenzent tygodnika „Świat”. Zwariowana, nieprzewidywalna, skrajnie niezależna i samodzielna, miała wszystkie cechy zarezerwowane dotąd dla chłopców. Nie było w niej nic z zachwycających ciotce i babcie grzecznych dziewczynek w falbaniastych sukienkach i z długimi warkoczami związanymi kokardą. Nie recytowała na zawołanie zalatujących dydaktycznym smrodkiem wierszyków Stanisława Jachowicza. Można by powiedzieć, że Irenka była polską Pippi Långstrump, gdyby nie to, że Makuszyński swoją bohaterkę opisał dwanaście lat wcześniej niż Astrid Lindgren swoją. Kilka lat później w *Szaleństwach panny Ewy* stworzył jeszcze postać Ewy Tyszowskiej, nieco tylko grzeczniejszej i mniej zwariowanej od Irenki Borowskiej. I tu pojawiające się porównania Ewy do wcześniejszej Ani

z Zielonego Wzgórza były bardziej uprawnione.

Po latach wiele osób przypisywało sobie zainspirowanie Makuszyńskiego pomysłem „dziewczyńskiej powieści”. Jan Gebethner miał mu powiedzieć, że brakuje na rynku książek dla dziewcząt, a jeśli nawet są, to szablonowe i nudne, więc może... Przy okazji krytyka pochwaliła Makuszyńskiego za „nerw społeczny”, który pokazał w *Pannie*, opisując skutki światowego kryzysu gospodarczego na początku lat trzydziestych i upadek majątku Borowskich, z czym musi się zmierzyć rodzina, a zwłaszcza Irenka.

W 1937 roku ukazała się *Awantura o Basię*, opowieść o perypetiach osieroconej pięcioletniej dziewczynki, która wysłana pociągiem z małego miasteczka do Warszawy trafia pod niewłaściwy adres. Po czym najpierw rozkochuje w sobie przymierających głodem aktorów, później doprowadza do małżeństwa panny Stanisławy Olszańskiej i literata Stanisława Olszowskiego, wreszcie odnajduje zaginionego ojca i pomaga mu odzyskać pamięć. Autor umieścił w powieści nawet siebie. Pisarz Kornel Makuszyński był tym, który gwarantował umowę decydującą o losach Basi. Maria Dąbrowska, zwykle nieskora do pochwał, obejrzawszy zrealizowany w 1959 roku na podstawie powieści film Marii Kaniewskiej, napisała zachwycona, że jeśli swoją świetność obraz zawdzięcza Makuszyńskiemu (książki wcześniej nie czytała), to był on pisarzem wielkim. Oczywiście, zastrzegła natychmiast, wielkim, ale w zakresie literatury popularnej: „Tacy pisarze robią sławę światową swoim narodom, a u nas są z reguły niedoceniani”.

Kolejną powieścią był *Szatan z siódmej klasy*, przygodowo-detektywistyczna historia genialnego ucznia, z polską prowincją w tle, najpopularniejsza z młodzieżowych książek Makuszyńskiego. Janina Broniewska z wyraźnym żalem pisała w „Wiadomościach Literackich”, że nie ma niestety takich Adasiów-szatanów jak ten z powieści, a szkolna codzienność bardzo odbiega od pogodnego, wyimaginowanego klimatu książki. Ale może należałoby sobie życzyć, żeby jej efektem mogło być pojawienie się w każdej gimnazjalnej albo licealnej klasie kogoś podobnego do głównego bohatera. Mimo tego nierzeczywistego obrazu szkoły i przesadnego, zdaniem Broniewskiej, odmłodzenia bohatera przez ilustratora („kusa marynarka i także krótkie spodnie”), książka odniosła sukces. Wydany w 1937 roku *Szatan* był do wybuchu wojny wznawiany czterokrotnie.

Po tych książkach, a także *Skrzydlatym chłopcu* i *Wielkiej bramie*, o których dalej, krytycy zaczęli pisać, że choć Makuszyński nadal zamiast atramentu używa promieni słońca – co jedni traktowali jako zaletę, inni czynili z tego zarzut – potrafi być pisarzem realistycznym. Stworzył powieści, które zachowując wszystkie walory jego pisarstwa: humor, ciepłą ironię i delikatny zachwyt światem, pokazały przy okazji Polskę pozbawioną teatralnego retuszu i felietonowej powierzchowności.

XI

Akademik przed wielką bramą

Nie wszyscy byli przekonani co do wychowawczych wartości książek Makuszyńskiego. Redemptorysta ojciec Marian Pirożyński ogłosił w Krakowie w 1932 roku podręcznik *Co czytać. Poradnik dla czytających książki*. Zawierał on listę autorów i książek moralnie podejrzanych, których katolicy nie powinni brać do rąk. Na indeks trafiły zwłaszcza te dzieła, których autorzy opisywali akty „nieczystości cielesnej”, a bohaterowie łamali szóste przykazanie, bo i ojciec Pirożyński łatwiej wybaczał zbrodnie niż cudzołóstwo. Jednak towarzystwo było niezłe. Antoni Czechow – autor niemoralnych opowiadań, „pisarz niezdrowy i cyniczny”. André Gide – „opętany od diabła” propagator ateizmu, siewca fałszu i zepsucia moralnego. Johann Wolfgang Goethe – za młodu hulaka i rozpustnik, który *Cierpieniami młodego Wertera* „narobił wiele złego”. Julian Tuwim – satanista spoufalający się z Panem Bogiem, a „także rasowego tupetu mu nie brak”. „Niezrównoważony duchowo, opanowany przez wybująy erotyzm” Stefan Żeromski. Witkacy: autor utworów „złych, ordynarnych, zmysłowych, pornograficznych”. Znalazł się na liście także Kornel Makuszyński: „Szczególną abominację objawia w stosunku do cnoty czystości, stara się ośmieszyć ją na każdym kroku” – napisał Pirożyński, ale nie wyjaśnił, o co mu chodzi.

Ci, którzy po lekturze poradnika redemptorysty mieliby jeszcze wątpliwości, czy Makuszyński to zaledwie pozbawiony większych literackich ambicji dostarczyciel rozrywkowej literatury, czy też może jeden z głównych winowajców upadku moralności w Polsce, mogli sięgnąć do wydanego w Poznaniu w 1935 roku przez Naczelną Instytut Akcji Katolickiej *Przewodnika po beletryście* autorstwa Czesława Lechickiego. Lechicki, kolejny orędownik czystości w literaturze, wątpliwości nie miał. „Apologeta pijaństwa czuje się najswobodniej w atmosferze nieczystości. Cnota spędza mu sen z powiek; rozpusta, kłamstwo i oszustwo to wedle niego składniki życia codziennego nieuniknione i nieocenione” – pisał o Makuszyńskim. Owszem, oddawał mu sprawiedliwość, to najpopularniejszy współczesny polski humorysta. Jednak w jego przypadku zakrawałoby na ironię mówienie o jakimkolwiek światopoglądzie i przekonaniach religijno-moralnych. Wciąż „hecuje”, „pozuje na dudka” i w ogóle jest ideologicznym kameleonem. Nie ma w Polsce drugiego autora – no, może poza Boyem, zastrzegł Lechicki – bardziej pod względem moralnym dwuznacznego i straconego dla przyzwoitego życia. Ale Boy przynajmniej jest konsekwentny, zajął się rewolucyjną publicystyką, a Makuszyński od lat pozostaje wyłącznie tym, kim był zawsze: bawidamkiem. Drwiącym ze wszystkiego, kokietującym i mizdrzącym się do czytelników z minoderią salonowej lwicy. A przecież kto raz nauczy się odpowiadać na grzech

i demoralizację śmiechem, ten jest stracony dla rzetelnego poczucia moralnego.

Lechicki, który kilka lat później porzucił katolicyzm i został ewangelikiem, nie patyczkował się także z innymi autorami. Sensem życia hetery, czyli Gabrieli Zapolskiej, był seksualizm, bogiem Ireny Krzywickiej jest fallus, Adam Grzymała-Siedlecki ma słabość do tęgiej samczości, Wacław Grubiński to syty burżuj i niedouczony megaloman, a Kaden-Bandrowski – dekadent niezdolny do etycznego życia. Słonimski to kosmopolityczny nihilista, zaś chorego psychicznie Stanisława Przybyszewskiego należy raczej umieścić w zakładzie, niż krytykować.

W obronie obrażanych pisarzy stanął w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” felietonista dziennika Zygmunt Nowakowski: „Makuszyński szuka w ludziach dobra, p. Lechicki doszukuje się w człowieku przede wszystkim zwierzęcia” – pisał. Pierwszy cieszy się, widząc rzeczy dobre i piękne, drugi odczuwa zmysłową wręcz satysfakcję, wynajdując zło. Także tam, gdzie go nie ma. „IKC” zilustrował felieton rysunkiem Karola Ferstera (Charliego) *Literaci polscy w oczach Lechickiego...* Widać na nim wyraźnie pijanego Makuszyńskiego leżącego na podłodze w przekrzywionym meloniku i z flaszką w dłoni. Nie mogło być wątpliwości: apologeta pijaństwa w atmosferze nieczystości.

98. LITERACI POLSCY W
OCZACH LECHICKIE-
GO...

U góry: Waclaw Sieroszewski, Zygmunt Nowakowski, Tadeusz Żeleński, w środku: Kornel Makuszyński; u dołu: Waclaw Grubiński i Adam Grzymała-Siedlecki

Rys. Charlie



LITERACI POLSCY W OCZACH CZESŁAWA LECHICKIEGO...

U góry: Waclaw Sieroszewski, Zygmunt Nowakowski, Tadeusz Żeleński (z nożem), na dole: Waclaw Grubiński i Adam Grzymała Siedlecki, w środku (z butelką) Kornel Makuszyński. Rys. Charlie (Karol Ferster), rysunek za: Zygmunt Nowakowski – *Stawiam bańki*, Warszawa 1936.

Makuszyński na atak Lechickiego jak zwykle nie zareagował. Albo uznał, że nie warto, bo kogoś tak zacierzwionego jak autor *Leksykonu* i tak nie przekona, albo był zbyt zaskoczony atakiem ze strony bliższej mu przecież ideowo niż lewicującej skamandryci z „Wiadomości”.

Był zdeklarowanym tradycjonalistą. Chciał świata uporządkowanego, który nawet po chwili szaleństwa wraca w koleiny dawno rozpoznane i zaakceptowane. Kiedy poproszono go o wstęp do *Dekameronu* Giovanniego Boccaccia,

opublikował w „Wiadomościach Literackich” esej *Pochwała Bokacjusza*, który wszedł potem do książki wydanej nakładem Biblioteki Arcydzieł Literatury.

Ojciec Pirożyński nie miał wątpliwości – *Dekameron* to „zbiór nowel, jedna sprośniejsza od drugiej”, a Makuszyński zaczął od żartu. Wedle pobieżnych obliczeń, pisał, jedna trzecia nieszczęśników smażących się w ogniu piekielnym trafiła tam po przeczytaniu właśnie *Dekameronu*. Książki czasem tkliwej i sprośnej jak młoda czarownica, a czasem rzewnej jak nieszczęśliwa miłość. Niekiedy jurnej jak spasiony mnich, a bywa, że klaskającej jak słowik w maju. Książki budzącej dreszcze grozy, napiętnowanej klątwą i siejącej przerażenie wśród napęczniałych cnotą poczciwców. Z której wiał taki piekielny żar, że od samego dotknięcia świętoszek mógł stracić zbawienie duszy, a dziewica znaleźć się w stanie błogosławionym. Ale właśnie dla tych budzących największe emocje opowieści księgę Boccaccia się dotąd czytało. Potajemnie, z wypiekami na twarzy, wybierając co bardziej pikantne i zakazane fragmenty i sprowadzając w efekcie *Dekameron* do zbioru sprośnych dykteryjek.

Makuszyński przekonywał czytelników, że to książka niezasłużenie traktowana jak biblia bezbożników i libertynów, niesłusznie zakazywana i krytykowana. To raczej hymn na cześć miłości, szczęścia, słońca, muzyki, wina i poezji. I zamiast *Dekameronu* zakazywać, należałoby raczej oprawić go w żelazo, żeby tym łatwiej można było nim zabić fałszywego cnotliwca, który chciałby go wpisać na listę ksiąg zakazanych. Zwłaszcza współcześnie, pisał Makuszyński, gdy świat zalewa ohyda plugawych piosenek, kiedy nagość stała się przykazaniem, a chamstwo wypelza z nor, „jakże wielki i czysty jest Bokacjusz i tacy jak on”.

Był konserwatystą. Nie miał zrozumienia dla jazzu wdzierającego się coraz powszechniej na parkiety Warszawy i, choć dużo wolniej, innych miast. Nie był zresztą odosobniony. Jazz, jazzmanów, jazz-bandy, czyli – jak pisano w periodykach muzycznych i nie tylko – „jazzbandytyzm” uprawiany przez „białych murzynów”, krytykowano i próbowano zwalczać, zarzucając niszczenie narodowej kultury. Bezskutecznie. Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych można już było w Polsce słuchać muzyki jazzowej i tańczyć przy rytmach granych przez „jazzbandytów” bez najmniejszego problemu. Ale i tak Makuszyński jeszcze w 1934 roku wyciągnął muzyce jazzowej wszystkie grzechy, które zarzucano jej na początku lat dwudziestych. Że zagłusza, że nie słyhać niczego poza wyciem jazz-bandu: bekiem saksofonu, jazgotem skrzypiec i hukiem bębna. „Wyje, ryczy i grzmi głosem tak natarczywym, rozzuchwalonym, bezczelnym i aroganckim, że potrafi zagłuszyć huk strzału” – pisał w jednym z felietonów. W dodatku nie można od rozwrzeszczanych głosów jazzbandowych śpiewaków uciec ani się przed nimi schronić, bo wdarły się już nawet do radia, które „zbyt często ciska w przestrzeń wrzask jazzbandu i jego »poezję« o złamanym sercach, chorych z miłości na skręt kiszek i ucziwej polszczyzny”.

Ale, pocieszył czytelników, nie wszystko stracone. Jazz jest wszędzie, jak wszędzie był potop, i w tym właśnie nadzieja. Kiedyś przeminie tak samo, jak skończył się potop. Zniknie jak King Kong, krwawa małpa pożerająca dziewice, który przecież też w końcu zdechł. Zakończy się jazzowy obłęd, który ogarnął ludzkość. Tym razem prorokiem okazał się kiepskim, choć nie zawsze tak było.

W 1936 roku opublikował felieton *Panny niewidzialne*, w którym z żalem żegnał pracownice telefonicznych łącznic. Nie były już potrzebne, bo zaczęto właśnie, najpierw w Warszawie, a za chwilę w innych częściach Polski, wprowadzać centrale automatyczne. Postęp i nowe technologie posła na bruk panny pracowite, wrażliwe i o miłych głosach, pisał. Taki los prędzej czy później dotknie wszystkich ludzi, których bezwzględna maszyna weźmie za kark i wygna na uliczny bruk. A przy okazji przewidział... telefony komórkowe: „Jutro telefon bez drutu zgruchoce automat telefoniczny, a potem Lucyfer wymyśli taką maszynę, którą będziemy nosili w kieszonce kamizelki; kupiec z Gęsiej ją naciśnie, a kupiec z ulicy Piotrkowskiej w Łodzi odpowie: – Nu? Co jest?”.

W połowie lat trzydziestych ukazały się trzy książki, które pokazały nowe oblicze Makuszyńskiego. W *Skrzydlatym chłopcu* (1933), *Uśmiechu Lwowa* (1934) i *Wielkiej bramie* (1936) nie chodziło już tylko o dostarczanie czytelnikom rozrywki. Piętnaście lat po odzyskaniu niepodległości przyszedł czas na podsumowania dorobku odrodzonej Polski. Makuszyński dołączył do tych, którzy byli z tego dorobku dumni. Chciał, żeby dumni byli także młodzi Polacy.

Skrzydlaty chłopiec, historia bezdomnego gazeciarza, któremu udaje się spełnić wielkie marzenie o lataniu, to jednocześnie opowieść o lotnictwie II Rzeczypospolitej. Powstawało ono razem z odradzającą się Polską, a już po kilku latach dochowało się takich asów jak Stanisław Wigura i Franciszek Żwirko, bijących rekordy w wysokości i długości przelotów (obaj zginęli w 1932 r.). I jak Bolesław Orliński, który przeleciał w 1926 roku z Warszawy do Tokio (ponad dziesięć tysięcy kilometrów) z pękniętym śmigłem i obciętymi częściowo skrzydłami, a potem wrócił tą samą drogą do Polski. Kolejnym był Ignas Olecki, bohater książki Makuszyńskiego. *Skrzydlaty chłopiec* więcej zrobił dla propagandy polskiego lotnictwa niż powołana w 1928 roku Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, chwalili książkę krytycy.

Temat marynistyczny podpowiedział Makuszyńskiemu wydawca większości jego przedwojennych książek Jan Gebethner. Podczas jednej z wizyt w oficynie pisarz poskarżył się, że nie ma pomysłu na następną powieść. Gebethner zaproponował, żeby napisał coś o porcie w Gdyni, najważniejszej obok Centralnego Okręgu Przemysłowego inwestycji II Rzeczypospolitej. Temat był gorący, bo o budowie nowego polskiego portu mówili wszyscy. „Zasiadł do pisania i w niedługim czasie przyniósł nam rękopis książki *Wielka brama*” – wspominał wydawca.

„Najwspanialsza zdobycz polskiego trudu, kamienny pomnik entuzjazmu, wielka brama Polski na szeroki świat” – chwalił Makuszyński nowoczesny port wybudowany na polskim skrawku wybrzeża Bałtyku. Gdynia uniezależniła Rzeczpospolitą od portu w Gdańsku, który tylko formalnie miał status miasta wolnego i ponadnarodowego. Naprawdę stawał się coraz bardziej niemiecki i antypolski.

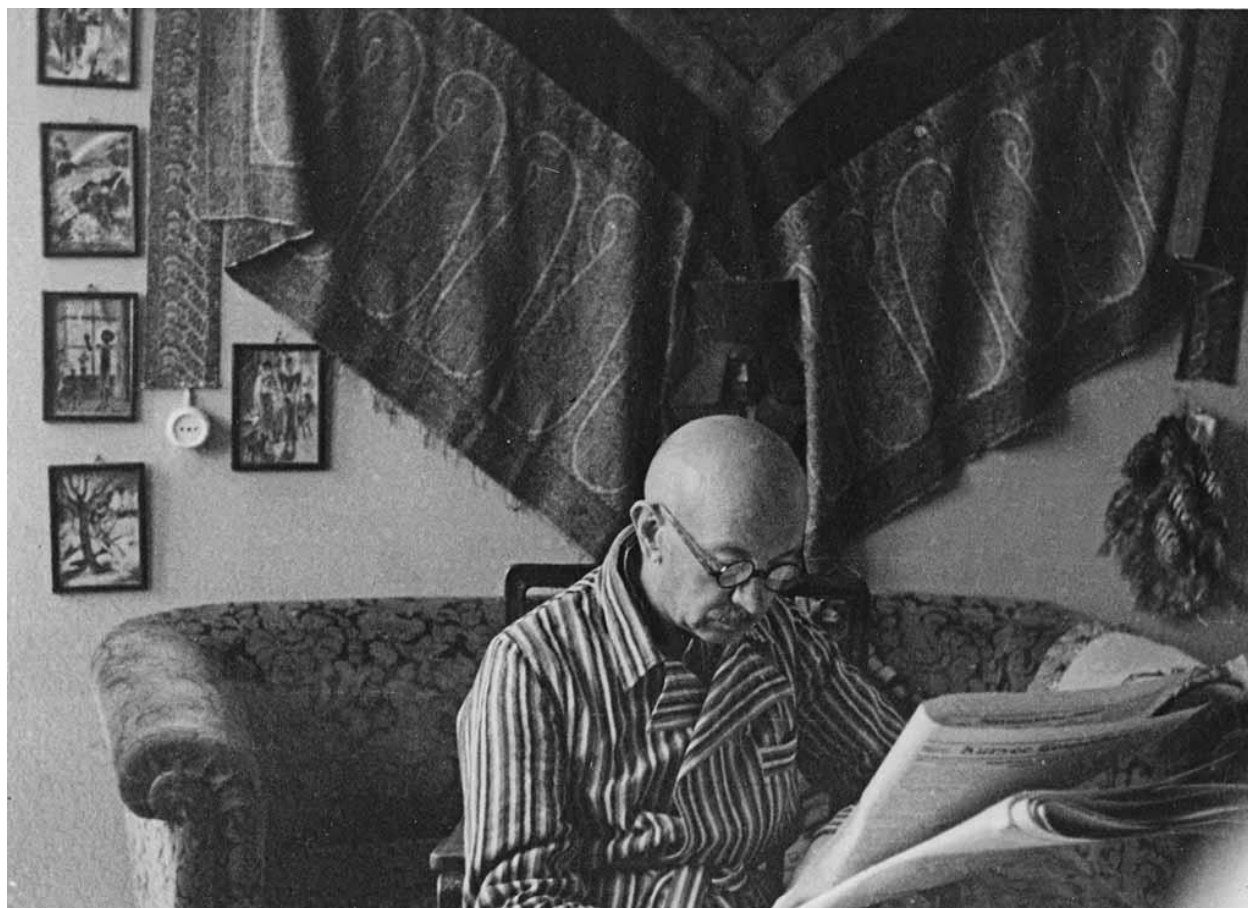
Makuszyński zachwycił się błyskawiczną przemianą maleńkiej rybackiej wioski w wielkie miasto. Spełniło się marzenie wicepremiera Eugeniusza Kwiatkowskiego, który rzucił pomysł budowy gdyńskiego portu. „Gdynia stała się najpiękniejszym słowem polskiej mowy” – pisał.

Kilkudziesięciostronicowym *Uśmiechem Lwowa* pisarz złożył hołd miastu swojej młodości. Osierocony w wieku czternastu lat Michał Korecki z Warszawy niespodziewanie dostaje list wzywający go do leżącego na wzgórzach tajemniczego miasta z lwem w herbie. Do listu dołączone są pieniądze. Namówiony przez opiekunów rusza do Lwowa. Ale szarada ukrywająca nazwę miasta to był dopiero początek zagadek, rebusów i łamigłówek zawierających kolejne wskazówki z nazwami ulic, pomników, gmachów, kościołów i parków. Rozwiązując kolejne zagadki, chłopiec wędruje przez Lwów, poznaje miasto („najdumniejsze w świecie”), jego mieszkańców („ludzi najbardziej życzliwych i uśmiechniętych”) i najpiękniejsze („pełne cudów”) zakamarki. Spotyka wreszcie autora listu i już razem idą na cmentarz Łyczakowski – polski panteon, gdzie spoczywają: pułkownik Ordon, Seweryn Goszczyński, Maria Konopnicka, Artur Grottger... A potem na Cmentarz Orląt, gdzie pochowano najmłodszych żołnierzy – wśród nich dzieci – którzy zginęli w latach 1918–1919, broniąc miasta przed Ukraińcami. W jednym z grobów na Cmentarzu Orląt spoczywa czternastolatek, który zginął w obronie miasta. Syn człowieka, który zaprosił do Lwowa Michała Koreckiego, by go adoptować. Przyjaźnił się przed laty z jego ojcem.

„Podpisali swoją krwią manifest o nienaruszalności granic, a granice wytyczyli kopcami swoich grobów. Walczyli na śmierć wbrew nadziei, aby zaświadczyć, że idea jest nieśmiertelna i że wobec niej niczym jest ofiara życia. A tą ideą [...] była całość i wielkość Ojczyzny” – napisał o młodych obrońcach miasta Makuszyński. Patetyczne słowa w II Rzeczypospolitej brzmiały naturalnie, Orlęta Lwowskie oddające życie w obronie ojczyzny były jednym z mitów założycielskich odrodzonej Polski. Po II wojnie światowej spowodowały jednak, że *Uśmiech Lwowa* nie mógł być przez czterdzieści pięć lat wznowiony. Lwów przestał być polski, a Cmentarz Orląt został na wiele lat skazany na śmierć przez zapomnienie.

W latach trzydziestych coraz więcej czasu – po kilka tygodni latem i zimą – Makuszyńscy spędzali w Zakopanem, aż wreszcie w 1935 roku wynajęli na stałe mieszkanie w willi Opolanka. W Warszawie w tym samym czasie przeprowadzili

się do czteropiętrowej kamienicy przy Grottgera 9a na Mokotowie, wybudowanej przez Spółkę Terenową Tanich Domów. Wtedy były to jeszcze peryferie miasta, ale lokalizacja była doskonała. Blisko Łazienek, no i dobre towarzystwo, bo Spółka starannie dobierała zarówno członków, jak i kupujących mieszkania na wolnym rynku. Preferowano przedstawicieli wolnych zawodów i majątnych twórców, bo mieszkania na Grottgera nie były tanie. Wśród mieszkańców nie brakowało adwokatów, lekarzy i architektów.



Od początku lat trzydziestych coraz więcej czasu – po kilka tygodni latem i zimą – Makuszyńscy spędzali w Zakopanem, aż wreszcie w 1935 roku wynajęli na stałe mieszkanie w willi Opolanka.

Dodatkowo z Grottgera Makuszyński miał niedaleko na ulicę Nabelaka, gdzie słynne na całą stolicę „czwartki literackie” organizował Jan Czochrański, chemik, wynalazca (m.in. metody otrzymywania monokryształów krzemu) i przyjaciel prezydenta Ignacego Mościckiego. Ta znajomość przyda mu się za kilka lat, gdy Polska znajdzie się pod okupacją.

Mieszkał w Warszawie, ale nie zapominał o pozostałej w Stryju rodzinie, siostrach i matce, która pod koniec życia zamieszkała u jednej z córek. Siostrzenica

pisarza, Jadwiga Tarnawska, zapamiętała, że wspomagał finansowo całą rodzinę, a matce – choć miała rentę po ojcu – co miesiąc przysyłał pieniądze i paczkę ze smakołykami, jakich dzieci w Stryju nigdy wcześniej nie widziały. Marcepany, jadalne kasztany i ciastka bombki, z których po ugryzieniu wydobywał się cukier puder. Kiedy przychodziła paczka, dzieci oblegały babcię, a ona wydobywała z niej kolejne delicje.

Wuj z Warszawy opłacał też częściowo edukację siostrzenic i siostrzeńców. Na początku każdego roku szkolnego dzieci wysyłały do Gebethnera i Wolffa wykaz potrzebnych do nauki książek. „I książki przychodziły do nas w ogromnej paczce” – wspominała pani Jadwiga. Płacił za wszystko Kornel Makuszyński. Oczywiście wysyłał dzieciom także swoje książki. Siostrze Jadwigi, która nosiła imię Dioniza, podarował *Awanturę o Basię*. W dedykacji napisał: „Gdy Dyzia będzie czytać biednej Basi dzieje, niech jednym oczkiem płacze, a drugim się śmieje”. Mała Jadzia była zazdrosna, że na jej książeczce *O dwóch takich, co ukradli księżyc* wuj napisał tylko: „Kochanej Wisi” czy coś równie banalnego.

Aż do śmierci matki w 1938 roku odwiedzał ją w Stryju. Musiał wtedy tłumaczyć się przed nią i siostrami z pojawiających się na jego temat plotek. Szczególnie, gdy któraś z gazet napisała, że Kornelowi Makuszyńskiemu urodził się syn. Chłopiec miał otrzymać po ojcu imię Kornel, gazeta opublikowała nawet zdjęcie niemowlaka. „Wychodziło więc na to, że wujek ukrył ten fakt przed nami” – wspominała Jadwiga Tarnawska. Przy najbliższej wizycie został wzięty na spytki, ale wszystkiemu zaprzeczył. Mimo dwóch małżeństw nie miał dzieci.

W 1937 roku wszedł w skład powołanej cztery lata wcześniej Polskiej Akademii Literatury. O jej powstanie zabiegał jeszcze Stefan Żeromski, Makuszyński był nawet w komisji, która miała w 1920 roku przygotować statut PAL, ale nic z tego nie wyszło i prace zawieszono. W 1933 roku pierwszych siedmiu członków piętnastoosobowej akademii wybrał rząd, kolejną ósemkę dokooptowali już wybrani akademicy. Przynależność do PAL była dożywotnia, nowych członków można było powoływać wyłącznie wtedy, gdy zwolniło się miejsce po śmierci któregoś z akademików.

Pierwszy skład Akademii (zwłaszcza siódemki „rządowej”) wywołał oczywiście kontrowersje i protesty. Niektóre nazwiska (Staffa, Nałkowskiej czy Wacława Sieroszewskiego) nie budziły wątpliwości, inne nominacje (choćby Wacława Berenta czy Piotra Choynowskiego) część środowiska uznała za nieuzasadnione. Uważano, że miejsce, które zajął Choynowski, należało się raczej Makuszyńskiemu, „pisarzowi o dużej popularności wśród czytelników” – wspominał sekretarz PAL Michał Rusinek.

Wobec kontrowersji redakcja „Wiadomości Literackich” zaproponowała powołanie Akademii Niezależnych złożonej z pisarzy wybranych głosami czytelników. Oczywiście „niezależnymi” mogli zostać wyłącznie ci literaci,

których pominięto przy wyborze do „prawdziwej” Akademii. Zbierali się raz do roku na fundowanym przez „Wiadomości” obiedzie, przyznawali nagrodę za najlepszą książkę mijających dwunastu miesięcy i wygłaszali złośliwe uwagi na temat PAL, w czym celował zwłaszcza Słonimski. W rzeczywistości „oba ugrupowania służyły przede wszystkim propagowaniu nazwisk swoich członków” – pisał Rusinek. A gdy „niezależny” dostawał propozycję członkostwa w Polskiej Akademii Literatury, zmieniał barwy bez chwili wahania.

Makuszyński nie zmieścił się jednak także w piętnastce Akademii Niezależnych, w której znaleźli się między innymi Tuwim, Słonimski, Dąbrowska, Wierzyński, Goetel, Parandowski, Pawlikowska-Jasnorzewska, a nawet Nowaczyński.

Po raz pierwszy kandydatem do PAL został w roku 1936, po śmierci Choynowskiego (prasa pisała nawet, że jest pretendentem najpoważniejszym), ale przegrał w głosowaniu z Ferdynandem Goetlem, prezesem polskiego PEN Clubu i Związku Zawodowego Literatów Polskich, pisarzem dużo lepiej widzianym przez sanacyjne władze. „Daj Ci Boże, stary, kochany Ferduło” – przypomniał Jan Lechoń słowa Makuszyńskiego skierowane do Goetla.

Rok później nie musiał czekać na niczyją śmierć. Zajął miejsce Wincentego Rzymowskiego, pisarza średniego kalibru, za to wielkich ambicji, który ustąpił ze składu PAL po udowodnieniu mu plagiatu w jednej z książek. Rezygnował bardzo niechętnie i dopiero pod naciskiem prasy oraz innych akademików. W satyrycznym tygodniku „Mucha” ukazał się nawet rysunek, na którym Makuszyński wydmuchuje z fotela zajmowanego wcześniej przez Rzymowskiego „bakcyle plagiatu”.

Nie wszyscy byli z nominacji Makuszyńskiego zadowoleni. Akademicy zbierali się aż trzy razy, nim porozumieli się, kto ma zastąpić Rzymowskiego. Wątpliwości nie były natury literackiej, ale politycznej. Bywalczyńni sanacyjnych salonów Zofia Nałkowska próbowała storpedować kandydaturę Makuszyńskiego. Uważała, że wzmocni on w PAL frakcję endecką („wiadomą”, napisała), choć znacznie częściej zarzucano Akademii nadreprezentację pisarzy wspierających sanację. Przeciwny był też Waław Berent, popierali Makuszyńskiego: Tadeusz Dołęga-Mostowicz, autor między innymi *Kariery Nikodema Dyzmy*, sekretarz generalny PAL Juliusz Kaden-Bandrowski i Bolesław Leśmian. Leśmian „uważa, że to »porządny człowiek«, a Boy niestety też nie ma zamiaru temu się opierać” – zanotowała w *Dziennikach* Nałkowska. Kilkanaście miesięcy później zmieniła zdanie. Napisała, że i Makuszyński, i Jan Lorentowicz (wszedł na miejsce zmarłego Leśmiana) bardzo się w Akademii przydają, zdobywając pieniądze na stypendia i nagrody. A „Mucha” opublikowała kolejny rysunek, na którym Makuszyński dołącza do rozłożonych na plaży w strojach kąpielowych Kadena-Bandrowskiego, Sieroszewskiego i Boya-Żeleńskiego. Starzy akademicy

zapraszają nowego (też w plażowych majtkach): „Chodź, bracie, oPALać się z nami”.

Nawet Stanisław Wasylewski wznosił się tym razem nad niechęć do gimnazjalnego kolegi. Nawoływał wszystkich, którzy mają wątpliwości co do Makuszyńskiego, by zapytali „masę czytelniczą” o najdźwięczniejsze współczesne nazwisko literackie. „Na dziesięć osób zapytanych ośm odpowie: Kornel. [...] on bowiem jest lekarzem setek tysięcy czytelników zatrapionych i stłamszonych w kieracie tygodnia” – napisał.

Tylko Rzymowski potraktował ponoć utratę miejsca w Akademii bardzo osobiście, choć Makuszyński nie miał żadnego wpływu na jego rezygnację. Wystarczyło, że zajął jego miejsce. Nie mógł też oczekiwać, że następca wygłosi, jak to było w zwyczaju, pean na jego cześć. „Co prawda Makuszyński jest humorystą – to może mu ułatwić trudne zadanie chwalenia zasług Rzymowskiego” – ironizował „Dziennik Bydgoski”. Kiedy po wojnie Rzymowski pełnił funkcję ministra w dwóch pierwszych komunistycznych rządach, zemścił się.

Ósmego grudnia 1937 roku odbyła się uroczystość przyjęcia Kornela Makuszyńskiego w poczet członków PAL. Składając ślubowanie, złożył hołd Kasprowiczowi, któremu zawdzięczał debiut i odwagę tworzenia, ale przede wszystkim odpowiedział tym, którzy odmawiali mu prawa do wcześniejszych laurów, a i teraz woleliby widzieć na jego miejscu kogoś zupełnie innego. W tym, co pisze, tłumaczył, jest jak ów kuglarz, „co nie znając słów dostojnej modlitwy, sztuczkami swoimi chciał uwielbiać Matkę Boską”.

– W wielkiej symfonicznej orkiestrze, co z burzy dźwięków doskonałą wywodzi harmonię, jestem grajkami, co gra na dziwnym instrumencie, wydającym ton nikły – *cantabile con molto tremolando* – i to tylko w owych króciutkich chwilach, kiedy rozgłosnie brzmiące puzony milkną, aby nabrać oddechu. Jestem listkiem na olbrzymim drzewie, co bierze w siebie wichry i tym wichrem śpiewa. Nie myślę jednak ukrywać dumy, urodzonej z zuchwałego przeświadczenia, że bez kropli nie byłoby morza, a korony drzewa bez liścia – mówił.

Uczy swoich czytelników literackiego abecadła, tłumaczył, aby mogli bez trwogi czytać płonące ogniem słowa w tych książkach, w których „spalają się Prometeusze polskiej literatury”. On – i legion takich jak on – naucza niepoliczoną gromadę czytelników, żeby mogli wznieść się do lotu ku „najwyższemu hymnom”. „Malutki jest to trud, na pyszne jednak ważyć się mniemanie, że jest tak pożyteczny jak spulchnianie ugoru” – mówił. Kto chciał, mógł usłyszeć w tych słowach hołd składany przez wyrobnika pióra niedościgłym literackim mistrzom, ale równie łatwo można odnaleźć w nich ukryty za pozorną pokorą ton ironii wobec tych, którzy mogli tylko marzyć, by cały ich dorobek osiągnął choćby część nakładu jednej książki Makuszyńskiego.

Występuje w obronie książek, które nie żądają dla siebie miary olimpijskiej, mówił dalej. W obronie niesłusznie niedocenianych dzieł Michała Bałuckiego czy Marii Rodziewiczówny, którzy dostarczają Polakom chleba być może razowego, ale za to bez zakalca i sporyszu. Za swoją misję w literaturze uznał dawanie czytelnikom radości, a nie smutku i zwątpienia, umiłanie im gorzkiego narodowego losu zamiast wciągania w „smugę cienia” i zabijania uśmiechu. I tak zamierza pisać „do ostatniego tchu”.

– Tak mi, mowo polska, dopomóż – zakończył.

Przynależność do Akademii była nie tylko prestiżowa, ale i atrakcyjna finansowo. Za każde posiedzenie akademicy dostawali po sto złotych, a zdarzało się, że zbierali się co tydzień, czasem nawet częściej. Budziła też nadal emocje, tyleż merytoryczne, co polityczne. Kandydaturę Juliana Tuwima większość akademików dwukrotnie utracąca, żeby wyborem pisarza żydowskiego pochodzenia nie drażnić endeckiej większości społeczeństwa. Poeta, który zdobył zdecydowanie najwięcej głosów czytelników „Wiadomości Literackich” spośród wszystkich kandydatów do Akademii Niezależnych, członkiem PAL nie został nigdy.

Nieco tylko mniejsze napięcia towarzyszyły Złotym i Srebrnym Wawrzynom Akademickim nadawanym przez ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego na wniosek Akademii. Ordery szybko stały się przedmiotem pożądania i protekcji, wspominał Rusinek, bo zwłaszcza Złoty Wawrzyn przyznawano skąpo i „prawie wyłącznie” pisarzom uznawanym za naprawdę wybitnych. Makuszyński był na pierwszej liście dwudziestu jeden nagrodzonych literatów. Z Lechoniem, Strugiem, Witkacym, Wierzyńskim, Zegadłowiczem... i Tuwimem. Uznano, że Wawrzyn nie będzie tak prowokacyjny jak stała obecność w Akademii.

WŚRÓD UWIEŃCZONYCH WAWRZYNYM AKADEMJI

projektował Jerzy Poczkowski

rysował Jerzy Zaruba



Od lewej do prawej: Maria Dąbrowska, Artur Śliwiński, Jan Lechoń, Jan Lorentowicz, Kazimierz Wierzyński, Maria Rodziewiczówna, Julius Tuwim, Kuraś Makuszyński, Ferdynand Gucwiłło, Wojciech Śpiętyński, Andrzej Strup, Pod stołem Miriam, za laurami Juliusz Kadus-Budowski, z ławki Antoni Słonimski.

10 LAT TEMU

Czasem słów, świętych utwórów, planowania myśli... Stefana Żeromskiego... "Wiedomości Literackie"...

Przez ten miesiąc, w którym czytamy... "Wiedomości Literackie"...

Przez ten miesiąc, w którym czytamy... "Wiedomości Literackie"...

Tuż do nosi Fixia nie nurczy i jest równie doskonały jak pomadki, pudry, perfumy, wody kolońskie



Lenthéric Parfumerie Paris

Podróż samolotem, to maximum wygodly przy minimum kłopotu!

PRZEZIĘBIENIA PRZY GWARZE, PRZED NIEBEZPIECNĄ ZŁOŻĄ I WIELE TABLET TEGAL, POWIOLCZĄ ONE SPÓDZ GORZCZAK IZBYCZNYCH

Ku nowej kulturze cykl 6 odczytów organizuje TUR...

PRENUMERATA z przesyłką a 9 kwartałem, zapłata do 12... OGLOSZENIA: za słowo wyprodukci 1 mm...

REDAKCJA: Żłota ul. 8 m. 5, tel. 2-42-82, piśmieńska, środy i piątki od godz. 16 - 17. ADMINISTRACJA: Krakowska 13...



Tydzien bibliograficzny

POWIEŚĆ, NOWELA H. Bogusława i J. Kuraśki, serial literacki 'Przedmieście'...

HISTORIA, PAMIĘTKI, POLITYKA Jan Tuwim, pierwszy powstaniec polski...

GEOGRAFIA, KRAJOZNAWSTWO, PODRÓŻ Aleksander Jank-Polczyński...

Największa hurtownia księgarska w Polsce DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

Złoty Wawrzyn Akademicki przyznawano pisarzom (czasem także politykom) uznawanym za naprawdę wybitnych. Jerzy Zaruba narysował kilkunastu z nich. Na górze od lewej: Maria Dąbrowska, Artur Śliwiński, Jan Lechoń, Jan Lorentowicz, Kazimierz Wierzyński, w środku: Maria

Rodziwiczówna, Julian Tuwim, Kornel Makuszyński (przy stole), Zenon „Miriam” Przesmycki (pod stołem), Ferdynand Goetel, na dole: Wojciech Stpiczyński, Andrzej Strug, Juliusz Kaden-Bandrowski, Antoni Słonimski. „Wiadomości Literackie” 1935, nr 48.

W PAL Makuszyński najbardziej zaprzyjaźnił się z Jerzym Szaniawskim, autorem dramatów granych przez wiele polskich teatrów i legendarnym milczkiem. Podczas ponad stu spotkań Akademii ani razu nie zabrał głosu z własnej inicjatywy. Sporadycznie zdarzało się, że odpowiedział na zadane mu pytanie.

Z Makuszyńskim przebywał chętnie, ale rozmowy były dość jednostronne. „Makuszyński, któremu się gęba nie zamykała, paplał nieustannie, natomiast Szaniawski uczestniczył w tym dialogu raczej mimicznie” – zapamiętał Rusinek. Podśledzał kiedyś, jak pierwszy, nie mogąc doczekać się reakcji kolegi, poprosił:

– Powiedz mi, drogi Jerzy, o czym ty teraz milczysz?

Uzyskał jedynie „dobrotliwy uśmiech i coś w rodzaju zażenowanego syku speszonej dziewczyny” – czyli usłyszał mniej więcej tyle co inni rozmówcy Szaniawskiego.

W 1937 roku Kornel Makuszyński zaczął pisać cykl rymowanych legend opowiadających o historii Polski. Chciał je zatytułować *Dzieci czytające w te pędy, bo to polskie legendy*, ale wydawca uznał, że tytuł jest niedobry: „Prosimy najuprzejmiej o zastanowienie się nad innym”. Pisarz najwyraźniej przyznał Gebethnerowi rację, bo pierwsza książka ukazała się ostatecznie pod tytułem znacznie prostszym – *O wawelskim smoku*. Musiał też nieco zmienić tekst, bo Walentynowicz nie zgodził się narysować smoka z sześćdziesięcioma nogami, jak chciał Makuszyński. „Walentynowicz zgadza się tylko na cztery nogi” – zawiadomił pisarza wydawca. I smok w książeczce ma cztery nogi. Rok później pojawiła się kolejna legenda – *Wanda leży w polskiej ziemi*. „Ślicznym wierszem Kornela Makuszyńskiego i arcypomysłowym rysunkiem Mariana Walentynowicza – polskiego Disneya – opowiada rzewne dzieje królowy Wandy. Jest to więc najpopularniejsza legenda polska w opracowaniu najulubieńszego pisarza i najbardziej pomysłowego ilustratora. Wydawcy zaś nie podwyższając ceny, wykonali książkę w technice rotograviurowej, dzięki czemu obrazki są bardziej barwne i subtelne niż dotychczas” – głosiła notka reklamowa.



Za swoją misję Makuszyński uważał dawanie czytelnikom radości zamiast wciągania ich w „smugę cienia”. Oceniając w 1938 roku prace nadesłane na konkurs literacki ogłoszony przez redakcję tygodnika „Z kraju i ze świata”, kierował się zapewne tym samym kryterium. Obrady jury: siedzą od lewej Karol Irzykowski, Kazimierz (nazwisko nieczytelne), Kornel Makuszyński i sekretarka redakcji.

Trzeciej książki z serii, powstałej w 1939 roku, *Za króla Piasta Polska wyrasta*, Walentynowicz nie zdążył już zilustrować. Wybuchła wojna. Opowieść ukazała się dopiero w roku 1985 z rysunkami Andrzeja Darowskiego.

Przerobione na komiksy legendy spotkały się z dużo przychylniejszymi recenzjami niż wcześniejsza opowieść o Koziołku Matołku. Historię Wandy, co nie chciała Niemca, pochwalił sam Juliusz Kaden-Bandrowski, legionista, opiniotwórczy krytyk i autor kilku powieści opisujących przemiany II Rzeczypospolitej, między innymi *Generała Barcza*. Wzniosłe dzieje mitycznej Wandy w ujęciu Makuszyńskiego dodadzą pisarzowi bystrych czytelników, a bohaterce przysporzą z pewnością „wielu żarliwych, choć spóźnionych obrońców” – napisał.

Komercyjny sukces książek adresowanych do młodzieży spowodował, że Bolesław Leśmian zaproponował Makuszyńskiemu współpracę przy piśmie dla

nastolatków („od 12–13 do 17 roku życia”). Poeta, po bankructwie prowadzonej w Zamościu kancelarii, rzucił właśnie posadę notariusza i szukał zajęcia, a pismo dla młodzieży wydawało mu się interesem pewnym. Nie ma takiego na rynku („»Płomyk« jest dla dzieci, nie dla młodzieży”), zebrał już trzydzieści tysięcy złotych, ministerstwo oświecenia publicznego deklaruje poparcie. „A przecież na takim piśmie moglibyśmy bardzo dużo zarabiać. I Wy, i ja, potrafimy pisać nie tylko dla młodzieży – ale nawet dla dzieci” – przekonywał. Choć był też słaby punkt planu. Do uruchomienia pisma brakowało co najmniej siedemdziesięciu tysięcy. „Czy możecie znaleźć taką sumę? Odpowiedzcie zaraz, bo czas nagli...” – Leśmian liczył być może, że uchodzący za bardzo zamożnego Makuszyński zobaczy w tym interes i sam dofinansuje jego projekt. Pismo jednak nie powstało, a Leśmian kilka miesięcy później zmarł.

Wspominając go w jednym z felietonów, Makuszyński miał pewnie jeszcze w pamięci rozpaczliwe poszukiwanie przez wybitnego poetę środków do życia. Po zorganizowanym na koszt państwa uroczystym pogrzebie Leśmiana napisał sarkastycznie, że gdyby dawać polskim pisarzom zaliczki akonto sum wydawanych na ich pogrzeby, pewnie nie umieraliby z głodu.

Latem 1939 roku prasa filmowa poinformowała, że Biuro Filmowe AS-FILM sp. z o.o. rozpoczęło zdjęcia do filmu na podstawie *Szatana z siódmej klasy*. Makuszyński przekazał filmowcom wszelkie prawa do „przeróbki i modyfikacji powieści, koniecznych do ożywienia akcji, technicznego ujęcia fabuły w film dźwiękowy”. A także do eksploatacji filmu w kraju i za granicą bez ograniczania liczby kopii.

Reżyserował film popularny aktor komediowy, scenarzysta i autor tekstów kabaretowych Konrad Tom, a zagrały największe gwiazdy przedwojennego kina: Mieczysława Ćwiklińska, Jan Kurnakowicz, Józef Orwid i Józef Węgrzyn. Muzykę skomponował Henryk Wars, autor melodii najbardziej popularnych piosenek Hanki Ordonówny, Zuli Pogorzelskiej i Eugeniusza Bodo. „Uroczą parę młodocianych bohaterów kreują wschodzące gwiazdy młodego pokolenia – Wanda Bartówna i Jerzy Kaliszewski” – informowali reporterzy prasy filmowej. Makuszyński zaakceptował scenariusz i obsadę, a także pomagał przy pisaniu dialogów filmu, który miał być „miłym odprężeniem po ponurych dramidłach panoszących się na naszych ekranach”. Otrzymał za to zaledwie trzy tysiące złotych, a więc mniej więcej tyle co za wydaną w kilkutyśiącym nakładzie powieść (za wznowienia wynagrodzenie proporcjonalnie rosło). Gdyby filmowy *Szatan* okazał się sukcesem („kasowość będzie względnie dobra”), wytwórnia miała mu dopłacić jeszcze tylko tysiąc złotych.

Zdjęcia zrealizowano w całości, ale prace nad montażem przerwała wojna. Janina Makuszyńska wspominała po latach, że oglądali nawet w wytwórni jakąś wersję i Kornelowi film bardzo się podobał: „Niestety po wybuchu wojny film

został spalony”.

Niewiele osób wierzyło, że dojdzie do wojny. W styczniu 1939 roku redakcja „Kuriera Warszawskiego” poprosiła kilku pisarzy o przepowiednię, jak świat i Polska będą wyglądały za dwadzieścia lat.

Juliusz Kaden-Bandrowski wieszczył „niebywały rozkwit idealizmu kulturalnego”, Wacław Grubiński zapowiadał nowe szerokie tętnice ulic, monumentalne gmachy, strzeliste wiadukty, klomby uliczne i skasowanie tramwajów. Antoni Ferdynand Ossendowski przewidywał powstanie w Warszawie kilku lotnisk, szerokie kamienne bulwary wzdłuż Wisły i gmachy towarzystw żeglugowych na praskim brzegu.

Makuszyński odpowiedział bardzo obszernie. W jego wizji ogromna Warszawa obejmowała w 1959 roku Otwock i Piaseczno. Po wielkiej wystawie światowej, która odbyła się na Saskiej Kępie, pozostały w stolicy ogromne wieżowce; w najwyższym, czterdziestopiętrowym, siedzibę ma Polskie Radio. Szaloną karierę zrobiła telewizja. Kilka miesięcy wcześniej, 5 października 1938 roku, odbyła się pierwsza w Polsce próbna transmisja, a Makuszyński pisał o dwudziestu dziewięciu milionach telewizorów po zaledwie dwudziestu latach. Nie chodzi się już za to do kina, prorokował. Wystarczy otworzyć w domu „odpowiedni kurasek” i kinowe gwiazdy ma się na zawołanie. Brzmiało to trochę jak zapowiedź internetu.

Później nie oparł się żartom. Nakłady książek polskich pisarzy wzrosły z tysiąca do tysiąca dwustu egzemplarzy, pisał. Najbardziej zasłużeni mają wille, auta i tytuły ekscelencji, a wydawcy biegają za nimi, wciskając im tłuste zaliczki. Autorzy bronią się z trudem.

„Słowem: w głowie się mąci na widok niebywałych wynalazków, udogodnień i praktycznych świetności. W dalszym ciągu jednakże wino wyrabiają z buraków i siarki, chleb z zakalca, masło z margaryny, a serdelki z wyścigowych rumaków” – podsumował.

Wojny, która wybuchła za osiem miesięcy, nie uwzględnił w swojej wizji żaden z pisarzy.

XII

Żydki, żydy, żydzięta

Makuszyński nie wysyłał Żydów na Madagaskar, jak publicyści „Małego Dziennika” i „Gazety Porannej 2 Grosze”. Nie pisał pamfletów wymierzonych w „izraelickie” „Wiadomości Literackie”, jak Adolf Nowaczyński. Nie odmawiał Julianowi Tuwimowi i Antoniemu Słonimskiemu prawa do bycia polskimi pisarzami tylko dlatego, że mieli żydowskich przodków. Mimo to uważany jest czasem za antysemitę.

Był, jak spora część przedwojennej inteligencji – paradoksalnie czasem nawet tej, która miała żydowskie korzenie – uczulony na Żydów. Traktował ich z tą samą nadwrażliwością, która jest obecna w dziennikach Marii Dąbrowskiej i Zofii Nałkowskiej, w powieściach Witkacego, a nawet u Stefana Kisielewskiego, którego matka była Żydówką. Makuszyński nie był uczulony na Żydów, dlatego że byli Żydami. Jego niechęć do żydowskich zachowań nie miała podłoża narodowego, ale socjologiczne. Kpił z tych samych Goldbergów i Rappaportów, Gutmanów i Rozencwajgów, Rojtbergów i Lutmanów, Kugelszwanców i Aprikozenkranców, którzy byli bohaterami kabaretowych szmoncesów *Qui pro Quo* i *Bandy*. Skeczów takich jak *Sęk* i *Inkasent* Konrada Toma, *Noc poślubna* i *Dług* (znany też jako *Mistyka finansów*) Tuwima czy *Brydż* Słonimskiego.

W II RP antysemityzm był w życiu publicznym obecny w dużo większym stopniu niż współcześnie. Było na to znacznie większe przyzwolenie, miał też różne oblicza. Byli pałkarze z Obozu Narodowo-Radykalnego i był antysemityzm państwowy, którego przejaw stanowiły getta ławkowe. Byli zwolennicy segregacji rasowej i wyrzucenia Żydów z Polski oraz tacy intelektualiści jak Zofia Kossak-Szczucka, którzy przed wojną nie kryli swojego antysemityzmu, ale kilka lat później, gdy Żydów skazano na zagładę, utworzyli Radę Pomocy Żydom „Żegota”. Bo pierwszym prawem obowiązującym katolika jest miłość bliźniego.

Kpiny Makuszyńskiego z Żydów, czasem na granicy szyderstwa, i złośliwe aluzje pojawiające się w felietonach i powieściach nie przeszkadzały mu w utrzymywaniu dobrych relacji z wieloma ludźmi pochodzenia żydowskiego. A oni też nie zrywali z tego powodu kontaktów ze „złotym Kornelem”. Tuwim i Słonimski, przez antysemitów odsyłani do getta, w swoich tekstach publicystycznych i kabaretowych też Żydów nie oszczędzali. Można byłoby ich posądzić o taki sam antysemityzm, jaki zarzucano Makuszyńskiemu.

Dostrzegał żydowską odmiennność: obyczajową, religijną, kulturową. Irytowała go ich ekspansywność, śmieszyła nadekspresja, przeszkadzała niechęć do asymilacji. I „antypolonizm”, którym zazwyczaj usprawiedliwiają się antysemita. To „najmędrszy szczerp” na świecie i zawsze zadowolony, no, prawie zawsze, pisał

w relacji z wojny ukraińsko-rosyjskiej obserwowanej z Kijowa. Kiedy ukraiński rząd uciekał z Kijowa, Żydzi się cieszyli. Kiedy miasto zajęli bolszewicy – byli zadowoleni. Kiedy weszli Niemcy i przepędzili bolszewików – radowali się najbardziej ze wszystkich. Jest tylko jeden wyjątek: „Kiedy wejdą do Kijowa Polacy – Żydzi się nie ucieszą”.

Opis wakacji spędzanych w 1922 roku w Sopocie (wtedy należącym do Rzeszy) opublikował najpierw w „Rzeczpospolitej”, a następnie w zbiorze *Moje listy* (w Bibliotece Dzieł Wyborowych). Nie różnił się stylem od tego, jak pisała o Żydach prasa endecka. „List z Sopotu powinien być właściwie napisany po żydowsku, jeśli ma być interesujący, stylem soczystym, obrazowym, powinien być wypowiedziany rękami, z wielkim rozradowanym wrzaskiem. Sopot bowiem tegoroczny to jedna wielka mykwa, mykwa zaś jest to wielka kadź kąpielowa, która ma tę właściwość, że po żydowskiej kąpeli jest w niej zawsze więcej cieczy, niż jej było przed kąpielą. Zatoka sopocka tak mniej więcej wygląda” – skonstatował.

Dalej było jeszcze bardziej złośliwie. Ryby, odurzone zapachem Żydów, oszalałe z przerażenia, obłąkane z rozpacz, uciekają z zatoki na pełne morze. Mewy, z upodobaniem straszące dzieci w kąpeli, nad basenem, w którym pluskają się „żydzięta”, zaczynają się słaniać, słabną, trzepocą skrzydłami i wpadają do wody: „Taka nad żydowskim basenem jest lubość aury”.

„Żydowie” przywędrowali nad Bałtyk jak szczury kierowane jakimś tajemnym nakazem. Starzy i młodzi, biedni i bogaci, we frakach i w chałatach, wystawiają w stronę morza brzuchy, wążą do wody, choć fale, brzydząc się nimi, uciekają od brzegu. Oni jednak nie dają za wygraną. Wciskają się nieproszeni do wody: „Potem zirytowane morze rzyga tym mrowiem na brzeg, i wtedy na piasku leży sto tysięcy ton koszernego mięsa”. Cielska opasłe jak u morskich krów, otłuszczone, brzuchate, napęczniałe, wykoślawione... Nawet nad Morzem Czerwonym nie było z Mojżeszem większej żydowskiej gromady niż tego roku w Sopocie, pisał.

Żeby odpocząć od zażydzonego Sopotu i nadyszeć się ojczyzną („Czy znasz ten kraj, gdzie żyd nie dojrzewa”), trzeba wybrać się do polskiej Gdyni, gdzie Żydów jest ciągle niewielu, radził: „Żydowin zresztą, przybywszy do Gdyni, kiedy się rozejrzył, wraca natychmiast bezpośrednim połączeniem Gdynia–Sopot. Dla żydów Gdynia jest miejscowością niemiłą. Skąd tu tylu katolików?”.

Podobnie złościła Makuszyńskiego inwazja Żydów na Zakopane. Wrzaskliwych, kłótliwych, domagających się przywilejów. Co się może zmienić w Zakopanem przez pół roku? Nic: „Było krzywe i będzie. Były żydy, są i będą” – pisał. „Zakopane posiada trzech murzynów, z których jeden twierdzi o drugim, a drugi o trzecim, że to przebrane żydki” – dodał w felietonie *Przewodnik po Zakopanem*. Reszta była dość podobna do tego, co pisał o Sopocie.

Żydzi byli też poręczni przy innych okazjach, bo odwołania do ich odmienności rozumieli wszyscy. Skojarzenia pojawiały się same, aluzje cisnęły się pod pióro bez najmniejszego wysiłku.

„Rozpacz zaczyna mną targać jak pies żydowskim chałatem” – skarżył się Makuszyński, gdy Witkacy i Boy-Żeleński nie pozwolili mu nawet na chwilę wytchnienia podczas górskiej wędrowki.

Żyje pod Nowym Targiem Izraelita, opowiadał w innym miejscu, który widząc nadjeżdżający automobil, natychmiast wypędza na drogę stado gęsi. I zawsze jakimś cudem ginie ptak najbardziej przez Żyda ukochany i „niezmiernie do niego przywiązany”. A ból po gwałtownej utracie przyjaciela może zostać ukojony tylko przez odpowiednio sowitą opłatę wniesioną przez gęsiobójcę na czterech kołach...

Najbardziej wyrazistym przykładem charakteru owego uczulenia Makuszyńskiego na Żydów jest powieść *Fatalna szpilka*. Jej bohater, lubiany przez wszystkich Feliks Pączek, wybiera się na przyjęcie i wbija sobie w głowę, żeby nie oblać fraka szampanem – za który: „– ha! ha; – Żydy płacą!”. Dopiero później okazuje się, że francuski rzekomo szampan to zwykle „węgierskie paskudztwo”. Żydowski bankier Stanisław Tulipan, noszący imię chrześcijańskie, ale syn Abrahama, ponalepiał po prostu na butelki francuskie etykiety.

A to dopiero początek.

– Pan Pączek! Pan Pączek! – cieszą się panie i panowie na widok przybysza.

„Taki wrzask czynią żydzi, rabina witając” – komentuje narrator. Poeta Leszek się upija, co samo w sobie jest przyjemne, ale wstydzi się, „bo to za żydowskie pieniądze”. Panna Krystyna rumieni się „jak żyd po chrzcie”. Jest co prawda narzeczoną pana Tulipana i to dla niej wydał on przyjęcie, ale gardzi nim „tak żywołowo, jak pies żydowskim pogardza chałatem”. Kiedy zaś obnaża dla pana Pączka pulsujący pożądaniem biust, a zazdrosny Tulipan próbuje temu przeszkodzić, grozi: „niech mi ten żyd jeszcze słowo powie, to zrzucam całą suknię”.

Dochodzi do awantury, Pączek strzela do Tulipana z rewolweru i jest przekonany, że bankiera zabił. Ucieka z kraju przez zieloną granicę, czuje jednak, że policja depcze mu po piętach. Jednocześnie okazuje się, że cały przemytniczy świat, od Berlina przez Holandię po Egipt, opanowany jest przez mafię krewnych Tulipana. A jeśli któryś z napotkanych Tulipanów nie jest Żydem, to przynajmniej jest Arabem. A dokładnie „arabskim żydkiem”.

Kiedy napotkana na pustyni córka szejka, starszawa dziewica o imieniu Kwiat Cebuli, postanawia się za Pączka wydać, nie przeszkadza jej, że wybranek jest katolikiem.

– Nic nie szkodzi, panu się jutro zrobi obrzezanie i pan już nie będzie miał zmartwienia – pociesza Pączka ojciec panny młodej. A pan Pączek dochodzi do

wniosku, że dużo lepiej byłoby, gdyby zabił katolika, a nie Żyda, bo to, że jego los nie jest ochrzczony, to pewne. Ucieka nad morze, trafia jako rozbitek na bezludną wyspę, ale okazuje się, że nawet tam interes prowadzi niejaki Gedale Tulipan, stryj Stanisława, Żyd z Warszawy. Makuszyński, żeby nie było wątpliwości, że Gedale to człowiek stuprocentowo religijny, pisze „żyd”.

Uratowany z bezludnej wyspy Feliks Pączek trafia do Ameryki, a tam na Dzikim Zachodzie, między Indianami. Ich wódz, Natan Żelazna Brama, okazuje się naprawdę Symche Tulipaniem, dziadkiem Stanisława i fryzjerem z Warszawy. Dzięki temu zdobył tyle skalpów, że czerwonoskórzy okrzyknęli go wodzem. Od niego Pączek dowiaduje się, że Stanisław Tulipan, syn Abrahama, naprawdę ma na imię Jojne.

Na koniec, kiedy Pączek po dwóch latach tułania się po pełnym Żydów świecie wraca do Warszawy, okazuje się, że wcale Stanisława Tulipana nie zabił i niepotrzebnie uciekał. A jakby tego było jeszcze mało, jego własna narzeczona, Danuta Słoneczko, uznając się za zdradzoną i porzuconą przez Pączka, wychodzi za mąż za Tulipana. A właściwie już nie za Tulipana, bo Jojne od tygodnia ma już także inne nazwisko.

– On się teraz nazywa Jagiełło – oznajmia adwokat, który przez dwa lata szukał Pączka po całym świecie, by oznajmić mu, że odziedziczył po zmarłej ciotce wielki majątek.

W felietonach i powieściach antysemityzm Makuszyńskiego dotyczył anonimowych Żydów, żydów, żydowinów, żydków. Istnieje jedno świadectwo, że prywatnie mógł być bardziej jednoznaczny. Antoni Słonimski chciał opublikować razem z Magdaleną Samozwaniec zbiór absurdalnych opowiadań zatytułowanych *Czy chcesz być dowcipny? Straszliwe opowieści na wesoło*. Makuszyński, który przecież utrzymywał ze Słonimskim stosunki co najmniej koleżeńskie, ostrzegł ojca Magdaleny, malarza Wojciecha Kossaka, że córka zamierza skompromitować rodzinę. „Daje się Żydom naciągać, kopie grób swojej sławie, z takim parszywym Żydem drukuje książkę, nie można iść do niej, aby się na Tuwima i Słonimskiego nie natknąć” – tak Kossak relacjonował żonie słowa Makuszyńskiego. Pisarz miał mu też powiedzieć, że ledwo powstrzymuje Adolfa Nowaczyńskiego przed atakiem na Magdalenę i jak mu się w końcu nie uda, to już nie będzie jego wina. A czasy teraz takie, że „kto z Żydem, ten zdrajca ojczyzny, ja osobiście tych nawet lubię, ale na ich nieszczęście są z tego przeklętego plemienia, co nas pcha w przepaść”.

Te słowa Makuszyńskiego znane są wyłącznie z listu Kossaka do żony, może więc malarz dołożył własną niechęć do Żydów. Już wcześniej nie krył swego stosunku do „natrętnych Żydowinów”, czyli Słonimskiego i Tuwima. Uważał, że córka, przyjaźniąc się ze skamandrytami, narusza „godność narodu i nazwiska”. I pseudonim niczego tu nie załatwia! Przecież i tak wszyscy wiedzą, że

Samozwaniec to dziecko tego sławnego Kossaka. Kazał Magdalenie wybierać między sobą a „tymi Żydami”, zażądał zerwania umowy na wspólną książkę i obiecał nawet za to zapłacić. *Straszliwe opowieści na wesolo* nie ukazały się.

Niechęć Makuszyńskiego do Żydów bywała wykorzystywana przez środowiska, które widziały w nich przyczynę wszystkich nieszczęść nękających od wieków Rzeczpospolitą. Uważali, że nie ma w Polsce miejsca dla tylu Żydów, więc trzeba ich wysiedlić, choćby na Madagaskar.

W 1937 roku Makuszyński opublikował w „Kurierze Warszawskim” felieton poświęcony upadkowi czytelnictwa w Polsce. Alarmował, że rynek księgarski zalewa literatura podłej jakości, za to bardzo tania, więc chętnie kupowana. Nie napisał, że odpowiadają za to Żydzi. Ale skrajnie żydożercze pisma nie miały wątpliwości, że tak właśnie jest. I napisały to za Makuszyńskiego, oczywiście powołując się na pisarza.

„Żydzi zatruwają dusze młodzieży szkodliwymi a bezkarnymi wydawnictwami” – oskarżał „Dziennik Bydgoski”. Makuszyński pisał o „papierowym gałgaństwie”, romansach, pełnych ojco-, brato- i siostrobójców, tanich jak barszcz i drukowanych „polszczyzną tak splugawioną, że odrętwienie chwyta człowieka”. „Dziennik” cytował Makuszyńskiego, ale szedł dalej. „Ujawniał”, że ta zgniła, wulgarna i kalecząca piękny polski język produkcja rodzi się oczywiście w żydowskich dzielnicach Warszawy: „Zejdą się dwa Żydy, wynajmą trzeciego – literata, i puszczają interes w ruch”.

Makuszyński napisał o przygodnych rzezimieszkach, bezkarnie plujących na polską mowę. Publicysta otwarcie antysemitki „Gońca Warszawskiego” K. Żegota, powołując się oczywiście na „mistrza polskiej mowy Kornela Makuszyńskiego”, uzupełnił, że chodzi o „żydów i żydówki [pisanych, rzecz jasna, małymi literami – M.U.], nieumiejących się wczuć w ducha języka polskiego” i wyczyniających z polszczyzną akrobatyczne łamańce. W efekcie czytelnik nie mógł mieć wątpliwości, że Makuszyński myśli dokładnie to, co najbardziej wrodzy Żydom publicyści.

Podobnie było, gdy Makuszyński opublikował wiersz *Serce polskie* o Polakach, ochrzczonych w kościele, których dobroć, serdeczność i gościnność wykorzystują bezwzględnie obcy. Tygodnik „Hasło Podwawelskie”, krzyczący na pierwszej stronie tytułem *Ten zbawi Polskę, kto uwolni ją od trzy i pół milionowej masy żydostwa*, dopowiedział bez wahania, że przecież doskonale wiadomo, o których „obcych” chodzi. O Żydów właśnie, lichwiarzy, pachciarzy i karczmarzy, którzy żerują na polskiej miękkoci. Wyzyskują polskie dusze, zmieniając chrześcijańskie serca w żydowską igraszkę. Po siedmiu wiekach żydowskich zbrodni popełnianych na Polakach, brudnej nienawiści do wszystkiego co polskie, rujnowaniu i zdradzaniu Polski, rozmiękczeniu filosemicką literaturą polskich serc Żydzi ciągle domagają się chrześcijańskiej miłości do siebie. „A my?”

Rozczulamy się ślamazarnie i gotowiśmy w każdej chwili zapomnieć wszystko i całować w brody lub w spasione pyski różnych Icków i Moritzów” – pisał anonimowy autor. Trzeba odwrócić się od Żydów, wrogów polskiego narodu, polskiej wiary i tradycji. Dla czytelników „Hasła” miało być oczywiste, że tak właśnie myśli także Kornel Makuszyński.

Pisarz nie walczył z tym, zresztą nawet gdyby chciał, byłaby to walka z wiatrakami. Ale prawdopodobnie nie chciał. Jeszcze w czasie okupacji, zaczynając pracę nad kontynuacją przygód Adasia Cisowskiego pod tytułem *Drugie wakacje Szatana*, już w pierwszym zdaniu napisał: „W roku 1937, w którym nadzwyczajnie obrodziły muchy, jabłka i Żydzi w Zakopanem”...

XIII

W okupowanej Warszawie

Po wybuchu wojny Makuszyński został w Warszawie. Nie wyjechał, jak tyłu innych, ponieważ, tłumaczył później, nie był ministrem, nie miał auta, był stary i dobrze wiedział, co znaczy wojenna tułaczka. Ale przede wszystkim został, bo chciał. Warszawa to było jego miasto.

Kilka dni przed kapitulacją (według niektórych źródeł dzień przed poddaniem miasta) na kamienicę przy Grottgera 9a spadła bomba („i zagrzebała mnie w gruzach”, wspominał). Pocisk zniszczył część oficyny, w której mieścił się gabinet pisarza, on i żona byli w tym czasie w innej części mieszkania. Przepadły biblioteka, wiele cennych obrazów, listy od najważniejszych polskich pisarzy. „Już po kapitulacji, gdy uprzątnięto część rumowiska, Kornel Makuszyński godzinami pochylał się nad smutnym stosem i szukał, wygrzebywał, wyjmował zniszczone pamiątki. Wyciągał jakieś strzępy, opylał, obcierał sam lub z pomocą naszego dozorczy, pana Franciszka” – wspominała sąsiadka Jadwiga Konopka.

Makuszyńscy musieli poszukać schronienia u przyjaciół, ale szybko rozpoczęły się rozmowy o załatwieniu wyrwy w budynku. Na oględziny kamienicy przyszedł inżynier Czesław Konopka (brat Jadwigi), architekt z warszawskiej Inspekcji Nadzoru Budowlanego. Miał ocenić zniszczenia i oszacować koszty odbudowy.

– A czy pan wie, inżynierze, co tutaj leży w tym kącie? – Makuszyński wskazał na podartą szmatę leżącą pod ścianą.

– Jakiś stary worek?

– To obraz Matejki.

Architekt opowiadał potem siostrze, że na płótnie prawie nie było farby. Została zdarta lawiną gruzu. Pisarz i architekt z żalem oglądali kawałki połamanych mebli i nadpalonych książek. Właśnie książek Makuszyński żałował najbardziej.

– Proszę zobaczyć, inżynierze, jaka to robota – mówił, wyciągając z gruzowiska zetlałe woluminy. Jeszcze niedawno, oprawne w skórę, ze złożonymi ornamentami, były ozdobą domowej biblioteki.

Z hałdy wyrzuconych rzeczy uratował plik listów, trochę osobistych drobiazgów, fotografii i pięć karykatur autorstwa Kazimierza Sichulskiego, w tym własną – jako kaczk! – z 1911 roku.

Pod koniec października 1939 roku odwiedził Zofię Nałkowską. Siedziała w futrze w pozbawionym szyb mieszkaniu i czekała na szklarza. Opowiedział jej o bombie, która spadła na jego dom. „Miał krwotoki z gardła i spod paznokci, ratowała go żona” – zanotowała Nałkowska w *Dziennikach*. Gdy mówił

o utraconych książkach i obrazach – „ciesząc się i chlubiąc nimi nawet, gdy już ich nie ma” – zobaczyła w nim dawnego Makuszyńskiego, mimo nieszczęścia życzliwego i pogodnego. „Byłam mu wdzięczna, że przyszedł – chociaż w swoim czasie utrudniałam mu bardzo wejście do PAL” – napisała.

Na placyku przy Grottgera grzebano żołnierzy zabitych podczas wrześnieowych walk. Tadeusz Dyniewski, po wojnie dziennikarz i autor książek o Śląsku, stał przy jednym z grobów, gdy nagle ktoś dotknął jego ramienia.

– Zdaje się, że myślimy o tym samym – usłyszał.

Od razu rozpoznał twarz, którą znał dobrze ze zdjęć. Poczęstował Makuszyńskiego papierosem; a gdy okazało się, że pisarzowi skończył się właśnie zapas tytoniu, podarował mu kilka paczek. Autor *Bezgrzesznych lat* chciał zapłacić, ale Dyniewski odmówił. Przecież Makuszyński to ulubiony pisarz jego matki, obok Norwida i Boya-Żeleńskiego. Wydziedziczyłaby go, gdyby wziął pieniądze, wyjaśnił.

W rewanżu Makuszyński zaprosił młodego człowieka do kawiarni. Przedstawił go znajomym przy stoliku: aktorom Aleksandrowi Zelwerowiczowi i Mariuszowi Maszyńskiemu oraz...

– To największy blagier świata, zatem nazwiska wymieniać nie muszę – zaprezentował trzeciego.

„Tak wyglądało moje, jedyne zresztą, spotkanie z Antonim [Ferdynandem] Ossendowskim” – wspominał Dyniewski.

Później widywali się regularnie w czytelnicy przy Belwederskiej, gdzie obaj przychodzili wypożyczać książki. Dyniewski najczęściej kryminały, dlatego bardzo uważał, żeby Makuszyński nie zauważył, jak szmirowatą literaturę czyta. Kiedyś, ratując się w ostatniej chwili przed zdemaskowaniem, zamiast kolejnej powieści sensacyjnej zamówił książkę katolickiego eseisty Giovanniego Papiniego. Po wyjściu Makuszyńskiego zapytał bibliotekarki, z jakąż to wartościową książką wyszedł ulubiony pisarz jego matki. „Zdrętwiałem ze zgrozy, usłyszawszy nazwisko Edgara Wallace’a” – wspominał. Wallace był autorem bardzo popularnych przed wojną powieści kryminalnych. Przy najbliższym spotkaniu z Makuszyńskim zażartował, że wie już, na jak niegodną prawdziwego twórcy literaturę traci czas. Usłyszał, że na cokole, na którym chcieliby widzieć pisarzy czytelnicy, wcale nie jest wygodnie i ma się czasem ochotę zrzucić koturny i poczytać coś dla przyjemności. A poza tym czy książka kryminalna to nie literatura?

Odbudowa kamienicy przy Grottgera ruszyła wiosną 1940 roku. Makuszyński przychodził niemal codziennie pod dom w towarzystwie psa Kibica i doglądał robót. Jeszcze w tym samym roku Janina i Kornel wrócili do mieszkania i spędzili tam kolejnych kilka lat, aż do powstania w sierpniu 1944 roku. „Lata bezsilnej rozpacz, niemej wściekłości, nocnych trwóg” – wspominał. W dzień

starał się pisać. Jednak w świecie, który przywoływał w swoich książkach, nie było wojny, strachu przed tym, co może się wydarzyć po wyjściu na ulicę, aluzji do okrucieństwa okupacji, lęku o przyszłość. Jak w jego przedwojennych książkach wszystko kończyło się szczęśliwie, a zło obracało w dobro. Chyba sam bardzo chciał w to wierzyć.

Dokończył rozpoczętą w lutym 1939 roku powieść *Szaleństwa panny Ewy* i niemal natychmiast przystąpił do pisania *Drugich wakacji Szatana*. Książka zaczyna się w dniu matury Adama Cisowskiego. Chłopak na prośbę matki zaginionej trzyletniej Anusi rusza na poszukiwanie dziewczynki. Na swej drodze spotyka detektywa Zaniewskiego...

Makuszyński zaczął pisać nową powieść 10 sierpnia 1940 roku, co skrupulatnie odnotował. Zaledwie kilka tygodni wcześniej armia Hitlera podbiła „niepokonaną” i idealizowaną w Polsce Francję, ale pisarz jak wielu Polaków wierzył, że kiedy przeciwko III Rzeszy wystąpi zbrojnie Anglia, wojna nie potrwa długo. Poprzedził powieść autorkladowym wstępem obliczonym wyraźnie już na „po wojnie”. Przewrotnie opisywał „kłopoty”, jakie spadły po pierwszej części *Szatana* na głównego bohatera, rzekomo istniejącego naprawdę i w dodatku opisanego pod prawdziwym nazwiskiem. „Na głowę – na tak wspaniale bystrą głowę! – Adama Cisowskiego ściągnąłem czarną chmurę nieszczęść” – kajał się. Oglądano biednego chłopca jak małpę na jarmarku, sprawdzano, czy na pewno jest tak przenikliwy i inteligentny jak w książce, czy też może autor powieści przesadził. Podpowiadano nawet lepsze rozwiązania zagadek. „Czasem bowiem zazdrość i złośliwość ludzka nie może znieść cudzego powodzenia” – pisał Makuszyński. Mimo to Adam Cisowski zgodził się na opisanie jego kolejnych przygód, a nawet na użycie jeszcze raz nazwiska, pochwalił się.

Ktoś, kto jakimś cudem nie wiedziałby, jakim sukcesem była pierwsza część *Szatana*, po takim wprowadzeniu musiałby po książkę sięgnąć. Nawet jeśli miałyby to być możliwe dopiero po wojnie.

Kilka innych powieści nie ocalało. Makuszyński napisał, że przetrwały powstanie, padły dopiero ofiarą złodziei plądrujących wysiedlone miasto. Z niedopalonego mieszkania wynieśli wszystko, co przedstawiało jeszcze jakąś wartość, a bezwartościowe ich zdaniem, bo zapisane, kartki papieru wykorzystali do zawijania śledzi. „Niech ich diabli porwą, tak jak oni porwali moje rękopisy” – pisał we wstępie do wydanego w 1946 roku *Listu z tamtego świata*. W tej samej przedmowie napisał, że rozpoczęty w 1936 roku *List* miał się ukazać na Gwiazdkę 1939, ale wybuch wojny pokrzyżował te plany. Podczas premiery adaptacji powieści w poznańskim Teatrze Reduta w 1957 roku Janina Makuszyńska powiedziała, że pracował nad książką jeszcze jesienią 1943, w okresie nasilających się łapanek i egzekucji ulicznych. Zapytała męża, jak może pisać tak pogodną książkę w tych strasznych czasach. „Dziś leje się krew zmieszana ze łzami – miał

odpowiedzieć. – Ale przyjdzie czas, gdy minie groza, a ludzie zapragną odprężenia. Może ta skromna książeczka wywoła wtenczas uśmiech na czyjejsz zboląlej twarzy”.

Na końcu przechowywanego w Zakopanem rękopisu powieści znajduje się odręczna adnotacja Makuszyńskiego z 8 listopada 1943 roku: „W razie mojej śmierci książka niniejsza, jak zresztą wszystkie inne, staje się wyłączną własnością żony mojej, Janiny z Gluzińskich Makuszyńskiej, która może nią rozporządzać wedle swej woli”.

Dlaczego we wstępie pisany po wojnie podał jako datę powstania książki rok 1939? Nie wiadomo. „Tak się zdarzyło, że trzeba było użyć takiego wybiegu” – zdradziła tylko Janina Makuszyńska.

W czasie okupacji coraz większym problemem dla chorego na cukrzycę pisarza był brak insuliny. Ktoś podpowiedział mu kontakt z doktorem Adamem Szebestą, pełnomocnikiem Polskiego Czerwonego Krzyża i inspektorem sanitarnym Rady Głównej Opiekuńczej, organizacji charytatywnej mającej zgodę Niemców na prowadzenie działalności. Napisał i jakiś czas potem otrzymał zapas leku na trzy miesiące. „Pan Doktor Najzacniejszy właśnie życie mi ofiarował w tych ampułkach insuliny” – pisał we wrześniu 1942 roku do Szebesty. Prosił, żeby lekarz podpowiedział mu, jak mógłby się odwdziaczyć jemu osobiście i Czerwonemu Krzyżowi. Dostał szansę kilka lat później, gdy Adam Szebesta budował w Rabce sanatorium dla dzieci ze Śląska i Zagłębia wycieńczonych wojenną biedą.

Było takich aktów niespodziewanej życzliwości więcej. Którejś okupacyjnej zimy ktoś zastukał do drzwi jego warszawskiego mieszkania: „maleńka damska osóбка w zakonnym białym czepku”. Przywiozła mu kilogram cukru i sto złotych zebrane „przez dzieci z Zaolzia” (oczywiście raczej przez ich rodziców, ale „pomoc dzieci” wyglądała we wspomnieniowym artykule jeszcze lepiej). Kilogram cukru w wygłodzonej Warszawie był skarbem, nawet jeśli Makuszyński nie mógł posłodzić nim herbaty, którą pił.

W zakopiańskim muzeum zachowały się dokumenty podatkowe z czasu wojny. Niemcy żądali pieniędzy, tymczasem pozbawiony możliwości publikowania pisarz miał coraz większe problemy finansowe. Płacił podatki w ratach, kiedy udawało mu się coś zarobić. Dochód, w wysokości kilku tysięcy złotych rocznie, Makuszyńscy mieli z dzierżawy działki przy ulicy Wilczej 64, której właścicielką w jednej ósmej była Janina. Na wynajmowanym gruncie znajdowało się Państwowe Muzeum Zoologiczne, dziś Muzeum i Instytut Zoologii PAN.

W liście z 11 grudnia 1940 roku Makuszyński informował naczelnika 32. Urzędu Skarbowego w Warszawie, że wpłacił właśnie 140 złotych i 58 groszy jako część podatku za rok 1940, wynoszącego łącznie 440 złotych i 58 groszy.

I prosił, żeby termin spłaty pozostałej części przesunąć o sześć miesięcy. Otrzymał prolongatę do 1 kwietnia następnego roku. Tego dnia wpłacił 50 złotych i ponownie poprosił o odroczenie reszty należności.

Korzystał z pomocy Jana Czochrańskiego, który jak przed wojną organizował w swoim domu „literackie czwartki”. Uczony współpracował z polskim podziemiem, ale jego zakład wykonywał także zlecenia na rzecz Wehrmachtu, więc miał z Niemcami niezłe stosunki. Podczas okupacji dokarmiał i wspomagał biedujących artystów. Rzeźbiarza Alfonsa Karnego, aktora Ludwika Solskiego, pisarzy, między innymi Leopolda Staffa, Adolfa Nowaczyńskiego i Juliusza Kadena-Bandrowskiego. No i Makuszyńskiego.

Aktor Juliusz Lubicz-Lisowski (zagrał m.in. w ekranizacji *Moralności pani Dulskiej* z 1930 r.) zetknął się z Makuszyńskim podczas jednej z wojennych zim w mieszkaniu wspólnej znajomej. Pisarz planował właśnie zorganizowanie taniej stołówki dla pisarzy i malarzy w piwnicach Zachęty. Zastanawiał się, skąd wziąć pieniądze na zasiłki dla najbardziej potrzebujących i gdzie gromadzić niszczone pod gołym niebem książki ze zrujnowanych domów. Nie poddawał się, wierzył – wspominał Lisowski – „że przetrwamy wojnę, okupację, że się nie załamamy, że wychowamy dzieci”.

Swoje spotkanie z Makuszyńskim w sierpniu 1943 roku opisał Janusz Kozłowski, autor powstańczych piosenek, po wojnie tłumacz i kompozytor. Biegł ulicą Pańską na wieczorek muzyczny, podczas którego miał wystąpić. Mijał idącego szybkim krokiem starszego mężczyznę, gdy z bramy wyszła mała, najwyżej sześciolatnia dziewczynka. Złapała mężczyznę za róg marynarki.

– Nie iść tam – pisnęła. – Tam łapanka.

Nieznajomy zdjął kapelusz. Dopiero wtedy Kozłowski rozpoznał Makuszyńskiego. Pisarz wziął dziewczynkę w ramiona i pocałował, ona pogłaskała go po łysinie. „Tworzyli grupę na wpół piękną, na wpół komiczną” – zapamiętał Kozłowski.

Weszli do bramy, dziewczynka okazała się córką dozorca. Miała na imię Genia.

– Lubisz bajki? – zapytał Makuszyński. – Napiszę ci bajkę najpiękniejszą, bo prawdziwą. O dziewczynce, która uratowała życie dwu ludziom. Na imię miała Genia.

Na ulicy rozpoczęła się strzelanina. Kozłowski i Makuszyński pobiegli w głąb podwórka, potem stracili się z oczu.

Janusz Kozłowski opisał historię cudownego ocalenia dopiero po śmierci Makuszyńskiego. Czekał, aż on sam to zrobi. Ale Makuszyński po wojnie prawie nie pisał, bajka o Geni nie powstała.

W lutym 1944 roku Kornel Makuszyński podpisał z Gebethnerem i Wolffem umowę na wznowienie *Człowieka znalezionego w nocy* w serii Biblioteka

Beletrystyczna, w nakładzie trzynastu tysięcy egzemplarzy. Otrzymał za to z góry siedem i pół tysiąca złotych. Była to praktykowana w czasie okupacji forma stypendium dla pisarzy, z której korzystało wielu autorów pozbawionych możliwości zarabiania. Jednocześnie umowa zabezpieczała interesy wydawcy na okres, kiedy wydawanie książek będzie znowu możliwe.

Pierwszego sierpnia 1944 roku w Warszawie wybuchło powstanie. Koniec wojny wydawał się bliski. Niemcy przegrywali kolejne bitwy, na prawym brzegu Wisły stali już Rosjanie, którzy zachowywali się jednak na polskich terenach jak właściciele, osadzając w zajmowanych miastach posłuszne sobie władze. Od dziesięciu dni działał powołany w Moskwie Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego. Dlatego dowódcy Armii Krajowej postanowili, że Warszawę wyzwolą Polacy. Wkraczającą do stolicy Armię Czerwoną chcieli powitać jako gospodarze.

Przez pierwsze dni wydawało się, że może się udać. Powstańcy zajęli kilka dzielnic, w tym Mokotów i Czerniaków, czekano na wsparcie aliantów. Makuszyńskiego, autora pieśni z czasu wojny polsko-bolszewickiej, poproszono o ułożenie hymnu bojowego dla walczących oddziałów. Napisał *Śpiew Czerniakowa*, który ukazał się w jednej z powstańczych gazetek.

Do broni! Nadszedł i nasz dzień!

Granaty się rozprysły

Samolot rzucił na nas cień

Na naszym brzegu Wisły!

A tam jest koniec naszych dróg

Gdzie łuna lśni krwawa

Piorunem woła do nas Bóg

„Warszawa!! Och!! Warszawa!!...”

Jeden jest rozkaz: „BEZ LITOŚCI!!!”

W kamienie wreszcie zmieńmy serca

Niechaj umarłym Bóg zazdrości

Niech stokroć kona nasz morderca!!

Armato wraża! Pysk twój stul!!

Czerniaków się nie trwoży

Tygrysa pośród świstu kul

Przywiedzie do obroży.

Więc biegiem każdy do swych znaków

Na bój niech każdy będzie gotów

Na dziś hasło jest „Czerniaków”!!

A odzew echem grzmi „Mokotów”!!

Podpisał się Stary Kapral.

Dość szybko jednak stało się jasne, że pozbawione pomocy powstanie musi upaść. Miało wytrzymać kilka dni, trwało ponad dwa miesiące. Powstańcy wycofywali się z kolejnych kwartałów, wracali Niemcy. Zmuszeni do opuszczenia kamienicy przy Grottgera, Makuszyńscy przeprowadzili się na Sadybę Czerniakowską. Przez jakiś czas było tam spokojnie, ale w końcu walki objęły także tę część miasta. „I tę dzielnicę ogarnęło wspaniałe szaleństwo, bardzo zresztą krótkotrwałe, gdyż je wypalono ogniem i mieczem” – napisał Makuszyński.

Na Sadybie Makuszyńscy doczekali ostatnich dni powstania. Potem razem z kilkuset tysiącami warszawiaków musieli opuścić miasto („podśpiewując własny hymn”). Trafili do obozu przejściowego w Pruszkowie. Makuszyński do tego samego baraku co Stanisław Wojciechowski, prezydent Rzeczypospolitej w latach 1922–1926, i pisarz Stefan Wiechecki (Wiech). Wojciechowskiego po interwencji PCK szybko zwolniono, Wiech zajmował się zaopatrzeniem internowanych w wódkę. „Nikt by jej nie znalazł, ale autor *Cafe pod Minogą* wiedział, gdzie jej szukać” – zażartował Makuszyński.

Po zwolnieniu z Pruszkowa wywieziono Makuszyńskich bydłym wagonem do Opoczna, gdzie znaleźli schronienie w jednej z okolicznych wsi, u państwa Makowskich. Stamtąd trafili do Krakowa, a w listopadzie 1944 roku do Zakopanego. Tam doczekali końca wojny.

W Zakopanem zamieszkali najpierw w domu Stanisława Karpowicza przy ulicy Piłsudskiego, ale szybko przeprowadzili się do ukochanej Opolanki. Od tego

momentu Kornel Makuszyński był już nie tylko obywatelem honorowym Zakopanego, ale i stałym jego mieszkańcem. Wkrótce Opolanka została objęta kwaterunkiem, a o przydziale mieszkania zaczęli decydować urzędnicy. Kilka lat później okazało się, co to naprawdę oznacza.

XIV

List ze świata, którego nie ma

W 1946 roku ukazała się napisana tuż przed wojną powieść Makuszyńskiego *List z tamtego świata*. Była siedem lat spóźniona. Miała pojawić się w księgarniach na Gwiazdkę 1939 roku.

Makuszyński zastanawiał się, czy w ogóle *List* wydawać. Przecież na świecie wydarzyły się rzeczy straszliwe, wobec których historie wymyślane przez pisarzy wypadają przeraźliwie blado. We wstępie napisał, że zdecydował się jednak na druk, bo może optymizm i radość obecne w książce przydadzą się w chwili odpoczynku „tym wspaniałym, mocnym i twardym ludziom, co pazurami będą wygrzebywali nową Polskę z gruzów”. To nie był akt poparcia dla władzy, którą zainstalowali w Polsce Sowieci. To była deklaracja gotowości włączenia się w odbudowę ojczyzny. Ale komuniści chcieli odbudowywać Polskę tylko z tymi, którzy bezwzględnie ich popierali.

Powieść pierwotnie miała się nazywać *Tajemnicze skarby*, nowy tytuł, *List z tamtego świata*, otrzymała w czasie wojny, zachowała się poprawka Makuszyńskiego na karcie tytułowej maszynopisu. W 1946 roku tytuł zabrzmiał podwójnie metaforycznie. Był jak przekaz z zupełnie innej rzeczywistości, z Polski, która przestała istnieć i miała nigdy się nie odrodzić. Opowieść o rodzinie Mościrzeckich wywodzących się ze szlachty, raczej ubogiej i porozrzucanej po Polsce i świecie, nie pasowała do nowych czasów. Podobnie jak historia poszukiwania tajemniczego skarbu, zapowiedzianego w liście sprzed prawie wieku, który pozostawił swoim następcom rejent Apolinary Mościrzecki, przodek rodu. W nowej Polsce do wszystkiego należało dojść pracą własnych rąk, a nie dzięki ukrytym dawno temu skarbow. Tym bardziej że teraz i tak należały już do państwa.

Dając Gebethnerowi i Wolffowi zgodę na wydanie *Listu*, cenzura zażądała poprawek. Zniknęło z powieści zakończenie II rozdziału (Makuszyński w liście do Jana Gebethnera zaakceptował ingerencję), od momentu pojawienia się w domu Mościrzeckich tajemniczej postaci: brodatej, płomienscie rudej, odzianej w wyświechtaną bekieszę, „z izraelskiego plemienia”. Zdziwionym Mościrzeckim, którzy nigdy nic o żadnym żydowskim krewnym nie słyszeli, gość oznajmił, że przybywa, jak i reszta rodziny, wezwany ogłoszeniem w gazecie. Bo nazywa się tak samo jak oni. Nie jest co prawda potomkiem rejenta, jego rodzice to Abraham i Salcia, ale „Mościrzecki jest Mościrzecki” i nikomu nic do tego. Jeśli może być Żyd, co się nazywa Potocki, albo Żyd o nazwisku Zamoyski, to dlaczego nie może być Żyd Mościrzecki?, argumentował. A skoro ukazało się ogłoszenie, że poszukiwani są Mościrzeccy, to on pomyślał, że może jest jakiś interes do zrobienia.

– Rotschild, to on ma dom bankowy, a ja mam bank domowy – tłumaczył. – Więc jak panowie Mościrzeccy, co się mają zjawić, będą robili interes, to czemu nie ma przy tym być taki jeden, co się też nazywa Mościrzecki. To może być przyjemne, nie?

W wykreślonym fragmencie kupiec pyta jeszcze, czy – niezależnie od skarbu, który się znajdzie, albo nie – będzie może jakiś inny interes do ubicia. Proponuje, że mógłby coś kupić, na przykład szafę albo garderobę, ale młodzi Mościrzeccy, studenci Jan i Józef, wyrzucają go bez pardonu.

Świat, w którym w Polsce było wielu żydowskich handlarzy w chałatach albo podbitych futrem płaszczach, skończył się w 1939 roku. Ale cenzorzy mogli mieć jeszcze jeden powód, by go nie wskreszać. W nowej Polsce, zwłaszcza w partii i Urzędzie Bezpieczeństwa, nie brakowało osób pochodzenia żydowskiego, które po wojnie zmieniły nazwiska na brzmiące bardziej po polsku.

Oprócz scen z żydowskim Mościrzeckim zniknęły też z wydanej książki te fragmenty, w których pojawiają się ksiądz i granatowy policjant. Czyli „przedwojenne realia niepasujące do rzeczywistości powojennej”, jak napisała autorka noty do wznowienia *Listu* w 1988 roku, podpowiadając czytelnikom, że trafia do ich rąk książka inna, niż zaplanował autor. Obowiązywała jeszcze cenzura, nie można było wprost napisać, co było prawdziwym powodem zmian w oryginale. Do dziś *List z tamtego świata* publikowany jest (także w internecie) bez autorskiego zakończenia II rozdziału.

Przez krytykę *List* został przyjęty dość chłodno. Był zbyt podobny do wszystkiego, co Makuszyński pisał przed wojną. Recenzenci zwracali uwagę na humor autora, ale nie mieli wątpliwości, że książka minęła się ze swoim czasem. Wszystko w niej: realia, opisy postaci, nawet rysunek na okładce, wyglądało jak powrót do czasów sprzed wojny, do których przecież nie było powrotu...

Ale przede wszystkim *List* nie pasował do nowego języka, który zaczynał dominować w prasie. Recenzent „Robotnika”, organu Polskiej Partii Socjalistycznej, po paru zdawkowych komplementach o gawędziarskim stylu i rozmachu, skrytykował niepogłębione wewnętrznie, jednowymiarowe postaci i prymitywne psychologizowanie Makuszyńskiego. Nasycone co prawda typowym dla niego, ale znanym od trzydziestu z górą lat humorem, monotonnym i nużącym dla czytelników o bardziej wybrednym smaku literackim. Najważniejsze jednak było co innego: pisarzowi obcy jest świat wielkich zagadnień społeczno-politycznych, pisał Jerzy Eugeniusz Płomiński. Tamten miniony świat, odtwarzany przez pisarza w *Liście*, był zdaniem recenzenta już tylko „zwietrzałym, bezużytecznym rekwizytem”.

Za chwilę takim samym nikomu niepotrzebnym reliktem stanie się także Kornel Makuszyński.

XV

Słońce w jego herbie powoli gasło

Pierwsze miesiące po wyzwoleniu były na Podhalu trudne. Brakowało opału, żywności, leków. Franciszek Pawlica, który przed wojną woził po Zakopanem honorowego górala Makuszyńskiego, wspominał, że już podczas pierwszej zimy pisarz poprosił go o trochę węgla, „bo umarznie”.

Makuszyński „odbywał spotkania autorskie w Zakopanem i Nowym Targu, pobierając honoraria w postaci jajek, sera, masła” – wspominał Włodzimierz Wnuk. Odmówiono mu przydziału na dodatkowe kartki na artykuły żywnościowe, które zarząd miasta dzielił między pracujących. Pisanie książek nie wydało się zakopiańskim urzędnikom wystarczająco użyteczne społecznie.

– Jestem honorowym obywatelem Zakopanego, ale kartki na mięso mi nie przyznano – skarżył się Makuszyński. – A przecież trudno jadać na obiad papierowe obywatelstwo zamiast kotleta.

Wiosną 1945 roku w Zakopanem znalazła się również aktorka Irena Solska. Włączyła Makuszyńskiego w przygotowania wieczoru poezji w pierwszą rocznicę wybuchu powstania warszawskiego. „Uważam, że nie ten teatr, którego nie ma, ale Zakopane powinno uczcić dzień 1-go sierpnia 44 roku. Mam gotowy program, ale bez porozumienia z Panem nie chcę tego ruszyć” – napisała.

Pisarz nigdy nie odmawiał udziału w akcjach, które uważał za ważne i pożyteczne. Na prośbę zakopiańskiego komitetu Premiowej Pożyczki Odbudowy Kraju napisał wierszowaną odezwę wzywającą rodaków do udziału w akcji. Zresztą czuł się pewnie zobowiązany: Komitet Pomocy Pracownikom Kultury i Sztuki przy Prezydium Rady Ministrów przyznał mu 1 października 1945 roku – jako jednemu z twórców „nieprzemijających wartości nauki, sztuki i myśli społecznej” – dotację w wysokości trzech tysięcy złotych miesięcznie „aż do odwołania”. Nie ma w archiwum Kornela Makuszyńskiego dokumentu pozwalającego stwierdzić, jak długo otrzymywał pieniądze.

Pierwsze lata nowej Polski nie zapowiadały jeszcze tego, co miało się stać wkrótce. Podjęły działalność przedwojenne prywatne oficyny wydawnicze, a prasa tak zwana czytelnikowska (ukazująca się poza partyjnym koncernem RSW „Prasa”) nie była zmuszona do głoszenia unisono chwały jedynie słusznego ustroju. Mogło się wydawać, że nawet w tej Polsce, w której – to już było pewne – o najważniejszych rzeczach decydować będą komuniści zainstalowani przez Armię Czerwoną, da się jakoś żyć. W Szczecinie, który w 1945 roku znalazł się w granicach Polski, jedną z ulic nazwano nawet imieniem Kornela Makuszyńskiego. Inne otrzymały nazwy: Bogurodzicy, Dobrej Nadziei, Jacka Soplisy, Świętego Marcina, Janosika, Kmicica, Zagłoby, Jana Kochanowskiego,

Somosierry, Wiosny Ludów, Jana Sobieskiego, Zyndrama z Maszkowic...

Wznowiono (przede wszystkim Oficyna Wydawnicza Gebethner i Wolff) kilka najgłośniejszych przedwojennych książek Makuszyńskiego (*Pannę z mokrą głową*, *Awanturę o Basię*, *Szatana z siódmej klasy*, *Bezgrzeszne lata*, *Wyprawę pod psem* i *Skrzydłatego chłopca*) oraz oczywiście komiksy z przygodami Koziołka Matołka (ale tylko pierwszy tom) i małpki Fiki-Miki. O zgodę na przekłady książek Makuszyńskiego poprosili wydawcy czescy i słowaccy. Z oczywistych powodów nie mogło być jednak mowy o wydaniu *Uśmiechu Lwowa*. Lwów od 1945 roku był już miastem „radzieckim” i przypomnienie o jego polskiej historii stało się niepożądane. A już słowa o nienaruszalności granic wyznaczonych przez groby obrońców miasta „zawsze wiernego Polsce” musiałyby zabrzmieć jak polityczna prowokacja. Granice zostały zmienione ledwie kilka miesięcy wcześniej podczas konferencji w Jałcie.

W innych książkach cenzorzy żądali zmian. „Przedrukowując *Szatana*, musieliśmy go przenieść z Wilna do Pułtusza oraz stonować niektóre akcenty żydowskie w *Liście*” – pisał do Makuszyńskiego Jan Gebethner. Wilno, podobnie jak Lwów, w wyniku decyzji podjętych w Jałcie znalazło się w granicach Związku Sowieckiego i niedopuszczalne było przypomnienie, że kiedykolwiek było inaczej. Wydawcy wprowadzili zmiany bez informowania autora, bo czas naglił (zgodnie z przedwojenną tradycją chcieli zdążyć przed Gwiazdką) i pewnie Gebethner założył, że potrzebujący pieniędzy pisarz nie zaprotestuje. Nie zaprotestował.

Na początku 1947 roku prywatni wydawcy zdążyli jeszcze wznowić *Słońce w herbie* i *Wielką bramę*. Pierwszą książkę recenzowano dość obszernie i raczej pozytywnie w rządowej „Rzeczpospolitej”, marksistowskim tygodniku „Odrodzenie” i w „Przekroju”. Choć przecież opowieść o ludziach, którzy rzucili wyzwanie rosyjskim zaborcom i nigdy nie zrezygnowali z marzenia o wolności, w 1947 roku musiała zabrzmieć prowokacyjnie. Przyszłość rządzonego przez komunistów kraju pozostawiała coraz mniej złudzeń, tymczasem autor tygodnika „Polska Zachodnia” pisał: „Obcując wśród tych pięknych i wielkich ludzi powstania '63 roku, czujemy wiew historii, która jest jedną historią jednego niespożytego narodu, a nie ogródkami dziejów, przegrodzonych sztachetami, z których większość ma być śmietnikiem czynów i myśli”. Kto chciał, mógł zrozumieć, że przyjdzie jeszcze moment, gdy Polacy znów upomną się o swoją wolność.

Wielką bramę, hymn na cześć II Rzeczypospolitej i ludzi, którzy budowali port w Gdyni, Makuszyński opatrzył przedmową, dzięki której książka stała się dla nowych administratorów Polski łatwiejsza do przełknięcia. Pisał o wściekłym żywiole teutońskim, który spustoszył wybudowane w ciągu kilkunastu lat miasto i zniszczył port, chcąc, by polska obecność nad Bałtykiem stała się jedynie epizodem i smutnym wspomnieniem – ale przegrał. Oto Gdynia powstaje na nowo:

„Z entuzjazmem jeszcze wspanialszym, z zapalem jeszcze bardziej radosnym. Czas stanął na krótko, ale teraz ruszył z szaleństwem burzy”. Powiększyło się polskie wybrzeże, poszerzyło polskie morze, trzeba więc jeszcze więcej sił, entuzjazmu i miłości, by je zagospodarować, by „zanieść do najdalszych krańców ziemi wiadomość o Polsce, niezłomnej i nie lękającej się żadnego trudu” – pisał Makuszyński. *Wielka brama* ma znów, jak przed wojną, nawoływać młodych, by przybywali zdobywać Bałtyk. A „drobne szczegóły”, które różnią świat przed- i powojenny? „Nie są sprawą ważną” – uznał.

W 1947 roku *Wielka brama* mogła się jeszcze ukazać, kolejne wydanie było już niemożliwe. W zakopiańskim Muzeum Makuszyńskiego zachował się list z grudnia 1950 roku z oficyny Gebethner i Wolff. Wydawca z przykrością zawiadamiał autora, że nie będzie mógł wznowić *Wielkiej bramy*: „Książka ta jest zdyskwalifikowana przez specjalną komisję powołaną do oceny książek dla młodzieży, o czym nas poinformowało Ministerstwo Kultury i Sztuki”. I „niestety nie pomogą w tej sprawie żadne interwencje”. Właściciel wydawnictwa miał świadomość, że to koniec jego działalności w Polsce. Niedługo prywatną oficynę ostatecznie pozbawiono prawa wydawania książek.

Nazwisko Makuszyńskiego wciąż jednak przyciągało czytelników jak magnes, więc współpracę zaproponowały mu krakowski „Dziennik Polski” i miesięcznik „Łódź Teatralna”. W „Dzienniku” publikował sporadycznie, w większości wspomnieniowe felietony, w „Łodzi” ogłosił przez trzy lata zaledwie dwa artykuły, pierwszy poświęcony Włodzimierzowi Perzyńskiemu, drugi Karolowi Adwentowiczowi. W 1946 roku felietony Makuszyńskiego zaczęły pojawiać się także w „Przekroju”. „Dziennik Polski” informował o pozyskaniu przez „Przekrój” nowego współpracownika w tonie sensacyjnym, bo taki autor oznaczał nowych czytelników. „Słowo Powszechne”, które poprosiło Makuszyńskiego o felieton do numeru poświęconego Tatrom i Zakopanemu, już kilka dni wcześniej w specjalnym ogłoszeniu chwaliło się: „Pan Wacław Wudka, zecer maszynowy Drukarni Państwowej Nr 1 w Warszawie, zaczął w dniu dzisiejszym składanie dla »Słowa Powszechnego« artykułu Kornela Makuszyńskiego pt. *Nareszcie sami*”. Nazwisko Makuszyńskiego umieszczono w anonsie kilkakrotnie większą czcionką.

W felietonach publikowanych w „Przekroju” wspominał największych zakopiańskich dziwaków, w większości swoich przyjaciół, na przykład doktora Stanisława Eljasza-Radzikowskiego, lekarza, kolekcjonera i malarza, który w 1919 roku, gdy ważyły się losy granicy między Polską a Czechosłowacją, ogłosił się regimenterem Konfederacji Chochołowskiej, opowiadającej się za Polską (*Balamuctwa w wielkim stylu*). Tadeusza Koniewicza, malarza i kapitana saperów, a także współtwórcę teatru w Zakopanem, w którym był i scenografem, i aktorem (*Skrzydlaty koń*). Stanisława Karpowicza, restauratora i hotelarza, u którego

jedzenie bywało kiepskie, za to wino miał doskonale i otwarty zawsze dla artystów kredyt (*Polski Ragueneau*). Doktora Tadeusza Gabryszewskiego, zakopiańskiego arbitra elegantiarum z gumowymi („wieczystymi”) mankietami koszul i spinkami wielkimi jak talerze, który potrafił przekonać do swoich recept nawet nieufnych górali, prócz tego był zapalonym wędkarzem i brydżystą (*Łosoś srebrzysty*).

Także ta współpraca nie trwała długo. W 1947 roku w „Przekroju” ukazał się już tylko jeden artykuł Kornela Makuszyńskiego. W wielkanocnym numerze tygodnika (103–104) pisarz opublikował felieton *Gość i jego zwyczaje*, bardzo „makuszyński”, przepojony ironią i ciepłym humorem. Przedstawił w nim katalog gości świątecznych, przedświątecznych, poświątecznych i z każdej dowolnej okazji. Gościa przywódcę stada, który choć zaproszony jednoosobowo, ciągnie za sobą tłumek składający się z żony, dzieci i dalszej rodziny. Gościa niepozornego, cichego, co to nikomu nie wadzi, nie wtrąca się do rozmowy, za to je i pije za siedmiu. Gościa „w ostatniej chwili”, którego nie wypada nie zaprosić. Gościa upartego, który mimo wysiłków gospodarzy nie daje się wyrzucić, gościa z kwiatkiem itd., itp., ale najgorszą – pisze – ze wszystkich występujących w przyrodzie odmian jest gość literat. „Takiego nigdy nie proszą, bo gotów wypić nawet atrament” – zakończył swój ostatni na bardzo długo tekst w „Przekroju”.

Przestał publikować także w „Dzienniku Polskim”. Jego nazwisko pojawiło się jeszcze w 1948 roku: redakcja kajała się, że artykuł *O malarzu Chudogębie*, zamieszczony poprzedniego dnia, nie był wcale autorstwa Makuszyńskiego. Gazeta padła ofiarą mistyfikacji jakiegoś dowcipnisa, który nadesłał tekst, podpisując go nazwiskiem autora *Listu z tamtego świata*. „Dowcip byłby niezły, gdyby nie krzywdził świętego pisarza” – kajała się redakcja. Poinformowała też czytelników, że honorarium za tekst zostało przekazane na cel wskazany przez Kornela Makuszyńskiego.

Pisarz szybko włączył się w życie Zakopanego, spotykał się z czytelnikami w sanatoriach i z dziećmi, które przychodziły do jego mieszkania, by zobaczyć ulubionego autora. Jako honorowy prezes (jeszcze sprzed wojny) Towarzystwa Sportowego Wisła Zakopane zaapelował do swoich czytelników o pomoc dla klubu ogołoconego przez Niemców ze wszystkiego: nart, butów i reszty sprzętu.

Więc wielkim głosem wołam ja, wasz wiślak stary:

Pomóżmy jej, niech w nową świetność się przystroi.

Nie żałujmy jej dobrej, serdecznej ofiary:

grosza, nart – co kto może, zacni bracia moi!

Niech się dźwignie, siłami wzmoże się nowymi

jak Anteusz, gdy dotknął się ojczystej ziemi.

„Zaczęło się to śmiesznie” – wspominał aktor Juliusz Lubicz-Lisowski. Podczas jakichś zawodów Makuszyński zobaczył zakopiańskie dzieci na nartach wystruganych ze zwykłych desek. Śmigały na nich szybciej niż miastowi, dysponujący dużo lepszym sprzętem. Postanowił im pomóc. Zdobył („wycygał” – napisał Lubicz-Lisowski) od jakiegoś producenta parę nart i ustawił w oknie kawiarni z dumnym napisem „1000 par nart dla zakopiańskich dzieci”. Potem poszło już z górki. Sto kompletów nart ofiarowała fabryka w Szaflarach, nowy i używany sprzęt przekazywali kolejni darczyńcy, buty kupowano za pieniądze wpłacane przez górali, którzy mieli krewnych w USA, a zakładania wiązań uczył sam Stanisław Marusarz. Dzieciom potrzebne były jeszcze porządne, ciepłe portki narciarskie, ale i na to pisarz znalazł sposób. „Bez litości zdzierał z nas gabardynowe spodnie, a krawcy zakopiańscy mieli moc roboty z przeróbkami” – podsumował aktor.

Makuszyński oprawił i powiesił na ścianie list, który dostał od zakopiańskich dzieci: „Wielgom ucieche zrobiliście nom, zeście nos obdarowali nartami. Wyście nopirsy z nasych gości wyculi w sercu, cego nom najbardziyj potrza było. [...] za te Wase serce, za te narty i za te książki, coście je telo fajnie uzdajali lo dzieci – Panie Boze Wielgi Wom zapłać!!!”.

Zakopane było mu naprawdę wdzięczne. Kiedy szedł Krupówkami, pozdrawiali go wszyscy. Żartował, że ręka mu mdleje od ciągłego unoszenia kapelusza. Dlatego pod koniec życia poprosił żonę o beret, którego uchylać nie musiał.

– Gdy wychodził z psem na spacer, otaczała go chmara dzieciaków – opowiadała Genowefa Wątopek, zakopiańska służąca Makuszyńskich.

W kieszeniach miał zawsze słodycze, które rozdawał, ale dzieci było dużo, więc nie mógł wszystkich zapamiętać. Co sprytniejsze, odebrawszy jedną porcję słodyczy, biegły szybko kilka przecznic dalej, by jeszcze raz wyjść mu naprzeciw, pozdrowić go i dostać kolejnego cukierka.



„Dar na Sanatorium P.C.K. / Jedna mniej dziecięca łza” – zachęcał Makuszyński do wpłacania datków na powstające w Rabce sanatorium dla dzieci chorych na gruźlicę. Na zdjęciu wśród małych pacjentów z twórcą sanatorium dr. Adamem Szebestą.

Pies Makuszyńskiego był równie znany jak właściciel. „Wskakiwał do dorożek, a górale wieźli go do »Opolanki« – wiedzieli, kto jest jego panem” – wspominał Michał Rusinek. Kiedyś pisarz zobaczył na ulicy grupkę nastolatków. Jeden trzymał w ręku żywego chrabąszcza. Widząc Makuszyńskiego, połknął owada. Koledzy chłopca wyjaśnili pisarzowi, że to na jego cześć – zapisała Hanna Sussówna w pamiętniku cytowanym przez Janusza Wasylkowskiego.

W 1947 roku Makuszyński dołączył do kwestujących na rzecz budowy w nieodległej Rabce sanatorium dla dzieci ze Śląska i Zagłębia. Coraz więcej spośród nich, wycieńczonych przez wojnę i głód, zapadało na gruźlicę. Sanatorium na siedemset miejsc (pierwotnie imienia Wincentego Pstrowskiego, górnika i przodownika pracy, dziś Śląskie Centrum Rehabilitacyjno-Uzdrowiskowe im. dr. Adama Szebesty) miało być dla nich ratunkiem. Jednak pieniędzy brakowało, każda złotówka była ważna. Kornel Makuszyński otrzymał okazję do rewanżu za ampułki insuliny, którymi ratował go w czasie okupacji doktor Szebesta, po wojnie inicjator budowy sanatorium i jego pierwszy dyrektor.

Na prośbę Szebesty pisarz przygotował kilkanaście sloganów reklamowych,

rymowanych i nierymowanych, które miały zachęcać do wpłacania datków: „Dar na Sanatorium P.C.K. / Jedna mniej dziecięca łza”, „Czy to rolnik, czy robotnik / W służbie P.C.K. ochotnik”, „Zawsze i wszędzie, o każdej porze / w nieszczęściu i biedzie P.C.K. pomoże”, „Każde opóźnienie budowy Sanatorium dla dzieci w Rabce, pociąga za sobą utratę setek chorych na gruźlicę dzieci”.

Pomagał także w rozprowadzaniu cegiełek na budowę sanatorium. Opisał to później w *Pamiętnikach kwestarza*. Cegiełki kupowali ci, którym się nie przelewało: pomoc domowa, przepraszając, że może wziąć tylko jedną, student, który przyniósł trzydzieści złotych na trzy cegiełki. Odmówił kupna cegiełki człowiek bogaty, oznajmiając, że dał już wystarczająco dużo na inne cele. „Może dał, może nie dał. Bóg z nim! Niech jego dziecko nigdy nie zachoruje na gruźlicę...” – skomentował to Makuszyński. Sanatorium powstało w trzy lata.

Spłacając zaciągnięte podczas wojny długi, odwiedził też dzieci z Zaolzia, które w czasie okupacji zebrały dla niego sto złotych i kilogram cukru. Przyjechały do Polski na wakacje, „nadyszeć się ojczyzną”, pisał. Po zakończeniu wojny, nie zmieniając adresu, znalazły się za granicą. Olza znów stała się rzeką dzielącą dwa państwa. Jak po I wojnie światowej, kiedy wielkie mocarstwa zdecydowały o oddaniu Zaolzia, zamieszkałego w większości przez Polaków, Czechosłowacji. W październiku 1938 roku Wojsko Polskie, wykorzystując osłabienie Czechosłowacji po traktacie monachijskim, zajęło Zaolzie. Po 1945 roku wrócono jednak do granicy sprzed wojny.



Sam Makuszyński także pomagał w rozprowadzaniu cegiełek na budowę sanatorium. Opisał to później w *Pamiętnikach kwestarza*. A dzieci w Rabce odwiedzał bardzo chętnie.

Zaolziańskie dzieci nie wiedzą, dlaczego nagle zabrano im szkoły, w których się uczyły, pisał Makuszyński. Nie rozumieją, dlaczego są przeganiane z boisk. Dlaczego na moście w Cieszynie znów wyznaczono granicę dzielącą dwa państwa. „Nie wiedzą jeszcze o tym, że polityka jest sprawą ponurą, a sąsiedzkie spory o miedzę są koszmarnie”. Rozczulił się, gdy dzieci z Zaolzia zaśpiewały jedną z jego żołnierskich piosenek z 1921 roku, a dziesięcioletnia dziewczynka wyrecytowała spory fragment *Pieśni o Ojczyźnie*.

Pisarz podtrzymywał korespondencyjny kontakt z przyjaciółmi, którzy pozostali na emigracji, przede wszystkim z Kazimierzem Wierzyńskim. Poeta zadbał o paczki, które wysyłali do Polski wydawcy i osoby prywatne z USA i Brazylii, postarał się o potrzebną Makuszyńskiemu insulinę. Choroba po przeżyciach okupacyjnych, powstaniu i obozach zaatakowała ze zdwojoną siłą. Insulinę przywiozła lekarka wracająca do Polski po zjeździe medycznym w USA. „Mój drogi, wylecz się kompletnie, bardzo proszę, bo z kieliszka wódki z Tobą nie zrezygnuję” – pisał Wierzyński do przyjaciela w sierpniu 1947 roku. Nigdy się po wojnie nie spotkali.

„Gdyby nie Wierzyński, który mi przysyła paczki z zagranicy, musiałbym chyba starzyzną handlować” – skarżył się Romanowi Brandstaetterowi, pisarzowi i tłumaczowi także mieszkającemu w Zakopanem.

Przemysław Gluźniński, bratanek Janiny, opowiadał Joannie Siedleckiej, że pomagała Makuszyńskim także nieznajoma czytelniczka z Ameryki. Zdobyła jakoś adres ukochanego pisarza i wysyłała mu paczki z ubraniami, kawą, herbatą, insuliną...

Makuszyński dziękował Polakom z Ameryki w imieniu swoim i żony. W paczkach były rarytasy, których w powojennej Polsce brakowało najbardziej. Wieczne pióro, taśma do maszyny do pisania, papier i... papierosy. A dla żony sukienki: „rzeczy, których w ojczyźnie dostać nie można, bo tu nie rosną”. Wreszcie wiem, po co Kolumb odkrył Amerykę, pisał do Stowarzyszenia Wydawców i Dziennikarzy Polskich w Ameryce. Po prostu przewidział, że kiedyś stanie się ona matecznikiem najlepszych ludzi na świecie, którzy nie zapominają o starym pisarzu, zapomnianym przez innych. „Żona moja, kiedyś bardzo zamożna, a dzisiaj szara i spopieliała, zaczyna się stroić w Wasze przepyszne stroje” – dziękował w liście kobietom z Rady Polonii Amerykańskiej.

Przez pierwsze powojenne lata Makuszyńscy żyli jak małżeństwo na dorobku. Dopiero w maju 1947 roku dostali zgodę Starosty Grodzkiego Południowo-Warszawskiego na zabranie ze stolicy i przewiezienie do Zakopanego

mebli, które przetrwały powstanie w mieszkaniu na Grottgera, między innymi pięciu szaf, dwóch biurków, stołu, komody, dwóch foteli i taboretów oraz parawanika. Urzędowy nadzór nad takimi transportami miał ukrócić handel rzeczami pochodzącymi z powojennego szabru na ziemiach zachodnich.

Makuszyński próbował pracować. W wywiadzie udzielonym wiosną 1947 roku Janinie Zakrzewskiej z pisma „Tydzień” wspominał, że przygotowuje dla Gebethnera dwie książki przeznaczone „dla młodych małpoludów”, jedynych czytelników, dla których jeszcze warto pisać. Miały to być powstałe w latach okupacji powieści *Szaleństwa panny Ewy* („dla pięknych panienek”) i *Drugie wakacje szatana* („dla brzydkich urwipolciów”).

Zapowiedział też cykl *Mój pamiętnik literacki*, który miał się ukazywać w „Przekroju”, a następnie wyjść jako książka. Być może kilka szkiców, które opublikował wcześniej, miało być częścią cyklu, ale książka ostatecznie nie powstała. Ślad tych planów pojawia się w liście Jana Gebethnera do Makuszyńskiego z 4 czerwca 1949 roku. Po zwykłych w ich korespondencji informacjach o rozliczeniach finansowych wydawca pisze, że wolałby proponowanej przez Makuszyńskiego książki *Spotkania z ludźmi* nie publikować. Uzasadnienie to prawdziwa ekwilibrystyka. Prawdopodobnie Gebethner zdawał już sobie sprawę, że nad oficyną gromadzą się czarne chmury i że wkrótce przestanie istnieć: „Ze względu zaś na szybkie zmiany, jakie następują w dziedzinach wielu zagadnień, moim zdaniem, wydanie tej książki napotkałoby na różne trudności”. Enigmatyczne „dziedziny wielu zagadnień” to zapewne cenzura i coraz brutalniejsze wypychanie z rynku prywatnych wydawców. Gebethner musiał się też liczyć z tym, że jego korespondencja jest czytana nie tylko przez adresata.

Rozpoczął się czas „zamilczania” Makuszyńskiego. W literaturze zadekretowano właśnie socrealizm, a książki Makuszyńskiego nijak nie pasowały do jego wymogów. W efekcie *Szaleństwa panny Ewy* wyszły drukiem dopiero w roku 1957, a nieukończone *Drugie wakacje Szatana* do tej pory nie zostały opublikowane.

W rozmowie z Janiną Zakrzewską pisarz nie wykluczył powrotu do Warszawy. Po jednej z wizyt w 1947 roku zachwyił się widokiem „niestrudzonych ludzkich mrówek” odbudowujących stolicę. Jednak widok zniszczonego miasta był wstrząsający. Więc zostanie, póki go będą chcieli w Zakopanem. A na razie kochają. Tłumaczył też w wywiadzie, że do pism literackich pisuje raczej rzadko, bo nie potrafi dostosować się do obowiązującej w nich śmiertelnej powagi. Każdy powinien robić to, co umie najlepiej, a jemu „duch boży kazał radować smutnych i pocieszać strapionych”.

Nie dane mu jednak było tego robić. Nie publikował nowych książek, przestały się ukazywać wznowienia, wokół Makuszyńskiego powstawała coraz bardziej wyczuwalna próżnia. Pisma, z którymi kiedyś współpracował, coraz

rzadziej zamawiały u niego artykuły, w końcu w ogóle przestały. Kiedy któregoś roku Antoni Marianowicz poprosił go o opowiadanie do świątecznego numeru „Szpilek”, pisarz wzruszył się do łez. Nie sądził, że ktoś jeszcze o nim pamięta.

Odebrano Makuszyńskiemu także ulicę w Szczecinie, choć to akurat było dość oczywiste, skoro patron wciąż żył. Nowym został Iwan Miczurin, sowiecki genetyk i sadownik, ulubieniec Stalina. Po 1989 roku stracił ulicę na rzecz księdza kanonika Mieczysława Bryczkowskiego.

Pisarz podejrzewał, że ta zmowa milczenia to zemsta Wincentego Rzymowskiego, po wojnie prominentnego działacza politycznego. Być może nie mógł zapomnieć, że to Makuszyński zajął jego miejsce w Polskiej Akademii Literatury (musiał zrezygnować z członkostwa po oskarżeniu o plagiat). I pewnie dobrze pamiętał prasowe ataki na siebie – z którymi Makuszyński nie miał przecież nic wspólnego.

W 1944 roku Rzymowski został członkiem Związku Patriotów Polskich powołanego w Moskwie, później przewodniczącym satelickiego Stronnictwa Demokratycznego, ministrem kultury, a potem także ministrem spraw zagranicznych w kolejnych komunistycznych rządach. W zamian za zaszczyty i ordery posłusznie realizował sowiecką politykę. Na emigracji uważano go za zdrajcę, odmawiano mu spotkań, ale tam jego władza nie sięgała. W kraju bezbronny Makuszyński był pod ręką i nie mógł uciec.

– Wuj sądził więc, że Rzymowski brał teraz na nim odwet za to, że kiedyś był świadkiem jego upokorzenia – powiedział Joannie Siedleckiej Przemysław Gluziński.

Michał Rusinek, przed wojną sekretarz i dyrektor biura PAL, a po wojnie urzędnik w ministerstwie kultury i przez kilkadziesiąt lat działacz Związku Literatów Polskich, był zdania, że Rzymowski raczej nie szkodził Makuszyńskiemu, choć oczywiście swoich następców raczej się nie lubi, „to ludzkie”. „Nie mieścił się po prostu w nowych czasach, był na odstrzał, bo ani lewicowy, ani postępowy, a w dorobku piosenki o ułanach, książki o Lwowie” – pisał o sytuacji Makuszyńskiego.

Polskiej Akademii Literatury po 1945 roku nie reaktywowano. Ośmiu jej członków nie przeżyło wojny, Goetel i Wierzyński wybrali emigrację, a spośród tych, którzy zostali w kraju, też nie wszyscy, wśród nich Staff, byli za wznowieniem działalności. Makuszyński w ankiecie przeprowadzonej przez tygodnik „Odrodzenie” ocenił, że PAL wcale nie trzeba wskrzeszać, bo przecież prawnie nigdy nie przestała istnieć. Wystarczy więc, żeby jej żyjący członkowie się zebrali, a rząd, jak przed wojną, powołał kilku pisarzy na wakujące miejsca, żeby przywrócić quorum. W tym gronie dokooptowano by resztę. Proponował jedynie, aby Akademię odmłodzić, nie czekając, aż posiwieje kolejne pokolenie, ponieważ

potrzebny jest literacki sejm czuwający nad polską literaturą. „Błędem Akademii winne były czasy i ludzie. Ponieważ i czasy są inne, i ludzie są inni, będzie też inna i Akademia, do której weszliby przede wszystkim ci najwybitniejsi, którzy ze względów zasadniczych do niej wejść nie chcieli” – tłumaczył, ale dla komunistów rządzących kulturą w nowej Polsce to nie był żaden argument. Nie mieli interesu w odtwarzaniu sanacyjnej organizacji. Zaszczyty i laury woleli zachować dla pisarzy, z którymi ideowo było im bardziej po drodze.

Makuszyński odczuł to na własnej skórze. W 1948 roku Henryk Wolpe, komunista od czasów przedwojennych, a wtedy redaktor naczelny Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych, napisał w miesięczniku „Praca Księgarska”, że nie można tolerować „oportunistycznego wznawiania” przez prywatnych wydawców takich autorów literatury młodzieżowej, jak „Makuszyńscy, Przyborowscy, Perzyńscy”. To nie pozostawiało wątpliwości co do losów książek autora *Szatana*. Jeszcze w 1948 roku w wypisach z literatury dla VII klasy szkoły powszechnej był fragment tej powieści, rok później Adam Cisowski już z podręcznika wypadł.

W prasie nie pisano o nim w ogóle albo pisano, że jako przedstawiciel literatury burżuazyjnej nawet nie próbował przekształcać rewolucyjnie rzeczywistości, a jego humor oznaczał aprobatę przedwojennej, mieszczańskiej kultury. Jeśli nawet pojawiała się w jego powieściach krytyka „rozpaczliwej sytuacji gospodarczej i życiowej ówczesnej inteligencji twórczej”, to nieświadomiona, napisał Henryk Vogler, partyjny pisarz i wydawca. Jak w powieści *Po mlecznej drodze*, w której malarz Szczygieł i pisarz Chrząszcz wegetują w skrajnej nędzy na strychu czynszowej kamienicy. Albo jak w *Awanturze o Basię*, w której aktorzy Antoni Walicki i Franciszek Szot przymierają głodem, nie mogąc dostać roli w pozbawionych państwowego mecenatu teatrach.

W 1951 roku w Szczecinie odbyło się plenum Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich poświęcone sytuacji w literaturze dla dzieci i młodzieży. Partyjny krytyk Grzegorz Lasota, którego opinie miały wówczas moc wyroku, stwierdził, że Makuszyński swoje przedwojenne powieści „kształtował na podłożu negacji walki klasowej”. Lasota radził, by pisarze dla młodzieży, w tym i Makuszyński, brali przykład z Wasilija Ażajewa (*Daleko od Moskwy*) i Borysa Polewoja (*Opowieść o prawdziwym człowieku*). Po lekturze pierwszego z radzieckich autorów, zachwycał się, uczniowie z gimnazjum w Konstancinie zorganizowali wakacyjne brygady żniwne i wezwali młodzież z całej Polski do współzawodnictwa. Po przeczytaniu powieści Polewoja syn biednego polskiego chłopca, Kazik Kołodziejski, któremu znaleziony na polu granat oberwał obie dłonie, postanowił mimo wszystko nauczyć się pisać. „Dzisiaj Kazik Kołodziejski pisze najładniej w całej klasie” – entuzjazmował się Lasota. Książki takie jak

Makuszyńskiego, izolujące młodzież od wartkiego nurtu życia i walki klasowej, wychowywały młodzież na wiernych janczarów kapitalizmu, stwierdził. A przecież w socjalistycznej Polsce młodzież powinna być wychowywana w duchu „patriotyzmu i ukochania ojczyzny, głębokiego internacjonalizmu i miłości do ZSRR, [...] nienawiści do wrogów ludzkości, do kapitalistów; ukochania do pracy”. Nie trzeba było więcej, żeby zamknąć Makuszyńskiemu dostęp do wydawnictw, a przede wszystkim do czytelników.

Tym bardziej że właściwie nic z tego, co dotąd napisał, nie pasowało do zadań wyznaczonych pisarzom dla dzieci w rezolucji uchwalonej podczas szczecińskiego plenum ZLP. Literatura dla dzieci powinna wychowywać budowniczych Polski socjalistycznej, zdolnych do ofiar i poświęceń w walce z wrogami ustroju. Powinna chronić młode pokolenie przed demoralizującymi wpływami moralności szlacheckiej oraz burżuazyjnej. W tym przed ideologią przedwojennego harcerstwa, wzorowanego na obcym polskiej tradycji skautingu. Powinna wreszcie brać za wzór literaturę radziecką i dostosować jej doświadczenia do sytuacji społeczno-politycznej Polski. A powieści Makuszyńskiego jeśli nawet młodzież wychowywały, to nie tak, jak oczekiwali tego sternicy peerelowskiej literatury.

Jakie były konkretnie zarzuty wobec Makuszyńskiego, można się domyślać, śledząc przemilczenia w książkach wznawianych w okresie liberalizacji polityki kulturalnej po roku 1956. Wcześniej niecenzuralne fragmenty dyskwalifikowały książkę całkowicie, później cenzorzy po prostu wykreślali „niebezpieczne” akapity albo po prostu zmieniali ich brzmienie na bardziej prawomyślne.

Z *Wielkiej bramy* cenzura usunęła zakończenie:

– Patrz, Piotrze, patrz! – rzekł kapitan ze wzruszeniem w głosie.

Z wielkiej bramy Polski wypływał dostojnie olbrzymi i wspaniały okręt.

– „Piłsudski” – szepnął Piotr.

„Piłsudski” wypływał na wielkie morze, na wieczyste morze.

W 1957 roku przywoływanie marszałka Józefa Piłsudskiego w pozytywnym kontekście było niewyobrażalne, więc nie mogło być też transatlantyku jego imienia. Kiedy jednak Wydawnictwo Morskie wznowiło *Wielką bramę* w 1990 roku, już w wolnej Polsce, usunięte przez cenzurę zakończenie nie zostało przywrócone. Zabrakło w książce także nazwiska Eugeniusza Kwiatkowskiego, przedwojennego wicepremiera i budowniczego Gdyni, który popadł w PRL w taką niełaszkę, że nawet nie mógł w Gdyni zamieszkać. Nie ma w porcie gdyńskim „nabrzeża amerykańskiego”, nazwanego tak przed wojną. I nie ma słów kapitana, który tłumaczy chłopcu, że wielkie morskie mocarstwo, potężna Polska, przygarnie do serca inne zamieszkujące nad Bałtykiem narody, „małe, lecz pracowite i uczciwe. Polska [...] zdobędzie ich przyjaźń i braterstwo”. Ani przed wojną, ani po niej nikt nie mógł mieć wątpliwości, że te małe narody to Litwini, Łotysze

i Estończycy. „Pochyliliśmy się nad tym morzem jak nad jednym dzbanem, z którego pijemy życie” – mówił kapitan. Po 1945 roku trzy nadbałtyckie państwa zostały siłą wcielone do Związku Sowieckiego, a słowa kapitana z *Wielkiej bramy* stały się politycznie niewygodne, więc zniknęły. I nie wróciły, gdy Litwa, Łotwa i Estonia odzyskały niepodległość. Nie ma tych fragmentów także w kolejnych wydaniach *Wielkiej bramy* już w XXI wieku.

Uśmiech Lwowa z oczywistych powodów nie mógł się ukazać aż do roku 1990, nawet ocenzurowany, bo właściwie należałoby go napisać od nowa, a akcję przenieść do innego miasta. Podobnie jak *Radosne i smutne*, opowieść o dwóch wojnach: rosyjsko-ukraińskiej i polsko-bolszewickiej, które (zwłaszcza druga) w PRL chciano wymazać z obowiązującej historii. I prawdopodobnie tylko dzięki temu, że cenzorzy nawet nie próbowali ich poprawiać, dyskwalifikując od razu, czytelnicy znają dziś obie książki w kształcie autorskim.

Okaleczone zostały także wydane w 1958 roku przez Czytelnika *Bardzo dziwne bajki*. Zabrakło w nich baśni *O tym, jak Wicek warszawiak pognął śmierć*. Co było nieprawomyślnego w opowieści o chłopcu, który tak bardzo ukochał swoje miasto, Warszawę, że gotów był oddać za nią życie? Nie wiadomo. Największymi wartościami były dla Wicka Polska i polskość. Bo w Polsce „już jest takie dziwne powietrze, że nawet diabeł staje się uczciwy i dotrzymuje słowa”. Polacy zaś tak bardzo kochają swoich rodaków, że nawet nic do siebie nie mówiąc, i tak się doskonale rozumieją.

Wicek bronił Warszawy przed wrogiem niosącym głód i śmierć, którym w 1916 roku byli Niemcy, ale może cenzorzy w PRL obawiali się, że czytelnicy zobaczą wroga zupełnie w kim innym. A może chodziło o wiarę w Boga, naiwną i bajkową, ale na pewno głęboką, dzięki której mógł pokonać śmierć. Wicek wierzył nawet, że najważniejszy wśród świętych – święty Piotr – musiał być Polakiem, bo jako jedyny stanął w obronie Jezusa Chrystusa z mieczem w ręku. Jak na uczciwego Polaka przystało. A że „jeden Polak za drugiego do piekła iść powinien, a nie tylko ze śmiercią się spotkać”, więc łatwo było wyprowadzić stąd wniosek, że i Jezus musiał pochodzić z nad Wisły.

Po 1989 roku *Bardzo dziwne bajki* były wznawiane kilkakrotnie, zwykle na podstawie wydania z roku 1958, bo opowiadania o Wicku warszawiaku w nich nie ma.

„Kornel, typowy lwowiak, stał się takim szyldem radosnej po odzyskaniu wolności Warszawy, jak jeden chyba tylko Wieniawa, i stał się cieniem samego siebie, gdy Warszawa umarła” – te słowa Jana Lechonia z *Dziennika* dotyczyły nie tylko Warszawy, ale i całej Polski. Dla Kornela Makuszyńskiego nagle zabrakło w niej miejsca.

W 1951 roku dotknęła go decyzja dla pisarza najbardziej bolesna: kilka jego powieści znalazło się na liście książek „ideologicznie szkodliwych”, które według

decyzji Biura Politycznego KC PZPR powinny być natychmiast usunięte z bibliotek i zlikwidowane. W wykazie znalazły się 1682 książki. Bibliotekarzy szkolono, by żadna trefna książka nie umknęła ich uwadze, a specjalnie powołane komisje miały za zadanie kontrolować, czy polecenie zostało wykonane z należytą starannością. Usuwano z bibliotek książki poświęcone Piłsudskiemu, legionom, wojnie polsko-bolszewickiej, Kresom, harcerstwu. Oczywiście nie było mowy, żeby pozostały na półkach książki w najmniejszym choćby stopniu krytyczne wobec przodującego ustroju i Związku Sowieckiego, których przed wojną nie brakowało. Dorobek jednych pisarzy (choćby Juliusza Kadena-Bandrowskiego, Zofii Kossak-Szczuckiej czy Ferdynanda Ossendowskiego) zniknął w całości, w przypadku innych, w tym nawet Sienkiewicza czy Żeromskiego, usuwano poszczególne tytuły. Spośród książek Makuszyńskiego z bibliotek miały zniknąć wszystkie przedwojenne wydania *Uśmiechu Lwowa*, *Wielkiej bramy* i *Fatalnej szpilki*, uznanej za książkę antysemicką, poemat *Pieśń o Ojczyźnie* oraz książeczki z piosenkami legionowymi. Kilka innych tytułów – *Awantura o Basię*, *O dwóch takich, co ukradli księżyc*, *Przygody Koziółka Matołka*, *Szatan z siódmej klasy* i *Skrzydlaty chłopiec*, mogło pozostać na półkach „do zaczytania”. Co bardziej gorliwi bibliotekarze usuwali je jednak od razu, podobnie jak książki, które jako miejsce wydania miały wpisany Lwów, miasto od sześciu lat (a według propagandy od zawsze) „radzieckie”.

W 1950 roku Makuszyński udzielił wywiadu Januszowi Meissnerowi z „Przekroju”. Dziennikarz, a przed wojną lotnik, zapytał, co pisze.

– Piszę najczystsza, jak najbardziej zwartą polszczyzną odwołania do Urzędu Skarbowego – odpowiedział Makuszyński.

To była prawda. Walczył z urzędami o zachowanie prawa do resztek po warszawskim mieszkaniu przy Grottgera. Decyzją stołecznej komisji kwaterunkowej lokal został podzielony między kilka rodzin. Makuszyńskim pozostawiono jeden pokój, a Ministerstwo Kultury oficjalnie potwierdziło, że choć przeprowadził się do Zakopanego, to lokal w Warszawie jest mu niezbędny. Lecz sytuacja uspokoiła się na krótko. Mimo szybkiej odbudowy stolicy każdy metr kwadratowy był w niej na wagę złota, więc co jakiś czas kolejny urzędnik podważał prawo Makuszyńskiego nawet do tej „resztówki”, a przynajmniej starał się kogoś mu dokwaterować. W końcu, za radą prezesa komisji lokalowej przy Radzie Ministrów, Makuszyńscy zameldowali tam kuzynkę Janiny, która na własny koszt pokój wyremontowała i dostała oficjalny przydział. Jednak nawet to nie zakończyło kłopotów. Wciąż ponawiane były podchody, żeby pokój przy Grottgera pisarzowi odebrać jako nieuzasadniony luksus.

Także na niewielkich dochodach z zagranicznych wydań książek Makuszyńskiego peerelowska władza położyła rękę. Wszyscy pisarze musieli złożyć w Narodowym Banku Polskim oświadczenia o dochodach uzyskiwanych po

1945 roku za granicą i o należnościach wynikających ze sprzedaży praw autorskich. Państwo potrzebowało dewiz, więc wpłacane na prywatne konta dolary i funty przeliczane były na złote i dopiero wtedy wypłacane posiadaczom kont. Za 83 funty przelane Makuszyńskiemu jako honorarium z Londynu wypłacono mu w lipcu 1950 roku – po odliczeniu prowizji – 93 245 złotych. Państwowy kurs funta wynosił wówczas 1117 złotych, czarnorynkowy był kilkukrotnie wyższy.

Dewizy (a także złoto i platynę), które Polacy zgromadzili wcześniej, musieli odsprzedać NBP po państwowym kursie. „Kto bez zezwolenia Komisji Dewizowej posiada na obszarze Państwa Polskiego waluty obce, monety złote, złoto lub platynę, podlega karze więzienia” – głosiła ustawa z 28 października 1950 roku o denominacji złotego, która spowodowała, że ludzie w jednej chwili stracili dwie trzecie oszczędności. Posiadanie złota było zagrożone więzieniem do lat piętnastu, a handel nim karą śmierci.

W listopadzie 1950 roku Makuszyński poprosił Komisję o zgodę na zatrzymanie trzystu pięćdziesięciu dolarów (być może liczył, że za granicą łatwiej kupi insulinę), ale odmówiono mu. Zachował tylko w swoich papierach zaświadczenie z NBP potwierdzające przekazanie dewiz (banknoty jedno-, pięcio-, dziesięcio- i dwudziestodolarowe spisano skrupulatnie, łącznie z numerami i serią) i pouczenie o grożącym pisarzowi więzieniu, gdyby przyszło mu do głowy odmówić ich odsprzedań państwu. „W terminie dni siedmiu od dnia otrzymania niniejszego pisma”.

Makuszyński poskarżył się kiedyś Romanowi Brandstaetterowi, że z powojennej Polski nie ma gdzie uciec. Ani przed pogodą, ani przed biedą. Przed wojną było inaczej. Było więcej możliwości, zwłaszcza jesienią...

– Wsiadłeś do ekspresu wiedeńskiego, tego samego dnia byłeś w Wiedniu, dzień później w Rzymie, a na trzeci dzień piłeś wino na Capri. Wtedy można było uciec przed jesienią. A dzisiaj? Dokąd uciekniesz?... Nie uciekniesz... Nie uciekniesz... – powtarzał.

Nie ma pewności, czy wiedział, że interesuje się nim bezpieka, ale jego nazwisko pojawia się w aktach Miejskiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Zakopanem. Rozpracowywano znajomych Makuszyńskiego. Janusza Meissnera, który wojnę spędził w Polskich Siłach Zbrojnych w Londynie, więc podejrzewano, że w 1946 roku wrócił do Polski jako agent wywiadu brytyjskiego. I Romana Brandstaettera, który od 1941 roku przebywał w Palestynie, współpracował z polskim rządem na uchodźstwie, a po 1945 roku kilka lat mieszkał we Włoszech. Sam Makuszyński mógł nie budzić podejrzeń organów bezpieczeństwa, ale towarzystwo, w którym się obracał, już tak.

„Słońce w jego herbie powoli gasło” – napisał Brandstaetter. Makuszyński był rasowym felietonistą, chciał na gorąco reagować na wydarzenia polityczne, literackie, artystyczne. Uniemożliwiono mu to, a on coraz bardziej „ponurzał

i pochmurniał”. Nie akceptował postępowania tych kolegów po piórze, którzy zaprzeczali swoim wcześniejszym przekonaniom, byle tylko wydać kolejną książkę. Mówił z ironią o ich charakterach i talentach.

Kiedyś Brandstaetter powiedział mu, że szuka ślusarza, który naprawi zamek w szafie.

– Szkoda pieniędzy – usłyszał od Makuszyńskiego. – Poproś X [wymienił nazwisko pisarza, którego nie lubił], on się zna na ślusarskiej robocie. Naprawi ci zamek, a ty w zamian poprawisz mu błędy ortograficzne.

Po chwili uznał, że przesadził.

– No, ortografię to on może zna. Popraw mu raczej błędy gramatyczne...

Coraz częściej w jego wypowiedziach słyhać było przede wszystkim gorycz. Pewnego popołudnia, które spędzali z Brandstaetterem w knajpce, pijąc wódkę i zagryzając śledziami, powiedział, że odwiedził go Aleksander Słapa, przed wojną i przez kilka lat po niej szef krakowskiego oddziału wydawnictwa Gebethner i Wolff, a od 1949 roku prezes Spółdzielni Wydawniczo-Handlowej „Książka i Wiedza”. zaproponował Makuszyńskiemu wznowienie jednej z przedwojennych powieści. Brandstaetter nie zapamiętał, o którą chodziło. Pogratulował, ale okazało się, że przedwcześnie.

– Chce wydać moją powieść, pod warunkiem że wykreślę z niej dwa rozdziały. To zmieni jej sens – powiedział Makuszyński.

Propozycja przyszła w fatalnym momencie, pisarz miał poważne kłopoty i potrzebował pieniędzy. Zapytał Brandstaettera, co powinien zrobić, i nie czekając na odpowiedź, wyrzucił z siebie:

– Nie zgodziłem się.

– Rozumiem – Brandstaetter na to.

– Nic nie rozumiesz. Straciłem pięćdziesiąt tysięcy złotych!

Chciał chociaż usłyszeć, że zrobił dobrze.

– Czy dobrze... nie wiem. Ale na pewno słusznie – odparł Brandstaetter i opowiedział, że też nie zgodził się na zmiany w swojej sztuce, którą chciał wystawić Teatr Polski w Warszawie. I też stracił pięćdziesiąt tysięcy.

– To dobrze, to bardzo dobrze – nieoczekiwanie radośnie zareagował Makuszyński. – Widzisz, najlepszym lekarstwem na własne troski są cudze troski.

Zaproponował, że następną kolejkę stawia on. Ale po chwili się zreflektował:

– Ale ty zapłacisz.

„I odzyskał dobry humor” – napisał Brandstaetter.

Mimo wszystko próbował się jakoś dopasować do nowych czasów i wymogów. Nadażyć za światem, który chyba coraz mniej rozumiał. A cokolwiek pisał, i tak było to za mało. W maju 1951 roku chciał pochwalić działalność Światowej Rady Pokoju, powołanej rok wcześniej w Warszawie podczas

II Światowego Kongresu obrońców pokoju. Pisał w krakowskim „Dzienniku Polskim”, że Rada będzie największym w historii parlamentem świata, który musi budzić sumienia ludzi i zmieniać „etykę tygrysa i rekina” w tryumf powszechnej sprawiedliwości i miłości człowieka do człowieka: „Wtedy nadejdzie czas, kiedy jedyną formą przelewania krwi będzie krew oddana choremu bliźniemu!”. Nie pomogło. Jakby nie dotarło do niego, że najważniejszym zadaniem Światowej Rady Pokoju była w tym czasie walka z krwiożerczym amerykańskim imperializmem, który w sojuszu z nazistowskimi zbrodniarzami i mimo pokojowych wysiłków Związku Radzieckiego zamierza wtrącić świat w otchłań III wojny światowej.

– W jego książkach był Bóg i Żyd, więc go wycofali. Pamiętam, jak dyrektor Wydawnictwa Literackiego namawiał go, żeby coś w książkach poskreślał, to wydadzą, ale pisarz nie zgodził się – opowiadała Iwone Konarskiej Genowefa Wątarek.

Jan Lechoń zanotował w *Dzienniku* scenę opowiedzianą przez księdza, który przyjechał niedawno z Polski. Był rok 1951, idącego Krupówkami Makuszyńskiego rozpoznały dzieci ze szkolnej wycieczki. Zachwycone otoczyły pisarza, wykrzykując jakieś miłe słowa. „Kornel rozbeczał się jak bóbr. Biedne dziecko, które mniej wiedziało o świecie od tych dzieci” – powtórzył opowieść księdza Lechoń. „To naprawdę prawie symbol – Kornel, rozkochany we wszystkich przyjemnościach dostatniego świata, i ta morga duchowa, ten gigantyczny Katyń – jakim jest Polska pod Rokossowskim”.

XVI

Głupawy cap, choć strasznie pocziwy –
ciąg dalszy

Krótko po wojnie *Przygody Koziołka Matołka* zostały wznowione przez oficynę Gebethner i Wolff (zdążyli wydać tylko pierwszy tom), a potem na prawie dziesięć lat zniknęły z księgarń.

Okazało się, że nie tylko bohaterowie powieści Makuszyńskiego nie przystają do nowych czasów, nie pasuje także Matołek. Bo wierszyki pod rysunkami są głupie, pełne bzdurnych i nieprawdopodobnych przygód, a poza tym uczą dzieci nieposłuszeństwa (mimo zmiany stroju ocena w tej kwestii pozostała niezmienna). Zarzutów było więcej. Książeczki szerzą religianctwo: uratowane z rąk czarownicy dzieci „Uklękawszy w chaty progu, / Ślicznie razem zaśpiewały, / Aby podziękować Bogu”. Rozpowszechniają nieprawdę o ubóstwie, w jakim żyje polska młodzież: kozioł każe wysłać wykopaną bryłę złota „biedniutkim polskim dzieciom” (w powojennych wydaniach na żądanie cenzorów wysyła już złoto „kochanym polskim dzieciom”). A poza tym Koziołek jest skrajnie niesubordynowany, nawet powołany do wojska nie wykonuje rozkazów. Komendę „padnij” lekceważy, bo nie będzie przecież leżał w błocie, polecenia „w tył zwrot” też nie zamierza wypełnić, bo wcale go nie obchodzi, co dzieje się za jego plecami. No i choć włóczył się po całym świecie, był w Chinach i Ameryce, a nawet na księżycu, to do Związku Radzieckiego jakoś nie dotarł. Ba, ojczyzna światowego proletariatu w ogóle się w opowieściach o Koziołku nie pojawiła.

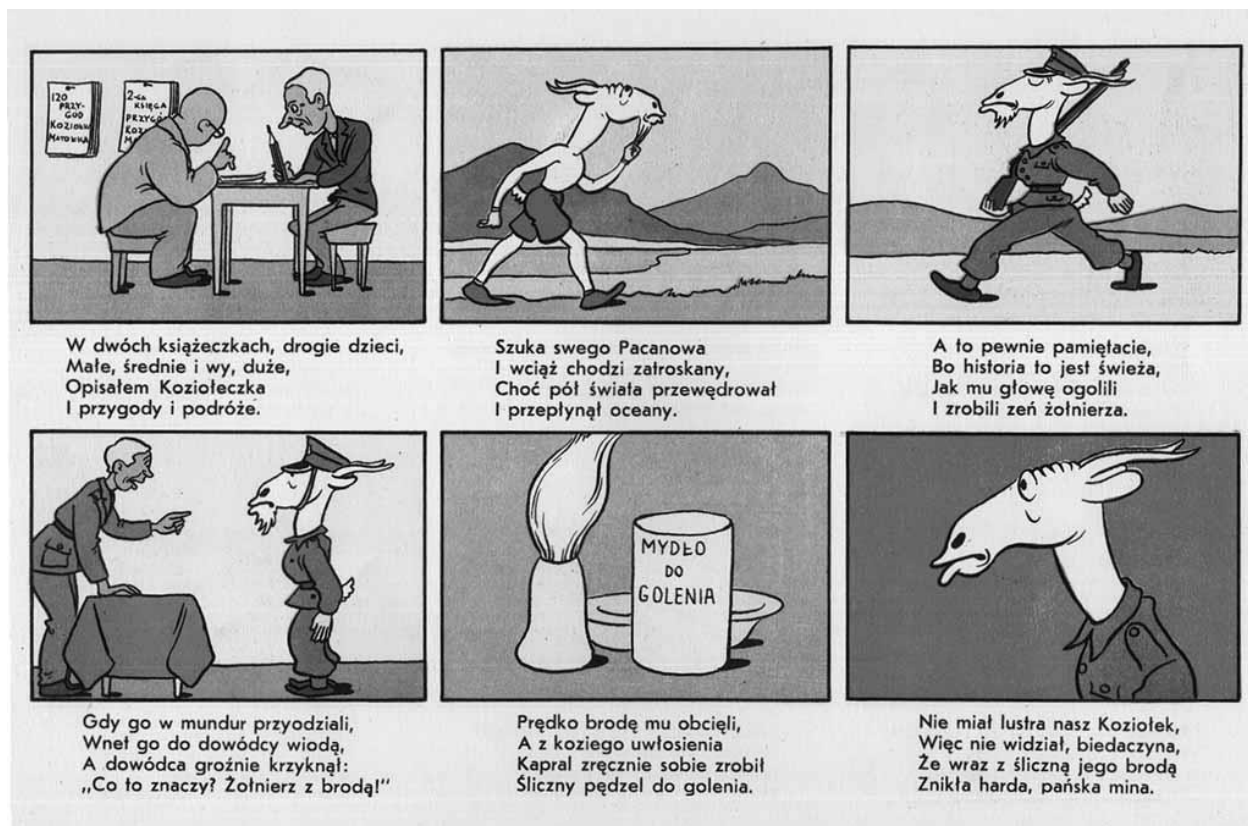
Podczas plenum Zarządu Głównego ZLP w Szczecinie, poświęconego sytuacji w literaturze dziecięcej, zaatakowano także Matołka. Wanda Grodzieńska, redaktorka pisma dla dzieci „Świerszczyk”, i poeta Seweryn Pollak (prywatnie małżeństwo) oburzali się, że głupawe „wierszyczki” o Koziołku odwracają uwagę dzieci od problematyki społecznej. A w dodatku – i to brzmiało już naprawdę niebezpiecznie – książeczki Makuszyńskiego i Walentynowicza są czymś w rodzaju „osławionych amerykańskich *comics*”. Już samo zaliczenie opowieści o Koziołku Matołku do komiksów brzmiało w 1951 roku źle, a porównanie do komiksów amerykańskich było jak oskarżenie o zdradę. W pierwszych latach po wojnie – pisali Grodzieńska i Pollak – prywatne wydawnictwa znów sięgnęły do „wierszowanej tandety” i wydawały „mnóstwo makulatury lub pozycji wręcz szkodliwych”.

Przed- i tużpowojenne wydania przygód Koziołka nie znalazły się co prawda na liście książek zakazanych, ale po takich komentarzach co bardziej gorliwi księgarze usuwali je z bibliotecznych półek razem z książkami uznanymi w nowej Polsce za politycznie niepożądane. Przetrwało niewiele egzemplarzy tych edycji.

Prace nad nowym wydaniem opowieści o Matołku można było rozpocząć dopiero po zmianach na szczycie władzy po październiku 1956 roku. Krakowskie Wydawnictwo Literackie zadziałało błyskawicznie. Pierwszy tom przygód Koziołka ukazał się już w grudniu i rozszedł błyskawicznie w nakładzie stu tysięcy egzemplarzy. Trafił do księgarń w piątek rano, a po południu nie było już ani jednego egzemplarza, donosiła prasa.

Zwycięstwo Koziołka Matołka nad stalinizmem – zatytułowała swój komentarz redakcja „Tygodnika Powszechnego”. W minionym okresie, pisał Antoni Gołubiew, Koziołek był z Polski wygnany. Nie mógł rozmawiać z kaczką po francusku, z cesarzem chińskim po chińsku, a z Hindusami po indyjsku, nie miał nawet prawa po prostu brykać swobodnie po polskich drogach, „gdyż przez to odciągał nam dzieci od procesów produkcji i był heroldem eskapizmu”. Socjalizm miał innych bohaterów pozytywnych, a Matołek do nich nie pasował. Nie był wrogiem przebudowy Polski, ale był wrogiem systemu, w którym człowiekowi odbierano prawo do beztróskiego śmiechu z niezobowiązującej bzdury: „Stanowił wyzwanie wobec całego stylu, narzuconego siłą narodowi w imię ciasno pojętego i ponurego doktrynerstwa”.





Zmienił się ustrój, zmieniło się wojsko, więc żołnierze na rysunkach w książeczkach o Koziołku Matołku też nie mogli wyglądać tak samo jak przed wojną. Pierwsze strony przed- i powojennego wydania *Trzeciej księgi przygód Koziołka Matołka*. Rysunki autorstwa Mariana Walentynowicza.

Mimo zwycięstwa część rysunków w nowych wydaniach musiała zostać zmieniona. Niektóre poprawki Walentynowicz wprowadził sam, uwzględniając powojenne realia, inne pewnie zostały wymuszone przez cenzurę i politycznych zarządców rynku książki.

Na nowej okładce pierwszego tomu *Przygód Koziołek* nie siedział już na Księżycu, ale na rakiemie lecącej w kosmos. Z Afganistanu zabierał go samolot do złudzenia przypominający radziecki MiG 15, a nie przedwojenny aeroplan z białą-czerwoną szachownicą. Przedwojennych groźnych policjantów zastąpili powojenni przyjaźni milicjanci. Zmienił się wygląd szkół. Przed wojną niewielkie i słabo wyposażone, po wojnie stały się przestronne i jasne. Jeszcze bardziej zmieniło się wojsko. Żołnierze zdjęli przedwojenne mundury i przywdziali uniformy Ludowego Wojska Polskiego, a z ich głów zniknęły rogatywki, bo w nowej armii rogatywek się nie nosiło. Tylko orzełek na nowych czapkach był tak niewyraźny, że trudno było stwierdzić z absolutną pewnością: ma koronę czy nie. Ale już na granicy Polski wracającego z kolejnej wyprawy Koziołka witają słupy z orłem bez korony.

Inaczej też wyglądały miasta, a Warszawa nawet zdecydowanie inaczej. Z ulic zniknęli ortodoksyjni Żydzi w chałatach i jarmułkach, bo przecież nie było już w stolicy takich Żydów. Przed wojną widać było na rysunkach małych gazeciarzy i wozy konne, po wojnie przez odbudowany plac Konstytucji jadą już samochody i tramwaje. Rzucają się w oczy charakterystyczne kandelabry i budynki Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej, jednej ze sztandarowych inwestycji socjalizmu. Wracając z Księżycy, Matołek przelatuje obok wieży Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie. W 1932 czy 1934 roku trudno było go sobie nawet wyobrazić. Ale w roku 1956 „dar narodu radzieckiego dla narodu polskiego” był już od wielu miesięcy symbolem utraconej przez Polskę suwerenności. Nie ma pewności, czy Walentynowicz narysował pałac, bo musiał, czy dlatego, że budowla stała się najbardziej charakterystycznym elementem panoramy miasta.

Marian Walentynowicz miał poważne zastrzeżenia do estetyki wznowień przygód Koziółka:

– Nie podoba mi się okładka. Kolory są brudne, mało żywe – krytykował publikację w „Słowie Powszechnym”. – Muszę przyznać, że przedwojenne wydanie było trochę staranniejsze.

Zapowiedział, że przy kolejnej edycji będzie chciał przywrócić rogatywki, bo jak słyszał, znów mają się znaleźć na głowach żołnierzy. Choć oczywiście orzełek nie odzyskał korony. W następnych wydaniach na okładkę wrócił Księżyc, ale Pałac Kultury został.

Łatwiej poszło z *Awanturami i wybrykami małej małpki Fiki-Miki*. Właściwie tylko w drugiej części komiksu trzeba było zmienić granice Lechistanu, czyli Polski, dokąd małpka i Murzynek Goga-Goga postanowili się wybrać, żeby odwiedzić Matołka. Nowa mapa musiała pasować do granic Polski Ludowej ustalonych w 1945 roku w Jałcie, żeby nie prowokować pytań, gdzie podziały się Kresy z Wilnem i Lwowem. Bo to, że Polska powiększyła się o Śląsk i Pomorze, propaganda uzasadniała bez zmruczenia oka tezą o przyłączeniu do macierzy prastarych ziem Piastów.

W 1958 roku, kiedy ukazały się *Fiki-Miki dalsze dzieje*, Marian Walentynowicz potrafił już nawet poradzić sobie z brakiem korony na głowie orła. Mała Fiki-Miki, stając przed słupem granicznym i spoglądając w górę, widzi orła tylko do połowy, więc brak korony nie razi. W tym samym roku miesięcznik „Nowe Książki” ostrzegał jednak przed czytaniem o przygodach małpki zbyt małym dzieciom. Przerazający wąż, który pożarł mamę Fiki-Miki, lew, który chce zjeść małpkę i Murzynka, krokodyl mający podobne zamiary – wszyscy oni mogą się przyśnić co wrażliwszym maluchom, ostrzegał recenzent.

Cenzorzy akceptujący kolejne wydania opowieści o małpce przegapili (choć może był to wynik niewiedzy) nazwisko Ferdynanda Ossendowskiego, który za swoje antykomunistyczne książki, zwłaszcza za *Lenina*, skazany był w PRL na

polityczny i literacki niebyt. Tymczasem w drugim tomie mieszkańcy murzyńskiej wioski na widok odkopanego podróżnika jak gdyby nigdy nic dalej wiwatowali: „Niech nam żyje / Pan profesor Ossendowski”.

Po śmierci Kornela Makuszyńskiego podjęto próbę wskrzeszenia *Matolka*. W styczniowym numerze „Magazynu Polskiego” z 1961 roku ukazała się opowieść o *Koziołku* z rysunkami Walentynowicza i tekstem Jana Zalewskiego. *Matolek* leciał na Marsa, odkrył tam nawet kapustę i przeżył kilka mniej lub bardziej niebezpiecznych przygód, ale w końcu okazało się, że wszystko to tylko mu się przyśniło.

W latach 1969–1971 w warszawskim Studio Miniatur Filmowych powstało dwadzieścia sześć animowanych odcinków *Dziwnych przygód Koziołka Matolka*. Polskie Nagrania Muza wydały dwupłytową baśń muzyczną *Przygody Koziołka Matolka*. Planowano film pełnometrażowy *Koziołek Matolek i porywacze zabawek*, ale nie doszło to do skutku.

Kolejne edycje przygód *Koziołka* ukazywały się bez przeszkód aż do 13 grudnia 1981 roku. W dniu, w którym wprowadzono stan wojenny, w kioskach wciąż można było kupić wydaną dwa lata wcześniej w nakładzie dwustu tysięcy egzemplarzy serię pocztówek z przygodami *Matolka*. Szybko jednak ktoś czujny zorientował się, że na jednej z kartek znalazł się kadr z trzeciego tomu, wcześniej niewinny, ale w nowej sytuacji wyglądający na polityczną prowokację. Na kartce był *Matolek* w wojskowym mundurze, z karabinem (mannlicher wzór 1910) w dłoni, na drzewie siedziała zaś ni mniej, ni więcej tylko wielka, czarna wrona (ponoć naprawdę miała to być sroka). Aluzja do Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego, czyli WRON-y, była aż nadto oczywista. Kartkę błyskawicznie wycofano z kiosków (wróciła do sprzedaży dopiero w roku 1986), a jeśli ktoś chciał, mógł dopatrzeć się w tym wydarzeniu chichotu (może raczej wroniego skrzeku) historii albo profetycznych talentów Walentynowicza. Bo w przedwojennych wydaniach *Przygód* wrona była zupełnie apolitycznym wróbelkiem.

Cztery tomy *Przygód Koziołka Matolka* ukazały się do końca XX wieku w nakładzie co najmniej sześciu milionów egzemplarzy, tylko w 1987 roku wydano po pół miliona każdej księgi, a w 1990 kolejne trzysta tysięcy. I są wznawiane nadal, podobnie jak książeczki z perypetiami małpki Fiki-Miki. Tylko wydawnictwa przestały podawać nakłady drukowanych książek.

XVII

Dzieła swego nie pohańbił
żadnym podłym ukłonem

Makuszyński nie publikował, więc nie zarabiał. Nie ukazywały się nowe książki, więc mniej też było okazji do spotkań autorskich. W liście do Zygmunta Leśnodorskiego skarżył się na „chudy mieszek, którego wydawca nie napelnia”.

Gospośnia musiała być świadkiem codziennych rozmów Makuszyńskich o braku środków do życia.

– Nastrój w domu był ciężki, coraz bardziej brakowało pieniędzy. Musiał wziąć dużą pożyczkę u Gebethnera i Wolffa, żeby jakoś wyjść z długów i zwyczajnie mieć co jeść – opowiadała Leszkowi Mazanowi Genowefa Wątopek.

Pieniądze od Gebethnera skończyły się wraz z likwidacją wydawnictwa. Z listów wydawcy do Makuszyńskiego wynika, że były to przede wszystkim rozłożone na raty honoraria autorskie, być może nieco podwyższone. Janina, która po zakończeniu kariery operowej nie pracowała, wzięła na siebie ciężar utrzymania domu. Uczyła dzieci śpiewu, prywatnie i w ognisku muzycznym, a od pewnego momentu także w domu, gdy okazało się, że w szkole muzycznej po prostu brakuje miejsca.

Mimo niedostatku Makuszyński zgodnie z przedwojennym zwyczajem niemal codziennie zachodził do którejsz kawiarni na Krupówkach. Wiedzieli o tym wszyscy. Anonimowy felietonista „Życia Warszawy” wspominał, jak zadzwonił do Zakopanego, chcąc namówić pisarza do udziału w wieczorze literackim. Telefonistka w centrali połączyła go z mieszkaniem w Opolance, ale nikt tam nie podnosił słuchawki.

– Pan Makuszyński o tej porze chodzi zwykle na kawę do Kryształowej – przypomniała sobie. – Połączę pana z kawiarnią.

Kira Gałczyńska zapamiętała scenę z Szarotki, niewielkiej kawiarenki na Krupówkach, którą bywalcy nazywali Dziurką). Makuszyński poprosił kelnerkę o kawę, a na pytanie: dużą czy małą, odrzekł:

– Czy pani nie wie, że na dużą mnie nie stać?

„Jedni uważali to za pyszny żart, inni ze wstydem spuszczały głowy” – wspominała córka Konstantego Ildefonsa. Ponoć Makuszyński dostał kiedyś od czytelniczki przekaz pieniężny: „Na kawę dla ukochanego pana Kornela!”. Jako dżentelmen nie mógł przyjąć pieniędzy od kobiety, więc je odesłał, „narzekając, że musiał jeszcze zapłacić za przekaz” – wspominał Przemysław Gluziński.

Będąc na Krupówkach, często zachodził też do cukierni Zakopiańskiej na rogu ulicy Kościuszki, gdzie przed wojną odbywały się pierwsze w Zakopanem dancingi. Prowadził ją słynny restaurator Franciszek Trzaska, więc wszyscy

umawiali się „u Trzaski”. Makuszyński się skarżył – wspominał Juliusz Lubicz-Lisowski – że nie stać go nawet na kieliszek chleba. Jednak zawsze znajdował się jakiś znajomy, który się przysiadł, żeby porozmawiać, powspominać przeszłość, wychylić coś wspólnie, i oczywiście zapraszał „kochanego pana Kornela”. Aktorka Elżbieta Barszczewska, pisarze Janusz Meissner i Stanisław Ryszard Dobrowolski, poeta Konstanty Ildefons Gałczyński. Autor Teatryku Zielona Gęś nazywał Makuszyńskiego mistrzem i całował po rękach, ale tylko wtedy, gdy ktoś patrzył. Prywatnie, jak twierdziła żona pisarza, mówił o nim „łysoń rzewny”. Opisał go w jednym z felietonów publikowanych w „Przekroju”: Makuszyński siedzi w Dziurce ze Stefanem Wiecheckim „Wiechem” i Marianem Brandysem. „Wygląda jak pies morski. Śmieje się jak rogate bóstwo rzeczne. A przez życie płynie jak poeta Arion na grzbiecie delfina. Vide: wiersz Aleksandra Puszkina”.



– Kornel nie pisał wspomnień – mówiła Janina Makuszyńska. – Nie chciał pisać. Może nie mógł. Nie wiem...

W felietonie Gałczyńskiego pojawiła się także zapowiedź owej mitycznej opowieści o międzywojennej cyganerii, nad którą miał pracować Makuszyński. A nawet jej tytuł: *Pamiętnik literacki*, i objętość: aż trzy tomy. „Będzie to latarnia

czarnoksięska i małpie zwierciadło spraw i ludzi na przestrzeni półwiecza” – opowiadał Makuszyński. *Pamiętnik* nie powstał. Podobnie jak tom wspomnień. Po kolejnym spotkaniu przy kieliszku i śledziach oraz opowieściach Makuszyńskiego o pobycie ze Staffem na Capri Roman Brandstaetter orzekł, że „Makuch” powinien pisać wspomnienia. Koniecznie.

– Piszę – usłyszał melancholijną odpowiedź. – Piszę.

Makuszyński zdradził nawet, że siedzi nad memuarami po kilka godzin dziennie, do południa, a później idzie do Dziurki albo do Trzaski. Ma już tyle stron, że wyszłyby z tego dwa pojemne tomy. Jak przyjdą lepsze czasy, to na pewno je wyda. Może nawet Aleksander Słapa nie będzie się już wtedy bał...

– Takie pisanie wspomnień na starość to bardzo przyjemna robota. Przedłuża młodość... – mówił i dodał jeszcze: – Pisarz żyje tak długo, jak długo pisze. Gdy straci natchnienie, może już tylko wskoczyć do Dunajca i się utopić.

Nie zrezygnował też z ukochanego brydża. Wieczorami wpadali do Opolanki na partyjkę lub dwie Janusz Meissner i Roman Brandstaetter. Starali się przegrywać, żeby nawet te niewielkie kwoty, o które grali, zasilaly budżet gospodarzy.

W marcu 1952 roku odwiedził Makuszyńskiego w Zakopanem poznany w okupowanej Warszawie Tadeusz Dyniewski. Podczas obiadu w Jędrusiu na Krzeptówkach pisarz poskarżył się, że nie ma gdzie publikować. Żyje z zaległych przedwojennych honorariów, które wypłaca mu Gebethner. Dyniewski miał jednak wątpliwości, czy to prawda. Podejrzewał, że Makuszyński nie chce się przyznać, może przede wszystkim przed sobą, że te honoraria to tak naprawdę pomoc przyjaciół. Tyle że ubrana w formę, którą pisarz mógł zaakceptować. Twierdził, że cały czas coś pisze. Po raz kolejny opowiedział o prawie ukończonej książce o międzywojennej cyganerii, ale w to też Dyniewski nie uwierzył. Być może, napisał, Makuszyński budował mit, w który najbardziej sam chciał wierzyć. Bo prawda była inna. Pisarz nie żył już, gdy Brandstaetter zapytał o wspomnienia wdowę.

– Kornel nie pisał wspomnień – mówiła Janina Makuszyńska.

Prosiła go wiele razy, żeby zaczął. Przecież tylu ludzi znał, tyle rzeczy widział, przekonywała, powinien to spisać.

– Nie chciał pisać. Może nie mógł. Nie wiem...

Stanisław Lisiecki, bibliotekarz z zakopiańskiej biblioteki miejskiej, zapamiętał częste wizyty pisarza. Pierwszy raz przyszedł 10 lipca 1951 roku.

– Zapisuję się, bo nie mam co czytać – powiedział. – Wszystko swoje znam. Z innych źródeł też. Może u was co znajdę?

Wymieniał książki często, przychodził do biblioteki co dwa tygodnie, czasem co tydzień. Długo wybierał nowe rzeczy do czytania, wertując w pierwszej kolejności oddane przez innych czytelników tomy, które czekały na odniesienie do

magazynu. Propozycję, że Lisiecki wpuści go do magazynu i tam sam wybierze sobie z półek to, co go zainteresuje, odrzucił:

– Nie! Nie! Ludzie są. Mogą być nieprzyjemności.

Wypożyczał tylko pięć książek naraz, tyle, ile pozwalał regulamin. „Nigdy nie pchał się do lady. Nigdy nie usiłował brać książek poza kolejną. [...] Czekał cierpliwie” – wspominał Lisiecki. Czasem żartował. Kiedyś dłuższą chwilę przysłuchiwał się awanturze, jaką robiła klientka, której nie spodobał się regulamin wypożyczalni. Na koniec rzucił:

– Jak państwo spotkacie pana, który ma dziurę w brzuchu, to będzie mąż tej pani.

Czytał powieści, książki historyczne, nawet kryminały. I oczywiście książki młodzieżowe. Na liście wypożyczeń Makuszyńskiego znalazły się między innymi seria Hugh Loftinga o doktorze Dolittle, cykl Lucy Maud Montgomery zapoczątkowany *Anią z Zielonego Wzgórza*, powieści Juliusza Verne’a (*20 000 mil podmorskiej żeglugi*, *W 80 dni dookoła świata*, *Czarne Indie*), *Tajemniczy ogród* Frances Hodgson Burnett. W księdze wypożyczeń wśród pisarzy na literę „c” byli James Olivier Curwood i Gilbert Keith Chesterton. Na „d”: Maria Dąbrowska, Charles Dickens, Denis Diderot, Fiodor Dostojewski i Aleksander Dumas. A na „g” John Galsworthy, Mikołaj Gogol, Pola Gojawiczyńska, Wacław Grubiński i Maksym Gorki. Wypożyczał, póki jeszcze były, powieści Zofii Kossak-Szczuckiej, Henryka Sienkiewicza, Aleksego Tołstoja, Melchiora Wańkowicza i Stefana Zweiga. A z kryminałów – Conan Doyle’a i Agathę Christie. Jednych chwalił:

– To jest dobra książka, że też się jeszcze u nas uchowała!

Innych, zwłaszcza autorów nowoczesnych powieści, krytykował:

– Szkoda papieru i pieniędzy na ich wydawanie.

Często wdawał się w pogawędki z innymi czytelnikami, zwłaszcza młodymi. Pytał uczniów, co czytają, jak im idzie w szkole, chwalił, że przychodzą do biblioteki. Był bardzo przez wszystkich lubiany, któraś z czytelniczek napisała nawet na bibliotecznym egzemplarzu *Awantury o Basię*, że to najpiękniejsza książka na świecie, a Makuszyński to najlepszy na świecie pisarz. W dopisku ostrzegła: „Nie wolno mazać”. Jego książki w bibliotece były zaczytane do cna. Przejmował się tym bardzo, bo czasem nie nadawały się już do lektury, a nowych wydań nie było.

– Przed wojną moje książki miały po pięć, sześć wydań. A teraz nic nie wznawiają – żalił się.

W antykwariatach ceny jego powieści dochodziły do trzystu złotych, to była na początku lat pięćdziesiątych prawie jedna trzecia średniego miesięcznego zarobku.

Choć zdarzył się i krytyk, Wicusz Galica z Zakopanego, jak zapamiętał

Lisiecki. Dobry uczeń, jeden z najbardziej czytanych w swojej klasie. Któregoś dnia stał obok Makuszyńskiego i wybierał książkę. Pisarz podsunął mu egzemplarz *O dwóch takich, co ukradli księżyc*.

– Może nie czytałeś...

Chłopiec spojrział na kartę tytułową i skrzywił się.

– To lipa!

Makuszyński zamilkł, nie zdradził chłopcu, kim jest, nie próbował bronić książki. Dopiero gdy wyszedł, Lisiecki powiedział Wicusiowi, z kim rozmawiał. „Pokraśniał jak dojrzała, świeża wiśnia. Speszył się ogromnie” – zapamiętał. Ale zdania nie zmienił. Wolał powieści awanturnicze, takie ze strzelaniem i trupami.

Pisarz raczej nie poruszał tematów politycznych. Raz tylko, zapytany przez Lisieckiego, co sływać, szepnął mu do ucha:

– Nic nie sływać, bo przeszkadzają. – To była aluzja do pracujących na najwyższych obrotach „zagłuszarek”, których władza używała do zakłócania audycji Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, nadającej z Monachium.

Wolna Europa, przekazująca informacje, których próżno by szukać na oficjalnych częstotliwościach, szybko stała się stacją najchętniej słuchaną przez Polaków i najbardziej znienawidzoną przez rządzących PRL komunistów.

Także w Zakopanem musieli, najpierw on, a po jego śmierci żona, walczyć o prawo do całości mieszkania w Opolance. W 1952 roku przegrali bitwę. Urzędnicy z magistratu uznali, że liczące około siedemdziesięciu metrów kwadratowych pięciopokojowe mieszkanie to zdecydowanie za dużo dla dwóch starszych osób i gosposi. Nawet jeśli chodzi o znanego pisarza, w dodatku honorowego obywatela miasta. Makuszyńscy musieli „z powodu bardzo trudnej sytuacji w mieście i wyczerpywania się substancji mieszkaniowej” oddać jeden pokój pracownikowi zakopiańskiego sanatorium. Pomieszczenie o powierzchni około dziesięciu metrów kwadratowych było jedynym, które miało osobne wejście i toaletę, pozostałe pokoje połączone były amfiladowo.



– Przed wojną moje książki miały po pięć, sześć wydań. A teraz nic nie wznawiają – żalił się. Coraz bardziej tracił nadzieję, że to się kiedykolwiek zmieni.

Szybko okazało się, że to wcale nie koniec. Sublokator uznał, że należy mu się więcej metrów, bo jest chory na gruźlicę, ma żonę oraz syna i potrzebuje przestrzeni. Póki żył Makuszyński, udawało się go powstrzymać, gdy pisarz zmarł, walka zaczęła się od nowa. Wdowa otrzymała z zakopiańskiego kwaterunku pismo informujące, że powinna oddać kolejny pokój obywatelowi będącemu w potrzebie. A on w asyście milicji obywatelskiej próbował przebić ścianę. To wtedy w urzędowych pismach Janiny po raz pierwszy pojawił się pomysł urządzenia w mieszkaniu przy Tetmajera muzeum pisarza.

Choroba osłabiała Makuszyńskiego coraz bardziej. W dniu 21 czerwca 1952 roku sporządził własnoręcznie testament – zapisał książki, meble, obrazy i prawa autorskie do książek żonie, „aby choć w drobnej części w ten sposób spłacić jej dobroć i poświęcenie” (co roku w rocznicę ślubu w zakopiańskim kościele parafialnym, w kaplicy Witkiewicza, odnawiali swoją przysięgę ślubną). Wymienił w testamencie jeszcze tylko dwie siostry, którym Janina może („jeśli zechce”) ofiarować jakieś pamiątki po nim.

W lipcu 1952 roku opublikował w „Przekroju” list do uczestników zorganizowanego przez partię Zlotu Młodych Przodowników – Budowniczych Polski Ludowej (Makuszyński wołał napisać tylko: „Zlotu Młodych Polaków”). W gazetach ukazało się przemówienie wygłoszone z tej okazji przez prezydenta PRL Bolesława Bieruta. Mówił o gorącej wdzięczności Polaków dla narodów radzieckich i ich Wielkiego Wodza – Józefa Stalina, o budowie najlepszego z ustrojów – komunizmu, o przyjaźni między narodami i o planie sześcioletnim, w którego realizację angażuje się bezgranicznie oddana socjalizmowi najlepsza część polskiej młodzieży. A Makuszyński napisał w swoim stylu, z każdym słowem bardziej odstając od oficjalnego tonu. Gdyby umiał śpiewać, odśpiewałby uroczystą kantatę, ale nie umie. Umie tylko beczeć jak podhalański baran, dlatego może jedynie do uczestników zlotu napisać, „słonecznym promieniem malując każde słowo w kształt serca”. Dalej też było „po makuszyńsku”. O pokojowej armii nadobnych dziewczyn i zwalistych dryblasów, najdzielniejszych i szlachetnie upartych. O łomocie dwustu tysięcy serc, z których można by ułożyć „pieśń szczęśliwą” itd.

Zdaniem Andrzeja Kominka, ówczesnego redaktora „Przekroju”, nie musiał napisać nawet tego, co napisał. To była tylko propozycja redakcji. Skoro nie odmówił, to znaczy, że sam chciał. „Wzruszająco anachronicznym językiem własnej młodości deklarował swoją niezdarną próbę dotrzymywania kroku” – wspominał. Być może, ale słowa, których użył, nie były tymi, których partia od niego oczekiwała. Nie było w nich ani wystarczającej temperatury, ani rewolucyjnego zapału, który zagrzałby do walki młodzież. Wypomniano mu to. W wydanej w 1953 roku książce *Literatura międzywojenna* Ryszarda Matuszewskiego, już wtedy opiniotwórczego krytyka, Makuszyński mógł przeczytać, że jest pisarzem płytkim i powierzchownym, karmi czytelnika „łatwym, sentymentalnym humorem”, a w swoich powieściach nie gardzi „taniami chwytami, schlebiającymi typowym gustom drobnomieszczańskim”. Matuszewski umieścił go na liście dostarczycieli literackiej tandety, demoralizujących masy czytelnicze w interesie rządzącej przedwojenną Polską burżuazji. Wzorcami pożądanej literatury były dla krytyka dzieła pisarzy radzieckich, przede wszystkim *Jak hartowała się stal* Mikołaja Ostrowskiego. A z polskich: powieści dla młodzieży Wandy Wasilewskiej i Janiny Broniewskiej, bardziej działaczek komunistycznych niż pisarek, oraz biografia młodego Stalina autorstwa Heleny Bobińskiej zatytułowana *Soso*.

Książka Matuszewskiego stała się na wiele lat obowiązującym podręcznikiem dla uczniów liceów i techników. Po 1956 roku krytyk zrezygnował jednak z negatywnych ocen. Ograniczył się do paru zdawkowych zdań o autorze licznych humoresek i felietonów oraz „kilku szeroko czytanych utworów dla młodzieży”. Ale Makuszyński nie mógł już tego przeczytać. Kilka miesięcy przed

śmiercią kolejny raz odwiedził go stary znajomy z oficyny Gebethner i Wolff Aleksander Słapa, wtedy już jako przedstawiciel Wydawnictwa Literackiego. Zaproponował mu wydanie wyboru przedwojennych opowiadań, ale pisarz zasięgnął opinii Jana Gebethnera i za jego radą nie zgodził się. Obaj obawiali się, że mało znane jeszcze wydawnictwo nie oprze się presji cenzorów. Powstanie książka, „która wykrzywi cały obraz Twojej dotychczasowej twórczości”, pisał Gebethner. W dodatku ze wstępem, na który Makuszyński nie będzie miał wpływu. Może się najwyżej zgodzić na wydanie którejs z swoich książek w całości, „i to bez żadnych zmian”. W praktyce oznaczało to rezygnację z wydania czegokolwiek.

Na emigracji doceniono ideologiczną wstrzeźliwość Makuszyńskiego. Różnił się od wielu twórców, którzy pozostali w kraju i oddali swoje talenty, wielkie, średnie i całkiem mizerne, w służbę partii. Ze strachu, z oportunistu, w zamian za pieniądze i wygodne życie. Makuszyński tego nie zrobił. „Dzieła swego nie pohańbił i nie zdradził żadnym podłym ukłonem w stronę Kremla” – napisał Ferdynand Goetel w londyńskim tygodniku „Orzeł Biały”. „Był on chorobliwie lękliwego serca i tym piękniej, że niczego nie zrobił pod sowieckim batogiem, co by przeszło granice koniecznej samoobrony” – potwierdził w *Dzienniku Lechoń*.

Na początku lipca 1953 nie pojawił się jak zwykle w bibliotece. Szybko któryś z czytelników poinformował Lisieckiego: „Makuszyński chory”. Jeszcze kilka razy po książki dla męża zgłaszała się żona, ale w końcu i ona nie przyszła.

Zachowała się w Zakopanem opowieść o chłopcu, który 30 lipca przyszedł do Opolanki, żeby zobaczyć ulubionego autora. Przyniósł białą różę, mówił, że przeczytał wszystkie książki pana Kornela. Nie wpuszczono go, ale żona postawiła kwiat przy łóżku umierającego pisarza, obok figurki Koziołka Matołka. W dniu pogrzebu włożyła różę do trumny męża.

W emigracyjnym „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza” generał Tadeusz Alf-Tarczyński, współzałożyciel londyńskiego Instytutu Józefa Piłsudskiego, ujawnił szczegóły ostatnich dni życia Makuszyńskiego, które opisał mu w liście ktoś z Zakopanego. Coraz cięższa cukrzyca, zatrucie, wylew krwi do mózgu powodujący paraliż połowy ciała, wreszcie obustronne zapalenie płuc. A kiedy wydawało się, że wszystko dobrze się skończy, paraliż zaczął ustępować, pisarz odzyskał mowę i żartował nawet z niedowładu ręki, nie wytrzymało serce.

Zmarł 31 lipca 1953 roku o dziewiątej rano.

Lakoniczna informacja Polskiej Agencji Prasowej o śmierci Makuszyńskiego ukazała się tylko w kilku dziennikach w Warszawie i Krakowie, szersze wspomnienia zamieściły tygodniki literackie i „Przekrój”.



„Pochówek miał barz pikny. Po nasemu my go chowali, po góralsku” – relacjonował jeden z uczestników pogrzebu Kornela Makuszyńskiego. Zakopane, 3 sierpnia 1953.

„Pochówek miał barz pikny. Po nasemu my go chowali, po góralsku. Przecie tu śnami zył jako stary honorny gazda. Prowda ze w bidzie, ale za parobka nikomu nie poseł służyć, jako drudzy pośli” – cytował otrzymane informacje generał Alf-Tarczyński. Pochowano Makuszyńskiego na Pęksowym Brzyzku, „zeby se lezoł między najstarsymi gazdami”, kwiatów zanesiono mu na grób mnóstwo, autor listu w życiu tyłu nie widział. Nie obeszło się bez akcentu politycznego. W końcu gazeta była emigracyjna, a generał przedwojenny. „Pon Makusyński przed śmierciom pedzioł tak – kie trza cierpieć, to trza, ale zeby oni popukli, zeby ta nie wiem co robili, to oni ani Giewonta, ani Nosala, ani Bocania, ani nawet zodnego wirsycka nie zmieniom, ani nie poprzesławiam. Zeby popukli...”

„Do niebieskich wrót zapuka może w pelerynie cygana, może w harcerskim stroju, może we fraku akademickim, nigdy w czapce błazna i bluzie kajdaniarza” – napisał Ferdynand Goetel we wspomnieniu opublikowanym w londyńskim tygodniku „Orzeł Biały”.

„Więcej wykipwany niż czczony – zostawił jednak po sobie nie tylko kartę w historii pisarstwa, jako na swój czas nowator, ale i parę kart w samej literaturze –

bajki dla dzieci, niektóre wiersze i zwłaszcza felietony o teatrze” – żegnał go w *Dzienniku* Jan Lechoń. Gdyby jakiś *advocatus diaboli* upierał się przy twoich małościach i zdrożnościach, anioł mowy polskiej i anioł dowcipu na pewno cię obronią, zwrócił się do przyjaciela. I dodał:

– Możesz, drogi Kornelu, iść śmiało na Sąd Ostateczny.

Kalendarium

1884 – Kornel Makuszyński przychodzi na świat 8 stycznia w Stryju jako siódme dziecko Julii z Ogonowskich i Edwarda Makuszyńskiego, byłego pułkownika armii Austro-Węgier, urzędnika w kancelarii gminy

1894 – rozpoczyna naukę w gimnazjum w Stryju

1895 – zostaje relegowany z gimnazjum za satyryczny wierszyk kpiący ze szkolnego katechety; przenosi się do gimnazjum w Przemyślu

1896 – umiera ojciec pisarza

– ponownie zostaje usunięty ze szkoły, tym razem za pojedynek o dziewczynę, podczas którego lekko ranił kolegę; kontynuuje naukę w Gimnazjum im. Jana Długosza we Lwowie

1901 – debiutuje w piśmie dla młodzieży szkolnej „Polonia” wierszem *Słysz, Polsko!*, opublikowanym pod pseudonimem Witold Oksza

1902 – w lwowskim „Słowie Polskim” ukazują się dwa sonety gimnazjalisty Kornela Makuszyńskiego

– poznaje Jana Kasprowicza, poetę i redaktora działu literackiego „Słowa Polskiego”

– poznaje profesora Wincentego Lutosławskiego, filozofa, mistyka i jednego z ideologów Narodowej Demokracji, zbliża się do lwowskiej endecji

1903 – zdaje egzamin dojrzałości

– rozpoczyna studia na Wydziale Filozoficznym (polonistyka i romanistyka) Uniwersytetu Lwowskiego

– wyrusza na Śląsk, gdzie pracuje w gliwickim piśmie „Iskra” oraz prowadzi kursy historii i literatury polskiej dla górników, hutników i młodzieży

1904 – zostaje recenzentem teatralnym, a później sekretarzem redakcji „Słowa Polskiego” we Lwowie – z przerwami pracuje w piśmie do wybuchu I wojny światowej

1907 – wyjeżdża do Paryża, gdzie studiuje literaturę francuską na Sorbonie

– poznaje swoją przyszłą żonę Emilię Bażeńską, studentkę Uniwersytetu Lwowskiego

1908 – debiutuje dobrze przyjętym przez recenzentów tomem wierszy *Połów gwiazd*

– kończy studia

– we wrześniu bierze ślub z Emilią

1909 – ukazuje się pierwszy tom prozy Makuszyńskiego – *Rzeczy wesole* – a w nim opowiadanie *Rajska opowieść*

1910 – Makuszyńscy wyjeżdżają do Paryża, gdzie poznają m.in. Władysława Reymonta

1912 – ukazuje się pierwsza książka Kornela Makuszyńskiego z opowiadaniem dla dzieci *Szewc Kopytko i Kaczor Kwak*

1913 – premiera filmu *Najmilszy złodziej*, opartego na noweli Makuszyńskiego pod tytułem *Dwie przygody najmilszego ze złodziei*

– Makuszyński zostaje kierownikiem literackim Teatru Miejskiego we Lwowie

1914 – Makuszyńscy wyjeżdżają do majątku rodziny Bażeńskich w Burbiszkach na Żmudzi, gdzie zastaje ich wybuch I wojny światowej

– jako obywatele Austro-Węgier zostają internowani i wywiezieni do Kostromy w Rosji

– po interwencji rodziny i przyjaciół otrzymują zgodę na powrót do Burbiszek, a po kilku miesiącach do okupowanego przez Rosjan Lwowa

1915 – Kornel Makuszyński ponownie obejmuje kierownictwo literackie teatru we Lwowie

– po powrocie Austriaków do Lwowa wyjeżdża z żoną do Kijowa, gdzie mieszka do końca wojny

– w Kijowie jest m.in. kierownikiem literackim Teatru Polskiego oraz prezesem Związku Literatów i Dziennikarzy Polskich

1918 – ukazuje się powieść *Słońce w herbie*, poświęcona weteranom powstania styczniowego 1863 roku

– Makuszyńscy wracają do kraju, przeprowadzają się do Warszawy

1919 – wynajmują mieszkanie w Alei Róż pod numerem 14

1920 – po wybuchu wojny polsko-bolszewickiej Makuszyński zostaje zmobilizowany, trafia do Oddziału II Informacyjno-Prasowego (Referat Literacki) Generalnego Inspektoratu Armii Ochotniczej

– obejmuje posadę redaktora działu literackiego i recenzenta teatralnego w endeckim dzienniku „Rzeczpospolita”, gdzie pracuje do roku 1924

– zostaje zastępcą członka zarządu nowo utworzonego Związku Literatów Polskich

1921 – zaczyna publikować *Listy z Zakopanego*, pierwszy w „Rzeczpospolitej”, później także w innych pismach

– wyrusza na wyprawę w góry ze Stanisławem Ignacym Witkiewiczem i Tadeuszem Boyem-Żeleńskim, co opisze później w jednym z *Listów*

1922 – ukazuje się broszura *Radosne i smutne*, poświęcona wojnie ukraińsko-rosyjskiej w 1918 roku i wojnie polsko-bolszewickiej 1919–1921

1924 – Makuszyński wraz z częścią zespołu redakcyjnego przenosi się z „Rzeczpospolitej” do nowego dziennika „Warszawianka”

– ukazuje się poemat *Pieśń o Ojczyźnie*

1925 – wydaje wspomnienia *Bezgrzeszne lata*, wielokrotnie później wznawiane

– ukazuje się także powieść *Fatalna szpilka*, niewznawiana w PRL ze względu na antysemicki charakter

1926 – w marcu prezydent Francji odznacza Kornela Makuszyńskiego krzyżem kawalerskim Legii Honorowej

– w czerwcu żona Emilia Makuszyńska umiera na gruźlicę

– Makuszyński otrzymuje Państwową Nagrodę Literacką za poemat *Pieśń o Ojczyźnie*

1927 – we Lwowie ukazuje się broszura młodego poety Jana Zahradnika *Kornel Makuszyński we wklęsłym zwierciadle*, krytyczna wobec twórczości pisarza

– w sierpniu Makuszyński żeni się ze śpiewaczką operową Janiną Gluzińską, córką profesora medycyny Uniwersytetu Lwowskiego

1928 – w marcu Witkacy prawdopodobnie maluje portret Makuszyńskiego (wiadomo, że umawiali się na sesję, ale obraz nie przetrwał)

– ukazuje się powieść *O dwóch takich, co ukradli księżyc*

1930 – Makuszyński rozpoczyna współpracę z „Ilustrowanym Kurierem Codziennym”, która będzie trwała do roku 1936

– w Zakopanem odbywają się po raz pierwszy zawody „O Puchar Kornela Makuszyńskiego”

– zaczyna chorować na cukrzycę

– ukazuje się powieść *Przyjaciel wesołego diabła*

1931 – w marcu Rada Miejska Zakopanego przyznaje Makuszyńskiemu tytuł honorowego obywatela miasta; później otrzymuje także honorowe członkostwo Związku Górali

1932 – na Gwiazdkę ukazuje się książeczka *120 przygód Koziółka Matolka* z ilustracjami Mariana Walentynowicza

1933 – zapowiadana pierwotnie na Boże Narodzenie 1933 roku druga część

przygód Koziołka ze względu na żądania i listy dzieci ukazuje się już na Wielkanoc; w ciągu dwóch lat autorzy opublikują cztery książeczki o perypetiach Matołka

– ukazują się powieści *Panna z mokrą głową* i *Skrzydlaty chłopiec*

1934 – wychodzi powieść *Uśmiech Lwowa*, wznawiana jeszcze dwukrotnie przed wojną, po wojnie zakazana aż do roku 1989

1935 – Makuszyńscy przeprowadzają się do mieszkania w nowej kamienicy przy ul. Grottgera 9a

– pisarz otrzymuje Złoty Wawrzyn Polskiej Akademii Literatury

– ukazuje się (znów na Gwiazdkę) pierwszy tom kolejnego komiksu Makuszyńskiego i Walentynowicza *Awantury i wybryki małej małpki Fiki-Miki*; na żądanie dzieci już na Wielkanoc następnego roku wychodzi część druga

1936 – ukazuje się powieść *Wielka brama*, hymn na cześć portu w Gdyni i jego budowniczych

1937 – ukazują się dwie spośród najpopularniejszych powieści Makuszyńskiego: *Awantura o Basię* i *Szatan z siódmej klasy*

– Makuszyński zostaje członkiem Polskiej Akademii Literatury – zajmuje miejsce oskarżonego o plagiat Wincentego Rzymowskiego

1938 – ukazują się ilustrowane przez Mariana Walentynowicza *Legendy krakowskie. O wawelskim smoku* i *Wanda leży w naszej ziemi*, ale nie odnoszą takiego sukcesu jak przygody Koziołka Matołka czy małpki Fiki-Miki

1939 – Makuszyński pisze bajkę o początkach państwa polskiego *Za króla Piasta Polska wyrasta*, która ukaże się drukiem dopiero w 1985 roku

– powstaje film na podstawie powieści *Szatan z siódmej klasy* w reżyserii Konrada Toma; wybuch II wojny uniemożliwia jego ukończenie, a taśma, na której został nagrany, prawdopodobnie nie przetrwała (po wojnie *Szatan* będzie ekranizowany jeszcze dwukrotnie)

– podczas bombardowania stolicy we wrześniu 1939 roku pocisk niszczy

oficynę kamienicy przy Grottgera 9a, gdzie mieści się gabinet Makuszyńskiego; pisarz traci rękopisy książek i kolekcję dzieł sztuki

– Makuszyńscy decydują się pozostać w stolicy – całą okupację spędzają w Warszawie

1940 – powstaje powieść *Szaleństwa panny Ewy*

– Makuszyński zaczyna pisać *Drugie wakacje Szatana* (powieści nie ukończył)

1944 – podczas powstania warszawskiego współpracuje z prasą powstańczą, pisze hymn walczącej dzielnicy *Śpiew Czerniakowa*

– po powstaniu i wysiedleniu mieszkańców Warszawy Makuszyńscy przebywają krótko w obozie w Pruszkowie

– w listopadzie przyjeżdża do Zakopanego, zamieszkuje w willi Opolanka przy ulicy Tetmajera 15

1945 – otrzymuje dotację Komitetu Pomocy Pracownikom Kultury i Sztuki przy Prezydium Rady Ministrów jako jeden z twórców „nieprzemijających wartości nauki, sztuki i myśli społecznej”

1946 – ukazuje się powieść *List z tamtego świata*, pierwotnie przygotowywana do opublikowania w grudniu 1939 pod tytułem *Tajemnicze skarby*

– Makuszyński podejmuje współpracę m.in. z „Dziennikiem Polskim”, miesięcznikiem „Łódź Teatralna” i tygodnikiem „Przekrój” (urywa się ona pod koniec lat czterdziestych, z „Przekrojem” już w 1947)

1947 – angażuje się w zbiórkę pieniędzy na budowę nowego sanatorium Polskiego Czerwonego Krzyża w Rabce dla chorych na gruźlicę dzieci ze Śląska i Zagłębia

1948 – redaktor naczelny Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych Henryk Wolpe krytykuje „oportunistyczne wznawianie” przez wydawnictwa prywatne takich autorów literatury młodzieżowej, jak m.in. „Makuszyńscy”

1950 – po otwarciu 1 stycznia nowoczesnego sanatorium w Rabce Makuszyński odwiedza przebywające w nim dzieci

1951 – podczas plenum Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich zostaje zaatakowany za „negację w przedwojennych powieściach walki klasowej” oraz naśladowanie amerykańskich komiksów

1952 – publikuje w „Przekroju” list do uczestników Zlotu Młodych Przodowników – Budowniczych Polski Ludowej

– zakopiański magistrat dokwaterowuje do mieszkania Makuszyńskich w Opolance chorego na gruźlicę lokatora z żoną i synem

1953 – Kornel Makuszyński umiera 31 lipca w Zakopanem; zostaje pochowany 3 sierpnia na starym cmentarzu na Pęksowym Brzyzku

1955 – polityczna odwilż powoduje, że znów zaczynają ukazywać się książki Makuszyńskiego – jako pierwsze *O dwóch takich, co ukradli księżyc* i *Awantura o Basię*

1956 – w grudniu nakładem Wydawnictwa Literackiego wychodzi *120 przygód Koziółka Matołka*

1957 – cztery lata po śmierci pisarza po raz pierwszy ukazuje się powieść *Szaleństwa panny Ewy*

1962 – w mieszkaniu w Opolance, zajmowanym przez Janinę Gluzińską-Makuszyńską, otwarty zostaje „Punkt muzealny pamiątek po Kornelu Makuszyńskim” – późniejsze Muzeum Kornela Makuszyńskiego

Bibliografia

czyli książki oraz artykuły cytowane
i wykorzystywane w tekście

Książki i artykuły Kornela Makuszyńskiego

Makuszyński Kornel, *Bardzo dziwne bajki*, Warszawa 1929

—, „*Bo Polska zapamięta najdroższe swe chłopięta!*”. *Wiersze i piosenki żołnierskie 1919–1920*, oprac. Andrzej Krzysztof Kunert, Łomianki 2012

—, *Jak ja to widzę... Felietony teatralne z lat 1920–1928*, zebrała i oprac. Mirosława Kozłowska, Gorzów Wielkopolski 2004

—, *List z tamtego świata*, Kraków 1988

—, *Listy ze Lwowa*, Kraków 1998

—, *Listy zebrane. Listy z Capri, Lido, Paryża, Sopotu, Karlsbadu, Zakopanego i Lwowa*, Warszawa 1929

—, *Radosne i smutne*, Warszawa 1922

—, *Wycinanki*, Warszawa 1926

—, *Żywot pani i inne świecidełka*, Poznań 1929

—, *Dawne czasy*, „Wiadomości Literackie” 1936, nr 48

—, *Działalność polityczna Staffa*, „Wiadomości Literackie” 1929, nr 28

—, *Dzieci z Zaolzia*, „Młoda Rzeczpospolita” 1946, nr 14

—, *Gość i jego zwyczaje*, „Przekrój” 1947, nr 103, 104

—, *Liście padają na grób*, „Wiadomości Literackie” 1938, nr 1

—, *Mój pierwszy wiersz*, Almanach „Biblioteki Polskiej” na rok 1925,

Warszawa 1925

—, *Nadużywanie nazwiska* (list do redakcji), „Warszawianka”, 4 czerwca 1925

—, *Nasza kawiarnia*, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 55

—, *Odpowiedź na ankietę: Jak się uczyli współcześni wybitni pisarze polscy?*, „Wiadomości Literackie” 1926, nr 4

—, „Pamiętniki kwestarza”, w: „Księga pamiątkowa Sanatorium PCK w Rabce i Kornel Makuszyński”, album w Muzeum Kornela Makuszyńskiego w Zakopanem [1950?]

—, *Pani Marusia*, „Wiadomości Literackie” 1926, nr 43

—, *Perz*, „Wiadomości Literackie” 1931, nr 6

—, *Po raz dwudziesty piąty*, „Zakopane” 1931, nr 6

—, *Pochwała Bokacjusza*, „Wiadomości Literackie” 1930, nr 43

—, *W imię pokoju*, „Dziennik Polski”, 8 maja 1951

—, *Wspomnienie* [o Henryku Sienkiewiczu], „Wiadomości Literackie” 1924, nr 43

—, *Z mojej kariery*, „Ilustrowany Tygodnik Polski” 1928, nr 1

—, *Żołnierz i poeta*, „Obrona Kultury” 1939, nr 10, 11

Książki

100-lecie urodzin Kornela Makuszyńskiego. Materiały z sesji naukowej zorganizowanej przez: Uniwersytet Wrocławski – Instytut Filologii Polskiej, Muzeum Tatrzańskie i jego Oddział im. Kornela Makuszyńskiego, Miejską Bibliotekę Publiczną im. Stefana Żeromskiego w Zakopanem, Zakopane 11–12 maja 1984, Zakopane 1984

- Adwentowicz Karol, *Wspominki*, Warszawa 1960
- Biernat Ewa, *Twórczość baśniowa Kornela Makuszyńskiego*, Kraków 2001
- „*Bo Ty jesteś moje Fatum*”. *Listy Stanisławy Wysockiej do Emila Zegadłowicza 1924–1935*, wstęp, oprac. tekstu i przypisy Mirosław Wójcik, Kielce 2008
- Boy-Żeleński Tadeusz, *Słówka*, Warszawa 2004
- Brandstaetter Roman, *Przypadki mojego życia*, Poznań 1992
- Chramiec Andrzej, *Wspomnienia doktora Andrzeja Chramca*, Kórnik–Zakopane 2004
- Cudnowski Henryk, *Niedyskrecje teatralne*, Wrocław 1960
- Czerwińska-Rydel Anna, *Słońcem na papierze. Wesola opowieść o Kornelu Makuszyńskim*, Łódź 2014
- Dąbrowska Maria, *Dzienniki*, t. 5, wybór, wstęp i przypisy Tadeusz Dąbrowski, Warszawa 1988
- Dębicki Zdzisław, *Portrety*, seria II, Warszawa–Kraków 1928
- Feldman Wilhelm, *Współczesna literatura polska 1864–1918*, t. 1, 2, Kraków 1985
- Gałczyński Konstanty Ildefons, *Dzieła w pięciu tomach. T. IV. Proza*, Warszawa 1979
- Gebethner Jan, *Młodość wydawcy*, Wrocław 1989
- Grydzewski Mieczysław, Lechoń Jan, *Listy 1923–1956*, t. 1, 2, z autografu do druku przygotowała, wstępem i przypisami opatrzyła Beata Dorosz, Warszawa 2006
- Hemar Marian i in., *Szopki 1922–1931 Pikadora i Cyrulika Warszawskiego*, oprac. Tadeusz Januszewski, Warszawa 2013

Herbaczyński Wojciech, *W dawnych cukierniach i kawiarniach warszawskich*, Warszawa 1983

Ilustrowany Almanach Artystyczno-Literacki, Lwów 1911

Inglot Mieczysław, *Kornel Makuszyński: rekonesans badawczy*, w: *O literaturze dla dzieci i młodzieży. Studia, rozprawy, szkice*, red. Halina Skrobiszewska, Warszawa 1975

Janicka Kinga, *W kręgu wartości prozy Kornela Makuszyńskiego*, Kielce 2012

Jasiński Roman, *Zmierzch starego świata. Wspomnienia 1900–1945*, Kraków 2006

Klominek Andrzej, *Życie w „Przekroju”*, Warszawa 1995

Kowalczykówna Jolanta, *Kornel Makuszyński*, Warszawa 1989

—, *Z badań nad warsztatem literackim Kornela Makuszyńskiego jako autora powieści dla młodzieży*, Piotrków Trybunalski 1997

Kozłowska Mirosława, *W fotelu recenzenta i na paradyżu. O krytyce teatralnej Kornela Makuszyńskiego*, Gorzów Wielkopolski 2001

Kpiarze pod Giewontem, oprac. Roman Hennel, Warszawa 1987

Lam Stanisław, *Życie wśród wielu*, Warszawa 1968

Lechicki Czesław, *Przewodnik po beletrystyce*, Poznań 1935

Lechoń Jan, *Dziennik*, t. 1–3, Londyn 1967

—, *Portrety ludzi i zdarzeń*, Warszawa 1999

Leśmian Bolesław, *Utwory dramatyczne. Listy, Dzieła wszystkie*, t. 4, zebr. i oprac. Jacek Trznadel, Warszawa 2012

Leśnodorski Zygmunt, *Wśród ludzi mojego miasta*, Kraków 1968

- Lorentowicz Jan, *Spojrzenie wstecz*, Kraków 1957
- Lutosławski Wincenty, *Jeden łatwy żywot*, Warszawa 1933
- Malczewski Rafał, *Od cepra do wariata. Felietony zakopiańskie*, Warszawa 2000
- , *Pępek świata. Wspomnienia z Zakopanego*, Warszawa 1999
- Matuszewski Ryszard, *Literatura międzywojenna*, Warszawa 1953
- , *Literatura polska lat 1918–1956*, Warszawa 1958
- Morcinek Gustaw, *Nowele wybrane*, Kraków 1956
- Nałkowska Zofia, *Dzienniki 1899–1954*, t. 1–6, oprac., wstęp i komentarz Hanna Kirchner, Warszawa 1975–2001
- Nowakowski Zygmunt, *Lajkonik*, Kraków 1975
- Ostrowska-Grabska Halina, *Bric à brac*, Warszawa 1978
- Papuzińska Joanna, *Mój bazarz odnowiony*, Warszawa 2014
- Parandowski Jan, *Kiedy byłem recenzentem*, Warszawa 1963
- Piasecka Dorota, *Proza Kornela Makuszyńskiego dla młodego odbiorcy. Zarys problematyki*, Wrocław 1984
- Rusinek Michał, *Opowieści niezmyślone*, Kraków 1969
- Siedlecka Joanna, *Wypominków ciąg dalszy*, Warszawa 1999
- Słonimski Antoni, *Alfabet wspomnień*, Warszawa 1975
- , *Ciekawość. Felietony z lat 1973–1976*, Warszawa 1988
- Solska Irena, *Pamiętnik*, Warszawa 1978
- Solski Ludwik, *Wspomnienia 1893–1954*, Kraków 1956

Staff Leopold, *W kręgu literackich przyjaźni. Listy*, Warszawa 1966

Szlakiem zwycięstwa. Relacje literatów z wojny 1920 roku, Łomianki 2012

Szolginia Witold, *Tamten Lwów. T. 8: Arcylwowianie*, Wrocław 1997

Szymanowski Karol, *Korespondencja. Pełna edycja zachowanych listów od i do kompozytora. T. 2: 1920–1926*, zebrała i oprac. Teresa Chylińska, Kraków 1994

Twardowski Jan, *Autobiografia. Myśli nie tylko o sobie. T. 1: 1915–1959*, Kraków 2006

Wańkiewicz Melchior, *Karafka La Fontaine'a*, t. 2, Kraków 1984

Wasylewski Stanisław, *Czterdzieści lat powodzenia. Przebieg mojego życia*, Wrocław 1959

Webersfeld Edward, *Teatr Miejski we Lwowie za dyrekcji Ludwika Hellera 1906–1918*, Lwów 1917

Wierzyński Kazimierz, *Szkice i portrety literackie*, zebrał i posłowiem opatrzył Paweł Kądziera, Warszawa 1990

Witkiewicz Stanisław Ignacy, *Listy. I*, oprac. i przypisami opatrzył Tomasz Pawlak, Warszawa 2013

Wnuk Włodzimierz, *Moje Podhale. Ku Tatrom*, Warszawa 1971

Worcell Henryk, *Wpisani w Giewont*, Wrocław 1974

Zahradnik Jan, *Kornel Makuszyński we wklęsłym zwierciadle*, Lwów–Warszawa 1927

Zapolska Gabriela, *Listy*, t. 2, zebr. Stefania Linowska, Warszawa 1970

Zaruba Jerzy, *Z pamiętnika bywalca. Patrząc na Warszawę*, Warszawa 2007

Artykuły

Alf-Tarczyński Tadeusz, *Pogrzeb Kornela Makuszyńskiego* (list do redakcji), „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” 1953, nr 278

Bocheński Tadeusz, *Kornel Makuszyński w Zakopanem*, „Kamena” 1953, nr 3

Borudzka Wanda, *Książki dla dzieci. Kornel Makuszyński: III księga przygód Koziołka Matołka*, „Wiadomości Literackie” 1934, nr 31

Broniewska Janina, *Książki dla młodzieży i dzieci. Kornel Makuszyński: Szatan z 7-ej klasy*, „Wiadomości Literackie” 1938, nr 18

Chruszczyński Andrzej, *Kornel Makuszyński*, „Orka”, 15 września 1957

—, *Z czego robi się słońce*, „Kierunki”, 20 kwietnia 1958

Cudnowski Henryk, *Korneliusz na schnurbodnie*, „Nowe Sygnały” 1957, nr 25

Czachowski Kazimierz, *4 poetów*, „Czas”, 7 grudnia 1930

—, *Radosny humorysta*, „Tygodnik Ilustrowany” 1929, nr 26

Czy wskrzesić Polską Akademię Literatury?, ankieta tygodnika „Odrodzenie”, wypowiedź Kornela Makuszyńskiego w nr. 14–15 z 1947

Dobrowolski Adam, *Kornel Makuszyński* (z cyklu: *Cyganeria lwowska*), „Literatura i Sztuka”, dodatek do „Dziennika Poznańskiego”, 19 czerwca 1910

Drzewiecki Henryk, *Humor Makuszyńskiego*, „Wiadomości Literackie” 1927, nr 8

Duszyńska Julia, *Rozmowa z K. Makuszyńskim*, „Czas”, 21 października 1935

Dużyk Józef, „...w słońcu, w kwiatach i w uśmiechu...”. *Z listów i autografów Kornela Makuszyńskiego, w setną rocznicę urodzin*, „Życie Literackie” 1984, nr 3

—, *Wielkanocne wspomnienie o Kornelu Makuszyńskim*, „Tygodnik Powszechny” 1974, nr 15

Dyniewski Tadeusz, *Kornel Makuszyński. Syn Słońca*, „Tak i Nie” 1984, nr 5

Kornel Makuszyński do Okręgu 20 Rady Polonii Amerykańskiej, „Dziennik Związkowy”, Chicago, 25 października 1947

Kornel Makuszyński dziękuje Dziennikarzom Polskim w Ameryce, „Dziennik Związkowy”, Chicago, 9 sierpnia 1947

Galarowski Jan, *Zygzaki (czyli górale o Makuszyńskim)*, „Zakopane”, 15 marca 1930

Goa [Antoni Gołubiew], *Zwycięstwo Koziółka Matółka nad stalinizmem*, „Tygodnik Powszechny” 1957, nr 1

Goetel Ferdynand, *Kornel Makuszyński*, „Orzeł Biały” 1953, nr 43

Grodzińska Wanda, Pollak Seweryn, *O nową literaturę dla dzieci*, „Twórczość” 1951, nr 8

Groński Ryszard Marek, *U Kornela w duszy niedziela*, „Polityka” 2003, nr 34

Grubiński Wacław, *Wesołość w herbie: człowiek i pisarz*, „Wiadomości”, Londyn 1954, nr 28

Grzymała-Siedlecki Adam, *Makuszyński na urlopie*, „Kurier Warszawski”, 14 czerwca 1939

—, *Zagadnienia i spory*, „Kurier Warszawski”, 11 grudnia 1926

„Guliwer. Czasopismo o książce dla dziecka” (monograficzny numer poświęcony twórczości Kornela Makuszyńskiego), 2014, nr 3

Heska-Kwaśniewicz Krystyna, *Kornel Makuszyński na Śląsku*, „Poglądy”, 1–15 lipca 1969

—, *Koziołka Matolka bój ze stalinizmem*, „Tygodnik Powszechny” 2003, nr 33

—, *Koziołek Matolek na cenzurowanym [TAJEMNICE PRL]*, „Dziennik Zachodni”, 21 marca 2015

Iwaszkiewicz Jerzy, *Bezgrzeszne lata*, „Sportowiec” 1975, nr 11

Ixion [Józef Wasserzug, Wassowski], *Rozmowa z Kornelem Makuszyńskim*, „Wiadomości Literackie” 1924, nr 44

Jackiewicz Mieczysław, *Krewieństwo i miłość*, „Tygodnik Powszechny” 2003, nr 33

Jak żydostwo od wieków wyzyskiwało i wyzyskuje nasze polskie serce?, „Hasło Podwawelskie”, 6 marca 1932

Jampolski Włodzimierz, *Kropka*, „Głos Prawdy”, 18 grudnia 1926

Jankowska Hilda, *Słoneczny pisarz*, „Tydzień Polski”, Londyn, 7 grudnia 1968

Jodełka-Burzecki Tomasz, *Z dziejów przyjaźni Reymonta z Makuszyńskimi* [zawiera listy Władysława Reymonta do Emilii i Kornela Makuszyńskich], „Przegląd Humanistyczny” 1975, nr 12

Kaden-Bandrowski Juliusz, *Gwiazdkowy okres wydawniczy*, „Gazeta Polska” 1938, nr 47

Kassak Cezary, *Wujek Kornel bardzo nas rozpieszczał*, „Nowiny. Gazeta Codzienna” 2013, nr 193

Kiedrzyński Stefan, *Książka o sercu*, „Kurier Literacko-Naukowy” 1929, nr 50

Kobieta, która nadchodzi... Wielka ankieta „Kuriera Porannego”, „Kurier Poranny”, 21 lipca 1932

Kolińska Katarzyna, *100 lat i jeden list*, „Stolica” 1984, nr 24

- Konarska Iwona, *Spoleczeństwu zapisuję...*, „Kobieta i Życie” 1991, nr 42
- Konopka Jadwiga, *Spotkanie z przeszłością na ulicy Grottgera*, „Stolica” 1969, nr 42
- Kopczewska Anna, *Przegląd literatury dla dzieci i młodzieży (z roku szkolnego 1932/3)*, „Polonista”, 1934, z. I i II
- Kornel Makuszyński o humorze Fredry*, „Polonia”, 24 marca 1927
- Kornel Makuszyński w Polskiej Akademii Literatury*, „Dziennik Bydgoski”, 6 czerwca 1937
- Kossowska Stefania, *Na słonecznej stronie*, „Wiadomości”, Londyn 1954, nr 28
- Kowalczykówna Jolanta, *Dezinformacja czy coś więcej?*, „Guliwer” 1992, nr 1
- Kozielska Irena, *Kornel Makuszyński mówi o sobie*, „Echo Krakowa”, 20 lipca 1947
- Kozłowski Janusz, *Sierpniowe spotkanie*, „Dziś i Jutro” 1953, nr 36
- Krusz Jan, *Obiad z Reymontem i Makuszyńskim*, „Stolica” 1967, nr 5
- Krusz Jan, *Z Kornelem Makuszyńskim na górcie u Gettla*, „Stolica” 1959, nr 30
- Lasota Grzegorz, *O sytuacji w literaturze dla młodzieży*, „Twórczość” 1951, nr 8
- Lisiecki Stanisław, *Wspomnienia o Kornelu Makuszyńskim*, cz. 1, 2, „Poradnik Bibliotekarza” 1958, nr 6, 7/8
- Listy do Kornela Makuszyńskiego 1900–1953*, oprac. Jolanta Kowalczykówna, „Akcent” 1986, nr 2, 3 (m.in. listy Karola Irzykowskiego, Jana Lechonia, Jana Parandowskiego, Władysława Reymonta, Emila Zegadłowicza, Kazimierza Wierzyńskiego)

Listy-wierszyki do Pana Zecera!, „Przekrój” 1968, nr 1228

Lubicz-Lisowski Juliusz, *Chodząca dobroć. Ze sztambucha starego aktora* (2), „Kurier Polski” 1985, nr 169

[maa], *Notatki zakopiańskie. Słońce w herbie*, „Życie Warszawy”, 14 sierpnia 1963

Makuszyński contra Solski, „Zakopane”, 15 lutego 1930

Mazan Leszek, *Dole i niedole najstłynniejszego kozła świata*, „Przekrój” 1977, nr 1704

—, *Rozmowy w drodze*, „Gazeta Południowa” 1975, nr 196

—, *Słońce w herbie*, „Przekrój” 1993, nr 31 (1975)

Meissner Janusz, *Spotkania przygodne (rozmowa z Kornelem Makuszyńskim)*, „Przekrój” 1950, nr 250

Milewski Edgar, *Wielka brama*, „Litery” 1968, nr 8

Morstin Ludwik Hieronim, *Kornel Makuszyński*, „Przekrój”, 25 września 1955

Nowaczyński Adolf, *Do Kornela po Pieśni o Ojczyźnie*, wycinek z nieoznaczonej gazety w zbiorze artykułów poświęconych K. Makuszyńskiemu w Muzeum Makuszyńskiego w Zakopanem

Nowakowski Zygmunt, *Słońce w herbie*, „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza” 1953, nr 197

Olasikowicz Wacław, *Dwa listy pana Kornela*, „Panorama” 1982, nr 43

Ostrowski Bohdan, *Kornel Makuszyński oceniany*, „Rocznik Gdyński” 1998, nr 13

Papée Stefan, *List z tamtego świata*, „Dziennik Polski” 1947, nr 23

Paszkowski Kazimierz, *Ze wspomnień wydawcy*, „Odgłosy” 1970, nr 39

Piasecka Dorota, *Nieznany epizod śląski Kornela Makuszyńskiego*, „Poglądy” 1976, nr 8

Piwiński Leon, *Powieści polskie. Kornel Makuszyński: Człowiek znaleziony w nocy*, „Wiadomości Literackie” 1932, nr 14

Płomieński Jerzy Eugeniusz, *List z tamtego świata*, „Ilustrowany Kurier Polski”, 2 czerwca 1947

—, *Tajemnica popularności Makuszyńskiego*, „Robotnik” 1947, nr 188

Przybyła Jan, *Drogie wspomnienie*, wycinek z nieoznaczonej gazety w zbiorze artykułów poświęconych K. Makuszyńskiemu w Muzeum Makuszyńskiego w Zakopanem

Rogowicz Waław, *Coktail z mirrą. Niedyskretne wspomnienia*, „Odrodzenie” [brak informacji o nr. i roku wydania]

Rogowski Roman, *Zakopiańscy warszawiacy*, „Stolica”, 12 września 1971

Rostowski Jakub, *Makuszyński – przemiły kolega* (list do redakcji), „Tydzień Polski”, 28 grudnia 1968

—, *W którym roku urodził się Makuszyński* (list do redakcji), „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, Londyn 1953, nr 207

Sobierajski Henryk, *Wywiad przeprowadzony w dniu 16 września 1963 roku z Janiną Makuszyńską, wdową po Kornelu Makuszyńskim*, „Zeszyty Naukowe Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu” 1970 (seria: Historia literatury VII)

Sokolicz-Wroczyński Jan, *Chybiony atak*, „Rzeczpospolita” 1926, nr 161

Stawar Andrzej, *Powieść i nowela. Kornel Makuszyński: Bezgrzeszne lata*, „Wiadomości Literackie” 1925, nr 31

Stronński Stanisław, *Wspomnienia lwowskie i warszawskie*, „Wiadomości”, Londyn 1954, nr 28

Vogler Henryk, *Słowo o Makuszyńskim*, „Echo Krakowa” 1953, nr 193

W ósmą rocznicę zdjęcia *Koziółka Matolka* przez cenzurę, „Tak i Nie” 1989, nr 51

Wachowicz Barbara, *Korneliana*, „Przekrój” 1973, nr 1477

Walentyłowicz Marian, *O nowym wydaniu „Koziółka Matolka”*, rozmowę przeprowadził Zb. Korz., „Słowo Powszechne” 1957, nr 31

Wasylewski Stanisław, *Kornel*, „Gazeta Polska”, 27 czerwca 1937

Wasylkowski Janusz, *Najbardziej lwowski z lwowskich pisarzy Kornel Makuszyński (1884–1953)*, „Rocznik Lwowski 2012–2013”

Wierzyński Kazimierz, Fryling Jan, Marth Władysław, *Kornel Makuszyński. Tryptyk w 10-ą rocznicę zgonu*, „Na Antenie”, Londyn, 6 września 1964

Wittlin Józef, *O szczerości w poezji*, „Wiadomości Literackie” 1924, nr 24

Wnuk Włodzimierz, *Pan Kornel i Zakopane*, „Kierunki”, 21–28 grudnia 1969

—, *Po zgonie Kornela Makuszyńskiego*, „Tygodnik Powszechny” 1953, nr 14

Wolpe Henryk, *W sprawie naszego ruchu wydawniczego*, „Praca Księgarska” 1948, nr 11

Zakrzewska Janina, *Rozmawiamy z Makuszyńskim*, „Tydzień” 1947, nr 8

Za kulis teatralnych. Rozmowa z dyr. Kornelem Makuszyńskim, „Słowo Polskie” 1915, nr 229

Prace niepublikowane

Bielawska Anna, „Dzieje wydawnicze książek Kornela Makuszyńskiego w latach 1908–1984”, praca magisterska obroniona w IBiIN UW, Warszawa 1987, w zbiorach Muzeum Kornela Makuszyńskiego w Zakopanem

Archiwa

Archiwum Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Warszawie

Zbiory Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Wrocławiu

Archiwum Muzeum Kornela Makuszyńskiego (oddział Muzeum
Tatrzańskiego) w Zakopanem

